

Orson Scott Card

Kryształowe Miasto

Przełożyła Maciejka Mazan

Chrisowi i Christi Baughan dobranej parze

Nueva Barcelona

Wyglądało na to, że do Nueva Barcelona zjechał cały świat, głównie na pokładach parowców. Choć mgła na Mizzippy była tak gęsta, że Biali nie potrafili się przeprawić na zachodni brzeg rzeki, parowce kursowały przez kanał, przewożąc towary i pasażerów – gdyby przewożyły pieniądze i rzucały je pod nogi tym, którzy akurat prowadzili interesy u ujścia rzeki, wyszłoby na jedno.

W obecnych czasach byli to głównie Hiszpanie – przynajmniej oficjalnie. Nueva Barcelona należała do nich; w całym mieście stacjonowali ich żołnierze.

Ale obecność wojska także coś oznaczała. Na przykład, że Hiszpanie nie są pewni, czy utrzymają miasto. Nie tak dawno temu zwano je Nowym Orleanem; nadal było w nim wiele dzielnic, gdzie należało znać francuski, jeśli miało się nadzieję na kęs jedzenia albo dach nad głową. Ci, którzy mówili po hiszpańsku, mogli się obudzić z poderżniętym gardłem.

Alvin nie zdziwił się, słysząc w porcie mieszający się ze sobą hiszpański i francuski. Za to zdziwiło go, że dosłownie wszyscy mówią po angielsku – z ciężkim akcentem, lecz niewątpliwie po angielsku.

– Arthurze Stuarcie, uczyłeś się hiszpańskiego na darmo – powiedział do pół-Czarnego chłopca, który udawał jego niewolnika.

– Może tak, może nie – odparł Arthur Stuart. – Może na darmo, za to za darmo.

Rzeczywiście. Na pokładzie parowca Alvin z pewnym zakłopotaniem obserwował łatwość, z jaką chłopak uczył się hiszpańskiego od niewolnika z Kuby. Dobrze by było mieć taki talent – Alvin go nie miał, nawet cienia. Dobrze być Stwórcą, ale to nie wszystko. I Alvin o tym wiedział. Są takie dni, kiedy umiejętności Stwórcy są warte mniej niż kulka tytoniu przeżutego i wyplutego na podłogę knajpy. Cała ta moc nie pomogła mu uratować życia własnego dziecka. O, jak bardzo się starał... ale kiedy urodziło się parę miesięcy przed czasem, nie potrafił znaleźć sposobu, by naprawić od środka jego płuca tak, by mogło oddychać. Posiniało i umarło, ani razu nie zaczerpnąwszy powietrza. Nie, te umiejętności Stwórcy nie są wiele warte.

Teraz Margaret znowu była w ciąży, ale ostatnio oboje rzadko się widywali. Ona poświęciła się bez reszty zapobieganiu krwawej wojnie. On był bez reszty zajęty zastanawianiem się, co dalej zrobić ze swoim życiem. Nic, czego się chwycił, nie szło dobrze. Ta podróż do Nueva Barcelona także okaże się bezsensowna, był tego pewien.

Przynajmniej dobrze, że po drodze spotkali Abe'a i Coza. Ale teraz byli w Barcy, stracił ich z oczu i został sam z Arthurem Stuartem, zajęty swoim zakrojonym na szeroką skalę projektem udowadniającym, że można mieć całą potęgę tego świata, a i tak nie na wiele się ona przyda, jeśli ma się za mało rozumu, by odgadnąć, co z nią zrobić i jak się nią podzielić z innymi.

– Znowu masz to spojrzenie – odezwał się Arthur Stuart.

– Jakie spojrzenie?

– Jakbyś musiał się wysikać, ale bał się, że będziesz sikać kamieniami.

Alvin pacnął go w głowę.

– W tym mieście nie możesz się do mnie tak odzywać.

– Nikt nie słyszał.

– Nie trzeba cię słyszeć, żeby zobaczyć, jaki jesteś. Puszysz się jak wiewiórka. Rozejrzyj się – widzisz tu Czarnych, którzy by się tak zachowywali?

– Ja jestem pół-Czarny.

– W tym mieście wystarczy być Czarnym w jednej szesnastej, żeby cię uznali za całkiem Czarnego.

– Do diabła, Alvin, skąd ci ludzie wiedzą, że nie są Czarni w jednej szesnastej? Przecież nikt nie zna swoich praprapradziadków.

– O co się założymy, że wszyscy Biali z Barcy potrafią wymienić wszystkich swoich przodków aż do Adama i Ewy?

– O co się założymy, że prawie wszystko zmyślili?

– Zachowuj się tak, jakbym mógł cię wychłostać.

– Po co, skoro ty nigdy się tak nie zachowujesz?

To było wyzwanie – i Alvin je przyjął. Chciał tylko udawać złość, wrzasnąć, zamachnąć się i na tym koniec. Ale kiedy zaczął, okazało się, że ryk był głośniejszy, niż powinien. A gniew był prawdziwy i potężny. Alvin musiał się siłą powstrzymać od uderzenia chłopca.

Wszystko wypadło tak przekonująco, że w oczach Arthura Stuarta pojawił się prawdziwy strach. Chłopiec skulił się, naprawdę oczekując ciosu.

Jednak Alvin zdołał się opanować.

– Pięknie ci wyszło to przerażenie – odezwał się z nerwowym śmiechem.

– Nie udawałem – powiedział cicho Arthur Stuart. – A ty?

– Tak mi dobrze poszło, że musisz pytać?

– Nie. Na ogół kiepsko kłamiesz. Naprawdę się wściekleś.

– Tak, naprawdę. Ale nie na ciebie.

– Więc na kogo?

– Prawdę mówiąc... nie wiem. Nie wiedziałem nawet, że jestem zły, dopóki nie zacząłem udawać.

W tej samej chwili na ramieniu Alvina spoczęła duża dłoń – uścisk nie był brutalny, ale mocny. Niewielu mężczyzn ma dłonie tak wielkie, że mogą objąć cały bark kowala.

– Abe! – odgadł Alvin.

– Tak się właśnie zastanawiam, co my tu mamy – powiedział Abe. – Patrzę ci ja, jak moi dwaj przyjaciele udają pana i niewolnika, i co widzę?

– Och, on mnie leje bez przerwy – odezwał się Arthur Stuart. – Kiedy nikt nie widzi.

– Chyba zacznę – odparł Alvin. – Żebyś tak strasznie nie kłamał.

– Czyli to była zabawa?

Alvin zawstydział się, że ten dobry człowiek mógł mieć wątpliwości, zwłaszcza po tygodniu spędzonym razem na Mizzippy. I może gniew jeszcze nie całkiem go opuścił, bo odpowiedział natychmiast i ostro:

– Tak, zabawa. A poza tym nasza sprawa, nie twoja.

– No ja myślę, że nie moja. Nie moja sprawa, że jeden mój przyjaciel podnosi rękę na drugiego. Dobry człowiek powinien tylko stać i się przyglądać.

– Nie uderzyłem go. Nie zamierzałem.

– Ale teraz chcesz uderzyć mnie.

– Nie. Teraz chcę znaleźć tanią gospodę i złożyć worek w bezpiecznym miejscu, zanim znajdziemy coś do jedzenia. Słyszałem, że w Barcy można dobrze zjeść... pod warunkiem że nie brzydzą was ryby podobne do robaków.

– Czy to propozycja wspólnego posiłku? – spytał Abe. – A może propozycja, żebym stąd spływał i zostawił was z waszymi sprawami?

– Zasadniczo propozycja zmiany tematu. Choć chętnie zjem posiłek z tobą i Cozem w tym znakomitym lokalu, jaki znajdziemy.

– O, Coza z nami nie będzie. Właśnie znalazł w porcie miłość swojego życia.

– Tę niezbyt drogą damę, z którą rozmawiał? – spytał Arthur Stuart.

– Napomknąłem, że mógłby sobie poszukać ciut czystszej la dacznicy – przyznał Abe – ale stwierdził, że ona nie taka. A ona stwierdziła, że się w nim zakochała od pierwszego wejrzenia. Tak sobie myślę, że jutro go znajdzie pijanego i okradzionego do suchej nitki.

– Dobrze wiedzieć, że go będziesz szukać – powiedział Alvin.

– Oczywiście. – Abe pokazał mu portfel. – Najpierw poszukałem tego, więc zostały mu góra trzy dolary.

Alvin i Arthur roześmieli się jednocześnie.

– To jest twój talent? – spytał Arthur Stuart. – Wyciąganie portfeli?

– O nie – odparł Lincoln. – Nie trzeba talentu, żeby okraść Coza. Nie

zauważyłby, gdybym mu zabrał nos. Zwłaszcza kiedy ta dziewczyna robiła do niego słodkie oczy.

– Ona by zauważyła.

– Musowo. Ale nic nie powiedziała.

– A ponieważ sama zamierzała położyć rękę na tym portfelu – rzekł Alvin – bo widziała, że już sprzedaliście cały towar, czy nie powinna czegoś powiedzieć?

– No to chyba nie zauważyła.

– Albo zauważyła, ale jej to nie obeszło.

Abe zastanawiał się przez chwilę.

– Chcesz powiedzieć, że warto by zajrzeć do tego portfela?

– Warto by.

Abe otworzył go.

– Jestem wstrząśnięty. – Oczywiście portfel był pusty.

– I masz odstające uszy – powiedział Alvin – ale prawdziwi przyjaciele ci tego nie wytykają.

– Więc już go dopadła.

– Och, pewnie go nawet nie dotknęła – odparł Alvin – ale ta kiego dziewczyny na ogół nie pracują same. Ona robi słodkie oczy...

– A jej partner obrabia klienta – dodał Arthur Stuart.

– Mówicie z doświadczenia – domyślił się Abe.

– Przyglądamy się. Lubimy ich łapać na gorącym uczynku.

– To dlaczego nie złapaliście tamtych?

– Nie wiedzieliśmy, że trzeba się wami opiekować – wyjaśnił Arthur Stuart.

Abe obrzucił go spojrzeniem pełnym wykalkulowanej urazy.

– Jak będziesz go lał następnym razem, zechcesz mu dołożyć i ode mnie?

– Adoptuj sobie własnego pół-Czarnego szwagra, jak chcesz mieć kogoś do bicia – odparł Alvin.

– Poza tym – dodał Arthur Stuart – tobą także warto by się zaopiekować.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo nawet ci nie przyszło do głowy, że nie tylko Coza urzekły jej wielkie figlarne oczy.

Abe poklepał się po kieszeni. Z ulgą przekonał się, że nadal ma portfel, ale zaraz potem przypomniał sobie, że portfel Coza także był na swoim miejscu. Po chwili stało się oczywiste, że obaj padli ofiarą rabunku.

– I jeszcze oddali portfele, bezczelni – rzekł Abe z podziwem.

– Nie przejmuj się – poradził Arthur Stuart. – Mieli pewnie talent. I tak

byś nic nie poradził.

Abe usiadł na ziemi, co było procesem skomplikowanym, biorąc pod uwagę jego wysoką, kościstą sylwetkę. Podczas zajmowania pozycji siedzącej omal nie wepchnął do wody trzech czy czterech osób.

– Ale ubaw, niech skonam – powiedział. – Ależ jestem śmieszny. Najpierw zrobiłem tratwę, którą nie można było sterować, więc musiałeś mnie ratować. Potem, kiedy sprzedałem towar i dostałem pieniądze, po które tu przybyłem, z punktu pozwoliłem je sobie odebrać.

– Śmieszne – zgodził się Alvin. – Zjedzmy coś.

– Jakim cudem? Nie mam ani grosza. Nawet na powrót.

– Zapraszamy cię. – Nie mogę na to pozwolić.

– Dlaczego?

– Bo byłbym twoim dłużnikiem – Uratowaliśmy ci to twoje głupie życie – przypomniał mu Alvin. – Masz u mnie taki dług, że od każdego twojego oddechu powinienem sobie liczyć odsetki.

Abe zadumał się przelotnie nad tą kwestią.

– Za grosz zrozumienia – podsumował.

– Amerykanie mówią „za centa” – podsunął życzliwie Arthur Stuart.

– Mama mnie nauczyła mówić „za grosz” – warknął Abe. – A skoro mam dokładnie tyle samo groszy, ile centów, wolę te z przekleństwa.

– To było przekleństwo?

– W duchu kłamię tak strasznie, że każdy marynarz wolałby sobie wepchnąć patyki w uszy, niż to słyszeć. Głośno powiedziałem tylko to o groszu.

Oczywiście przez cały czas Alvin szukał złodziei przenikaczem. Najpierw znalazł Coza, częściowo dlatego, że kobieta mogła jeszcze z nim być, częściowo by się upewnić, że nic mu się nie stało. Znalazł płomień jego serca, akurat gdy Coz dostawał pałką w głowę w jakimś zaułku. Nie było problemem sprawienie, by pałka nie zrobiła mu krzywdy. Upadł na tyle przekonująco, że tamci dwoje nie poczuło potrzeby przyłożenia mu ponownie. Ocknie się bez bólu głowy.

Tymczasem kobieta i mężczyzna ruszyli przed siebie jakby nigdy nic. Alvin przenikaczem ich przeszukał i po chwili znalazł pieniądze. Rozluźnienie splotu nitek w kieszeni mężczyzny i torbie kobiety nie było trudne – podobnie jak nadanie złotym monetom odpowiedniego poślizgu. Jak również sprawienie, by upadły bez najmniejszego brzęku. Cały dowcip polegał na tym, żeby monety nie prześliznęły się pomiędzy deskami i nie wpadły w wodę pod pomostem.

Oczywiście Arthur Stuart był już odpowiednio doświadczony i wykształcony, by wiedzieć, co robi Alvin. Dlatego przeciągał rozmowę, by dać

mu czas.

Na swój sposób, pomyślał Alvin, sami jesteście jak złodzieje. Arthur Stuart wystawia Abe'a, zagaduje go, żeby rozproszyć jego uwagę, a ja kradnę. A właściwie odkradam to, co zostało skradzione.

– No to chodźmy jeść – powiedział Arthur Stuart – zamiast gadać o jedzeniu.

– Gdzie znajdziemy jedzenie zdatne do spożycia? – spytał Alvin.

– Chyba tutaj – odparł Arthur Stuart, ruszając bez wahania w stronę zaułka z rozsypanymi monetami.

– E, nie wydaje mi się – mruknął Abe.

– Zaufaj mi – zapewnił go Arthur Stuart. – Mam nosa do dobrego jedzenia.

– To prawda. On ma nosa, a ja usta, zęby i język – dodał Alvin.

– Dorzucam do puli mój brzuch – zgłosił Abe.

Zaprowadzili go w zaułek – i niech to, minąłby pieniądze, nie widząc ich!

– Abe – napomniął go Alvin – co, nie widzisz tych złotych monet?

– To nie moje.

– Kto znajduje, ten skacze, kto gubi, ten płacze – rzekł sentencjonalnie Arthur Stuart.

– Może i coś straciłem, ale nie płaczę – przyznał Abe.

– A teraz znalazłeś – dodał Arthur. – Więc o co chodzi?

Abe rzucił im spojrzenie z ukosa.

– Powinniśmy zabrać te pieniądze i oddać właścicielowi.

Ktoś zaraz gorzko zapłaci z powodu dziury w kieszeni.

– Być może – mruknął Alvin i zaczął zbierać monety. Arthur Stuart poszedł w jego ślady. Okazało się, że suma jest całkiem spora.

– W coś to trzeba włożyć – oznajmił Alvin. – Może w te puste portfele, co?

Alvin spodziewał się, że teraz Abe zrozumie, że dokładnie tyle stracił.

Ale pieniędzy było więcej. O wiele więcej.

Arthur Stuart zaczął się śmiać. Śmiał się tak, że aż po policzkach popłynęły mu strugi łez.

– I kto teraz płacze? – mruknął Abe.

– On się śmieje. Ze mnie – wyjaśnił Alvin.

– Dlaczego?

– Bo całkiem po prostu nie pomyślałem, że zapewne nie byliście ich pierwszymi ofiarami.

Abe przyjrzał się wypchanym portfelom, a także monetom, które Alvin i Arthur Stuart nadal trzymali w dłoniach. Wreszcie zaświtała mu nowa myśl.

– Okradliście złodziei?

Alvin pokręcił głową.

– Miałeś pomyśleć, że upuścili te pieniądze i uciekli, coś w tym guście. Ale to dość trudne, kiedy znajdujesz więcej pieniędzy, niż zgubiłeś.

Abe pokręcił głową.

– No, panie Smith... Zaczynam rozumieć, że masz jakiś ta lent.

– Umiem się obchodzić z metalami – przyznał Alvin.

– Zwłaszcza takimi, które znajdują się w cudzej kieszeni albo torbie.

– Poszukajmy Coza – powiedział Alvin. – Wkrótce się obudzi.

– Zasnął?

– Pod wpływem subtelnej sugestii. Ale nic mu nie jest.

Abe spojrzał na niego uważnie, ale nie powiedział ani słowa.

– Co będzie z tą nadwyżką? – spytał Arthur Stuart.

– Ja tego nie wezmę – oznajmił Abe. – Zabiorę to, co mi się należy, ale resztę zostawimy na deskach. Niech złodzieje po nie wrócą.

– Te pieniądze nie należą do nich.

– To już pozostanie między nimi i ich Stwórcą w dniu Sądu Ostatecznego. Ja się do tego nie mieszam. Nie chcę żadnych pieniędzy, z których nie będę się mógł wytłumaczyć.

– Przed Panem?

– Albo magistratem. Mam pokwitowanie na tę kwotę i mogę udowodnić, że należy do mnie. A resztę wyrzucicie. Albo zatrzymajcie, jeśli wam nie przeszkadza, że sami staniecie się złodziejami.

Alvin nie wierzył własnym uszom. Człowiek, którego pieniądze właśnie odzyskali, nazywał go złodziejem. Ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nie może przecież udawać, iż pieniądze znalazł przypadkiem. I w żaden sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć, że należą do niego.

– Ci, którzy okradają złodziei – powiedział – chyba także się nimi stają.

– Chyba tak – zgodził się Abe.

Alvin i Arthur Stuart upuścili pieniądze na deski. I jeszcze raz Alvin dopilnował, by żadna moneta nie prześliznęła się przez szpary. Utopione pieniądze nikomu się nie przysłużą.

– Zawsze jesteś taki uczciwy? – spytał Alvin.

– W kwestiach pieniężnych – zawsze.

– Ale nie w innych.

– Muszę przyznać, że historie, które opowiadam, nie wszystkie są tak do końca prawdziwe.

– No, naturalnie. Nie można opowiedzieć dobrej historii, nie poprawiwszy

jej tu i tam.

– Można, ale co robić, kiedy tę samą historię masz opowiedzieć tym samym ludziom? Trzeba ją zmienić, żeby nadal była ciekawa.

– Więc manipulujesz prawdą ze względu na innych.

– Z czystego chrześcijańskiego miłosierdzia.

Coz spał, kiedy go znaleźli, ale nie był to letarg kogoś, kto właśnie oberwał po głowie, lecz sen sprawiedliwego. Abe przyłożył palec do ust, dając znak, że gadanie bierze na siebie. Dopiero gdy Alvin i Arthur Stuart kiwnęli głowami, trącił śpiącego stopą.

Coz odkaszlnął i otworzył oczy.

– Co ja tu robię?

– Budzisz się – wyjaśnił Abe. – Ale jeszcze przed chwilą spałeś.

– Tak? Dlaczego?

– Właśnie zamierzałem cię spytać o to samo. Dobrze się ba wileś z tą panią, którą tak bardzo pokochałeś?

– No jasne – skłamał Coz, choć widać było, że nic nie pamięta. – To niesamowite... Była... nie, nie powinienem mówić w obecności tego chłopca.

– Lepiej nie mów – zgodził się Abe. – Musiałeś sobie wczoraj nieźle golnąć.

– Wczoraj? – zdziwił się Coz.

– Minęła cała noc i dzień, odkąd z nią zniknąłeś. Ale powiadam ci, nie dostaniesz ani grosza z mojej połowy, żebyś wiedział.

Coz poklepał się po kieszeniach i zrozumiał, że został pozbawiony portfela.

– A niech by to jasna, ciasna... A to tacy owacy...

– Coz ma talent do przeklinania w obecności dzieci – wyjaśnił Abe.

– Straciłem portfel!

– Wraz z gotówką, jak się domyślam?

– Myślisz, że mogłaby zostawić gotówkę, a zabrać tylko portfel?

– Jesteś pewien, że to ona ukradła?

– A dlaczego nie mam portfela?

– Bo się szlajałeś cały dzień. Może wszystko przepuściłeś? Al bo dałeś komuś portfel w prezencie? Albo znalazłeś sobie jeszcze sześć przyjaciółek i fundowałeś im drinki, aż skończyły ci się pieniądze? A ostatniego drinka kupiłeś za portfel?

Coz wyglądał, jakby ktoś go kopnął w brzuch.

– Tak myślisz? Przyznaję, że nie pamiętam, co się wczoraj działo... Ale kaca chyba przespałem.

– Nie wyglądasz zbyt trzeźwo – dobił go Abe. – Może nie masz kaca, bo

nadal jesteś pijany.

– Faktycznie, świat trochę mi się kołysze – zgodził się Coz. – Powiedzcie, bełkoczę? Mówię, jakbym był pijany?

Alvin wzruszył ramionami.

– Mówisz, jakbyś się dopiero obudził.

– Chrypisz – ocenił Arthur Stuart.

– Widziałem cię już bardziej pijanego – rzekł Abe.

– Nie przeżyję tej hańby – zapowiedział Coz. – A ostrzegałeś mnie, żebym nie siedł z tą dziewczką! Nieważne, czy to ona mnie okradła, czy ktoś inny, czy też sam wydałem wszystko na drinki jak idiota – wróć do domu z pustymi rękami i mama mnie zabi je, będzie tak przeklinać, że uszy mi zwiędną.

– Och, przecież wiesz, że nie zostawię cię w takiej biedzie.

– Nie zostawisz? Serio? Dasz mi połowę swojej połowy?

– Tyle, żebyś zachował twarz. Powiedzmy, że... resztę zainwestowałeś, na przykład na giełdzie, ale akcje poszły w dół. Chyba uwierzą, co? To lepsze niż to, że cię okradli albo że przepuściłeś wszystko na wodę.

– No jasne, Abe, no jasne. Jesteś święty. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. I nie musisz dla mnie kłamać. Wiem, że się brzydzisz kłamstwem, więc tylko im powiedz, żeby spytali mnie, a ja już im nakłamię.

Abe sięgnął do kieszeni i podał Cozowi jego własny portfel.

– Weź sobie tyle, ile trzeba, żeby ich przekonać.

Coz zaczął odliczać dwudziestodolarowe złote monety, ale po chwili odezwało się w nim sumienie.

– Każdą monetę odbieram tobie. Nie, nie mogę. Sam zdecyduj, ile mi dasz.

– Nie, ty lepiej rachujesz. Wiesz, że jestem w tym do niczego.

W przeciwnym razie nie zbankrutowałbym w zeszłym roku.

– Ale czuję, że cię okradam. Zabieram ci pieniądze z portfela!

– Tyle że to nie mój portfel – uświadomił mu Abe.

Coz spojrzał na niego jak na wariata.

– Wyjąłeś go z kieszeni. Jeśli nie jest twój, to czyj?

Kiedy Abe nie odpowiedział, Coz jeszcze raz przyjrzał się portfelowi.

– Mój – mruknął.

– Tak wygląda – zgodził się Abe.

– Wyjąłeś mi go z kieszeni, kiedy spałem! – wściekł się Coz.

– Nie, słowo honoru! A ci panowie mogą potwierdzić, że do tknąłem cię tylko czubkiem buta, kiedy tu leżałeś, chrapiąc jak chóry anielskie.

– To skąd go masz?

– Ukradłem ci go wczoraj, zanim wyruszyłeś z tą dziewczyną.

- Ty... ale jak... no to jak mogłem zrobić to wszystko, co robiłem w nocy?
- W nocy? O ile sobie przypominam, noc spędziłeś z nami na statku.
- Jak to... – I tu wszystko stało się jasne. – Ty taki owaki hop-paprańcu!

A żeby ci nóżka!

Abe przyłożył rękę do ucha.

- Słuchajcie! Oto głos nawołującej Cozoptaszyny!
- To ten sam dzień! Nie spałem nawet godziny!
- Dwadzieścia minut – pospieszył z wyjaśnieniem Alvin. – Około.
- I to wszystko moje pieniądze! – pieklił się Coz.

Abe pokiwał głową ze śmiertelną powagą.

– Rzeczywiście, przyjacielu. Chyba że zaraz jakaś dziewczyna zrobi do ciebie słodkie oczy.

Coz rozejrzał się po zaułku.

– Ale gdzie Fannie? Gdzie ona? Jeszcze przed chwilą siedłem, ściskając jej... rękę, a teraz raptem budzę się i widzę ciebie.

– Wiesz co? – powiedział Abe ze współczuciem. – Twoje życie uczuciowe nie istnieje.

– I kto to mówi! – naburmuszył się Coz.

Był to chyba drażliwy temat dla Abe'a, bo zamiast odpowiedzieć docinkiem czy żartem, jakby wycofał się w głąb siebie.

– Chodźmy coś zjeść – rzekł Arthur Stuart. – Gadaniem się nie najem.

Jako że było to najrozsądniejsze i najprawdziwsze zdanie, jakie padło w ciągu ostatniej półgodziny, wszyscy przyznali Arthurowi rację i ruszyli przed siebie, kierując się węchem – aż znaleźli knajpę, w której jedzenie było na ogół martwe, nie miało zbyt wielu nóg, za życia nie było jadowite i wydawało się prawie ugotowane. W Barcy rzecz rzadko spotykana.

Po kolacji Coz wyjął fajkę, którą systematycznie nabił nawozem – jeśli wnosić z zapachu. Alvin dla zabawy spróbował ją zgasić, ale przecież nie dostał daru Stwarzania tylko po to, by mógł czasem uniknąć smrodu.

Dlatego wstał, zarzucił worek na ramię i upewnił się, że Arthur Stuart wstał także, po czym razem wyruszyli na poszukiwanie noclegu – nie żadnej zapchlonej, zbyt drogiej i zatłoczonej spelunki nad rzeką. Nie wiedział, jak długo tu zostanie, a jego fundusze były ograniczone, więc zamierzał znaleźć pokój w pensjonacie, gdzie mieszkają szacowni, przyzwoici obywatele. Gdzie na przykład mógłby się zatrzymać wędrowny, szukający zatrudnienia kowal.

Nie zdążył się oddalić od tawerny nawet o trzydzieści kroków, kiedy zdał sobie sprawę, że za nim idzie Abe Lincoln. Zatrzymał się, odwrócił i dopiero wtedy zauważył, że Arthur Stuart nie idzie z nim, lecz z Abe'em.

Niepokojące, jak dobrze Arthur nauczył się ukrywać przed nim swój płomień serca. Nie żeby Alvin kiedykolwiek miał problemy z odnalezieniem chłopca, jeśli go potrzebował, ale kiedyś wiedział, gdzie go szukać, nie myśląc o tym. Odkąd Arthur nauczył się podstaw prawdziwego Stwarzania – jak podgrzać żelazo lub je zmiękczyć, co nie jest prostą sztuką – jakoś zdołał sobie przyswoić umiejętność zwodzenia Alvina, kiedy odchodził i ruszał w swoją stronę.

Ale nie pora na reprimendy – nie teraz, w obecności Abe’a.

– Więc jednak pozwoliłeś Cozowi zostać sam na sam z własnymi pieniędzmi? – spytał Alvin.

– Coz nie powinien zostawać sam na sam nawet ze sobą, ale przyszło mi do głowy, że ty i obecny tu Arthur Stuart jesteście moimi prawdziwymi przyjaciółmi i szkoda tracić was z oczu.

– No, to nieuniknione. Jeśli chcesz ocalić swoje dochody, musisz kupić bilet i dostać się na jakiś statek, zanim Coz znowu się zakocha.

– Robisz na mnie wrażenie wędrowca. Chyba nie podasz mi adresu, na który mógłbym wysłać list. Za to ja mam swoje miejsce.

Na razie jeszcze na niczym nie zarabiam wielkich pieniędzy, ale wiem, gdzie chcę to robić. Napisz do Abrahama Lincolna w mieście Springfield, w stanie Noisy River – list na pewno dotrze.

Alvin nigdy w życiu nie narzekał na brak przyjaciół, ale jeszcze nie spotkał kogoś, kogo by polubił w bardzo krótkim czasie i kto natychmiast odwzajemnił tę sympatię.

– Abe, nie zapomnę tego adresu i z całą pewnością z niego skorzystam. Co więcej, do mnie także można napisać. Każdy list, wysłany do Alvina juniora na ręce Alvina Millera w mieście Vigor Kościół, niezwłocznie do mnie dotrze.

– Twoja rodzina?

– Dorastałem z nimi i nadal ze sobą rozmawiamy – powie dział Alvin z uśmiechem.

Abe nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Słyszałem o Vigor Kościele i jego mrocznej historii.

– Historia faktycznie jest mroczna i w dodatku prawdziwa.

Ale jeśli ją znasz, wiesz także, że niektórzy z nich nie wzięli udziału w masakrze nad Chybotliwym Kanoe i nie zostali przeklęci.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, lecz pewnie musiało tam być paru takich, którzy nie ubrudzili rąk.

Alvin podniósł dłonie.

– To nie ma już takiego znaczenia jak kiedyś, bo klątwa została zdjęta

i wybaczone grzechy.

– O tym nie słyszałem.

– Bo o tym nie mówi się głośno. Jeśli chcesz się dowiedzieć całej historii, odwiedź moją rodzinę, kiedy tylko zechcesz. To gościnny dom, przyjmuje wielu, a jeśli powiesz, że jesteś przyjacielem moim i mojego przyrodniego szwagra, zostaniesz ugoszczony, nakarmiony i być może usłyszysz historię, której dotąd nie znałeś.

– Wybiorę się tam, możesz być pewien. I cieszę się, że to nie koniec naszej znajomości.

– Na pewno nie cieszysz się bardziej ode mnie.

Znowu rozstali się, uściskawszy sobie ręce, i Abe ruszył wielkimi krokami ku tawernie, sunąc w tłumie przechodniów niczym parowiec.

– Lubię go – odezwał się Arthur Stuart.

– Ja też. Choć uważam, że ma więcej darów niż rozśmieszanie ludzi.

– Nie wspominając już o tym, że jest najurodziwszym brzydalem albo najbrzydszym przystojniakiem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

– Z tym się zgadzam. A jeszcze... wołałbym, żebyś już więcej nie ukrywał przede mną swojego płomienia serca.

Arthur Stuart spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem. Odpowiedział dokładnie tak, jak spodziewał się po nim Alvin.

– Teraz, kiedy zostaliśmy sami, może byś mi wreszcie powiedział, jaki interes mamy w Barcy?

Alvin westchnął.

– Powiem ci to samo co w Carthage City, kiedy wyruszyliśmy w drogę. Jadę, ponieważ moja Peggy mnie tu wysłała, a dobry mąż robi to, na czym zależy żonie.

– Ona cię nie wysłała do Carthage City, tego jestem pewien. Uważa, że tam umrzesz.

– Kiedy umrę, to będę martwy we wszystkich miastach jednocześnie – odparł nieco urażony Alvin. – Peggy może mnie posłać na koniec świata, a ja tam pojadę, ale chcę mieć przynajmniej prawo wyboru własnej trasy.

– Czyli naprawdę nie wiesz, co masz tu zrobić? Myślałem, że chcesz powiedzieć, że to nie mój interes.

– Bo nie twój. Ale na razie wygląda na to, że także nie mój. Na parowcu wydawało mi się, że nasza podróż może mieć coś wspólnego ze Steve'em Austinem, Jimem Bowie i wyprawą do Meksyku. Ale kiedy ich opuściliśmy i...

– I uwolniliśmy dwa tuziny Czarnych, którzy nie chcieli być niewolnikami.

– To już raczej twoja zasługa. Na twoim miejscu bym się tym nie chwalił na

ulicach Barcy.

– A ty jeszcze nie zgadłeś, co zamierza Peggy.

– Nie rozmawiamy już ze sobą tak jak kiedyś. Czasami wydaje mi się, że ona wysyła mnie z pilnym zadaniem w jakieś miejsce tylko dlatego, że zobaczyła, jak w innym spotyka mnie coś strasznego.

– Tak już się zdarzało.

– Mnie się to nie podoba, ale rozumiem, że chciałaby, by nasze dziecko miało ojca, więc się zgadzam, choć od czasu do czasu przypominam jej, że dorosły mężczyzna lubi wiedzieć, dlaczego coś robi. A w tym przypadku, co ma robić.

– To lubi dorosły mężczyzna? – spytał Arthur Stuart ze zbyt szerokim uśmiechem.

– Dowiesz się, kiedy dorośniesz – uciął Alvin.

Ale prawda wyglądała tak, że Arthur Stuart już całkiem dorósł. Alvin nie wiedział, czy jego ojciec był wysoki; matka była tak młoda, że mogła nie osiągnąć swego pełnego wzrostu. Zresztą chłopiec miał już piętnaście lat – najwyższa pora, by Alvin przestał go traktować jak młodszego brata i zacząć uważać za mężczyznę, który ma prawo iść własną drogą, jeśli tego pragnie.

I pewnie właśnie dlatego Arthur Stuart nauczył się ukrywać swój płomień serca przed Alvinem. Oczywiście nie całkowicie – tego nigdy nie potrafiłby dokonać. Ale mógł sprawić, że Alvin go nie zauważy, jeżeli nie będzie szukać – a i wtedy płomień serca był ukryty lepiej, niż można by się spodziewać.

Alvin także ukrywał się przed innymi, więc nie mógł całkowicie potępić chłopca za to pragnienie ucieczki. Na przykład nikt nie wiedział, że Alvin nie tylko nie ma pojęcia, jakie zadanie wyznaczyła mu Margaret, ale że go to wcale nie obchodzi. Ani to, ani nic innego.

W dojrzałym i podeszłym wieku lat dwudziestu sześciu Alvin Miller, który stał się Alvinem Smithem, a jego tajemne miano brzmiało Alvin Stwórca – ten sam Alvin, którego narodzinom towarzyszyły znaki, nad którego dorastaniem czuwało zarówno Dobro, jak i Zło, ten sam, który sądził, że ma do wypełnienia wielką misję i dzieło, już od dawna doszedł do wniosku, że znaki nie miały znaczenia, że siły zła i dobra straciły tylko na niego czas, ponieważ dar Stwarzania powierzono niewłaściwej osobie. W jego rękach na nic się nie przydawał. Wszystko, co zrobił, niszczało. Nie mógł pokonać Niszczyciela, który starał się doprowadzić ten świat do ruiny. Nie potrafił przekazać nikomu nic więcej niż strzępy swojej mocy, więc plan otoczenia się innymi Stwórcami spełził na niczym.

Nie potrafił nawet ocalić życia własnemu dziecku, nie umiał się uczyć

języków tak jak Arthur Stuart ani widzieć ścieżek przyszłości tak jak Margaret, nie miał żadnych innych praktycznych talentów. Był tylko wędrownym kowalem, który przez najczystszy przypadek znalazł się w posiadaniu złotego pług, noszonego w worku od pięciu lat. I po co?

Alvin nie miał pojęcia, dlaczego Bóg go wyróżnił, czyniąc go siódmym synem siódmego syna. Nieważne, jakie były boże plany; Alvin chyba wszystko zepsuł, bo nawet Niszczyciel przestał się nim interesować. Niegdyś, kiedy otaczali go wrogowie, potrafił być groźny. Teraz wrogowie go nie zauważali. Czy może być wyraźniejszy znak upadku?

W takim właśnie ponurym nastroju Alvin wjechał do Barcy; być może właśnie przez jego chmurną minę w dwóch pierwszych gospodach odmówiono im noclegu.

Kiedy dotarli do trzeciej, był już tak ponury, że nie silił się na uprzejmość.

– Jestem wędrownym kowalem z północy – powiedział – a ten chłopiec udaje mojego niewolnika, ale nim nie jest, jest wolny i niech mnie diabli, jeśli pozwolę mu spać na dole ze służącymi. Chcę pokoju z dwoma dobrymi łózkami i godziwie za niego zapłacę, ale nie życzę sobie, żeby ktokolwiek traktował tego młodzieńca jak służącego.

Stojąca w drzwiach kobieta powiodła wzrokiem od Arthura Stuarta do niego.

– Jeśli tak mówiliście przy każdych drzwiach, dziwię się, że nie idzie za wami tłum z pałkami.

– Przeważnie proszę tylko o nocleg – wyjaśnił Alvin. – Ale mam zły humor.

– No, na przyszłość uważaj, co mówisz. Czysty przypadek albo kaprys losu sprawił, że znalazłeś się w odpowiednim miejscu.

Mam pokój z dwoma łózkami, tak jak chciałeś, a w tym domu, gdzie niewolnictwo uważa się za obrazę boską, nikt nie będzie ci robił wyrzutów, że traktujesz tego młodzieńca jak równego sobie.

2

Wiewiórka i Łoś

Alvin wyciągnął rękę.

– Jestem Alvin Smith.

Kobieta uściśnęła mu dłoń.

– Słyszałam o pewnym Alwinie Smisie, którego żona Marga ret podróżuje tu i tam, siejąc postrach w sercach tych, którzy kochają kłamać.

– Przeraża także tych, którzy brzydzą się kłamstwem – odpowiedział Arthur Stuart.

– Co do mnie – odezwał się Alvin – mam do kłamstwa stosunek neutralny, gdyż wiem, że czasem prawda rani.

– Ja także nie jestem fanatyczką prawdomówności – przyznała kobieta. – Na przykład uważam, że każda dziewczynka powinna dorastać w niewzruszonym przekonaniu, że jest mądra i śliczna, a każdy chłopiec – że jest silny i dobry. Z doświadczenia wiem, iż drobne kłamstewko zwykle zmienia się w nadzieję, a jeśli się go nie porzuca, przeważnie staje się prawdą.

– Szkoda, że nie wiedziałem tego piętnaście lat temu – po wiedział Alvin. – Teraz z obecnym tu młodzieńcem niewiele da się już zdziałać.

– Przecież jestem śliczny – zdziwił się Arthur Stuart. – Na tym świecie to wystarczy.

– Teraz rozumiesz? – zwrócił się Alvin do kobiety.

– Jeśli ty jesteś mężem Margaret Larner – odparła – to ten śliczny chłopczyk musi być jej bratem, Arthurem Stuartem, który – sądząc z wyglądu – jest zrodzony, by nosić koronę.

– Nie zrobiłbym kroku, żeby zostać królem – powiedział Arthur Stuart. – Choć gdyby przynieśli mi tron, mógłbym sobie przez jakiś czas posiedzieć.

Weszli do domu. Alvin trzymał swój worek, lecz Arthur bez oporów oddał kobiecie swoją torbę.

– Nie lubicie wchodzić po schodach? – spytała.

– Zawsze przebiegam sześć pięter przed śniadaniem, żeby być bliżej nieba, kiedy się modłę – wyznał Alvin.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Nie wiedziałam, że modlitwa jest ci tak bliska.

Alvin zawstydział się. Jego beztroski żart najwyraźniej ją uraził.

– Niegdyś się modliłem – powiedział. – Nie chciałem się wyrazić bez szacunku, jeśli to dom ludzi wierzących.

– Tak.

– A mnie się wydaje – odezwał się Arthur Stuart – że to dom ludzi mówiących sobie „ty”, bo nie wiedzą, że istnieją imiona.

Roześmiała się.

– Miałam już tyle imion, że sama się w nich gubię. Tutejsi nazywają mnie Mamą Wiewiórką. I pomińmy przyczyny, dla których dostałam to imię. Nadał mi je mój mąż, kiedy postanowił być Papą Łosiem.

– Zawsze dobrze jest zasłużyć na gościnność wiewiórki i łosia – powiedział Alvin – choć pierwszy raz zdarza mi się to pod dachem.

– Tu nie ma żadnej gościnności – odparła Mama Wiewiórka. – Płaciecie za

nią, i to niemało. Mamy mnóstwo gąb do wykarmienia.

Dopiero na drugim piętrze przekonali się, o co jej chodziło. W wielkim pokoju o oknach ciągnących się wzdłuż jednej ściany stał krępy, ciemnowłosy mężczyzna z wyrazem udręczonej cierpliwości na twarzy. Przed nim na czterech rzędach ławek siedziało ramię w ramię trzydzieścioro pięcioro dzieci, od pięciu do dwunastu lat. Mniej więcej jedna czwarta miała czarną skórę, parę czerwoną, niektórzy byli biali z domieszką krwi francuskiej, hiszpańskiej lub angielskiej, lecz ponad połowa stanowiła mieszankę tak wielu ras, że trudno było odgadnąć, której z nich nie reprezentowali ich przodkowie.

Mama Wiewiórka bezgłośnie wymówiła: „Papa Łoś”, wskazując na mężczyznę.

Dopiero kiedy jej mąż zrobił krok, który zakołysał nim niczym wicher łodzią, Alvin zauważył, że jego prawa stopa jest okaleczona. Żaden but by na nią nie pasował, dlatego okryto ją onucą i przewiązano rzemieniami razem z grubą podeszwą. Ale mężczyzna nie okazywał zażenowania ani bólu, a dzieci nie śmiały się z niego. Albo miały niewiarygodnie dobry charakter, albo Papa Łoś był człowiekiem niewzruszonej godności.

Dzieci czytały słowa na tabliczce. Mężczyzna wypisywał cztery, pięć wyrazów, podnosił tabliczkę wysoko, by wszyscy je widzieli, po czym wskazywał ucznia. Ten wstawał i bezgłośnie wymawiał każde słowo. Papa Łoś kiwał lub kręcił głową, po czym wskazywał następne dziecko. W ciszy klaskanie języka i odgłos stykających się ze sobą warg brzmiały dziwnie głośno.

Obecnie na tabliczce widniało: „umiar”, „razem”, „spokojny” i „zagrożenie”. Alvin poczuł, że słowa same układają się w jego głowie w pieśń lub wiersz. Każde z nich jakby stanowiło jego własność. Oczywiście miało to coś wspólnego z tym, że pierwsze słowo oznaczało także imię jego ukochanego starszego brata.

„Razem” – właśnie o tym marzył: o zebraniu ludzi, których nauczyłyby Stwarzania, by mogli razem pracować. Ale rozstał się ze społecznością Stwórców w Vigor Kościele, ponieważ nie potrafił znieść, że jest tak nieudolny jako nauczyciel. Spokojny – taki powinien się stać, tego potrzebował najbardziej. A „zagrożenie”? Czekало na niego zawsze, gdziekolwiek się udał.

Mama Wiewiórka zaprowadziła ich na poddasze o ukośnym suficie.

– W upalne dni jest tu gorąco jak w piecu – powiedziała. – A w zimie lodowato, ale deszcz nie pada na głowę, co w tych stronach wiele znaczy, a łóżka i pościel są czyste. Podłogi zamiata się raz w tygodniu... albo częściej, jeśli potraficie się posługiwać miotłą.

– Niedgdyś zabijałem nią pająki – rzekł Alvin.

– W tym domu nie zabijamy żywych stworzeń – ostrzegła Mama Wiewiórka.

– Więc jak możecie cokolwiek jeść? Przecież to wszystko kiedyś żyło.

– Rzeczywiście, tu mnie masz. Nie mamy żadnej litości dla królestwa roślin, choć nikt z nas nie zetnie żywego drzewa.

– Za to pająki są tu bezpieczne.

– Dożywają spokojnie swoich dni. To dom spokoju.

– I milczenia, sądząc po tej szkole na dole.

– Szkole? Chyba nas nie oskarżycie o łamanie prawa i prowadzenie szkoły, w której Czarni, Czerwoni i mieszańcy mogliby się uczyć czytać, pisać i liczyć?

Alvin uśmiechnął się.

– Na pewno istnieje jakieś prawo, na mocy którego szkołą jest miejsce, gdzie dzieci głośno czytają.

– Zdumiewające, jak doskonale poznałeś prawo Nueva Barcelona – zachwyciła się Mama Wiewiórka. – Prawo zakazuje nam nakłaniania dzieci do głośnego czytania czy recytowania, jak również pisanie na papierze lub tabliczce i dodawania.

– Więc uczycie ich tylko odejmowania, mnożenia i dzielenia? – zgodził Arthur Stuart.

– I liczenia. Pragniemy żyć zgodnie z prawem.

– A te dzieci? Mieszkają w sąsiedztwie?

– W tym domu – oznajmiła Mama Wiewiórka. – Wszystkie są moje.

– Jesteś zdumiewającą kobietą.

– Czy mogę odrzucać to, co mi daje Bóg?

– To sierociniec, prawda?

– To pensjonat – poprawiła go. – Dla podróżnych. Oczywiście mieszkam tu razem z mężem i dziećmi.

– Przypuszczam, że prowadzenie sierocińca jest niezgodne z prawem – domyślił się Alvin.

– W sierocińcu – wyjaśniła – musielibyśmy uczyć religii katolickiej wszystkie białe dzieci, natomiast dzieci kolorowe musieli byśmy wystawić na aukcję po ukończeniu przez nie szóstego roku życia.

– Więc sądzą, że wiele biednych czarnych kobiet wolałoby zostawić swoje maleństwo pod twoimi drzwiami niż na progu sierocińca.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Osobiście urodziłam każ de z tych dzieci. W przeciwnym razie odebrano by mi je i odesłano do sierocińca.

– Sądząc po wieku, rodziły ci się partiami po pięć lub sześć sztuk?

– Rodzę je, kiedy są jeszcze bardzo małe. Taki mam talent.

Alvin położył worek na ziemi i uściskał kobietę serdecznie.

– Bardzo się cieszę, że mam zaszczyt zapłacić za przywilej przebywania w tak miłosiernym domu.

– Oj... Jakie silne ramiona... – szepnęła Mama Wiewiórka.

– No, to gotowe – odezwał się Arthur Stuart. – Teraz będzie się chwalił tymi ramionami przez cały miesiąc.

– Niepotrzebne wam rąbanie drewna – powiedział Alvin. – Z drzew, które umarły z przyczyn naturalnych, ma się rozumieć.

I nie trzeba zabijać żadnych kleszczy ani węży, które mogłyby wypełznąć ze sterty drew.

– Najbardziej można nam pomóc, nosząc wodę.

– Podobno w Nueva Barcelona nie ma studni – zdziwił się Alvin. – Ponieważ woda podskórna jest słona.

– Zbieramy deszczówkę jak wszyscy, ale to za mało, choć kąpiemy dzieci tylko raz na tydzień. Więc dla biednych ludzi dwa razy w tygodniu napełnia się publiczną studnię. Dziś ją napełniono.

– Pokaż mi drogę, a zrobię tyle kursów, ile zechcesz.

– Też pójdę, żeby go wspierać duchowo – dodał Arthur Stuart.

– Arthur Stuart ma tak szlachetne serce – wyjaśnił Alvin – że kiedy się napije do syta, przyjdzie tu i wszystko wysusia.

– Coś takiego. Koncertowi łgarze.

– Powinnaś wysłuchać mojego koncertu na dwóch kłamców i bitego psa – powiedział Alvin.

– Choć tak naprawdę nie krzywdzimy żadnego psa – zapewnił ją szybko Arthur Stuart. – W roli psa występuje specjalnie przyuczony, bardzo niesympatyczny kot.

Mama Wiewiórka roześmiała się głośno i pokręciła głową.

– Przysięgam, nie rozumiem, dlaczego Margaret Larner poślubiła kogoś takiego.

– To był jej akt wiary – wyjaśnił Alvin.

– Ale Margaret Larner jest zagwią takiego formatu, że nie potrzebuje wiary, by ocenić serce mężczyzny.

– Na wiarę wzięła to, co on ma w głowie – wytłumaczył jej Arthur Stuart.

– Idźmy już po wodę.

– Najpierw chcę do wygodki – zażyczył sobie Arthur Stuart.

– Och, a to wstyd! – zawołała Mama Wiewiórka. – Ależ jestem niegościnna, zwłaszcza wobec syna właściciela gospody i jego szwagra. – Zbiegła po schodach, prowadząc za sobą Arthura Stuarta.

Alvin został sam. Rozejrzał się po poddaszu, szukając miejsca, w którym mógłby schować swój worek. Deski podłogi nie stykały się ze sobą ściśle, więc ktoś mógłby się zorientować, gdyby Alvin ukrył złoty pług pod nimi.

Z braku innych możliwości podszedł do komina i wyjął parę obłuzowanych cegieł. Na początku nie były bardzo obłuzowane. Trochę im pomógł, aż powstał otwór na tyle duży, by zmieścić w nim złoty pług.

Wyjął pług z worka. Był ciepły; wyczuł w nim jakiś ruch, jakby przelewający się złocisty płyn.

– Ciekawe, do czego się możesz przydać – szepnął do niego Alvin. – Od tylu lat noszę cię uśpionego w worku i nadal nie znalazłem dla ciebie zastosowania.

Pług nie odpowiedział. Może na swój sposób był żywy, ale nie miał daru mowy.

Alvin wepchnął go w zakopcony chłód komina. Ponieważ nie znalazł odpowiedniej półki, a nie miał ochoty zrzucić pługa w palenisko na parterze trzy i pół kondygnacji niżej, pozostało mu tylko jedno: wepchnąć go mocno w kąt. Sięgnął przenikaczem w głąb cegieł, by zmiękczyć je do konsystencji korka, po czym wbił w nie pług i znowu je utwardził, by utrzymały go na miejscu. Następnie ułożył na powrót cegły i połączył je zaprawą. Komin wyglądał jak przedtem; nikt by się nie domyślił, że coś w nim zmieniono. Równie dobra kryjówka jak każda inna.

Teraz w worku zostało tylko czyste ubranie i przybory do pisania. Mógł go spokojnie zostawić na łóżku.

Na dole znalazł Arthura Stuarta, który mył ręce po skorzystaniu z wygodki. Dwie trzyletnie dziewczynki przyglądały się mu tak zachłannie, jakby jeszcze nigdy nie widziały mycia rąk.

Kiedy skończył, zamiast wytrzeć się ręcznikiem – który wisiał o krok od niego na haku – wyciągnął ręce nad miednicą. Na oczach Alvina woda wyparowała tak gwałtownie, że Arthur Stuart nagle krzyknął i potarł dłońmi o spodnie – żeby je rozgrzać.

– Czasami – odezwał się Alvin – nawet Stwórca zostawia rzeczy naturalnemu biegowi.

Zażenowany Arthur Stuart łypnął na niego spode łba.

– Nie wiedziałem, że robi się aż tak zimno!

– Mogłeś się nabawić odmrożeń.

– Teraz mi mówisz?

– Skąd miałem wiedzieć, że nie będzie ci się chciało sięgnąć po ręcznik? Arthur Stuart prychnął z urazą.

- Przecież muszę ćwiczyć. Racja?
- Oczywiście przy świadkach. – Alvin spojrzał na dziewczynki.
- One nie rozumieją, co się stało.
- Tym bardziej popisywanie się przed nimi jest żalosne.
- Pewnego dnia znudzą mi się te twoje mądrości i pouczanie.
- Może wtedy nie będziesz mi towarzyszyć w podróżach, na które cię nie zapraszam.
- Wtedy okazałbym posłuszeństwo. To mnie nie interesuje.
- Więc usiądź na tyłku i zaczekaj tu na mnie. Nie pomagaj mi, kiedy będę nosić wodę z publicznej studni.
- Nie nabierzesz mnie. Mówisz mi, żebym zrobił to, na co mam ochotę, ale jeśli to zrobię, znowu okażę posłuszeństwo.
- A ja myślałem, że jesteś tylko śliczny.

Był to dzień rozdzielania wody, w którym liczni mieszkańcy miasta nie musieli korzystać tylko z własnych zapasów deszczówki. Alvin nie musiał nikogo pytać o drogę. Wszyscy na ulicy nieśli puste dzbany. Nie był pewien, czy Arthur udźwignie oba, ale lepiej byłoby, gdyby niósł na ramionach dwa napełnione do połowy niż jeden pełny przed sobą.

Studnia nie przedstawiała się imponująco. Była dość ładna – Ba swój skromny sposób: na dole poidło dla zwierząt, wyżej zbiornik z dwoma kurkami. Ale woda w poidle była zielonkawa, a nad studnią krążył rój komarów.

Alvin przyjrzał się wodzie uważniej. Tak jak podejrzewał, roilo się w niej od maleńkich żyjatek, roślin i jaj komarów, a także innych owadów. Wiedział z doświadczenia, że po takiej wodzie ludzie na ogół chorują, jeśli nie przegotują jej przed wypiciem. Ale skoro żyjotka były tak małe, że niedostrzegalne gołym okiem, ludzie mogli nie stosować środków ostrożności.

Uznał, że zasady Mamy Wiewiórki, zakazujące zabijania zwierząt, nie obowiązują poza granicami jej domu – w dodatku czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Dlatego przez parę minut zajmował się wodą. Rozbił wszystkie stworzonka na tak drobne cząstki, że nie mogły już nikomu wyrządzić szkody. Oczywiście nie rozbijał ich osobno, jednego po drugim – to by mu zajęło pół życia. Przemówił do nich bezgłośnie, ukazując im w myślach, czego od nich chce. Rozproście się. Wypuście do wody swoje wnętrzności. Wyjaśnił im, że inaczej ludzie by ucierpieli, pijąc wodę. Nie był pewien, czy te maleństwa zrozumiały wszystko – najważniejsze, że posłuchały. Nawet komarze jaja.

Komary, jakby świadome, że Alvin właśnie zniszczył ich potomstwo, krwawo się na nim zemściły. Trudno, od ukąszeń się nie umiera. Nie posłuchał

się swoim talentem, by złagodzić swędzenie.

– Wiem, że coś robisz – odezwał się Arthur Stuart – ale nie rozumiem co.

– Noszę wodę dla Mamy Wiewiórki.

– Stoisz nad studnią i wytrzeszczasz oczy, jakbyś miał wizję.

Albo starał się nie puścić bąka.

– Trudno odróżnić te dwie sprawy. Dlatego wizjonerzy mają złą opinię.

– Wystarczą porządne gazy i można zakładać nowy kościół.

Napełnili dzbany; niektórzy ludzie w kolejce przyglądali się im z ciekawością, inni byli zajęci własnymi sprawami. Dziewczyna niewiele starsza od Arthura Stuarta wpadła na Alvina, pochylając się nad kurkiem. Napełniwszy dzban, podeszła do Arthura i odezwała się z francuskim akcentem:

– Ci, których stać na niewolnika, nie mają prawa brać wody z tej studni.

Dla bogaczy są cysterny w centrum.

– Nie bierzemy dla siebie – wyjaśnił łagodnie Arthur Stuart – tylko dla domu Mamy Wiewiórki.

Dziewczyna splunęła na ziemię.

– Diabelski dom.

– Jesteś źle wyuczony – odezwała się starsza kobieta. – Roz mawiasz z białą dziewczyną i nie okazujesz szacunku.

– Przepraszam – powiedział Arthur Stuart.

– W naszych stronach – włączył się Alvin – ludzie dobrze wychowani zwracają się do pana, nie do niewolnika.

Kobieta rzuciła mu spojrzenie spode łba i odsunęła się, ale dziewczyna nie mogła pohamować ciekawości.

– Czy to prawda, że Mama Wiewiórka ma kolorowe dzieci?

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekł Alvin. – Niektóre jej dzieci opalają się na ciemno, a inne tylko dostają piegów.

– Kto wie, skąd mają pieniądze – mówiła dziewczyna. – Nie którzy twierdzą, że uczą swoje dzieci kraść i po zmroku wysyłają je do miasta. Ciemnych twarzy w mroku nie widać.

– Nic podobnego – odparł Arthur Stuart. – Mają patent na głupotę. Za każdym razem, kiedy ktoś w mieście powie coś głupiego, zarabiają trzy centy.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Wtedy byliby najbogatsi w mieście. Więc pewnie kłamiesz.

– A ty pewnie płacisz dolara dziennie temu, kto ma patent na brak poczucia humoru.

– Nie jesteś niewolnikiem.

– Jestem niewolnikiem losu. Jestem więźniem wszechświata, a wyzwoli mnie dopiero śmierć.

– Aha! Chodziłeś do szkoły!

– Uczyła mnie tylko siostra – odpowiedział zgodnie z prawdą Arthur Stuart.

– A ja mam talent – oznajmiła dziewczyna.

– To bardzo ładnie z twojej strony.

– Ta woda była chora! A teraz jest zdrowa. Wyleczył ją twój pan.

Alvin zdał sobie sprawę, że rozmowa zmierza w niebezpieczne rejony.

– Jeśli masz już dość obrażania wszystkich w okolicy, rozmawiając z tą białą panią bez spuszczenia oczu, pora zabrać wodę do domu.

– Nie obraził mnie – sprzeciwiła się dziewczyna. – Ale jeśli potrafisz uleczyć wodę, chodź ze mną i ulecz moją mamę.

– Nie jestem uzdrowicielem – powiedział Alvin.

– Wydaje mi się, że ma żółtą febrę – dodała dziewczyna.

Jeśli w okolicy był jeszcze ktoś, kto nie zwracał uwagi na ich rozmowę, na ten sygnał musiał się ocknąć. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę.

– Żółta febra? – powtórzyła stara kobieta.

Dziewczyna spojrzała na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Tak mówiła! – zawołała inna kobieta. – *Marie la Morte a dit*.

– Maria od Zmarłych powiedziała, że jej mama ma żółtą febrę! – krzyknął ktoś.

Teraz wszystkie twarze odwróciły się od dziewczyny – najwyraźniej nazywaną Marią od Zmarłych. Po chwili przy studni został tylko Alvin, Arthur i Maria od Zmarłych. Niektórzy uciekli tak szybko, że zostawili dzbanki.

– Chyba nikt nie ukradnie naszych dzbanów, jeśli zaraz po nie wrócimy – odezwał się Alvin. – Chodźmy do twojej matki.

– Na pewno ukradną – rozczerowała go Maria od Zmarłych.

– Ja ich popilnuję – powiedział Arthur Stuart.

– Tylko z szacunkiem do Białych. Spuść głowę i nie patrz im w oczy.

– A kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, czy mogę sobie usiąść i udawać normalnego człowieka?

– Bardzo proszę.

Do domu Marii od Zmarłych było daleko. Szli ulicami, które zmieniły się w ścieżki między nędznymi chałupami i wreszcie zaprowadziły ich na tereny podmokłe, gdzie domy budowano na palach. W powietrzu wisiały czarne chmury komarów.

– Jak można z nimi żyć? – zdziwił się Alvin.
– Wdycham je i wykasuję – poinformowała go Maria od Zmarłych.
– Dlaczego cię tak nazywają?
– Marie la Morte? Bo wiem, kiedy ktoś zachoruje, zanim on sam się o tym dowie. I wiem, jak się zakończy ta choroba.
– Czy ja jestem chory?
– Jeszcze nie.
– Dlaczego myślisz, że potrafię uleczyć twoją matkę?
– Umrze, jeśli nikt jej nie pomoże, a tutaj *personne* nie wie, jak się leczy żółtą febrę.

Dopiero po chwili Alvin zorientował się, co znaczy francuskie słowo.
– Nie znam się na żółtej febrze.
– Jest straszna. Zaczyna się gorączką. Potem nadchodzą lodowate dreszcze. Oczy mojej matki stały się żółte. Kark, ramiona i plecy bołą ją tak, że musi krzyczeć. A kiedy nie krzyczy, jest bardzo smutna.

Alvin wolał nie pytać, co mogło spowodować chorobę. Dwie wiodące teorie mówiły o karze za grzechy i przekleństwie rzuconym przez kogoś urażonego. Oczywiście jeśli to prawda, on nie mógł tu nic pomóc.

Właściwie był uzdrowicielem, na swój sposób – jest to naturalne dla Stwórcy, wliczone w cenę talentu. Ale najlepiej szło mu uzdrawianie złamanych kości i niedomagających organów. Jeśli ktoś miał rozcięty mięsień lub skaleczoną stopę, Alvin potrafił mu pomóc. Albo w przypadku gangreny – oczyszczał tkanki i sprawiał, że chore nie atakowały zdrowych. Wiedział też, że w ropie znajduje się mnóstwo małych żyłatek, i potrafił rozpoznać, które nie powinny się znaleźć w ludzkim organizmie. Ale nie mógł postąpić z ludzkim ciałem tak jak z wodą – powiedzieć wszystkim żywym organizmom, żeby się rozpadły. W ten sposób zabiłby chorego razem z chorobą.

Choroby powodujące katar lub biegunkę były trudne do rozpoznania. Alvin nigdy nie miał pewności, czy chodzi o coś poważnego, czy też wystarczy przeczekać lub dobrze się wyspać. Wszystko, co dzieje się w żywym organizmie, było zbyt skomplikowane.

Gdyby był prawdziwym uzdrowicielem, mógłby ocalić swoje nowo narodzone dziecko, które urodziło się za wcześnie i nie potrafiło oddychać. Ale on nie rozumiał, co się dzieje w jego płucach. Dziecko umarło, zanim zdołał coś postanowić.

– Nie przydam się na wiele – powiedział. – Trudno jest uzdrawiać.
– Dotykam jej i widzę tylko śmierć, którą sprowadzi na nią żółta febra – odparła Maria od Zmarłych. – Ale kiedy przy studni dotknęłam ciebie,

zobaczyłam moją matkę żywą.

– Wcale mnie nie dotknęłaś.

– Wpadłam na ciebie, kiedy nabierałam wodę. Musiałam użyć podstęp.

Teraz już *personne* nie pozwala mi się dotykać.

Nic dziwnego, choć Alvin pomyślał, że lepiej chyba wiedzieć, że się umiera, by w porę pożegnać się z ukochanymi. Ale ludzie uważają, że dopóki się o czymś nie wie, tego czegoś nie ma. Dlatego ktoś, kto mówi o chorobie, może ją wywołać.

Choroba lub zdrada – w obu przypadkach niewiedza ma wielkie znaczenie. Jeśli się o niczym nie wie, sytuacja zmieni się na gorsze.

Między splachetkiem suchej ziemi i maleńkim gankiem przerzucono deskę. Maria od Zmarłych prawie po niej przebiegła. Alvin się na to nie zdobył, widząc w dole gęste grzęzawisko. Jednak deska nie kołysała się przesadnie i jakoś zdołał dotrzeć do domu.

W środku cuchnęło, ale nie gorzej niż samo bagno. Zapach rozkładu był tu naturalny, choć wokół łóżka wydawał się gęstszy. W pierwszej chwili Alvin uznał, że w łóżku leży staruszka, najsmutniejsza, jaką kiedykolwiek widział. Potem zdał sobie sprawę, że kobieta wcale nie jest taka stara. Zniszczyło ją coś gorszego niż podeszły wiek.

– Usnęła. To dobrze – szepnęła Maria od Zmarłych. – Na ogół ból jej nie pozwala spać.

Alvin sięgnął przenikaczem w głąb ciała kobiety i ujrzał na wpół przegniłą wątrobę. Ze wszystkich organów sączyła się krew, która zalegała pod skórą i już się rozkładała. Kobieta była bliska śmierci – pewnie by umarła, gdyby się poddała. Alvin nie potrafił odgadnąć, co ją tu zatrzymuje. Może miłość do tej dziewczyny. Może tylko upór, każący jej walczyć do ostatniej chwili.

Alvin nie potrafił znaleźć przyczyny tego strasznego stanu. Była zbyt mała albo nie umiał jej rozpoznać. Ale to nie znaczyło, że był bezradny. Mógł naprawić naczynia krwionośne, osuszyć gromadzącą się krew. Już to kiedyś robił i wiedział, jak sobie poradzić. Pracował szybko. Wkrótce poczuł, że przegonił chorobę i naprawia szybciej, niż ona niszczy.

Ale w końcu musiał się zabrać do wątroby. Ten organ stanowił dla niego zagadkę; mógł tylko sprawić, żeby chore części wyglądały nieco podobnie do zdrowych. I może to wystarczyło, bo wkrótce kobieta odkaszlęła – i w kaszlnięciu tym zabrzmiały nowe siły. Usiadła.

– *J'ai soif* – odezwała się.

– Chce pić – przetłumaczyła dziewczyna.

– *Ma Marie d'Espoir!* – powiedziała chora i wyciągnęła ku niej rękę,

szlochając. Alvin nie rozumiał, ale uścisk i lzy wyjaśniały wszystko. Ruszył do drzwi, by zostawić kobiety same. Sądząc z położenia słońca, był w chacie od godziny. To długo dla po zostawionego przy studni Arthura Stuarta.

A jeśli stąd nie ucieknie, komary wyssą z niego całą krew.

Był już na końcu deski, kiedy poczuł jej drżenie pod stopami. Coś wpadło na niego od tyłu i po chwili leżał już w błocie, a Maria od Zmarłych obsypywała go pocałunkami.

– *Vous avez sauve ma mere!* – zawołała. – Uratowałeś ją, uratowałeś, *vous etes un ange, vous etes un dieu!*

– No, no, zejdź ze mnie, jestem żonaty – jęknął.

Dziewczyna wstała.

– Przepraszam, ale radość mnie roznosi.

– Nie wiem, czy coś pomogłem. Twoja matka może się czuć lepiej, ale nie usunąłem powodu, który sprowadził na nią żółtą febrę. Nadal jest chora i ciągle musi odpoczywać, żeby jej ciało samo rozprawiło się z tym, co w nim niedomaga.

Wstał i obejrzał się na chatę. W drzwiach stała matka. Po policzkach wciąż płynęły jej łzy.

– Mówię poważnie. Ma leżeć. Jeśli będzie tam stała, te komary pożrą ją żywcem.

– Kocham cię – odparła dziewczyna. – Będę cię zawsze kochać, dobry człowieku!

Arthur Stuart siedział na czterech dzbanach na wodę, które przeniósł jakieś dwadzieścia metrów od studni. I dobrze, bo wokół niej kłębiło się ze sto osób.

Alvin nie zaniepokoił się na widok tłumu – ulżyło mu tylko, że nie otacza on pewnego przemądrzałego czarnego młodzieńca.

– Długo to trwało – szepnął Arthur Stuart.

– Jej matka była ciężko chora.

– Aha. Po całym Barcy rozeszła się wieść, że w studni pojawiła się najsmaczniejsza woda w historii miasta. Teraz ludzie twierdzą, że albo ma moc uzdrawiania chorych, albo że Jezus przemienił ją w wino, albo że to znak powtórnego nadejścia szatana. Pięć razy tłumaczyłem pięciu różnym osobom, że nasza woda została nabrana w studni, zanim ktoś ją pobłogosławił, przeklął czy w co tam jeszcze wierzą. Miałem już wsypać do niej garść ziemi, żeby ich przekonać.

– Przestań wreszcie gadać i bierz się do dzbanów.

Arthur Stuart wstał i wyciągnął rękę. Znieruchomiał.

– Jak mam wziąć drugi dzban, kiedy już oprę pierwszy na ramieniu?

Alvin rozwiązał problem, stawiając mu na ramionach dwa wypełnione do połowy dzbany. Potem sięgnął po własne, pełne. Bez trudu oparł je na barkach.

– W twoim wykonaniu to wygląda bardzo prosto – zauważył Arthur Stuart.

– Nic na to nie poradzę. Mam siłę kowala i ciężko na nią za pracowałem.

Ty też byś mógł, gdybyś chciał.

– Nie zauważyłem, żebyś mi proponował miejsce czeladnika kowala.

– Bo jesteś uczniem Stwórcy, w dodatku niezłym.

– Uleczyłeś tę kobietę?

– Raczej nie. Ale uzdrowiłem to, co choroba zepsuła.

– Czyli mogłaby teraz przebiec kilometr bez zadyszki, tak?

– Tam, gdzie mieszka, raczej przebrnąć parę kroków. Te ba gna mogłyby połknąć całą armię i wypluć ją w postaci komarów.

– No dobrze. Zrobiłeś, co należało, i na tym koniec.

Wrócili do domu Wiewiórki i Łosia, gdzie wypełnili cysterny wodą.

Zmieszana z deszczówką tylko trochę poprawiła jej smak, lecz Alvin się tym nie przejął. Ludzie naprawdę przesadzają, jeśli chodzi o jego talent.

Tymczasem w domu Marii od Zmarłych – albo Marie d’Espoir – nikt nie pamiętał o radzie Alvina. Kobieta, którą uratował, chodziła, sprawdzając pułapki na raki, kāsana przez niezliczone komary. Kto by się przejmował owadami na bagnach rojących się od aligatorów i jadowitych węży?

A komary, wzdęte od jej krwi, roiły się nad bagnem. Niektóre dolatywały aż do miasta. Każdy, kogo ukąsiły, otrzymywał zabójczą dawkę żółtej febry.

3

Febra

Tego wieczora podczas kolacji panowało zamieszanie. Dzieci wchodziły i wychodziły z kuchni grupkami, popychając się i krzycząc jak zwykle. Alvin przypominał sobie własne dzieciństwo – ale tu dzieci było tyle, że robiły jeszcze większe zamieszanie. Czasem wybuchały kłótnie, z początku ogniste, które natychmiast gasiła Mama Wiewiórka, chlapiąc wodą na winowajców, bądź Papa Łoś, głośno wymieniając ich imiona. Dzieci nie bały się kary, lecz dezaprobaty.

Jedzenie było skromne, ale obfite. Tak obfite, że w obu wazach została zupa. Mama Wiewiórka zlała ją do wielkiego sagana na ogniu.

– Jeszcze nigdy, odkąd tu mieszkamy, nie ugotowałam tylko jednej porcji zupy – powiedziała.

Do sagana trafił nawet suchy chleb i resztki z talerzy dzieci.

– Jeśli przegotuję to wszystko odpowiednio długo, nie stanie się nic złego, gdy dodam to do zupy.

– Jak w życiu – dodał Papa Łoś zmywający talerze. – Z zupy powstałeś, w zupę się obrócisz, jeden wielki cykl, nigdy się nie kończy. – Mrugnął. – Od czasu do czasu wrzucam w to chili, żeby dało się jakoś zjeść.

Potem rodzice zapędzili dzieci do sypialni, kolejno każde całując. Papa Łoś skinął na Alvina i ruszył w ślad za dziećmi na piętro. Szedł ani szybko, ani wolno. Łomotał w schody zdrową nogą – chorą trzymał trochę odsuniętą, być może dla równowagi. Lepiej było nie iść zbyt blisko niego, bo chora noga mogła się w każdej chwili okazać niebezpieczna jak maczuga.

Dzieci położyły się na matach na podłodze – zamiecionej do czysta i wybielonej – lecz nie po to, by zasnąć. W całym pokoju migotały świece. Papa Łoś i Mama Wiewiórka wymknęli się z pokoju. Oczywiście Alvin zajrzał do niego i przekonał się, że wszystkie bez wyjątku dzieci wyjęły spod maty książkę albo pismo i zaczęły czytać.

Zszedł na parter razem z Łosiem i Wiewiórką.

– Szkoda, że żadne wasze dziecko nie potrafi czytać.

Papa Łoś przytrzymał się balustrady, na wpół ześlizgując się ze schodów.

– Na tym świecie i tak nie ma nic przyzwoitego do czytania.

– Choć wolałabym, żeby czytały Pismo – dodała Mama Wiewiórka.

– Oczywiście mogłyby czytać potajemnie – podsunął Alvin.

– O nie – odparł Papa Łoś. – Coś takiego jest surowo zakazane.

– Papa Łoś pokazał dzieciom naszą skromną kolekcję starych książek i powiedział, że nie wolno ich pożyczać, a poza tym należy je oddać natychmiast po przeczytaniu.

– Słusznie, dzieci powinny znać mores – pochwalił Alvin.

– Posłuszeństwo jest lepsze od poświęcenia – zacytował Papa Łoś.

Usiedli przy stole w kuchni, gdzie czekał na nich Arthur Stuart z książką. Dopiero po chwili Alvin zdał sobie sprawę, że książka jest po hiszpańsku.

– Traktujesz nowy język całkiem poważnie.

– Ponieważ znasz warte poznania angielskie teksty – odparł Arthur Stuart – tylko w ten sposób mogę cię prześcignąć.

Przez jakiś czas rozmawiali o dzieciach – głównie o ich utrzymaniu. Łoś i Wiewiórka polegali w dużej mierze na dotacjach osób o podobnych zapatrywaniach, ale ponieważ w Barcy nie było ich wiele, żyli z dnia na dzień, niczego nie marnując.

– Wykorzystać do cna albo zapomnieć o potrzebach – powie dział Papa Łoś.

– Mamy jedną krowę – dodała Mama Wiewiórka – więc mleka wystarczy tylko dla najmłodszych. Jest też trochę masła. Ale nawet gdybyśmy mieli jeszcze ze dwie krowy, nie moglibyśmy ich wykarmić. – Wzruszyła ramionami. – Nasze dzieci nie będą grubasami.

Po paru minutach rozmowa zboczyła na sprawy Alvina.

– Margaret wysłała cię na rozpoznanie?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Na ogół wiem o jej zamiarach tyle co goniec szachowy.

– Przynajmniej nie jesteś pionkiem – rzekł Papa Łoś.

– Nie, jestem figurą, którą może przestawiać, gdzie tylko ze chce – powiedział Alvin wesoło, ale zorientował się, że te słowa budzą jego gniew, i to niemały.

– Pewnie cię nie wtajemnicza w swoje plany, byś ich nie zaczął poprawiać – odezwała się Wiewiórka. – Łoś zawsze uważa, że wie lepiej.

– Nie zawsze się mylę – obraził się Papa Łoś.

– Margaret widzi moją śmierć na końcu licznych ścieżek – stwierdził Alvin – i wie, że nie zawsze traktuję poważnie jej ostrzeżenia.

– Więc zamiast cię ostrzegać, prosi cię o pomoc – dodała Wiewiórka. Alvin wzruszył ramionami.

– Gdyby tak powiedziała, ten trik przestałby się sprawdzać.

– Kobieta jest najbardziej podstępnyim stworzeniem na tym padole – mruknął Papa Łoś. – Od czasów kiedy węże przestały mówić.

Alvin uśmiechnął się pod nosem.

– Ale... zakładając, że wysłała mnie tu w jakimś celu... chcecie, żebym jej coś przekazał?

– Przetłumaczę – odezwał się Arthur Stuart, podnosząc głowę nad książki. – Chcecie coś powiedzieć staremu dobremu Alwinowi, żeby w końcu zrozumiał, co się tu dzieje?

– Tak powiedziałem?

– To miasto trzęsie się od intryg – rzekł Papa Łoś. – Kazaliśmy starszym dzieciom podsłuchiwać, ile mogą. Jesteśmy też w kontakcie z przyjaciółmi, więc sporo wiemy. Grupa Hiszpanów chce wznieść bunt i przyłączyć Barcy do Meksyku. I, oczywiście, Francuzi jak zwykle planują rewolucję, choć niezbyt im wychodzi, bo partie nie mogą się porozumieć.

– Partie?

– Jedna chce przynależeć do niepodległej Kanady, druga podbić Haiti, trzecia ustanowić niepodległe miasto-państwo na Mizzippy, a czwarta osadzić na tronie Francji kogoś z rodziny królewskiej. Dwie inne partie bonapartystów nienawidzą się najgorzej ze wszystkich.

– A jeszcze nawet nie doszliśmy do rozłamu między katolika mi i hugenotami – dodała Wiewiórka. – A także Bretonami, Normanami, Prowansalczykami, paryżanami i tą dziwną grupką fanatyków z Poitevin.

– Co zrobić, tacy są Francuzi – powiedział Łoś. – Może nie wiedzą, kto ma rację, ale wiedzą, że wszyscy inni się mylą.

– A Amerykanie? – spytał Alvin. – Na ulicach słyszałem częściej angielski niż francuski lub hiszpański.

– To zależy od okolicy – wyjaśnił Łoś. – Ale masz rację, w tym mieście mieszka więcej osób anglojęzycznych niż innych. Na ogół wiedzą, że są tu tylko przejazdem. Amerykanie, Jankesi i Anglicy interesują się głównie pieniędzmi. Zbijają fortuny i wracają do domu.

– Najbardziej niebezpieczni są Kawalerzy – wtrąciła Wiewiórka. – Mają chrapkę na więcej ziem pod uprawę bawełny.

– Na których pracowałoby więcej niewolników – dokończył Alvin.

– By przywrócić chwałę jakiegoś króla, który nie potrafi odzyskać własnego kraju – mruknęła Wiewiórka.

– Kawalerzy chcą zacząć walkę – powiedział Papa Łoś. – Ma ją nadzieję, że kiedy zacznie się rewolucja, pojawi się król, żeby ich uratować – a może to on ich opłaca, by stanowili pretekst do wysłania tu wojsk. Podobno w koloniach Korony gromadzą się żołnierze – niby po to, by chronić granice ze Stanami Zjednoczonymi, ale może im chodzić o Barcy. To jedno i to samo, bo jeśli król

tu przybędzie i zyska władzę nad ujściem Mizzippy...

Alvin zrozumiał.

– Stany Zjednoczone będą musiały przystąpić do wojny, by zachować dostęp do morza.

– A walka między Stanami Zjednoczonymi i koloniami Korony zmieni się w walkę o niewolnictwo – dokończył Papa Łoś. – Choć w niektórych rejonach Stanów Zjednoczonych także zezwala się na niewolnictwo. Wolni Amerykanie mogą nie być aż tak zatroskani o los Czarnych, żeby przystępować z ich powodu do wojny, ale gdy by ją wygrali, chyba nie mieliby serca nadal trzymać niewolników.

– Czy to ma coś wspólnego z wyprawą Steve’a Austina do Meksyku? – spytał Alvin.

Oboje parsknęli śmiechem.

– Austin Zdobywca! – zawołał Papa Łoś. – Wydaje mu się, że może zawojować Meksyk z pomocą garstki Kawalerów i Amerykanów.

– Myśli, że ciemnoskórzy nie są rywalami dla Białych – dodała Wiewiórka. – Tak samo oszukują się właściciele niewolników.

– Więc nie wierzycie, że Austin ze swymi przyjaciółmi zdoła coś zdziałać.

– Uważam – powiedział Papa Łoś – że jeśli spróbują napaść na Meksyk, zostaną wybici co do nogi.

Alvin pomyślał o swoim spotkaniu z Austinem, a także z Jimem Bowie, jednym z jego ludzi. Mordercą. Świat nic by nie stracił, gdyby Meksykanie go zabili, choć tak okrutnej śmierci nie należałoby życzyć nikomu. A jednak, biorąc pod uwagę wszystko, co Alvin wiedział o Jimie Bowie, raczej wątpliwe, by dał się zaskoczyć takiemu wrogowi. Raczej ocaleje ze starcia, opromieniony sławą nowego, wyjątkowo krwiożerczego boga.

– To mi się chyba do niczego nie przyda – rzekł Alvin. – Margaret nie chciała, żebym zbierał informacje. Zawsze więcej ode mnie wie o zamiarach innych.

– Aż mi ciężar spadł z serca – westchnęła Wiewiórka. – Skoro Peggy cię tu przysłała, chyba jasne, że to najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Alvin pochylił głowę. Pewnie by się rozgniewał, gdyby nie obawa, że Wiewiórka ma rację. Margaret czuwała nad nim już jako dziecko. Jeszcze jako mała Peggy, córka Horacego Guestera, zachowała jego czepek, by dzięki jego mocy ocalić go przed Niszczycielem. Ale irytująca była sama myśl, że ona go ochrania – a świadomość, że inni tak sądzą, była dla niego upokorzeniem.

– Nie znacie Peggy, jeśli tak myślicie – odezwał się ostro Arthur Stuart. –

Ona wysłała Alvina nigdzie! Czasem prosi, żeby gdzieś pojechał, bo jego talent jest tam potrzebny. I zwykle jest tam niebezpiecznie, a kto myśli inaczej, nie zna ani Peggy, ani Ala.

Ala, pomyślał Alvin. Chłopiec po raz pierwszy nazwał go tym imieniem. Lecz nie mógł się na niego rozgniewać po tak żarliwej obronie.

Papa Łoś zachichotał.

– Przestałem słuchać po „wysłała Alvina nigdzie”. Margaret Larner kiepsko cię wyuczyła.

– Zrozumiałeś mnie? – spytał Arthur Stuart.

– Och, zrozumiałem, a jakże.

– Więc jestem dobrze wyuczony.

Wszyscy roześmieli się – a po chwili dołączył do nich także sam Arthur Stuart.

W dzień Alvin zajął się pracami remontowymi. W myślach przekonał termity i korniki, żeby opuściły dom. Usunął też grzyb ze ścian. Znalazł słabe miejsca w fundamentach i zmienił ich kształt tak, że stały się mocniejsze. Kiedy skończył badać dach, nie została w nim żadna szpara, przez którą mógłby przeciekać deszcz czy wpadać światło. Wszystkie okna stały się szczelne, nawet wygodka była w doskonałym stanie, choć nadal można było trafić do niej z zamkniętymi oczami.

Naprawiał dom, rąbał i układał drwa, a także zajmował się innymi, zwykłymi pracami: wypędził krowę na pastwisko, wydoił ją, zdjął śmietankę z mleka i ubił masło. Nauczył się być przydatny; nie ograniczył się tylko do jednego zajęcia. A jeśli po wydojeniu krowa stała się wyjątkowo zdrowa i zaczęła dawać o wiele więcej mleka po zjedzeniu takiej samej ilości siana, kto mógłby przypisać zasługę za to Alwinowi?

Tylko jednego Alvin nie uzdrowił: stopy Papy Łosia. Nie wolno wnikać w cudze ciało bez pytania. Poza tym Papa Łoś był znany w całym Barcy. Co by powiedzieli ludzie, gdyby nagle zaczął chodzić normalnie?

Tymczasem Arthur Stuart został obarczony zadaniami, jakie powierza się inteligentnemu, zaufanemu niewolnikowi. A wykonując je, nastawiał ucha. Ludzie mają zwyczaj rozmawiać przy niewolnikach bez skrępowania. Zwłaszcza ludzie mówiący po angielsku, kiedy niewolnik wydaje się znać tylko hiszpański, a ludzie mówiący po hiszpańsku – gdy niewolnik zna tylko angielski. Francuzi rozmawiają swobodnie przy wszystkich bez wyjątku.

Barcy było łatwym terenem dla młodego, pół-Czarnego, dwujęzycznego szpiega. Arthur Stuart, o wiele lepiej wykształcony i doświadczony w wielkich

sprawach niż dzieci z domu Łosia i Wiewiórki, potrafił ocenić istotę spraw, które dzieci lekcewały.

Przyniesione przez niego strzępki wiadomości o różnych partiach nie wniosły nic do tego, co Papa Łoś i Mama Wiewiórka już wiedzieli. Jedyna nieznana im informacja była całkiem innej natury: plotki o ich domu. I nie należały do takich, jakie się chętnie powtarza.

Wszystkie ich wysiłki, by trzymać się litery prawa, opłaciły się. Nikt nie tracił czasu na rozważania, czy ich dom jest sierocińcem, czy też szkołą dla podrzutków; myśl, że Mama Wiewiórka mogła urodzić któreś z tych dzieci – a co dopiero wszystkie – nie budziła reakcji innych niż ironia. Nikt nie zamierzał z tym nic zrobić. Istniało wiele przepisów, na mocy których Czarni mieli pozostać niewykształceni i zniewoleni, ale prawo mogło zadziałać dopiero wtedy, gdy ktoś wniósł skargę, a do tego nikt się nie kwapił, gdyż dom Łosia i Wiewiórki budził znacznie poważniejsze obawy. Natychmiast zauważono lepszy smak wody w studni położonej najbliżej ich domu. Podobnie było z licznymi gośćmi – i nikt nie dał sobie zamydlić oczu faktem, że Wiewiórka i Łoś prowadzą pensjonat. Gości było zbyt wielu i zbyt szybko odjeżdżali. „Jak szybko można się wyspać?”, pytali sceptycy. „To szpiedzy, ot co”.

Ale jacy szpiedzy? Niektórzy zbliżali się do prawdy, twierdząc, że to abolicjoniści, kwakrzy lub purytanie z Nowej Anglii, którzy przybywają, by zburzyć „naturalny porządek”, jak eufemistycznie nazywano niewolnictwo. Inni uważali ich za szpiegów króla lub lorda protektora, nawet – w najbardziej fantazyjnej wersji – dla Czerwonych z Lolla-Wossiky zza zasnutej mgłą rzeki. Utykanie Papy Łosia nie stanowiło żadnej okoliczności łagodzącej. Dziwny, kołyszący krok czynił go jeszcze bardziej podejrzanym.

Zdarzali się tacy, którzy niczym w Pismo Święte wierzyli w to, że Łoś i Wiewiórka kształcą dzieci na złodziejaszków, kieszonkowców i włamywaczy. Opowiadano niestworzone historie o monetach, srebrach, klejnotach i dziwnych złotych przedmiotach ukrytych w ścianach domu bądź pod wygodką, a nawet zakopanych w ziemi, choć trzeba by wyjątkowego idioty, by cokolwiek zakopywać w Barcy, gdzie grunt był tak podmokły, że podziemne prądy porwałyby ukryte skarby lub wyrzuciły je na powierzchnię niczym zwłoki topielca.

Ale o domu Wiewiórki i Łosia opowiadano jeszcze straszniejsze historie: o dzieciach – jak najmłodszych i Czarnych tylko wtedy, gdy nie da się zdobyć Białych – poddawanych tam strasznym rytuałom, do których potrzebne są ich oczy, języki, serca i genitalia. Za pomocą tych okropnych ofiar Łoś i Wiewiórka

przywoływali diabła albo bogów meksykańskich lub afrykańskich, albo trolle z europejskich mitów. Wysyłali na Barcy sukuby i inkuby – jakby trzeba było magii, żeby pomieszać w głowach miejscowym. Podobno też rzucali klątwy na wszystkich obywateli Barcy, którzy mieli cokolwiek wspólnego z mieszkańcami domu, dlatego najlepiej było zostawić ich w spokoju – zwłaszcza jeśli się nie marzy o wiecznie przypalonej zupie, pladze much i komarów, ataku choroby, zarazie na krowy lub zatonięciu domu w bagnie, co się czasami zdarzało.

Arthur Stuart przypuszczał, że ludzie na ogół nie wierzą w te historie, a ci, którzy wierzą, są tak przerażeni, że nic nie robią – by nie narazić się na zemstę. Sytuacja jednak była niebezpieczna i choć Mama Wiewiórka śmiała się i żartowała, chyba nie rozumiała, jak ważne miejsce ma ich dom w mrocznej mitologii Nueva Barcelona.

Z całą pewnością nikt im tego nigdy nie powiedział otwarcie. Kiedy Arthur Stuart przedstawiał się jako służący gościa w domu Łosia i Wiewiórki, ludzie trzymali język za zębami. Dlatego wkrótce zaczął mówić – również nie mijając się z prawdą – że jest służącym amerykańskiego rzemieślnika, który w zeszłym tygodniu przybył do miasta. Wówczas nie musiał długo czekać na opowieść o dziwnych wydarzeniach w Barcy. I nie były to jedynie historie krążące wśród niewolników. Biali mówili to samo.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – spytał Arthur Stuart pewnego wieczora, kiedy obaj leżeli już w łóżkach. – Jeśli wydarzy się coś złego, całe miasto oskarży o to tych dobrych ludzi. Czy oni wiedzą, co się o nich mówi?

– Chyba tak, ale jak to jest w przypadku wielu ostrzeżeń i złych znaków, ludzie przyzwyczajają się do nich i przestają traktować poważnie, aż nagle robi się za późno – odpowiedział Alvin.

– W ten sam sposób kot podchodzi do ofiary. Nie kryje się. Skra da się bardzo powoli i nieruchomieje na tak długo, że ofiara się przyzwyczaja i myśli: „no, na razie mnie nie skrzywdził”. A wtedy kot skacze, zupełnie bez ostrzeżenia. Choć oczywiście było mnóstwo ostrzeżeń, gdyby ta biedna mysz czy ptaszyna miała dość rozumu, żeby uciec.

– Więc się zgadzasz. Trzeba ich stąd zabrać – rzekł Arthur Stuart.

– O, jasne. Oni też tak uważają. Jedyna różnica poglądów do tyczących tej migracji. I metody przeprowadzenia przez miasto pięćdziesięciorga dzieci najróżniejszych ras tak, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo pogwałcili prawa rasowe. A pieniądze? Myślisz, że stać ich na przeprawę na północ? Myślisz, że zdołają prze płynąć jezioro Pontchartrain i dotrzeć na jakąś zaprzyjaźnioną plantację, gdzie wszyscy z największą radością przenocują w sto dole całą tę chmarę wolnych czarnych dzieci?

Alvin mówił to tak, jakby Arthur naprawdę był dość głupi, by tak myśleć, a to go zdenerwowało.

– Nie powiedziałem, że będzie łatwo.

– Wiem. Złoszczę się na samego siebie. Wiesz, co myślę?

Uważam, że Peggy przysłała mnie tu właśnie po to, żebym ich stąd wyprowadził. Ale nie przyszło mi to do głowy, dopóki nie zacząłeś o tym mówić.

– Trzy sprawy – oznajmił Arthur Stuart.

– Słucham.

– Pierwsza. Pora, żebyś docenił moją olśniewającą osobę i to, jak bardzo ci pomagam.

– Twoja osoba lśni niczym kamień żółciowy – zgodził się Alvin.

– Druga. Nie ma najmniejszej szansy na to, że Peggy wysłała cię im na pomoc. Gdyby naprawdę o to jej chodziło, uprzedziłaby cię. Wtedy mógłbyś im powiedzieć, że Peggy ich ostrzega. Dla niej zrobiliby wszystko. A tak będziesz musiał się z nimi użerać o każdy drobiazg, ponieważ nie uważają nas za takich geniuszy, żebyśmy się lepiej od nich połapali, co się dzieje w Barcy.

Alvin uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Hej, zaczynasz być wart co najmniej tyle, ile zjadasz.

– Dobrze, bo nie zamierzam jeść mniej.

– No, i tak musiałbyś nie jeść przez dziesięć lat, żeby mi wynagrodzić to wszystko, co na tobie straciłem, kiedy nie byłeś wart więcej niż włos na tyłku wieprzka.

– Więc nie tego Peggy od nas chce – ciągnął Arthur Stuart – i możemy mieć całkowitą pewność, że Papa Łoś i Mama Wiewiórka się na to nie zgodzą. Toteż, moim zdaniem, jest to numer jeden na naszej liście.

– Porozmawiam z nimi.

– To zawsze działa.

– Trzeba coś zrobić na początek.

– Potem będziesz mógł im zaśpiewać. Może to przędzej ich stąd wykurzy.

– A trzecia sprawa? Powiedziałeś: trzy sprawy.

Arthur musiał się przez chwilę zastanowić. A tak, chciał spytać Alvina, dlaczego nie zrobił nic ze stopą Papy Łosia, ale to pytanie wydało mu się niemądre. Przecież Alvin ją zauważył. Musiałby być ślepy, żeby jej nie widzieć. I nie było to coś, czego nie potrafiłby uleczyć.

Jeszcze coś. Czy nie był uczniem Stwórcy?

– Nie, chciałem tylko podsunąć ten pomysł ze śpiewaniem – powiedział.

Alvin uśmiechnął się.

– Więc rozmyśliłeś się co do tej trzeciej sprawy.

– Na razie. Już i tak wyczerpałem wszystkie siły, myśląc, jak powinniśmy rozmawiać z Papą Łosiem i Mamą Wiewiórką.

Ale nie mieli szansy z nimi porozmawiać, ponieważ następnego ranka zachorowało pięcioro dzieci. Krzyczały z bólu, miały dreszcze i gorączkę. Do wieczora objawy wystąpiły u sześciorga innych, a tym, które zachorowały pierwsze, zażółciły się białka.

Skończyły się szkolne zajęcia. Sala zmieniła się w izolatkę, ławki ustawiono pod ścianami. Pozostałe dzieci miały zakaz zbliżania się do chorych. Wysłano je na dwór, gdzie bawiły się wśród komarów. Słyszały krzyki chorych. Miały je w uszach nawet wtedy, gdy nikt nie krzyczał.

Tymczasem Papa Łoś i Mama Wiewiórka kursowali po schodach z wodą, okładami, maściami i herbatkami. Zioła wydawały się przynosić nieco ulgi, a woda oczywiście zbijała gorączkę, ale Alvin wiedział, że nawet w przypadku tych dzieci, u których wystąpiła wysypka, okłady i maści na nic się nie zdadzą.

Oczywiście razem z Arthurem Stuartem służyli pomocą – biegali po schodach, wyręczając Papę Łosia, załatwiali sprawunki w mieście, doglądali paleniska, nosili nocniki. Łoś i Wiewiórka nie wpuszczali ich do sali chorych, żeby się nie zarazili.

Co nie przeszkodziło Alvinowi poświęcić sił chorym dzieciom. Widział tę chorobę w ostatnim stadium u matki Marii od Zmarłych, wiedział więc, czego szukać. Nieustannie naprawiał szkody czynione przez febrę, a także obniżał gorączkę, by nie robiła dzieciom krzywdy.

Obserwował chorych, usiłując zrozumieć przyczynę choroby. Widział maleńkie, walczące z chorobą stworzonka we krwi, ale nie rozumiał, czy zabijały ją tak, jak by on zabijał gangrenę czy inne schorzenia. A jednak dostrzegał, że pomagają zbić temperaturę i panują nad krwotokami. Kiedy je wzmocnił, choroba toczyła się swoim torem, lecz nie stawiała się śmiertelnie niebezpieczna.

U zdrowych dzieci, które zbadał jedno po drugim, trwała już produkcja tych małych wojowników. Alvin dopomógł im, na ile mógł.

Najbardziej interesowało go jednak, dlaczego garstka dzieci w ogóle się nie zaraziła. Czy były silniejsze? Miały szczęście? Co je łączy?

Codziennie te dzieci badał. Były różnych ras i płci. Niektóre starsze, inne młodsze. Należały do tych, które czytały najwięcej – zawsze znajdował je w jakimś kącie domu z książką, zwłaszcza teraz, kiedy Papa Łoś nie pilnował, żeby nie czytały. Ale w jaki sposób książki mogły je obronić przed chorobą?

Ludzie uczeni także umierają. Są nawet słabszego zdrowia niż inni.

Tymczasem Arthur Stuart miał oczy otwarte na wszystko, co się działo poza drzwiami domu. Żółta febra zaczęła się rozprzestrzeniać po całym mieście, choć najpierw pojawiła się w domach najbliższych studni. Ludzie oczywiście zaczęli mówić, że to „cudowna woda” ściągnęła na Barcy zarazę. Ci, którzy jeszcze mieli jej zapasy, wylali je. Inni byli przekonani, że jest ona jedynym lekarstwem, które Bóg zesłał im, wiedząc, że nadejdzie żółta febra jako kara na grzeszników.

Arthur Stuart z zadowoleniem przyjął, że po raz pierwszy odkąd pamiętał, Biali nie zwracali większej uwagi na pół-Czarnego młodzieńca noszącego wodę ze swym panem. Na razie nikt nie zauważył ich związku z cudowną wodą. Nie znaczyło to jednak, że nikt go nie zapamiętał, kiedy siedział na placu, czekając na powrót swojego pana z jakiejś budy na trzęsawiskach, gdzie, jak powiedziała Maria od Zmarłych, jej matka mogła mieć febrę. Nie mogła, miała! Pierwsza padła ofiarą epidemii.

Arthur zrozumiał, że choć dom Wiewiórki i Łosia jest w wielkim niebezpieczeństwie, to Maria od Zmarłych może się znajdować w jeszcze większym. Przyszło mu to do głowy na rynku w starym mieście, gdzie wybierał tanie, lecz jadalne produkty. Zawahał się – co jest pilniejsze, zanieść jedzenie Alwinowi, czy sprawdzić, co się dzieje z dziewczyną?

Co zdecydowałby Alvin?

No, to akurat łatwe. Alvin zawsze nad wyjście rozsądne przedkładał dramatyczne – a raczej najbardziej komplikujące życie i niebezpieczne.

Arthur kupił już słodkie ziemniaki. Worek nie był lekki. Z każdym krokiem stawał się cięższy, ale to dobrze, bo Arthur nie mógł biec. Pół-Czarny chłopiec biegnący z pełnym workiem zostałby z pewnością zatrzymany. Wszyscy wiedzą, że niewolnicy załatwiają sprawy swoich panów jak najwolniej. Więc kiedy kolorowy chłopiec biegnie, to z pewnością coś zbroił.

Dlatego ruszył szybkim krokiem trasą, na której widział płomienie serc Alvina i Marii od Zmarłych. Wiedział, że nie dostrzega ich tak dobrze jak Alvin, a zupełnie się gubił, kiedy oddaliły się na ponad sto metrów lub mieszały z płomieniami serc innych ludzi. Ale płomień serca Alvina był tak jasny i silny, że można było za nim iść. Arthur Stuart nawet widział jakby powidok terenu, przez który szedł jego przyjaciel. W ten sposób zobaczył drogę do domu Marii od Zmarłych. Widział, jak płomień jej matki migocze i rozpala się mocniej, choć nie rozumiał, co zrobił Alvin.

Teraz, brnąc w błocie i oganiając się od komarów, w końcu dotarł do deski wiodącej do domu. Zatrzymał się i klasnął w dłonie.

– Hej, jest tam kto?! – zawołał.

Oczywiście popełnił błąd. Powinien zawołać „Tu służący Alvina Smitha!”. Albo, gdyby świat nie był taki paskudny: „Tu szwagier Alvina Smitha!”. Ale przecież nie wiedział, czy Alvin zdradził Marii od Zmarłych swoje imię. Może tu imiona nie mają znaczenia.

Dom był pusty.

A jeśli ktoś w nim był, to nie odpowiadał.

Arthur Stuart szybko przeszedł po desce i otworzył drzwi, na poły spodziewając się, że znajdzie zwłoki kobiet zamordowanych przez przerażony tłum. Ale wiedział, że gdyby ludzie obwinili Marię od Zmarłych o sprowadzenie plagi i pragnęli ją za to zabić, spaliliby jej dom.

Dom był pusty. Zupełnie pusty. Czy kobiety nie posiadały żadnych sprzętów? Raczej jednak zdały sobie sprawę z zagrożenia i uciekły. Im nie musiał tłumaczyć, co się mówi o Marii od Zmarłych w mieście.

Zarzucił na ramię worek ze słodkimi ziemniakami i wrócił do miasta. Ruszył do domu Łosia i Wiewiórki, omijając zatłoczone ulice, a zwłaszcza placyk z publiczną studnią. Przez cały czas się drapał, bo pogryzły go komary.

Wysypał ziemniaki do skrzyni w kuchni, co mieszkający zupę Alvin skwitował podniesieniem brwi. Arthur Stuart poczuł wyrzuty sumienia, że nie załatwił tak wielu spraw.

– No co? – spytał. – Nie miałem dużo pieniędzy, a poza tym martwiłem się o Marię od Zmarłych i jej matkę, więc poszedłem sprawdzić, co u nich.

– Przypuszczam, że uciekły.

– Słusznie przypuszczasz.

– Ale nie dlatego podniosłem brew.

– Nie chciało ci się pomachać?

– Nie wrzucaj tych ziemniaków do skrzyni. Trzeba je umyć.

Lub obrać.

– Niby dlaczego, skoro potrafiłbyś zdjąć brud i skórki z ziemniaków na odległość?

– Bo talent nie został dany dla zabawy.

– Aha, tak jak wtedy, kiedy kazałeś mi pracować przez pół lata nad kanoe, choć mogłeś je zrobić w pięć minut.

– To ci wyszło na dobre.

– To było marnowanie mojego czasu. I o mało cię nie zastrzelił ten myśliwy.

– Stary Davy Crockett? Pod koniec prawie go polubiłem.

– Obieranie ziemniaków nie przeszkodzi ci w leczeniu dzieci.

Alvin odwrócił się powoli.

– Skąd wiesz? – spytał. – Skąd wiesz, ile mnie kosztuje ta praca?

– Przychodzi ci bez trudu, jak oddychanie.

– A czy łatwo ci oddychać, kiedy wbiegniesz na szczyt góry?

– Może dowiedziałbym się, jak to jest, gdybyś mnie nauczył.

– Dopiero zacząłeś rozgrzewać metal.

– Więc jestem gotowy do następnego kroku. Leczenie dzieci tyle cię kosztuje. Wiem o tym. Więc pokaż mi, jak to się robi.

Alvin zamknął oczy.

– Myślisz, że bym nie chciał? Ale nie dasz rady, jeśli nie widzisz, co się dzieje w ich ciałach. I powiadam ci, musiałbyś zobaczyć bardzo małe rzeczy.

– Jak małe?

– Spójrz na najcieńszy, najmniejszy włoszek na twojej ręce.

Ten włos jest jak piórko.

Chłopiec usiłował wysłać swój szczątkowy przenikacz w głąb włosa, by go poczuć tak, jak czuł żelazo. Prawie mu się udało. Nie dostrzegł jego piórkowatości, ale wyczuł, że nie jest gładki. To już było coś.

– Każdy włoszek tego piórka jest zrobiony z mnóstwa maleńkich fragmencików – mówił dalej Alvin. – Całe twoje ciało składa się z takich cząstek, a każda z nich żyje. W tych cząstkach dzieją się różne rzeczy. Rzeczy, których jeszcze nie rozumiem, ale mam świadomość, jak te cząstki powinny pracować i jakoś... no wiesz...

– Wiem. Mówisz im, jakie mają być.

– Albo... jakby im pokazuję.

– Nie widzę tak małych rzeczy.

– Najłatwiejsze są kości. Kości są jak metal. Albo drewno.

Złamane kości. Na pewno potrafiłbyś je złożyć.

Arthur Stuart natychmiast pomyślał o stopie Papy Łosia. O co chodzi z tymi kośćmi? Może Alvin daje mu jakiś znak?

– Ale żółta febra... – ciągnął Alvin. – Sam ledwie rozumiem, co mam zrobić. Na razie to ponad twoje siły.

Arthur Stuart uśmiechnął się.

– To co z tymi ziemniakami? Mam je umyć?

– Tak. Rękami.

– A jak mam je obrać?

– Tylko nożem, przyjacielu.

– Bo to mi wyjdzie na dobre – odgadł Arthur Stuart bez za chwytu.

– Bo jak to zrobisz inaczej, znowu je ubiorę w skórki razem z brudem.

Arthur Stuart nie znalazł odpowiedzi. Usiadł i wziął ziemniak do ręki.

– No dobrze, co teraz? Myć czy obierać? Nie potrafię robić obu rzeczy naraz.

– Mnie pytasz? Wiesz, jaki ze mnie kucharz. I nie sędzę, żeby Wiewiórka chciała wrzucić ziemniaki do tej wiecznej zupy. Pewnie by zdominowały jej smak na parę lat.

– Więc je upieczmy.

– Jak dla mnie, może być.

Arthur Stuart zrozumiał, że Alvin nie spędził dzieciństwa przy Starej Peg Guester, która potrafiła umyć i obrać ziemniaki dla dwudziestu lub trzydziestu osób w mgnieniu oka. Wszystko to było dla niego nowością. Oczywiście gdyby Arthur Stuart mógł wybierać, byłby ekspertem od leczenia febry lub zniekształconych stóp.

– Więc je umyję – powiedział.

– A ja tymczasem narwę fasolki z ogrodu, lecząc osobę, która właśnie zaraziła się febrą.

– Kogo?

– Ciebie.

– Nie jestem chory.

– Owszem, jesteś. Twoje ciało już walczy.

Arthur Stuart zastanawiał się przez chwilę. Spróbował nawet zajrzeć w głąb własnego ciała, ale zobaczył tylko płataninę dziwnych powierzchni.

– I wygrywa?

– Za kogo mnie bierzesz, za Marię od Zmarłych?

I tak rwali fasolę i myli ziemniaki, a Arthur Stuart usiłował dociec, dlaczego zachorował. Bo ktoś go przeklął? Bo wszedł do domu, w którym przed tygodniem ktoś chorował na febrę? Bo dotknęła go Maria od Zmarłych? Bo dotykał ziemniaków?

Gdzie jest Maria od Zmarłych? Ukrywa się na bagnach? Przeniosła się w jakieś bezpieczniejsze miejsce? A może błąka się gdzieś w nadziei, że ludzie nie zabiją jej za to, że ma talent, który ostrzega przed śmiercią?

A może już nie żyje? Może jej ciało jest gdzieś zagrzebane? I ciało jej matki? Może schwytali je jacyś przesądni głupcy i oskarżyli o niepopołnione winy?

Każda straszliwa rzecz na świecie jest wynikiem całego szeregu wydarzeń, a jednak ludzie uparli się zawęzić ten szereg do tylko jednej przyczyny – i to nieprawdziwej. To o wiele wygodniejsze: jedna przyczyna, jedna osoba do ukarania. Wtedy zaczynają się dziać sprawy nie do zniesienia.

Więc dlaczego Alvin, Margaret i ja, a także tylu innych przyzwoitych ludzi znosi to, czego nie można znieść, nie czując potrzeby ukarania kogoś? – myślał Arthur Stuart.

Chociaż jeśli się nad tym zastanowić, Alvin zabił odszukiwacza, który zabił matkę Arthura i Peggy. Zabił go w porywie gniewu – i do dziś tego żałuje. Nie podniósł ręki na Bogu ducha winnego pocziwinę. Odszukiwacz dostał, co mu się należało, to pewne. Ale Alvin także musiał kogoś ukarać za to, czego nie sposób znieść.

A ja? Głośno gadam, mam niewyparzoną gębę, jakiej nie powinien mieć żaden pół-Czarny chłopiec, urodziłem się zhańbiony, z niewolnicy zgwałconej przez jej pana. Czy nie widziałem rzeczy, których nie można znieść? Moja matka umarła, podarowawszy mi wolność, moją przybraną matkę zamordowali odszukiwacze, którzy chcieli mnie oddać właścicielowi. Nawet na Północy ludzie usiłowali mi zabronić wstępu do szkoły. Nie jestem nikim więcej niż trzeciorzędnym uczniem, w cieniu największego Stwórcy, jakiego widział ten świat od wielu pokoleń. Tyle straciłem – w tym także nadzieję na normalne życie. Z kim się ożenię? Jak będę żyć, kiedy zniknie cień Alvina?

A przecież nie chcę za to nikogo ukarać – może najwyżej słowami, a nawet wtedy zawsze udaję, że to żart, żeby nikt się nie rozgniewał.

Może tak właśnie załatwi to Bóg, kiedy zgromadzi nas w dniu Sądu Ostatecznego i spróbuje nam wyjaśnić, dlaczego pozwolił, by przydarzyło się nam tyle okropnych rzeczy. Może powie: „Nie znacie się na żartach?”.

Choć bardziej prawdopodobne, że powie prawdę. „To nie ja”, powie. „Ja tylko po was sprzątam”. Jak służący. Nikt nigdy nie spyta: „Jak możemy ułatwić życie Bogu?”. Robimy tylko bałagan i spodziewamy się, że On przyjdzie i posprząta.

Tego wieczora, już leżąc w łóżku, Arthur Stuart wysłał swój przenikacz w głąb domu. Odszukał płomień serca Papy Łosia i znalazł go bez trudu, śpiącego czujnie, podczas gdy Mama Wiewiórka opiekowała się dziećmi.

Arthur Stuart nie miał doświadczenia w badaniu ludzkich ciał. Z trudem utrzymywał przenikacz w granicach ciała Papy Łosia. Wkrótce jednak zorientował się, o co w tym mniej więcej chodzi, i znalazł chorą stopę. Kość wyraźnie odróżniała się od innych tkanek – i wyglądała okropnie, roztrzaskana na dziesiątki kawałków. Nic dziwnego, że stopa była kaleka.

Może zacząłby składać te kości, ale nie było to tak, jakby patrzył na nie oczami. Nie potrafił dostrzec całego kształtu każdego kawałka. Poza tym nie wiedział, jak powinna wyglądać kość zdrowej stopy.

Znalazł drugą stopę Papy Łosia i prawie jęknął, pognębiony własną

głupotą. W zdrowej stopie było dokładnie tyle samo kości co w chorej. Więc stopa nie była chora z powodu złamania. A kiedy porównał obie, uświadomił sobie, że stopa Papy Łosia była wykrzywiona przez całe życie, więc żadna z kości nie miała odpowiedniego kształtu.

Nie chodziło tylko o poskładanie kości. Każdej należało nadać odpowiedni kształt. Bez wątpienia mięśnie, więzadła i ścięgna także są przemieszczane i odkształcone. A w tych tkankach naprawdę trudno się zorientować. Samo przyglądanie się im było bardzo męczące. Arthur Stuart zasnął, nie zdoławszy niczego zrozumieć.

Plotkarze nadal nie próżnowali. Żółta febra tylko dodała im tematów do rozmowy: kto zachorował, kto umarł, kto uciekł z miasta, kto zamieszkał na plantacji przyjaciół do czasu przeminięcia zarazy.

Ale najważniejsza historia nie była plotką: wojska gromadzone przez króla nagle dostały rozkaz odwrotu. Najwyraźniej generałowie bali się żółtej febrы bardziej niż militarnej potęgi Hiszpanii. To mógł być błąd. W chwili gdy zagrożenie inwazji znikło, hiszpańskie władze w Nueva Barcelona zaczęły aresztować agentów Kawalerów. Najwyraźniej Hiszpanie wiedzieli o spisku – do nich także trafiały plotki, jak do wszystkich – i tylko czekali z atakiem na odpowiedni moment.

A więc nie tylko żółta febra dziesiątkowała angielskojęzycznych mieszkańców Nueva Barcelona. Wielu Amerykanów, Jankesów i Anglików wsiadało na statki opuszczające miasto – Amerykanie podróżowali parowcami w górę rzeki, Jankesi i Anglicy statkami handlowymi zmierzającymi na pełne morze, do Nowej Anglii, Jamajki lub innych angielskich kolonii.

Kawalerowie nie mieli wcale łatwiej niż Francuzi. Prom na jeziorze Pontchartrain i inne środki transportu znajdowały się pod obserwacją, a posiadacze królewskiego paszportu z Kolonii Korony mieli zakaz wyjazdu. Ponieważ Kawalerowie stanowili największą angielskojęzyczną grupę, w ogarniętej zarazą Nueva Barcelona było mnóstwo przerażonych ludzi.

Bogaci Hiszpanie wyjechali na Florydę. Francuzi nie mieli dokąd uciekać. Granice były dla nich zamknięte od czasów pierwszej inwazji Napoleona na Hiszpanię.

W mieście zapanował strach i gniew.

Alvin robił zakupy, co ostatnio stało się trudniejsze; rolnicy niechętnie przywozili swoje produkty do miasta, w którym szalała żółta febra. Alvin właśnie szperał wśród najmniejszych melonów, jakie zdarzyło mu się widzieć, kiedy zdał sobie sprawę, że w jego stronę przez tłum zbliża się znajomy płomień serca.

– Jim Bowie – powiedział, nie odwracając się.

Bowie uśmiechnął się szeroko i ciepło; na widok tego uśmiechu Alvin odruchowo sprawdził, czy przybysz nie ma w dłoni noża. Nie miał, ale niewiele to znaczyło, co Alvin wiedział z doświadczenia.

– Nadal w Barcy? – zagadnął Bowie.

– Myślałem, że już dawno wyruszyłeś z miasta.

– Prawie nam się udało, ale zamknęli porty. Niech diabli wezmą króla za ten bałagan.

Niech diabli wezmą króla? Przecież Bowie należał do ekspedycji mającej szerzyć królewską władzę na terenach Meksyku.

– No cóż, febra przeminie – powiedział Alvin. – Zawsze mija.

– Nie musimy na to czekać. Właśnie dostaliśmy wieści od gubernatora generalnego Nueva Barcelona. Ekspedycja Steve’a Austina może wyruszać. Wszyscy Kawalerowie, którzy z nami podróżują, dostaną przepustkę na statek do Meksyku.

– Przypuszczam, że macie bardzo dużo chętnych.

– A żebyś wiedział. Hiszpanie nienawidzą Meksykanów jeszcze bardziej niż Kawalerów. Pewnie ma to coś wspólnego z faktem, że król Arthur nigdy nie wyrwał bijących serc z piersi dziesięciu tysięcy hiszpańskich obywateli, by złożyć ofiarę jakiemuś pogańskiemu bożkowi.

– No, to powodzenia.

– Skoro już cię widzę, muszę powiedzieć, że czułbym się o wiele spokojniejszy, gdybyś z nami pojechał.

Żebyś mógł mi wbić nóż w plecy w odwecie za upokorzenie?

– Nie jestem żołnierzem.

– Myślałem o tobie – wyznał Bowie.

O, to na pewno.

– Uważam, że armia, która by miała ciebie po swojej stronie, ma zwycięstwo w kieszeni.

– Tam jest strasznie dużo krwiożerczych Meksykanów, a ja jestem samiuteńki. I pamiętaj, że niezbyt dobrze strzelam.

– Wiesz, o czym mówię. A jeśli broń Meksykanów nagle sta nie się miękka albo po prostu zniknie, jak to się zdarzyło z moim ulubionym nożem?

– Powiedziałbym, że to cud sprawiony przez złego bożka, który pragnie szerzyć niewolnictwo na ziemiach Meksyku.

Bowie gapił się na niego przez chwilę.

– A, więc to tak. Jesteś abolicjonistą.

– Wiedziałeś o tym.

– No, są ludzie, którzy po prostu nie zgadzają się na niewolnictwo, i są abolicjoniści. Czasami dajesz komuś złoto i już mu nie przeszkadza, ilu kto ma niewolników.

– To pewnie ktoś inny. Mnie złoto na niewiele się przydaje.

Podobnie jak wyprawa przeciwko Meksykanom.

– Są okrutni – powiadomił go Bowie. – Mają krew na rękach.

– I dlatego mam z nimi walczyć?
– Mężczyzna nie cofa się przed walką.
– Ten mężczyzna się cofa. A ty też byś tak zrobił, gdybyś myślał.
– Meksykanie nie są przeciwnikami dla ludzi, którzy potrafią strzelać. Poza tym w Meksyku dołączą do nas tysiące Czerwonych z innych plemion. Mają już dość służenia za zwierzęta ofiarne.

– Ale przecież chcecie tam wprowadzić niewolnictwo. To tak że im się nie spodoba.

- Nie, Czerwoni nie będą niewolnikami.
- W Meksyku jest wielu Czarnych byłych niewolników.
- Przecież są z natury niewolnikami.

Alvin odwrócił się i zaczął ładować do worka melony. Bowie trącił go boleśnie w ramię.

- Nie odwracaj się do mnie tyłem!

Alvin nie odpowiedział. Podał tylko parę drobnych monet straganiarzowi, który pokręcił głową.

- No, przecież to dla dzieci z sierocińca – powiedział Alvin.

– Wiem, dla kogo – odparł straganiarz. – Dziś melony kosztu ją po dziesięć centów sztuka.

- Co, aż tak trudno je zbierać? Są w środku wykładane złotem?

- Bierz albo wynocha.

Alvin wysupłał z kieszeni więcej monet.

- Na pewno jesteś dumny, że tak się przysłużyłeś bezbronny dzieciom.

- W tym domu nikt nie jest bezbronny – rzekł straganiarz.

Alvin odwrócił się. Bowie zastąpił mu drogę.

- Powiedziałem: nie odwracaj się do mnie tyłem.

– Teraz stoję przodem – odparł Alvin – a jeśli nie zostawisz tego noża w spokoju, stracisz coś, co jest ci bardzo drogie – i nie jest ze stali, choć tak wmawiasz damom.

- Więc nie chcesz, żebym był ci wrogiem?

- Nie chcę. Chcę, żebyś był mi nikim.

- Na to za późno. Albo wróg, albo przyjaciel.

Alvin odszedł z workiem pełnym melonów, ale odchodząc, rozgrzał ostrze noża Bowiego, a także guziki jego spodni. Po chwili nitki guzików przepaliły się i spodnie się rozpięły. Kiedy Bowie sięgnął po nóż, pochwa buchnęła płomieniem. Za plecami Alvina rozległy się śmiechy i wiwaty straganiarzy.

Prawdopodobnie popełniłem błąd, pomyślał. Ale Bowie także, znowu się

mi pokazując. Dlaczego tacy ludzie nie chcą się pogodzić z przegraną i bez końca zaczepiają lepszych od siebie?

Arthur Stuart obudził się w środku nocy, czując w brzuchu rewolucję. Coś mu się w środku przelewało. Sprawa wyglądała poważniej, więc Arthur wstał z rezygnacją, zszedł na dół, niosąc buty w ręce, włożył je przy tylnych drzwiach i ruszył przez ciemną noc do wygodki.

Spędził tam nieprzyjemne pół godziny, ale za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że to już koniec i wstawał, jelita znowu się buntowały.

Wreszcie wstał po raz kolejny i nie usłyszał bulgotu wnętrza, choć nie wiedział na pewno, czy kiedy dotrze na szczyt schodów, nie będzie musiał pędzić w dół. Oczywiście niepokoił się, że to może mieć coś wspólnego z żółtą febrą, że Alvin nie uleczył go do końca i choroba znowu atakuje, lecz po zastanowieniu doszedł do wniosku, że prawdopodobnie winowajcą jest raczej sprzedawca, u którego kupił dziś pasztecik, być może nie całkiem dopieczony.

Otworzył drzwi wygodki i wyszedł.

Ktoś pociągnął go za nocną koszulę. Arthur Stuart pisnął i odskoczył.

– Nie bój się! – szepnęła Maria od Zmarłych. – Nie jestem duchem. Wiem, że Afrykanie boją się duchów.

– Ja boję się ludzi, którzy łapią mnie za koszulę, kiedy opuszczam wychodek w środku nocy – warknął Arthur Stuart. – Co tu robisz?

– Jesteś chory – powiedziała.

– Coś takiego.

– Ale tym razem nie umrzesz.

– A już miałem nadzieję.

– Wielu ludzi umrze... I wielu obwini o to mnie.

– Wiem. Chciałem cię ostrzec, ale już was nie zastałem.

– Zobaczyłam cię i pomyślałam: ten chłopiec chce nas ostrzec. Więc dziś pomyślałam: może dasz nam jedzenie. Jesteśmy bardzo głodne.

– Jasne. Chodźcie do domu.

– Nie, nie. To dziwny dom. Bardzo niebezpieczny.

Arthur Stuart skrzywił się z niechęcią.

– Jasne. Więc to, co opowiadają o tobie, to same kłamstwa, za to wszystko, co mówią o tym domu, to prawda. Zgadza się?

– Historie o mnie są prawdziwe tylko w połowie. A jeśli historie o tym domu są w połowie prawdziwe, w życiu do niego nie wejść.

– Nie czeka tam na ciebie żadne niebezpieczeństwo, przynajmniej ze strony mieszkańców. A koło wychodka cuchnie. Więc sprowadź mamę

i chodźcie do domu, gdzie przynajmniej da się oddychać. Ale szybko, bo znowu pobiegnę do wygodki i kto was wtedy nakarmi?

Maria od Zmarłych zastanawiała się przez chwilę. Potem podkasła spódnicę i pobiegła w ciemność. Arthur poszedł do kuchni.

Parę minut później przy świetle świecy Maria od Zmarłych i jej matka zjadały nieco szczerstwiały chleb i ser, popijając ciepłą wodą. Zresztą smak ich nie interesował. Chyba nie odróżniały chleba od sera, tak szybko je połykały.

– Kiedy jadłyście ostatni posiłek? – zaciekał się Arthur Stuart.

– Zanim opuściliśmy dom – wyjaśniła Maria od Zmarłych. – Nie miałyśmy nic do jedzenia, bo zabrałybyśmy ze sobą.

– Jestem cała pogryziona – poskarżyła się jej matka. – Nie mam już ani kropli krwi.

Rzeczywiście, Arthur Stuart zauważył na jej skórze bąble po komarach.

– Jak się pani czuje? – spytał.

– Jestem bardzo głodna. Ale nie chora, nie. Twój pan mnie uzdrowił.

– To nie mój pan, tylko szwagier.

Maria od Zmarłych spojrzała na niego z ukosa.

– Alvin poślubił Afrykankę?

– Rodzice jego żony mnie adoptowali.

– Jesteś wolny?

– Nie należę do żadnego człowieka. Ale to właściwie nie wolność. Wszyscy mi mówią: jesteś na to za młody, jesteś za czarny, żeby tam iść, zbyt niedoświadczony, żeby to zrobić.

– Ja nie jestem Czarna, ale wolalabym zostać niewolnicą niż tym, kim jestem.

– No, no, nie tak źle być Francuzką.

– Chodzi mi o to, że widzę tych, którzy są chorzy.

– Wiem. Żartowałem. Oczywiście, jak mówi Alvin, jeśli trze ba wyjaśniać, że się żartowało, to żart nie był śmieszny.

– Kim jest Alvin? – zapytała Maria od Zmarłych.

– Moim szwagrem.

– *Non, non* – odezwała się jej matka. – Jak mnie uleczył?

Nagle Arthur nabrał podejrzeń. Przychodzą w środku nocy, pytają o Alvina... Oczywiście można to zrozumieć – kto by nie był ciekawy! – ale być może chodzi także o to, by Arthur Stuart powiedział za dużo.

– Jutro rano same go o to spytacie.

– Do rana musimy odejść – odparła Maria od Zmarłych. – Przed świtem.

Ludzie obserwują ten dom. Zobaczą nas, pójdą za nami, zabiją. Powieszą za czary, jak w Nowej Anglii.

– W Nowej Anglii od lat się tego nie robi.

– Czy Alvin dotykał tego chleba? – wtrąciła matka.

To Alvin kupił bagietki. Arthur zawahał się przez chwilę.

– Skąd mam wiedzieć?

Wiedział, że ta chwila wystarczyła za odpowiedź. I nie rozumiejąc dlaczego, miał ochotę zabrać bułki, a kobiety pożegnać czym prędzej. Maria od Zmarłych chyba odczytała jego myśli – a może uznała, że matka jest zbyt natarczywa, bo powiedziała:

– Musimy już iść.

– *Immediatement* – dodała jej matka i dziękując, zgarnęła do fartucha jeszcze parę bagietek. Arthur chciał ją powstrzymać – miały być na śniadanie – ale pomyślał, że na bagnach nie ma nic do jedzenia, i ugryzł się w język.

Rano kupi nowe.

Odprowadził kobiety do drzwi.

– *Non* – powiedziała matka.

– Nie idź z nami – szepnęła Maria od Zmarłych.

– Nie idę. Muszę znowu do wygodki, więc się pośpieszcie. Nie chcę urazić waszego delikatnego zmysłu powonienia.

– Co? – Maria od Zmarłych nie zrozumiała.

– Muszę natychmiast do wychodka, więc uciekajcie, jeśli nie lubicie smrodu.

Uciekły, a Arthur Stuart zasiadł na opuszczonym na chwilę miejscu.

Najpierw w stronę domu poleciało parę kamieni. Było to późnym wieczorem następnego dnia. Potem rozległ się stłumiony krzyk, którego nikt nie zrozumiał.

Następnego ranka przed domem szła grupa mężczyzn z trumną.

– Dlaczego u was nikt nie choruje?! – wołali.

Papa Łoś i Mama Wiewiórka nadal opiekowali się trojgiem dzieci, które leżały z gorączką pomimo zapobiegawczego leczenia. Perspektywa pokazania chorych była kusząca, ale wszyscy wiedzieli, że troje chorych dzieci to niezbyt przekonujący argument, kiedy dzieci sąsiadów umierają.

Nie działało się tak dlatego, że Alvin leczył tylko dzieci z sierocińca. Szukał innych płomieni serc w domach i ocalił wiele z nich, jednak zadanie było czasochłonne. Nie wszystkie dzieci zdołał odszukać i uleczyć. Na niektóre nawet nie spojrział. Jego moc miała granice.

Nie udawał już, że pracuje czy załatwia sprawunki. Ostatnim jego zakupem były bagietki, którymi Arthur Stuart podzielił się z Marią od Zmarłych i jej matką. Spał tylko wtedy, gdy nie mógł już utrzymać otwartych oczu. Drzemał niespokojnie; budziły go koszmary, w których dzieci umierały pod jego rękami. A najgorszym koszmarem ze wszystkich była wizja matki Marii od Zmarłych, której ciało toczy niewidzialna choroba, a ona chodzi wśród ludzi i zaraża ich febrą, dotykając ich, mówiąc lub szepcząc im do ucha. Poglaskała po włosach dziecko, które natychmiast upadło martwe. I każda martwa osoba odwracała się do Alvina i pytała: „Dlaczego ją ocaliłeś i pozwoliłeś nas zabijać?”.

Wtedy się budził i szukał przyćmionych chorobą płomieni serca, usiłując naprawić wyniszczone ciała.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby szukać w najbliższej okolicy, ale okazało się, że umieralność wzrastała odpowiednio do odległości od sierocińca. Tak jakby Bóg go pobłogosławił i to błogosławieństwo rozprzestrzeniło się na sąsiednie domy.

Albo, jak wyraźnie sugerowali ludzie przed domem, jakby diabeł chronił swoich.

Tej nocy było więcej kamieni, krzyków i pijaków rzucających butelkami. Dzieci obudziły się z płaczem. Papa Łoś i Mama Wiewiórka przenieśli je do położonych dalej pokoiów.

A Alvin leżał bez ruchu, niezmordowanie lecząc, skupiając się na dzieciach, ratując wszystkie, jakie mógł uratować.

Arthur Stuart nie ośmielił się mu przeszkadzać – albo budzić, jeśli spał. Rozumiał, że Alvin z jakiegoś powodu siebie obwinia o wybuch zarazy, można to było poznać po jego ponurej determinacji. To była rozgrywka osobista: Alvin usiłował naprawić jakiś straszny błąd. Tyle wydusił z siebie, zanim zupełnie przestał się odzywać. Teraz milczał i zostawił Arthura Stuarta samemu sobie. Arthur nie miał mocy uzdrawiania, ale nauczył się podstaw Stwarzania i uznał, że pora wykorzystać swoje umiejętności do obrony domu. Wiewiórka powiedziała coś, co mu nasunęło pomysł: – Boję się tych pochodni. A jeśli oni chcą nas spalić? Więc Arthur Stuart sięgnął ku ludziom z pochodniami i spróbował zrozumieć ogień. Do tej pory pracował tylko z metalem. Drewno i tkaniny były pochodzenia organicznego, z trudem w nie wnikał. Wkrótce zrozumiał, że źródłem ognia jest olej, którym nasączono pochodnie, i że płyn ten jest bardziej zrozumiały dla jego na poły ślepego, poruszającego się po omacku przenikacza.

Nie pojmował, jak działa ogień, więc nie mógł zapobiec jego płonięciu, ale mógł rozproszyc płyn, zmienić go w gaz, tak jak zmieniał metal w płyn. A kiedy

go ulotni, pochodnia wkrótce zgaśnie. I wkrótce płomienie wokół domu kolejno zaczęły gasnąć. Dopiero kiedy Papa Łoś powiedział: „Co się dzieje? Boże, ratuj, dlaczego oni gaszą pochodnie?”, Arthur Stuart zrozumiał, że coś jest niedobrze. Otworzył oczy. Ugasił jakiś tuzin pochodni. Osmalone czarne kije zaścielały ulice, rozrzucone niczym kości jakiegoś dawno umarłego stworzenia.

– Jeśli szukali dowodu, że ten dom jest przeklęty, to go mają – odezwała się Mama Wiewiórka. – Każdemu, kto się do niego zbliżył, gasła pochodnia.

Serce Arthura Stuarta zabiło boleśnie. Już miał się przyznać, kiedy zobaczył, że tłum się wycofuje.

– Na dziś mamy spokój – rzekł Papa Łoś. – Ale wrócą. I będzie ich więcej. Mają kolejny cud.

Mama Wiewiórka spojrzała na Arthura Stuarta.

– Nie sądzisz chyba, że Alvin popełnił taką nieostrożność, co?

– Nie, nie sądzę – wymamrotał.

– Niech dzieci wracają do łóżek – powiedział Papa Łoś. – Ucieszą się, że tłum odszedł.

Tylko jeden człowiek pozostał na ulicy. Nie obserwował domu, ale nie ruszał się z miejsca. Arthur Stuart doszedł do wniosku, że poznaje te niedźwiedzie ruchy, świadczące o skumulowanej energii. To ktoś, kogo niedawno poznał. Abe Lincoln? Cóż?

Ostrożnie sięgnął do jego płomienia serca. Nie miał biegleści Alvina, nie wiedział, jak tylko musnąć, tylko zerknąć. Przed chwilą widział go jako odległą iskierkę, aż raptem, gwałtownie ogarnęła go osobowość tamtego człowieka, wszystko, co tamten czuł, widział i słyszał, czego pragnął. Był pełen nienawiści, wściekłości i wstydu. Ale nie miał w sobie słów, imion, to było trudniejsze do znalezienia. Peggy widziała takie rzeczy, lecz Arthur Stuart nie. Alvin chyba też nie.

Trudno było się wydrzeć z płomiennego serca tego człowieka, ale teraz Arthur Stuart już wiedział, kto to jest, bo w środku chaosu jedna rzecz stała się jasna – nieustanna świadomość noża u pasa, narzędzia, na którym polegał jak na niczym innym. Bez wątpienia Jim Bowie.

Przepełniony złością Jim Bowie zjawiał się tu w jakimś niegodziwym celu. Ciekawe, czy nadal ma urazę o to na rzece. Ale dlaczego wtedy Arthur Stuart nie zauważył jego strachu?

Może trzeba mu dać nauczkę. Arthur Stuart nie potrafił sprawić, jak Alvin, żeby nóż zniknął, ale potrafił coś innego. Czasem udawało mu się podgrzać nóż tak, żeby Bowie go poczuł. Aha, udało się! Bowie obrócił się na pięcie i pędem

uciekł.

Jednego tylko Arthur Stuart nie potrafił zrozumieć. Dlaczego Bowie biegł, trzymając się mocno za spodnie, jakby bał się, że mu spadną?

Alvin spał, nie wiedząc, kiedy opuści go sen i zacznie się koszmarna jawa pełna nieudanych prób ocalenia kolejnych chorych. Przez ołowiany letarg dotarł do niego czyjś głos.

– Uzdrowicielu!

Brzmiał rozkazująco i dziwacznie. Alvin nigdy wcześniej nie słyszał tego głosu. Osoba, która go wołała, przemawiała jakby ze środka płomienia jego serca.

– Obudź się, ty, co śpisz!

Powieki Alvina uniosły się jakby wbrew jego woli. Za oknem zaczynało świtać.

– Obudź się, ty, co trzymasz w kominie złoty pług!

W jednej chwili wyskoczył z łóżka i popędził przez długi pokój, by dotknąć ręką cegieł. Złoty pług nadal był na miejscu, ale ktoś się o nim dowiedział.

Albo nie. To pewnie sen. Zasnął po uleczeniu dziecka mieszkającego cztery ulice dalej. Jego matka także umierała; ją miał zamiar uleczyć później. Czy zdążył, zanim spadł na niego sen?

Wyteżył zmysły. Znalazł dziecko, pięcioletniego chłopca. Ale tam, gdzie powinna się znajdować jego matka, zastał pustkę. Więc ciało go jednak zdradziło. Dziecko przeżyło, lecz stało się sierotą. Zakłuły go wyrzuty sumienia.

– Zabierz złoto z komina, uzdrowicielu, i zejdź porozmawiać ze mną!

To nie mógł być sen. Głos był tak silny, że Alvin usłuchał go jakby z własnej woli. Ale zaraz się zorientował, że jest inaczej.

Jednak nie miał powodu nie posłuchać. Ktoś wiedział o złotym pługu, więc kryjówka nie była już nic warta. Pora znów go wydobyć i włożyć do worka.

Rozsuniecie i zmiękczenie cegieł zabrało mu trochę czasu i kosztowało wiele wysiłku, tak był zmęczony. Pług zadrżał w jego dłoniach, jak zawsze pełen życia, czujny, choć niepragnący niczego. Alvin wyjął go i przytulił do piersi. Bliskość pługa ogrzała mu

serce. Nie wiedział, czy to działanie pługa, czy też radość na widok przyjaciela i towarzysza podróży.

– Zejdź do mnie, uzdrowicielu!

Kim jesteś? – spytał bezgłośnie, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Ten, kto wołał go z głębi płomienia serca, albo nie słyszał jego myśli, albo nie chciał odpowiadać.

– Zejdź i przełam się ze mną chlebem.

Chleb. Coś o chlebie. Tu chodzi o coś więcej niż jedzenie. Ta kobieta chce od niego o wiele więcej niż posiłku.

Kobieta. Wzywała go kobieta. Skąd wiedział?

Zszedł po schodach, niosąc w worku pług wraz z paroma innymi rzeczami. Papa Łoś zauważył go na drugim piętrze, Mama Wiewiórka na pierwszym. Kiedy zszedł na parter, oboje szli tuż za nim.

– Co robisz? – spytała Wiewiórka.

– Dokąd idziesz? – dodał Papa Łoś.

– Ktoś mnie wzywa – odpowiedział. – Zaopiekujcie się Arthurem Stuartem, dopóki nie wrócę.

– Skąd wiesz, że to nie pułapka? Wczoraj w nocy zjawili się z pochodniami. Jakaś dziwna moc zgasła ognie, gdy się zbliżyli.

Na pewno obserwują dom. Chętnie by nas wywabili na zewnątrz.

– Ona nazywa mnie uzdrowicielem. Chce, żebym się z nią przełamał chlebem.

W drzwiach kuchni stanął Arthur Stuart.

– To kobieta, którą uleczyłeś na bagnach – powiedział. – Przyszła tu dwa dni temu, w nocy, razem z Marią od Zmarłych.

Dałem im chleb, a one spytały, czy to ty go kupiłeś.

– Ach tak... – westchnęła Wiewiórka. – Straszną moc ma Maria od Zmarłych.

– Świadomość pewnych spraw może być strasznym ciężarem, lecz nie stanowi zagrożenia dla nikogo, kto nie boi się prawdy.

Ale to nie Maria od Zmarłych mnie woła.

– A jej matka? – spytał Arthur Stuart.

– Też nie sądzę.

– A jeśli to urok? – odezwała się Wiewiórka. – Masz się za tak potężnego, że żadne moce nie mogą cię tknąć?

– Urok... Tak, to prawdopodobne.

– Więc nie możesz iść – rzekł Arthur Stuart. – Dobrzy ludzie nie rzucają uroków na innych. Ani nie składają takich okropnych ofiar, jakich do tego potrzeba.

– Wystarczyło spalić kawałek chleba – odparł Alvin. – A ja pójdę albo nie, jeżeli tak postanowię.

– Czy nie tak myślą wszyscy, na których rzucono urok? – odezwał się Papa Łoś. – Czy nie znajdują usprawiedliwienia na swoje posłuszeństwo wezwaniu?

– Może i tak. Ale idę.

Wyszedł. Arthur Stuart pospieszył za nim.

– Wracaj do domu – nakazał mu Alvin.

– O nie. Jeśli masz wpaść w pułapkę, chcę to zobaczyć na własne oczy, żeby później móc opowiadać ludziom, jak to nawet najpotężniejszy człowiek na świecie potrafi być czasem głupi jak stołowa noga.

– Jestem jej potrzebny.

– Tak jak szatanowi potrzeba dusz grzeszników – dodał Arthur Stuart.

– Ona mi nie rozkazuje, tylko prosi.

– Nie rozumiesz, że tak właśnie się przymusza dobrego człowieka?

Przychodzisz, kiedy ludzie cię potrzebują, więc kiedy ktoś ci każe przyjść, myślisz, że cię potrzebuje.

Alvin zatrzymał się i spojrzał Arthurowi Stuartowi w oczy.

– Wczoraj wieczorem zostawiłem sierotę bez opieki, ponieważ nie mogłem opanować senności. Jeśli jestem tak słaby, że nie wygram z własnym ciałem, dlaczego sądzisz, że oprę się urokowi?

– Więc sam rozumiesz, że nie jesteś bezpieczny.

– Rozumiem, że muszę iść. A ty jesteś za słaby, żeby mnie za trzymać.

Ruszył pustą o poranku ulicą. Arthur Stuart potruchtał za nim.

– To ja zgasilem pochodnie – wyznał.

– Nie wątpię. To było diabelnie głupie.

– Bałem się, że chcę spalić dom.

– I chcę, nie ma wątpliwości, ale jeszcze przez jakiś czas będą się zbierać na odwagę. Albo walczyć ze strachem. Tak czy tak, kiedy te uczucia w nich urosną, dom stanie w płomieniach. Ty prawdopodobnie sprawiłeś tylko tyle, że teraz bardziej się boją.

Przestań o tym myśleć.

– Musisz się wyspać, żeby także nie myśleć o swoich kłopotach.

– Nie udawaj, że rozumiesz moje grzechy.

– Nie udawaj, że wiesz, co rozumiem, a czego nie.

Alvin roześmiał się niechętnie.

– Niewyparzona gęba.

– Wczoraj był tu Jim Bowie. Tylko on został, kiedy tłum uciekł.

– Zapraszał mnie, żebym wyruszył z jego ekspedycją. Powiedział, że albo będę jego przyjacielem, albo wrogiem.

– Więc może to on podburzał ludzi, żeby skłonić cię do wyjazdu razem z nim?

– Taki człowiek uważa, że strach zwycięża lojalność.

– Wielu panów z batem potwierdzi słuszność tych słów.

– To nie lojalność, lecz posłuszeństwo, i to tylko dopóki w pobliżu jest bat.

Opuścili dzielnicę malowanych budynków i znaleźli się w innym Nowym Orleanie, wśród spłowiałych domów i chałup prześladowanych Francuzów. Za nimi znajdowały się szalasy wolnych Czarnych i bezpańskich niewolników – świat tanich, zdesperowanych dziwek, najemnych morderców za parę centów i wyznawców afrykańskiej czarnej magii, którzy wrzucają w ogień strzępki żywego ciała, by natura złamała własne prawa.

Magia Czarnych różniła się od talentów Białych. Alvin wyczuwał to w płomieniach ich serc – był to rodzaj zdesperowanej odwagi. Gdyby zdarzyło się najgorsze, potrafiliby złożyć ofiarę płomieniom, by ocalić to, co jest dla nich najdroższe.

– Czujesz moc wokół nas? – spytał.

– Czuję smród – odparł chłopiec. – Jakby wszyscy wylewali nocniki na ziemię.

– Cysterny tu nie dojeżdżają, więc jakie mają wyjście?

– A mocy nie czuję ja – dodał Arthur Stuart.

– Ale zacząłeś mówić jak Francuz.

– To nic nie znaczy. Wiesz, że powtarzam wszystko, co usłyszę.

– Więc ich słyszysz. Są wszędzie.

– To czarne miasto, panie – powiedział Arthur Stuart głosem niewolnika.

– Tu nie ma Francuza.

– Francuscy niewolnicy uciekają tak samo jak hiszpańscy czy niewolnicy Kawalerów.

Z domów zaczęły wychodzić czarne dzieci, a za nimi ich matki, zmęczone kobiety o smutnych oczach. I mężczyźni wyglądający groźnie. Zaczęli podążać za nimi niczym pochód. Szli, aż zatrzymali się przed kobietą przy palenisku. Nie była gruba, ale i nie chuda. Była zmysłowa niczym żyzna ziemia. Kiedy podniosła wzrok Kryształowe Miasto znad ognia, uśmiechnęła się do Alvina promiennie jak słońce. Ile mogła mieć lat? Może dwadzieścia, sądząc po gładkiej brązowej skórze. A może sto, sądząc po mądrych, roziskrzonych oczach.

– Przybyliście do La Tii – powiedziała.

Zza paleniska wyłoniła się drobniejsza kobieta, Francuzka z wyglądu.

– Oto królowa – oznajmiła. – Ukłońcie się.

Alvin nie usłuchał. La Tia niczym nie zdradziła, że tego właśnie oczekuje.

– Na kolana, biały człowieku, jeśli ci życie miłe! – rzuciła ostro Francuzka.

– Cicho, Michele – odezwała się La Tia. – Niech nie klęka, nie chcę. Chcę cudu, nie klękania. Ja go wzywam, on przychodzi.

– Wszyscy muszą przyjść, kiedy ich wzywasz – odparła Michele.

– Nie on. On przychodzi, ja go nie zmuszam. Ja tylko przemawiam. On sam postanowił przyjść.

– Czego chcesz? – spytał Alvin.

– W Barcy będzie ogień – powiedziała La Tia.

– Wiesz to na pewno?

– Słyszę. Niewolniki słuchają, niewolniki mówią. Wiesz. Jak w Camelocie.

Alvin przypomniał sobie stolicę Kolonii Korony i to, że plotki rozchodziły się po niej szybciej od biegnącego chłopca. Ale skąd wiedziała, że tam był?

– Na tym chlebie twoja skóra – wyjaśniła. – Dziewczyny jak ja normalnie nie widzą takiej skóry, bo mała. A ja widzę. A jak widzę, to cię mam. Dopóki płonie ogień, mam wszystko, co kryjesz. Widzę twój skarb.

Widziała w płomieniu jego serca więcej niż on w jej. On dostrzegał tylko krzepkość jej ciała i jakieś silne obawy, ale także intensywne poczucie misji. Jakiej misji? Nie wiedział. Znowu jego talent okazał się niewiele wart.

– Nie lękaj się, *mi hijo* – ciągnęła. – Nie wygadam nikomu. I nie, nie chodzi mi o to, co masz w worku. To nie twój skarb. On jest swój własny. Twój skarb jest w łonie kobiety, daleko stąd, bezpieczny.

Te słowa, wypowiedziane przez obcą osobę, uderzyły Alvina w samo serce. W oczach stanęły mu łzy, w głowie zaszumiało. Osunął się na kolana. To był jego skarb. Wszystkie te istnienia, które uratował w Barcy, były tym jednym, dzieckiem, które umarło zaraz po urodzeniu. A jego odkupieniem, jedyną nadzieją, jego... tak, skarbem było to drugie dziecko, które znajdowało się tak daleko, pod opieką kogoś innego.

– Wstań – szepnęła Arthur Stuart. – Nie klękaj przed nią.

– On nie klęka przede mną – odezwała się La Tia. – Klęka przed miłością, przed patronem miłości. Nie świętym Walentym, nie, nie. Przed patronem miłości ojcowskiej, świętym Józefem, mężem Matki Boskiej. Przed nim klęka. Tak jest, co?

Alvin pokręcił głową.

– Klęczę, bo coś mi się złamało w środku – szepnął. – A ty chcesz, żeby taki złamany człowiek coś dla ciebie zrobił. Nie mogę nic zrobić. Świat jest z każdym dniem coraz bardziej chory, a ja nie mam mocy, by go uleczyć.

– Masz moc, której potrzebuję. Maria de los Muertos mi po wiedziała. Jej matka zdrowa, ty leczysz.

– Ty nie jesteś chora.

– Całe Barcy chore. Mieszkasz w domu, co umrze na tę chorobę. To czarne miasto umrze też. Francuzi w Barcy umrą. Chorują złe ludzie, głupie ludzie, co

się boją. Szukają, kogo tu oskarżyć.

To będziesz ty i ten szalony Łoś, i Wiewiórka też. To będę ja i my wszyscy, co nie dajemy Afryce umrzeć. To będą Francuzi, jak Maria de los Muertos i jej mama. Co zrobią, kiedy tłum powie: szukajmy winnych, spalmy ich? Dokąd uciekną?

– A co niby mogę zrobić twoim zdaniem? Nie mam wpływu na tłum.

– Wiesz, czego chcę, o, wiesz.

– Nie.

– Może nie wiesz, że wiesz, ale te słowa są w twoim sercu, jak wypalone.

Słowa twojej mamy, dawne słowa, jak ty był mały.

„Wypuść mój lud”.

– Nie jestem faraonem, a to nie Egipt.

– Właśnie że Egipt, a ty nie faraon, Mojżesz.

– Czego chcesz? Żebym zesłał plagę karaluchów? Plaga już spadła na Barcy i nikogo to nie obeszło.

– Spraw, niech rozstąpi się morze. Przeprowadź nas po suchym lądzie pod osłoną nocy, tego chcę.

Alvin pokręcił głową.

– Mojżesz dokonał tego z pomocą Boga, której nie mam.

I miał dokąd iść, na pustynię, na której go nie znajdą. A dokąd wy pójdziecie? Jest was dużo. Za dużo.

– A niewolniki ze statku, dokąd oni idą, jak ty ich uwalniasz?

Alvin spojrzał na Arthura Stuarta.

– Nikomu nie mówiłem – obruszył się chłopiec. – Nie zwariowałem!

– Ty myślisz, ja muszę pytać – powiedziała La Tia. – Ja to widzę w środku, w płomień, w ty. Przeprowadź nas przez rzekę.

– Ale nie mówimy tu o dwóch tuzinach niewolników, tylko o całym czarnym mieście, sierocińcu i... Francuzach? Ile to osób?

– I wszystkie niewolniki, co zechcą iść. W nocnej mgle. Spraw, niech mgła przyjdzie nad Barcy. My wszyscy skryjemy się we mgle, a ty nas przeprowadź przez rzekę. Znasz Czerwonych, przeprowadź nas bezpiecznie na drugi brzeg.

– Nie mogę! Myślisz, że potrafię zapanować nad całą Mizzippy? Za kogo mnie uważasz?

– Za człowieka, co chce wiedzieć, czemu żyje. Chce wiedzieć, na co mu moc. Teraz La Tia ci mówi, a ty nie chcesz słuchać!

– Nie jestem Mojżeszem. A ty nie jesteś Bogiem.

– Chcesz widzieć płonący krzew?

– Nie! – warknął. Mogłaby wyczarować jakieś fajerwerki, ale nie chciał ich

ogłądać. I tak nie ma sensu przechodzić na drugi brzeg. Jak tam wykarmić ludzi? – zastanawiał się. Tam są bagna, błota, węże, aligatory, komary, tak jak tutaj. I nie będzie manny z nieba. Moi czerwonoskórzy przyjaciele mieszkają daleko na pół nocy. Tego nikt nie dokona. A już na pewno nie ja.

– Ty najbardziej ze wszystkich – oznajmiła La Tia.

Przez jakiś czas milczeli.

– *Usted es tia de quien?* – zapytał Arthur Stuart.

– Nie mówię po hiszpańsku, chłopcze – odparła La Tia. – Nazywają mnie La Tia, bo Hiszpanie nie mogą wymówić moje afrykańskie imię.

– My także go nie wymawiamy – odezwała się druga kobieta. – Jest naszą królową. Jak mówi: „wypuść mój lud”, to rób, co każe.

– Cicho, dziecko – powiedziała La Tia. – Nie mów takiemu człowiekowi, co robić. On już chce zrobić. Pomożemy mu znaleźć odwagę. Powiemy mu: idź do doków i tam tego ranka znajdzie na dzieję. Znajdzie brata, jak Mojżesz, brat da mu odwagę i kłopoty.

– O, świetnie – mruknął Alvin. – Nowe kłopoty.

Ale wiedział, że powinien jej posłuchać – przynajmniej iść do doków i sprawdzić, co oznacza jej proroctwo.

– Dziś o zmroku będzie mgła – mówiła dalej La Tia. – Jak zrobisz mgłę, wszyscy wiedzą: pora iść.

– Iść dokąd? Przestańcie. Nie możemy się przeprawić na drugi brzeg.

– Opuścimy to miasto tak lub inaczej.

Kiedy odchodzili pospiesznym krokiem, czując na sobie wzrok Czarnych, Arthur Stuart spytał:

– Czy ona miała na myśli to, co mi się wydaje?

– Odejdą stąd albo zginą – odpowiedział Alvin. – I nie po wiem, żeby się myliła. W tym mieście dojrzeła coś brzydkiego.

Ci ludzie rwą się do zwady. Steve Austin zbiera mężczyzn, którzy lubią się bić. I nie zabraknie też innych, w których strach budzi chęć do walki, do zabijania i La Tia o tym wie. Czarni nie mogą tu zostać, nie mają się u kogo schronić. Jeśli znajdzie jakiś sposób, że by wyprowadzić z Barcy Papę Łosia i jego rodzinę, miastowi ukarzą Czarnych albo Francuzów.

– A może huragan? W Camelocie zrobiłeś powódź, która po wstrzymała bunt niewolników. Tym razem mógłbyś ją powtórzyć z wichrem i deszczem.

– Jeden podmuch i zabijemy tych samych, których powinniśmy uratować. Arthur Stuart rozejrzał się.

– O – mruknął. – Chyba wszystkie domy stoją w dolinie.

– Chyba tak.

Z okien biednych domów w dzielnicy francuskiej także ich obserwowano. Wiadomość La Tii już się rozeszła. Wszyscy mieli nadzieję, że Alvin ich uratuje – a on nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Jak zwykle, pomyślał Alvin. Patrzą na mnie z nadzieją, a mnie brakuje mocy i mądrości, żeby te nadzieje spełnić. Potrafię sprawić, żeby komuś nóż wypadł z dłoni, potrafię roztopić kajdany niewolników, ale to wszystko jest jak kropla krwi w wiadrze wody, nie można jej znaleźć, a co dopiero odzyskać.

Kropla krwi w wiadrze wody.

Przypomniawszy sobie, jak Tenskwa-Tawa zrobił wir na jeziorze, wylał do niego swoją krew, a w ścianach wiru ujrzał przyszłość, szybując w górę wraz z nim.

Przypomniawszy sobie, że właśnie w wizjach na ścianach wodnego wiru po raz pierwszy zobaczył Kryształowe Miasto. Czy to coś z dalekiej przeszłości, czy też przyszłość? Nieważne. Liczy się tylko to, jak Tenskwa-Tawa utworzył z wody potrzebny kształt i utrzymał go, wirujący niby z ogromną prędkością, lecz tak naprawdę nieruchomy.

Krew w wodzie, wir, a ściany gładkie i przejrzyste jak szkło.

Jeszcze nie znaleźli się w dokach, a Alvin już zaczął przyglądać się płomieniom serc ludzi, którzy się tam kręcili. Margaret ujrzałaby wydarzenia z ich przeszłości i przyszłości, on tego nie potrafił, lecz rozróżniał, czyj płomień płonie jasno, a który ćmi się rozżarzony i ciemny, który jest mocny, a który słaby, który trwożliwy, który dzielny.

Wiele osób rozpoznał, gdyż był w mieście już od wielu tygodni. Bez trudu znalazł Steve'a Austina i Jima Bowie, którzy akurat nie szli razem. Różnili się od siebie. Austin był marzycielem, Bowie mordercą. Marzyciele zawsze uważają, że ich marzenie jest warte ceny, którą płacą inni. Łudzą się także, że zdołają opanować zło, którym się posługują, by realizować swoje plany.

Wkrótce rozmyślania Alvina przerwał jasny i znany płomień serca, niespodziewany – i niechciany – w Barcy.

Płomień jego młodszego brata Calvina.

Calvin, najbliższy towarzysz dziecińczych lat. Byli nierozłączni. Calvin próbował naśladować Alvina we wszystkim. Alvin rzadko ulegał pokusie, by droczyć się z bratem. Wolał bawić się z nim i strzec jego bezpieczeństwa.

Nikt się nie spodziewał, że Calvin będzie zazdrosny. On także był siódmym synem siódmego syna – gdyż pierworodny Vigor zginął podczas przemierzania rzeki w tym samym dniu, kiedy na świat przyszedł Alvin. Dlatego wszystkie talenty Calvina, należące się mu z urodzenia, nigdy nie dorównywały darowi starszego brata.

Ale talent mniejszy niż dar Alvina nie mógł stanowić aż takiego rozczarowania – na to samo mogłaby się skarżyć większa część ludzkości. A Calvin miał całkiem sporą moc. Tyle że nigdy nad nią nie pracował. Chciał od razu robić to samo co Alvin, a kiedy mu się nie udawało, reagował gniewem i urazą. Gniewał się na Alvina, który uznawał to za idiotyczne i niesprawiedliwe. I dawał temu wyraz.

Calvin był głuchy na tłumaczenia. Nie mógł ich znieść, unikał ich, więc bracia, niegdyś sobie tak bliscy, w ostatnich latach prawie się ze sobą nie kontaktowali. Niechęć Margaret do Calvina tylko zaostrzała konflikt. Może nie niechęć, lecz strach. Margaret nie chciała, żeby Calvin zbliżał się do brata.

I oto Calvin przyjechał do miasta. Zbyt oczywisty zbieg okoliczności. Prawdopodobnie ktoś go tu przysłał. Mogła to zrobić jedynie Margaret. Czy uznała, że Alvin potrzebuje brata? Może raczej był jej potrzebny do wypełnienia misji.

Parę kroków dalej Alvin poczuł, że Calvin zauważył jego płomień serca. Poznał to po jego przyspieszonym biciu. Stara miłość nadal w nim płonęła. Calvin mógł być drażniący, mógł go rozczarowywać, a czasem troszkę przerażać, mógł się dopuszczać niegodziwości, które przyćmiewały i osłabiały płomień jego serca, ale przecież z nim Alvin spędził najlepsze chwile dzieciństwa, zanim spostrzegł wroga czyhającego na jego życie.

Zanim Calvin dał się temu wrogowi uwieść.

Dlatego Alvin przyspieszył kroku i pędził przez zatłoczone ulice, od czasu do czasu odpychając ludzi z drogi, choć nikomu nie przyszło do głowy szukać zwady z człowiekiem jego wzrostu i postawy.

Arthur Stuart gnał za nim.

– Co się dzieje? Co jest?

Ulica się skończyła i ujrzeli długie szeregi statków i łodzi w dokach, unoszące się i opadające żurawie, tragarzy oraz tłum pasażerów – tylko nieliczni schodzili na brzeg, prawie wszyscy wyruszali w podróż. Straganiarze głośno zachwalali swe towary, złodzieje i prostytutki włóczyli się i przemykali w tłumie, a w samym jego środku stał samotny Calvin i skubał bagietkę.

Wreszcie osiągnął pełny wzrost. Nie był tak wysoki jak Alvin, lecz szczuplejszy, więc wydawał się wyższy. Jego włosy w blasku słońca lśniły złotem. Na widok brata oczy mu zamigotały.

– Co ty tu robisz, ofermo?! – zawołał Alvin, chwytając go w objęcia.

Calvin roześmiał się i także go uścisnął.

– Przybyłem cię wyciągnąć z wielkiej biedy. Tak myślę, choć twoja żona nie chciała pisać ani słowa więcej.

– Dobrze, że cię widzę! Choć żaden z nas nie ma pojęcia, po co znaleźliśmy się tutaj.

– A nie, to wiem – odparł Calvin. – Nie wiem tylko, po co Peggy nas przysłała.

– Więc...? Powiesz mi?

– Znaleźliśmy się tutaj, ponieważ pora zapomnieć o małoszkowych urazach i razem przystąpić do pracy, żeby naprawdę zmienić świat.

Ich rozmowa nie trwała nawet minuty, a Alvin już zaczął cicho zgrzytać zębami. Małoszkowe urazy? To Calvin bez przerwy chodził obrażony i to Calvin postanowił opuścić Kościół Vigor i ruszyć Bóg wie dokąd – do Francji i Anglii, Camelotu, Filadelfii, a także wielu innych miast, o których Alvin nie miał pojęcia. To Calvin przestał pracować nad swoim talentem i musiał się wszystkiego nauczyć na własną rękę.

Najwyraźniej wiedział już wszystko i był gotów zająć miejsce u boku brata

jako jego równorzędny partner. Lecz Alvin nie miał najmniejszych złudzeń, że będą pracowali razem. Calvin będzie go wspierał, jeśli będzie miał ochotę, a jeśli nie, to nie.

A kiedy naprawdę narozrabia, ja będę musiał naprawiać to, co on zepsuje, pomyślał Alvin.

Nie, nie, to niesprawiedliwe. Trzeba dać szansę chłopakowi.

Mężczyźnie, chciałem powiedzieć.

A może jednak nie.

– No dobrze – odezwał się Calvin. – Może jeszcze nie zapomnieliśmy o naszych małostkowych urazach.

Alvin zdał sobie sprawę, że nie odpowiedział.

– Jakich urazach? Myślałem, jak podzielić nasze zadania.

– Dlaczego nie myślisz na głos? Może zdołałbym wtedy pod rzucić ci jakiś pomysł, zamiast czekać na twój.

Powiedział to z uśmiechem, lecz Alvin omal nie parsknął. Tyle na temat przewyciężonych uraz.

– A gdzie ten Francuz, z którym podróżowałeś parę lat temu?

– Balzac? Wrócił do Francji. Pisze wywrotowe powieści, w których Napoleon wychodzi na osła.

– Napoleon na to pozwala?

– Jeszcze nie wiadomo. Balzac na razie żadnej nie opublikował.

– Są dobre?

– Trzeba się samemu przekonać.

– Nie czytam po francusku – powiedział Alvin.

– Szkoda. Teraz wszystko godne uwagi jest po francusku.

Nie krępuj się, pomyślał Alvin. Zademonstruj swoją wyższość. Jeśli chodzi o francuski, naprawdę jesteś ode mnie lepszy i wcale mi to nie przeszkadza.

Dobre wychowanie wymaga, żebyś mi takich rzeczy nie wytykał, ale skoro uważasz, że ja ci wytykam brak talentu do Stwarzania, to... należy ci się.

– Jesteś głodny? – spytał.

– Zjadłem coś na łodzi – odpowiedział Calvin. – Nie miałem nic innego do roboty. Na rzece widać tylko mgłę.

– Nie została na zachodnim wybrzeżu?

Calvin się roześmiał.

– Od czasu do czasu lubię się z nią pobawić. Zrobić jej trochę więcej.

Pewnie z brzegu wyglądaliśmy dziwnie. Jakby chmurka sunęła po wodzie, wypuszczając z siebie strużkę dymu.

Alvin znowu poczuł, że budzi się w nim dawna pogarda. Calvin uparcie

używał swojego daru tylko do popisywania się i zabawy.

On sam także znał tę pokusę, ale przynajmniej starał się nad nią panować, i wstydził się, kiedy ktoś go przyłapał. Calvin się nią pysznił. Jakby nie zauważał kpin Alvina. A może właśnie kpiny go prowokowały. Może chciał doprowadzić do kłótni.

I może się doigra. Ale nie pokłóć się o to, nie teraz.

– Fajna zabawa – powiedział Alvin.

Calvin zerknął na niego z rozbawieniem.

– Pewnie nigdy nie robiłeś mgły?

– Czasami. I czasami ją rozganiałem, jeśli miałem ochotę.

– Na pewno w jakiejś szlachetnej sprawie. No więc z jakimi poważnymi problemami się teraz zmagasz i jaką rolę mi przeznaczasz?

Alvin wyjaśnił mu wszystko, jak najlepiej umiał – opowiedział o żółtej febrze, o tym, jak usiłował wyleczyć jak najwięcej chorych. O plotkach o sierocińcu. O bandzie Jima Bowie. O La Tii i o mieszkańcach Barcy chcących uciec z miasta, zanim zacznie się jatka.

– Ale jak? Na tych łodziach?

– Wśród Francuzów, wolnych Czarnych, niewolników i sierot nie znajdzie się marynarzy.

– Możemy przekonać załogę, żeby została.

– La Tia chce, żebym sprawił, by rzeka się rozstała. Tak jak Mojżesz zrobił to z Morzem Czerwonym. Ale ja podejrzewam, że bardziej przypominałbym Jozuego i jego przeprawę przez Jordan.

On utworzył z wody ścianę, a Izraelici przeszli na zachodni brzeg.

– A tego byś nie chciał.

– To bez sensu. Przede wszystkim trzeba mnóstwa wody, która gdzieś musi mieć ujście. Niewątpliwie skończyłoby się zatopieniem całego miasta, co niekoniecznie doprowadzi do pojednania.

A jak już dojdziemy na drugi brzeg, co zastaniemy? Mgłę i bagna.

I jakichś bardzo podejrzliwych Czerwonych, którzy nie przyjmą nas z otwartymi ramionami. I nie zapominajmy, że trzeba będzie nakarmić te parę tysięcy osób.

Calvin pokiwał głową.

– To było do przewidzenia. Wszyscy mają plan, ale ty jeden widzisz, że to idioci, a ich plan jest do kitu.

Gdyby teraz Alvin zarzucił bratu prowokowanie kłótni, chłopiec spojrzałby na niego wielkimi oczami i spytał: „O co ci chodzi? Przecież to naprawdę idioci, a ich plan jest faktycznie do kitu”.

– To nie idioci – powiedział Alvin. – Zwłaszcza że nie mam innego planu. Ale po drodze przypomniało mi się coś, co kiedyś zrobił Tenskwa-Tawa.

– A, tak, Lolla-Wossiky, ten stary, jednooki, zapijaczony Czerwony.

Na takie określenie wielkiego Proroka krew w Alvinie zawrzała, ale się opanował.

– Teraz pewnie zbyt wiele nie pije – ciągnął Calvin. – Wyleczyłeś mu oko? Oczywiście nie wiemy, co porabia po tamtej stronie mgły. Może pędzi bimber i upija się co czwartek. – Roześmiał się z własnego żartu.

Alvin mu nie zawtórował.

– Och, ty sztywniaku – przestał się śmiać Calvin. – Wszystko bierzesz poważnie.

Tylko ludzi, których kocham, pomyślał Alvin.

– Tenskwa-Tawa zmieszał swoją krew z wodą i nadał jej stały kształt – powiedział.

Calvin skinął głową.

– Nie znam się na talentach Czerwonych – odparł.

– Oni nie mają talentów, tylko jakoś czerpią moc z natury.

– No, to już całkiem głupie. Wszyscy jesteśmy ludźmi, tak?

Czerwoni mogą się żenić z Białymi, tak? Więc co miałyby ich dzieci, pół talentu? Jak wygląda takie pół talentu? I co, czerpią z na tury połowę mocy?

– A ja myślałem, że nie znasz się na talentach Czerwonych – mruknął Alvin. – Tymczasem okazuje się, że według ciebie ich talenty są takie same jak nasze.

– No, jak się będziesz ciągle klócić, pożałuję, że przyjechałem.

To będzie nas dwóch, pomyślał Alvin.

– Więc uważasz, że potrafisz zrobić to samo, co stary Lolla– Wossiky – mówił dalej Calvin. – A potem? Nadasz stały kształt całej rzece? Zrobisz na niej most, pod którym będzie płynąć reszta nurtu?

– Nie, myślałem o jeziorze Pontchartrain.

– Gdzie to jest?

– Na północ od miasta. Wielkie słone jezioro, ale płytkie.

Można w nim łowić krewetki i raki, kursuje po nim prom, lecz nieczęsto przewozi ludzi, bo na drugim brzegu nie ma nic godne go uwagi. Ludzie na ogół podróżują łodziami w górę rzeki lub statkami w dół. Ale przynajmniej na drugim brzegu jeziora są do my, jedzenie, dach nad głową i nie ma wściekłych Czerwonych, którzy nas spytają, co robimy na ich ziemiach.

– Za to jest cały komplet wściekłych gospodarzy, którzy nas spytają, po diabła sprowadzamy na ich plantacje bawełny trzy tysiące ludzi, w tym

wolnych Czarnych i zbiegłych niewolników.

No, taką dyskusję warto toczyć, pomyślał Alvin. To nie zwykła przepychanka, lecz naprawdę ważne argumenty.

– Hm... Wściekliby się, gdybyśmy przyprowadzili trzydziestu uciekinierów. Ale my przyjdziemy z trzema tysiącami. Podejrzewam, że mogą się zdecydować na pokojowe rozwiązanie. Dadzą nam jedzenie i grzecznie poproszą, żebyśmy ruszali w swoją stronę.

– Możliwe – przyznał Calvin. – A możliwe, że poślą po królewskich żołnierzy, by was nauczili rozumu.

– A królewscy żołnierze mogą gdzieś natrafić na mgłę.

– Aha! Wiedziałem, że pomysł z mgłą okaże się twój!

– Myślałem, że chcesz, żebym brał twoje pomysły pod uwagę – odparł Alvin, uśmiechając się, choć miał ochotę walnąć brata w nos.

– Tylko nie zapominaj, że są moje.

– Cal, pomysły nie są jak ziemia, wiersze czy dzieci. Jeśli mi podsuniesz pomysł, który mi się spodoba, stanie się mój, a nie przestanie być twój. I będzie należeć do wszystkich na tym bożym świecie, którzy go uznają za dobry.

– Ale ja pierwszy na niego wpadłem!

– No, jeśli jesteś taki zasadniczy, to przypuszczam, że Bóg wpadł na niego na długo przed naszym urodzeniem.

– I pewnie to ja będę muszę robić mgłę, a sobie zostawisz cuda z wodą.

– Nie wiem. Nigdy nie otoczyłem miasta mgłą. A ty nigdy nie zmieszałeś krwi z wodą, żeby zmienić ją w szkło. Więc jeśli obaj zajmujemy się tym, co jest nam znane...

– Już mi wyznaczyłeś rolę – rzekł Calvin.

– Coś ci powiem. Ja wezmę na siebie mgłę i wodę, a ty wsiadaj na pokład i wracaj tam, gdzie żyłeś przez sześć ostatnich lat.

– Więc mnie nie potrzebujesz? Peggy znowu się pomyliła.

– Owszem, potrzebuję... Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi wyprowadzić niewinnych albo prawie niewinnych ludzi z Barcy, nim zacznie się rzeź. Ale nie potrzebuję kogoś, kto się kłóci i odwraca moją uwagę od tego, co muszę zrobić. Taki ktoś może sobie wsadzić głowę w koński zadek.

Calvin tylko się roześmiał.

– Koń byłby pewnie jeszcze mniej zadowolony ode mnie.

– Masz rację. Zapomniałem, że konie też mają prawa.

– Spokojnie, stary, spokojnie. Nie znasz się na żartach?

– Znam się bardzo dobrze. Wydaje ci się, że jesteś jak zwinny pies, który

drażni powolnego byka. Ale chyba nie przyszło ci do głowy, że czasami psy nie są takie zwinne, a byki takie powolne.

– Grozisz?

– Przypominam, że nie jestem najcierpliwszym człowiekiem na świecie.

– Nie masz cierpliwości do mnie? Ukochanego młodszego braciszka?

– Do ciebie trzeba mieć osiem beczek cierpliwości. Jeszcze nie wiesz, co się dzieje z człowiekiem, któremu się skończy ósma beczka.

– Owszem, czasami denerwuję ludzi – przyznał Calvin. – Ty też.

– Pewnie tak – zgodził się Alvin, myśląc o Jimie Bowie.

– Więc przerzucisz most nad tym Pożar Trę?

– Podobno mówisz po francusku.

– To miało być po francusku? – roześmiał się Calvin. – A! Już rozumiem.

Pont Chartrain!

Wymówił to z przesadnym akcentem. Alvin nie mógł się opanować.

– Pół Żarł Tę? Nie potrafię wymówić tych kanciastych francuskich słów.

Znowu jakby wróciły dawne czasy, kiedy wymieniali docinki.

– To najlepszy francuski akcent, jakiego można się spodziewać po wędrownym kowalu.

– Oj! Przez ciebie będę musiał się zabierać z workiem do Paree.

– Jeśli się porządnie umyjesz, zabiorę cię na spotkanie z samym

Bonapartem.

– Nie, dziękuję. Raz go spotkałem i drugiego razu nie będzie.

Raptem twarz Calvina spochmurniała, a w płomieniu jego serca Alvin ujrzął gniew.

– Och, wybacz, zapomniałem, że pozjadałeś wszystkie rozumy na długo przed tym, jak pojawił się mały Calvin.

– Nie bądź taki...

– Jaki? Jak chciałeś mnie nazwać, braciszku?

– Spotkałem go, kiedy byłem dzieckiem, i mi się nie spodobał. Tobie najwyraźniej tak. I co z tego? Przyjechał do Ameryki, zanim obalił monarchię. Co mam robić, udawać, że go nie znam, żeby cię nie sprowokować? Czy tylko ty masz prawo spotykać sławnych ludzi?

– Zamknij się! – burknął Calvin i poczłapał przed siebie.

Ponieważ Calvin potrafił bez najmniejszego trudu znaleźć płomień serca brata, Alvin nie zmartwił się jego odejściem. Ruszył do domu, modląc się, żeby Margaret przysłała mu innego pomocnika. Na przykład Verily Coopera – to był dobry człowiek, nie w głowie mu głupie kłótnie. Albo Measure’a. Każdy z braci byłby bardziej przydatny niż Calvin.

Ale prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czy potrafi zrobić i utrzymać gęstą mgłę i jednocześnie wykonać sztuczkę z wodą – tak żeby kogokolwiek oszukać. Arthur Stuart był zdolny, lecz nadal nie potrafił pojąć istoty Stwarzania. Alvin powinien się uważać za szczęściarza, jeśli nauczy go podnosić parę z imbryka, a co dopiero prawdziwą, fachową mgłę. Dlatego Calvin był mu potrzebny. Dobra, gęsta mgła nie tylko ich ukryje – spadnie dziś w nocy na całe miasto. Dzięki temu ludzie ich nie znajdą, dopóki cała grupa nie przeprawi się bezpiecznie przez jezioro i nie odejdzie.

Margaret słusznie przysłała tu jego brata. Alvin będzie musiał zacisnąć zęby i nie reagować, kiedy Calvin doprowadzi go do szaleństwa.

Wielkim osiągnięciem Arthura Stuarta okazało się skombinowanie piętnastu płóciennych toreb, w których starsze dzieci mogły nieść zapasy jedzenia. Papa Łoś i Mama Wiewiórka doglądali pakowania, sprzecząc się bez końca, czego naprawdę potrzebują. Papa Łoś upierał się, że powinni zabrać zapasowe ubrania, natomiast Mama Wiewiórka chciała tylko jedzenie.

– Zgłodnieją szybciej, niż zedrą ubrania – powiedziała.

– Ale choćbyśmy wzięli jak najwięcej zapasów, i tak wkrótce się skończą, a jeśli będziemy musieli zdobywać jedzenie, dzieci nie powinny chodzić w łachmanach.

– Jeżeli możemy sobie pozwolić na kupowanie jedzenia, to i na ubrania nam wystarczy. A jedzenie przyda się najpierw.

– Możemy brać jedzenie z drzew i pól.

– No, jeśli mówisz o kradzieży, to ubrania możemy zabierać ze sznurków z praniem.

– Jeśli znajdziemy takie, które będą pasować.

– W tym domu nie ma dziecka, które nosiłoby ten sam rozmiar przez pół roku.

I tak w kółko. Tymczasem, ku uciesze Arthura Stuarta, rozpakowywali sobie nawzajem torby niemal tak szybko, jak pakowali własne. Dzieci były chyba przyzwyczajone do takich scen i większość toreb znajdowała się w sąsiednim pokoju, gdzie dzieci starannie pakowały do nich jedzenie z kuchni. Najwyraźniej zgadzały się z Mamą Wiewiórką.

– I tak mi się nie podobają nasze ubrania – powiedziało jedno do Arthura Stuarta. – Już wolę iść na golasa.

W tej samej chwili w kuchni rozległ się krzyk. Wszyscy popędzili w tamtą stronę.

Papa Łoś leżał zgięty wpół na podłodze, trzymając się za okaleczoną nogę

i krzycząc z bólu.

– Co się stało?! – krzyknął Arthur przez wrzask dzieci.

– Nie wiem, nie wiem! – odkrzyknęła Mama Wiewiórka.

Arthur Stuart ukląkł przy Papie Łosiu, odsuwając sobie z drogi kilkoro dzieci. Ujął w dłonie jego stopę i zaczął rozwiązywać rzemienie przymocowane do podeszwy. Jęki ucichły niemal natychmiast – ale nie z ulgi. Arthur Stuart zorientował się, że Papa Łoś zemdlął.

Nikt nie usłyszał pukania do drzwi – jeśli w ogóle się rozległo. Zauważyli gościa dopiero wtedy, kiedy się odezwał.

– Tak to się kończy, jak kuchnia jest za mała.

Arthur Stuart podniósł wzrok. Młodszy brat Alvina.

Calvin pokręcił głową.

– Sparzył się o płytę?

– Nie wiem – powiedział Arthur Stuart.

– Alvin niczego cię nie nauczył?

Arthur Stuart zgrzytnął zębami, ale nie dał się odciągnąć od tematu.

– Coś mu się stało w nogę.

Calvin ukląkł koło Arthura i zaczął badać Papę Łosia.

– Stopa jest zniekształcona – oświadczył.

Arthur Stuart spojrzał na Mamę Wiewiórkę. Podniósł brew, jakby mówiąc: jak to dobrze, że jest z nami prawdziwy lekarz, który nam powie to, co wiemy od dawna.

Calvin podniósł głowę i wyszczerzył zęby.

– Jestem Calvin Stwórca, brat pewnego wędrownego kowala, który chyba zamieszkał w tym domu.

Tym razem naprawdę rozwścieczył Arthura Stuarta. Nazwał się Stwórcą, podczas gdy Alvin nie rościł sobie do tego praw, a przecież był dziesięć razy lepszy od Calvina.

Ale Arthur ugryzł się w język. Nic by nie zyskał, wadząc się z Calvinem.

– Sprawdzam położenie kości w jego stopie. Mięśnie wokół nich nabrały niewłaściwego kształtu. – Calvin przez chwilę obmacywał stopę Łosia.

– Co robisz? – spytała Mama Wiewiórka.

– Nie do wiary! Alvin tak długo mieszka z wami i nawet się nie zainteresował stopą twojego męża.

– Mój mąż radzi sobie znakomicie.

– No, teraz będzie sobie radził lepiej. Wszystko ułożyłem, jak trzeba. –

Wstał i podał jej rękę. – Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczai, ale za parę tygodni będzie chodził lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

– Za parę tygodni? – syknęła, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę. – Widzę, że jesteś strasznie dumny ze swojej mocy, ale mógłbyś nas spytać, czy to dobry dzień na leczenie. Dziś w nocy musimy przejść wiele mil! Dziś i przez wiele następnych tygodni.

– A on miał iść z tą kulawą nogą? – spytał Calvin.

Arthur Stuart usłyszał w jego głosie kpinę i zorientował się, że niewdzięczność Mamy Wiewiórki mocno go zirytowała.

– Niektórzy – powiedziała Mama Wiewiórka – są tak dumni ze swoich talentów, że nawet im nie przyjdzie do głowy, iż ludzie mogą sobie nie życzyć, by je publicznie demonstrowano na ich przykładzie.

– No cóż. Dobrze pamiętam, jak wyglądała ta stopa. Mogę jej przywrócić dawny kształt.

– Nie możesz – odezwał się Arthur Stuart.

Calvin spojrzał na niego chłodno.

– Nie?

– Ta stopa została zmieniona, zanim tu wszedłeś. Dlatego krzyknął z bólu i upadł. Coś przemieściło wszystkie kości jego stopy, kiedy była jeszcze opasana rzemieniami. A to wszystko wydarzyło się dobre pięć minut temu.

– Bardzo ciekawe.

– Więc sam rozumiesz, że kości, które teraz zbadałeś, nie wyglądają tak jak poprzednio.

Calvin pokręcił głową ze smutkiem.

– Arthurze Stuart, czy Alvin wie, że usiłowałeś leczyć tego biedaka, nie pytając go o zdanie?

– Nieprawda!

– Więc skąd wiesz, jak ta stopa wyglądała przedtem? Nie zaprzeczaj, zawsze byłeś kiepskim kłamcą.

– A skąd ty wiesz, jaki zawsze byłem?

– Och, w takim razie pewnie zawsze byłeś dobrym kłamcą.

Nie ma się czym szczycić, ale skoro ci tak zależy... – Calvin pod szedł do drzwi i wyjrzał na podwórko. – Mogę skorzystać z wygod ki? Już dawno zszedłem z pokładu statku. Pisuar się przyda.

Mama Wiewiórka machnęła ręką. Ledwie Calvin zniknął, znowu uklękała przy Papie Łosiu.

– On to zrobił, prawda? – spytała. – Zanim wszedł.

– Lubi efektowne wejścia – zgodził się Arthur Stuart. – I uwielbia imponować Alwinowi przy każdej okazji.

– Jak śmiał sprawić mojemu mężowi taki ból! Wydaje mu się, że nie

wiemy, kim jest Alvin? Że nie poprosilibyśmy go o wy leczenie nogi, gdybyśmy tego chcieli?

– Calvin nigdy nie przyzna, że on to zrobił. Lepiej niech Papa Łoś zacznie się uczyć chodzić z taką nogą. Macie drugi but od tej pary?

– Drugi but? Od pary? – parsknęła Mama Wiewiórka. – On nigdy w życiu nie kupił pary butów.

– Więc to jego jedyny but?

– Ma drugi, na niedzielę.

– Niech włoży na drugą stopę.

– Nie będzie pasować.

– Boso będzie mu jeszcze bardziej niewygodnie.

Mama Wiewiórka posłała parę dzieci na poszukiwanie niedzielnego buta Papy Łosia. Potem znowu spojrzała na Arthura Stuarta.

– Pewnie nie wiesz, jak go ocucić?

– Nie grzebię w cudzych głowach ani stopach – odpowiedział z naciskiem.

– Poza tym Calvin nie sprawił się najlepiej. W tej stopie nadal nic nie jest na swoim miejscu, nawet jeśli z zewnątrz wygląda mniej więcej dobrze. Kiedy Papa Łoś się ocknie, będzie go bardzo bolało.

– Więc niech śpi. Ja tylko... Odkąd go znam, nie widziałam, żeby tak leżał. Tyle razem przeżyliśmy, a ja nigdy się nie bałam... aż do teraz.

– Kiedy Alvin tu wróci, wszystko naprawi – zapewnił ją Arthur Stuart.

– Och... mam nadzieję...

– Lepiej dalej się pakujemy.

Dzieci znowu zabrały się do ładowania żywności do worków. Zapasowe ubrania wypakowano i zostawiono w salonie.

– Dla biednych – wyjaśniła Mama Wiewiórka.

Arthur Stuart zastanowił się, czy zna jakąś definicję słowa „biedny”, która nie dotyczyłaby jej i jej wielkiej głodnej rodziny.

Alvin siedział na podmokłym brzegu koło domu Marii od Zmarłych, mocząc bose stopy w wodzie. Obok przepłynął aligator. Rzucił na niego okiem i przez chwilę się zastanawiał – Alvin zobaczył to w jego płomieniu serca. Błysk głodu. Ale poprosił go, żeby zapolował gdzie indziej, i zwierzę posłusznie ruszyło dalej.

Dokładniej – Alvin włożył do mózgu aligatora wizję jego wydartych wnętrzności i skojarzył ją z własnym obrazem, a zwierzę od razu dodało dwa do dwóch.

Dobrze jest umieć odstraszać aligatory, pomyślał Alvin. Mógłbym zająć się

tym zawodowo. Nazywaliby mnie Al Aligator i zawsze by pytali, dlaczego nie noszę butów albo paska z krokodyłowej skóry. A ja bym odpowiadał: Jak mam zdobyć skórę aligatora, skoro żaden się do mnie nie zbliża?

Takie zajęcie podobało mu się bardziej niż to, którym go obarczono – odpowiedzialność za życie setek ludzi i ani jednego pomysłu na to, jak ich uratować.

Parę razy kolnął się nożem, żeby utoczyć trochę krwi. Zawstydził się. Czy jest o krok od złożenia meksykańskiej ofiary? Stracił krople krwi do mętnej wody i poczuł, jak się rozplywa i znika.

Raz już tak zrobił, na „Yazoo Queen”, ale nie z rzeczna wodą. Była to woda pitna, już oczyszczona. Krew nie miała gdzie uciec, natychmiast zmieszała się z wodą i Alvin ukształtował ją tak, jak chciał. Ale jak nadać kształt niemal nieskończonemu zbiornikowi wodnemu, pełnemu zanieczyszczeń?

Więcej krwi? Otworzyć żyłę? Tętnicę?

A może otworzyć tętnicę aligatora, co?

Nie, to na nic. Stwórca staje się jednością z tworzonym dziełem. Tyle wiedział na pewno.

Poza tym przez całe dzieciństwo woda usiłowała go zabić, aż ojciec zakazał mu pić ze strumienia, bo bał się, że syn się zadławi lub utopi.

Przestań myśleć, powiedział Alvin do siebie. To nie nauka ścisła, to nie ma nic wspólnego z badaniem guzów na głowie czy puszczaniem pacjentowi krwi. To poważne sprawy i musisz otworzyć umysł na pomysły, które mogą nadejść – niech znajdą w nim dla siebie miejsce.

Dlatego zajął się oczyszczaniem wody. Nie było to trudne – z płynami i ciałami stałymi szło mu dobrze. Potrafił je oczyszczać, prosząc, by to, co jest ich naturalnym składnikiem, pozostało, a wszystko inne odeszło. Jaja komarów, małeńkie zwierzątka, drobinki szlamu, wszystkie stworzenia duże i małe, a nad tym wszystkim słona zawiesina morskiej wody – poprosił je, by poszły gdzie indziej, i raptem pod odbiciem drzew ujrzał błotniste dno i swoje bose stopy.

Interesująca rzecz: spoglądać w wodę, widząc jednocześnie dwa poziomy – odbicie na powierzchni i to, co się znajduje pod spodem.

Przypomniawszy sobie, jak znalazł się w środku wiru wraz z Tenskwa-Tawą, a w ścianach ze znieruchomiałej wody ujrzał nie zwyczajne odbicie, lecz rzeczy oddalone w czasie, ukrytą wiedzę. Był zbyt młody, by wtedy to zrozumieć, i nie miał już pewności, czy naprawdę to wszystko pamiętał, czy też pamiętał to, co zapamiętał, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

Siedział całkiem nieruchomo i nagle usłyszał pewnego rodzaju pieśń bez słów. Nie rozlegała się w jego głowie. Była to inna pieśń, znajoma, którą słyszał już wiele razy, biegnąc niczym wiatr przez lasy. Była to zielona pieśń życia, drzew, mchu, ptaków, aligatorów, ryb, węży i maleńkich, przelotnych jak mgnienie stworzonek. Razem tworzyły głęboką harmonię, która przenikała go na wylot i sprawiała, że poczuł się jedynie małą nutką w tej pieśni.

Kiedy tak słuchał zielonej pieśni i wpatrywał się w wodę, z jego dłoni spadła kolejna kropla krwi i zaczęła się rozpląwać.

Tym razem pozwolił swojemu przenikaczowi rozpląnąć się wraz z krwią, pójść za tym znajomym płynem, ocieplając go, pozwalając mu się połączyć z wodą, jakby wszystko to było częścią składową tej samej melodii. Nie istniały w niej żadne granice, ale on sięgnął ku krwi i przypomniał jej, że należy do niego i nie jest utracona – tak jakby serce nadal tłoczyło ją przez jego żyły. I krew go usłuchała.

Zacząła tworzyć ścianę, stawać się ciałem stałym, niczym bardzo cienka tafla szkła. Następnie utworzyła kratę, na którą wpełzły skomplikowane, nieustannie przepływające strużki wody, które nigdy nie oddalały się od orbity niemożliwie rozcieńczonych smużek krwi.

Woda wirowała coraz szybciej, tysiące milionów maleńkich wirów wokół nieruchomych nitek. Alvin ujął wodną kulę w obie ręce i uniośł ją nad czyste wody jeziora Pontchartrain.

Była ciężka – musiał nateńczyć wszystkie siły, żeby ją podnieść. Pożałował, że uczynił ją tak wielką. Była o wiele cięższa od pługa, który nosił w worku. Ale była także dziwnie nieruchoma. Choć wiedział, że w jej wnętrzu nieustannie wiruje woda, w dotyku wydawała się nieruchoma jak głaz. A kiedy w nią spojrział, ujrzał wszystko naraz.

Zobaczył, z jakim trudem przychodził na świat, poczuł naciskające na niego ściany łona matki i własny opór, słyszał jej krzyk, ujrzał płócienne ściany wozu, który kołysał się, podskakiwał i skrzypiał. Raptem znalazł się na zewnątrz i zobaczył wielkie przewrócone drzewo sunące niczym taran prosto na wóz, prosto na niego, na to pełne nadziei, rozzłoszczone, rozgorączkowane nowo narodzone dziecko – a potem rozległ się głośny krzyk i jakiś mężczyzna skoczył wprost na drzewo. Odepchnął je na bok, tak że minęło wóz o włos i pomknęło nurtem rzeki...

Teraz ujrzał dziewczynkę, która wyciąga rękę do noworodka. Jeszcze nie zdołał zaczerpnąć oddechu, ponieważ całą jego twarz opinał czepek niczym straszna maska. Zdarła go i noworodek zaczął płakać. Dziewczynka trzymała czepek czule w dłoniach, jakby był sercem meksykańskiej ofiary. Poczuł, że

między dzieckiem i czepkiem jest jakaś więź, i zrozumiał, że to mała Peggy, która w chwili jego narodzin miała pięć lat, a teraz jest jego żoną. Z tego starego, wysuszonego czepka nie zostało już prawie nic, ponieważ Peggy rozcierała go w palcach na proszek za każdym razem, gdy chciała sobie pożyczyć moc Alvina i uratować mu życie.

A terazniejszość? – pomyślał. Gdzie terazniejszość?

Ciężka kula jakby odpowiedziała na jego myśli, a może po prostu spełniła jego życzenie. Zobaczył samego siebie klęczącego w wodzie na brzegu Pontchartrain. Do wody kapła ciężko jego krew, a w jeziorze krystalizowała się ścieżka szeroka na sześć stóp i cienka niczym tafelka lodu na miednicy zostawionej na oknie w jesienną noc, gdy chwyta pierwszy mróz. Ludzie zaczęli na nią wstępować – parami, trójkami, dziesiątkami, setkami, ogromny, długi szereg. Ale raptem zdał sobie sprawę, że ten szereg zwalnia, zatrzymuje się i ludzie stają, wpatrzeni w szklaną taflę, w której zobaczyli to samo co Alvin.

Nie mogli ruszyć, tak bardzo pochłonęły ich oglądane wizje. Stali zbyt długo, a jego krew ciągle spływała do wody.

Rapem ujrzał siebie, jak mdleje, pada na most, który natychmiast zaczyna się kruszyć i załamywać. Ludzie wpadają z krzykiem do wody, miotają się w niej i...

Upuścił kryształową kulę. Wpadła do wody z pluskiem.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że natychmiast się rozplynęła, ale kiedy sięgnął do wody, namacał ją znowu.

I jeszcze raz ją wydzwignął.

Myślałem, że to, co w niej widzę, to rzeczywistość, pomyślał. A jednak to nie może być prawda. Margaret by mnie tu nie przysłała, gdybym nie miał dość mocy, by stworzyć most zdolny wytrzymać przejście wszystkich ludzi.

Spojrzał na kryształową kulę. Nie mogę jej tu zostawić, pomyślał. Ale nie mogę jej też zabrać. Jest zbyt ciężka. Nie udźwignę jej razem z pługiem. Nie teraz, kiedy mam takie zadanie.

– Ja ją wezmę – odezwał się cichy głos za jego plecami.

Zobaczył jej odbicie w kryształach. Dziwne, ale krzywa płaszczyzna nie zniekształciła obrazu.

Zresztą nie widział jej na powierzchni kryształu, lecz w jego wnętrzu – i natychmiast wiele się o niej dowiedział.

– Nie jesteś Francuzką – rzekł. – Jesteście Portugalkami, ty i twoja matka. Ona ma talent do rekinów. Zabierali ją w kolejne rejsy, bo potrafiła odstraszać morskie potwory. Ale jeden żeglarz wykorzystał ją i zaszła w ciążę. Uciekła ze

statku, przyплыnęła na grzbiecie rekina na wybrzeże. Urodziła cię u ujścia tej rzeki.

– Nigdy mi nie mówiła – odparła Maria od Zmarłych. – Może tak, może nie.

Alvin wstał; nogi nadal miał w wodzie. Podał dziewczynie kulę.

– Jest ciężka.

– Poniosę każdy ciężar – odparła. – Byle z własnej woli.

I tak było. Brzemie nieco przygięło ją do ziemi, ale go nie wypuściła.

– Nie patrz na nią.

– Mam ją przed oczami. Jak mam nie patrzeć? – zaprotestowała, a jednak mocno zacisnęła powieki. – Wystarczy mi to, co już wiem o ludziach. Nie chcę wiedzieć nic więcej.

Alvin zdjął koszulę i owinał nią kulę.

– Teraz ja ją poniosę.

– Nie – odparła Maria od Zmarłych. – Dziś w nocy będą ci potrzebne wszystkie siły.

Dzieci siedziały na podłodze w każdym pokoju na parterze. Starsze trzymały worki pełne wszystkich zapasów, jakie znalazły w domu. Arthur Stuart z podziwem przekonał się, że wszystkie bez wielkich awantur wykonywały polecenia Mamy Wiewiórki.

Nie wiadomo było tylko, co robić z Papą Łosiem. Leżał na podłodze w kuchni, już całkiem przytomny, mocno zaciskając oczy. Usiłował nie jęczeć, nie krzywić się, ale z oczu płynęły mu strumienie łez, które ginęły we włosach za uszami. Arthur Stuart dałby wszystko, żeby mu ulżyć. Wiedział, że wszystkie małe kosteczki jego stóp mają zły kształt i nie pasują do siebie, ścięgnię i więzadła są czasami za krótkie, a czasem za długie. Jednak nie wiedział, jak nadać im właściwy kształt.

Alvin wszedł do kuchni. Był nagi do pasa; teraz Arthur Stuart zauważył, o ile Alvin zeszczuplał od czasów, kiedy codziennie pracował w kuźni. Oczywiście w porównaniu z Arthurem nadal był masywny.

Zanim Arthur Stuart zdążył się zdziwić, co Alvin zrobił z koszulą, pojawiła się Maria od Zmarłych, niosąc jakiś przedmiot owinięty w przyodziewek Alvina.

Calvin, który sprawił Papie Łosiowi tyle bólu, nie pojawił się ani na chwilę, ale ledwie Alvin wrócił do domu, oczywiście nadszedł, nawołując brata.

– No, w samą porę! Szkoda, że nie widziałeś, jak narozrabiał twój szwagier, który zabrał się do leczenia stopy tego dobrego człowieka.

Arthur Stuart nie raczył odpowiedzieć. Alvin za dobrze znał Calvina, żeby uwierzyć.

Alvin stanął nad Papą Łosiem. Zamknął oczy. Arthurowi Stuartowi przez chwilę wydawało się, że czuje przenikacz Alvina we wnętrzu stopy Łosia. Alvin odezwał się cicho, nie patrząc na nikogo:

– W tę wyjątkową noc potrzebne mi wszystkie siły, a teraz mam je marnować na coś, co mogło poczekać tydzień albo i rok.

– Więc niech zaczeka! – odezwała się zapalczywie Mama Wie wiórka. – Myślisz, że brak mu męstwa, żeby to znieść? O nie. Ja go poniosę, jeśli będzie trzeba, ja i starsi chłopcy. Mój Łoś nie chce od nas wiele. Umarłby za te dzieci, Alvinie, przecież wiesz. Wszyscy wiedzieli, że to prawda.

– Ale ja chcę, żeby mógł chodzić – odparł Alvin. – Potrzebuję jego siły. Użyczę mu trochę własnej, a potem on użyczy jej mnie.

Arthur Stuart starał się śledzić poczynania Alvina, ale nie nadążał. Alvin miał zbyt wielką wprawę. Kości, które nie miały właściwego kształtu, nagle go odzyskały. Zaplątane ścięgna wślizgiwały się na miejsce niczym węże. Nie minęła minuta, a wszystko było gotowe. Papa Łoś krzyknął.

Nie, to nie był krzyk. To było głośne westchnienie ulgi, tak gwałtowne, że zabrzmiało jak krzyk.

– Niech Bóg cię błogosławi, panie – powiedziała Mama Wie wiórka.

Papa Łoś wstał i natychmiast się przewrócił, usiłując zrobić krok.

– Nie wiem, jak to się robi. Umiem chodzić tylko po staremu.

Prawa noga jest za długa.

– Oprzyj się na mnie – powiedziała Mama Wiewiórka. Zrobił to i udało mu się utrzymać równowagę.

– Idźcie do Doku Francuza – polecił Alvin. – Razem z dziećmi. Będę tam przed wami.

– Ja też? – spytała Maria od Zmarłych.

– Ty idź po matkę. Weź bryczkę od Francuzów, żeby to prze wieźć. Ja poszukam drugiej koszuli.

– Ja? – odezwał się Arthur Stuart.

– Do La Tii, powiedz jej, żeby o zmroku zjawiała się ze wszystkimi w Doku Francuza.

Odeszli i Alvin został sam na sam z Calvinem w domu, który po odejściu Łosia i Wiewiórki stał się tylko wielką starą rudera.

– Pewnie mnóstwo rzeczy spartaczyłem – odezwał się krzywo uśmiechnięty Calvin.

– Jesteś mi potrzebny do zrobienia mgły – powiedział Alvin.

– Takiej, żeby zakryła całe miasto. Z wyjątkiem okolic Doku Francuza.
– Nie wiem, gdzie to jest.
– Nieważne. Zrób mgłę wszędzie, a ja ją odepchnę od miejsc, w których mi niepotrzebna. Tylko jej nie spychaj z powrotem.

Nie dodał: „choć raz”.

– To mogę zrobić – zgodził się Calvin.
– Dobrze, że Margaret cię przysłała – dodał Alvin. – I cieszę się, że przyjechałeś.

Stojący pod kuchennymi drzwiami Arthur Stuart usłyszał jego słowa. Nie do wiary! Po tylu sprzeczkach i przykrościach, które sprowokował Calvin, nie wspominając już o tym, co zrobił z Papą Łosiem!

To mogło oznaczać tylko jedno. Alvin nie uwierzył, że to Calvin jest winien zamieszania z Papą Łosiem. A zatem uwierzył w kłamstwo brata i uznał, że Arthur Stuart usiłował leczyć stopę Papy Łosia.

Pełen gryzącej urazy do Calvina, rozżalony, że prawdziwy brat może w ułamku chwili zastąpić w sercu Alvina przybłędę, który powinien być niewolnikiem, Arthur Stuart ruszył biegiem do La Tii.

Calvin stał na grobli oddzielającej miasto Nueva Barcelona od Mizzippy. Nad wodą unosiło się parę setek masztów niczym dziwny, bezlistny las; parowce ciągnęły za sobą statki udające się na pełne morze. Nad miastem zawisła chmura zasilana przez dziesiątki smug dymu i pary.

Dzień był pochmurny i mglisty. W powietrzu unosiła się taka wilgoć, że pot nie parował ze skóry. Spływał Calvinowi po karku, plecach i nogach; chusteczkę po wytarciu czoła można było wyżąć.

Więc nikomu by nie zaszkodziło, gdyby nieco ochłodził powietrze.

Wokół niego nagle zrobiło się chłodniej; skwar uciekł do góry. Temperatura spadła o parę stopni i natychmiast opary zgęstniały, tak by utworzyć chmurę, lecz za mało na deszcz czy rosę. Niełatwo utrzymać temperaturę dokładnie na tym samym poziomie; Calvin musiał ją kilkakrotnie zmieniać, zanim uznał, że jest taka, jak trzeba. Ale kiedy mgła była już gotowa, zaczął ochładzać powietrze coraz dalej i dalej, zmieniając niewidzialną wilgoć w widzialną mgłę.

Zatoczył powolny krąg, rozpościerając mgłę nad miastem. Oto prawdziwa władza – zmienić oblicze świata, oślepić ludzi, zasłonić słoneczne światło i skwar, by niewolnicy i prześladowani mogli uciec na wolność. Biedny Alvin, zawsze ograniczał się zasadami – nigdy nie czuł tej niezmaconej radości co Calvin.

To tak jakby bogacz żył niczym nędzarz. Taki właśnie był Alvin, prawda? Skąpiec strzegący swojej ogromnej mocy. Używał jej tylko pod przymusem, i to do trywialnych celów, przestrzegając zasad ustalonych, by słabi mogli zapanować nad silnymi. Ja ich nie uznaję, pomyślał Calvin. Nie będę chodzić w łańcuchach, a tym bardziej takich, które sam wykuję.

Dlatego pomogę ci, Alvinie – bo mogę, bo cię kocham i nie przeszkadza mi uczestnictwo w twoich szlachetnych zamierzeniach, pod warunkiem że mi służą. Ale mam własne zdanie na każdy temat. Zbieraj uczniów, ucz ich niewydarzonej imitacji Stwarzania, tak jak tego żalosego Arthura Stuarta, któremu odebrałeś jego prawdziwy talent. Ale nigdy nie licz na to, że ja stanę się twoim uczniem. Zbyt wiele lat cię czciłem, chodziłem za tobą krok w krok i błagałem o twoją miłość, uwagę i szacunek. Byłem wtedy dzieckiem. Teraz jestem mężczyzną. Spotkałem się z wielkim cesarzem i zabiłem nikczemnika, któremu ty nie miałeś odwagi odebrać życia, Alvinie.

Nie wystarczy mieć moc. Trzeba jeszcze umieć z niej korzystać.

Mgła pełzła przez miasto, pochłaniała ulicę za ulicą, tłumiała światło zachodzącego słońca.

Niewolnicy czuli oblepiające ich smugi zimnej lepkiej mgły, wyglądali przez okna, przyglądali się znikającym budynkom i myśleli: Dziś przejdziemy przez Jordan do Ziemi Obiecanej.

W dzielnicy francuskiej dzieci i wnuki założycieli miasta, które im ukradziono, wyglądały ze swoich chat i myślały: Nie uwięzicie nas, konkwistadorzy. Możecie zabrać nasze miasto, ale to tylko ziemia. Nie zatrzymacie nas tutaj, kiedy postanowimy odejść.

W najbiedniejszej ze wszystkich dzielnicy Bagno – zamieszkaney przez wolnych Czarnych i nędzarzy Białych – ludzie zobaczyli mgłę i zaczęli pakować swój skromny dobytek. Było im wszystko jedno, kto ich poprowadzi: La Tia, Maria od Zmarłych czy jakiś czarownik z północy. Wszędzie będzie lepiej niż tutaj.

Ale w innych częściach miasta, w pięknych dworach i skromniejszych domach, w hotelach, burdelach i dokach, gdzie ludzie ukryli się przed żółtą febrą, bojąc się wyjść na ulicę – mgła wydawała się biblijną plagą. Nie wyjdę w taką pogodę, myśleli ludzie. Po sprawunki wyślę niewolnika. Niech po ulicach chodzą biedacy i ci, którzy dla interesów są gotowi zaryzykować życie.

Tylko w tawernach, gdzie alkohol na parę godzin budził odwagę i namiętność, strach zmieniał się w nienawiść. Ktoś ściągnął na nas tę żółtą febrę. To te francuskie wiedźmy, ta Maria od Zmarłych i jej matka. Przecież Maria od Zmarłych mówiła, że jej matka zachorowała pierwsza.

Nie, to ci obrzydliwi abolicjoniści, Łoś i Wiewiórka, to oni ściągnęli na nas klątwę, bo nienawidzą nas za to, że traktujemy Czarnych tak, jak Bóg przykazał. Chcecie dowodu? Wszędzie dokoła ich domu ludzie umierają na febrę, ale u nich nikt nie zachorował, nie wyniesiono ani jednego trupa.

– Nie, to nie Łoś ani Wiewiórka – odezwał się mężczyzna, który nosił u pasa nóż tam, gdzie inni mężczyźni mogliby nosić pistolet. – To ich dom, ale zatrzymał się w nim pewien wędrowiec razem ze swym pół-Czarnym kochasiem, którego wykorzystuje tak jak czarownica kota. Nazywa się Alvin i ma worek pełen złota, które ukradł kowalowi, swemu mistrzowi. Powiadam wam, to on przywłókł tu zarazę. Widziano go z chłopcem przy publicznej studni, gdzie pojawiła się zaczarowana woda.

Śluchali go jak zahipnotyzowani. Rwali się do działania. Przybyli do Barcy, żeby walczyć, ale wizja zarazy sprawiła, że armia króla się wycofała, a oni nie mieli się czym zająć. Pięści same się im zaciskały. Alkohol krążył w żyłach. Dobrze by się zabawili, wieszając kogoś. Złapmy tego mężczyznę i jego

niewolnika, powieśmy ich na drzewie albo latarni, niech szarpia pętlę, wierzgają, niech leje się z nich mocz. Akurat jest mgła, dobrze się składa. Nie będzie świadków, a może dzięki temu febra odejdzie, a nawet jeśli nie, i tak warto od czasu do czasu kogoś powiesić. To dobre na krążenie. I dość tych bzdur, że ktoś tam jest niewinny. Gdyby można było czytać w ludzkich sercach, każdy na tym świecie by zasługiwał, żeby go powiesić pięć razy.

Wytoczyli się z tawerny na ulicę i ruszyli, wykrzykując groźby i przechwałki. Paru niosło pochodnie, by nie zgubić się we mgle i ciemnościach; w miarę jak zbliżali się do portu, dołączali do nich pijani, rozniewiani, przestraszeni lub zwyczajnie ciekawscy goście z innych gospód. Dokąd idziemy? Powiesić wędrownego czarownika i jego sługusa.

Na widok tłumu przemykający ulicami niewolnicy uciekali do bram i w zaułki. Ale tamtym nie chodziło o powieszenie pierwszego napotkanego niewolnika. Dziś mieli na oku kogoś wyjątkowego – a wszystko dzięki mężczyźnie z nożem za pasem. Spotkali go pod domem Łosia i Wiewiórki, których najprawdopodobniej także będzie można przy okazji powiesić. W Barcy nie brakuje sznurów.

Arthur Stuart od razu się zorientował, że nazwa Dok Francuza to okrutny żart. W porównaniu z ciągnącymi się milami dokami nad Mizzippy pomost na jeziorze Pontchartrain wyglądał żałośnie. Cumowało przy nim kilka tuzinów łodzi poławiaczy krewetek; ciągle pojawiały się nowe, poławiacze krzyczeli do siebie, pomagając sobie odnaleźć drogę we mgle. Wszyscy mówili po francusku – w języku, w którym Arthur zyskiwał coraz większą biegłość, choć podejrzewał, że mowa rozbrzmiewająca w Nowym Orleanie różni się nieco od tej, którą Calvin słyszał w Paryżu.

Na tym rojnym nabrzeżu nie było miejsca dla pięćdziesięciorga dzieci, więc Łoś i Wiewiórka ukryli się z nimi wśród domków rybaków, usiłując nie rzucać się w oczy. Wielu poławiaczy już wiedziało, co się stanie tego wieczora. Nikt o tym nie rozmawiał. Wszyscy mijali dzieci, ani słowem nie wspominając o ich obecności. Nawet jeśli żaden z nich nie zdecydował się pójść za Marią od Zmarłych, to żaden też nie miał odwagi stanąć jej na drodze.

Zaczęli się także schodzić Czarni. Ci kryli się jeszcze skrupulatniej. Podobnie jak dzieci, nieśli worki i torby, ale żał było patrzeć, takie były nędzne – zwłaszcza kiedy się wiedziało, że uciekinierzy zabrali cały swój dobytek. Kiedy na drodze poławiacza stanął Czarny, słyszał warknięcie lub przekleństwo; było jasne, że nawet dla prześladowanych Francuzów Czarni są kimś gorszym.

Wszędzie unosiły się chmary much; mogły tu bez końca ucztować wśród porzuconych resztek krewetek. Komarów także było mnóstwo; Arthur Stuart wyobraził sobie, jak mali krwio pijcy piją tak długo, aż pękną. Prawie usłyszał dźwięk małych eksplozji, pop, pop, pop!

Ale nie chciał, żeby komary piły krew tych dzieci.

Usiłował wysłać swój przenikacz w głąb owadziego ciała, ale nie potrafił go w nim utrzymać. Poza tym nie zamierzał dokonać operacji, tylko przemówić do komara tak jak Alvin, poprosić, by pofrunął gdzie indziej. Ale nie mógł odnaleźć płomieni ich serc, były za małe i słabe. Nawet płomienie serc wielkich, tłustych i leniwych much były dla niego prawie niewidoczne. Ale i tak spróbował przemówić w myślach do owadów. Odejdźcie, powiedział bezgłośnie. Tu nie ma nic do jedzenia.

Jeśli go usłyszały, nie zwróciły na niego uwagi.

Parę łodzi zdarzyło się ze sobą we mgle. Rozległy się krzyki i przekleństwa. To głupie, pomyślał Arthur Stuart, sprowadzać mgłę tutaj, gdzie jej nie potrzeba. Mgła przypominała metal lub wodę, potrafił w nią wnikać i coś w niej zmienić. Lekko wzburzył powietrze, ściągnął delikatny wietrzyk znad jeziora i zdmuchnął mgłę w stronę miasta, gdzie była potrzebna.

Powietrze szybko się oczyściło. Słońce zachodziło czerwono, a parę ulic od jeziora zaczynała się gęsta mgła. Poławiacze krewetek zacumowali łodzie, wyładowali połów i rozeszli się. Niektórzy ciągnęli wózki z krewetkami, inni pewnie poszli po rodziny, by razem z nimi uciec.

Teraz dobra widoczność przestała być potrzebna. Arthur Stuart uspokoił wietrzyk i mgła wróciła. Wraz z nią zjawiała się cisza, ciężka i gęsta, tłumiąca odgłos kroków i zmieniająca głosy w szept.

Zapadły zupełne ciemności. Arthur zaczął się martwić, że ludzie zgubią drogę albo ktoś wpadnie do wody, dlatego znowu obudził wietrzyk, by oczyścić powietrze w pobliżu brzegu. W oddali rozległy się krzyki; po chwili zrozumiał, że to wściekły tłum idzie ulicami Barcy. Zaniepokoił się losem ludzi, którzy teraz pewnie usiłowali się przedostać nad jezioro. Mgła była im najlepszym sprzymierzeńcem. Nie potrafił wymyślić nic lepszego.

Kiedy mgła się rozproszyła i nabrzeże oświetlił blask księżyca i gwiazd, Arthur Stuart zdał sobie sprawę, że w płytkiej wodzie przy brzegu siedzi Alvin.

Natychmiast podszedł do niego, ale nie odezwał się, bo Alvin wyglądał tak, jakby wpadał w trans. Arthur podszedł do niego i ujrzał w jego ręce nóż. Alvin przecinał właśnie delikatną skórę obok lewej pięty, tuż przy kostce.

Z rany zaczęła powoli wyciekać krew.

Arthur Stuart, niemal odruchowo, wnikał w krew i poczuł, jak się

rozpuszcza w wodzie. Raptem przestała; zaczęła tworzyć sztywną strukturę, delikatne rusztowanie, wokół którego gromadziła się gęstniejąca i krzepnąca woda. Utworzyła coś przypominającego nie lód, lecz cienkie, delikatne szkło.

Płaszczyna utwardzonej wody po obu stronach Alvina zaczęła się rozszerzać, po czym stopniowo się zwężiła, sięgając ku drugiemu brzegowi jeziora. Kiedy miała szerokość rozłożonych ramion Alvina, znieruchomiała i zaczęła się rozciągać na północ. Arthur Stuart czuł jej ruch, ale wiedział także, że skryształizowana woda jest połączona z żywą krwią Alvina, nadal wypływającą z rany i nadającą koronkową wewnętrzną strukturę.

– Widzisz to? – szepnął Alvin.

– Tak.

– Czy możesz zakotwiczyć drugi koniec mostu i dobrze go zabezpieczyć?

– Spróbuję.

– Trzeba więcej krwi, niż przewidywałem – powiedział Alvin – ale mniej, niż się bałem. Nie wiem, czy się zorientuję, kiedy most będzie już odpowiednio długi. Muszę się skoncentrować na tym, co tu robię. Dlatego ty musisz ich poprowadzić – bo to widzisz. Kiedy będziesz na drugiej stronie, zakotwicz most i spraw, żeby przestał rosnąć. Poczuję to i będę wiedział, że się udało.

– Teraz? – spytał Arthur Stuart.

– Jeśli mamy przeprowadzić ich w jedną noc, to lepiej już zacząć.

Arthur Stuart skinął na Łosia i Wiewiórkę. Nie widzieli go. Zawołał więc stłumionym głosem:

– Sprowadźcie dzieci!

Pojawił się Papa Łoś wsparty na ramieniu Mamy Wiewiórki i jednego ze starszych chłopców. Podeszli na brzeg. Arthur Stuart stanął na kryształowym moście.

Wyglądało to tak, jakby stał na wodzie. Wszyscy otworzyli usta, a jedno z dzieci zaczęło płakać.

– Podejdźcie bliżej – zachęcił Arthur Stuart. – Widzicie? To jest gładkie, można po tym bezpiecznie iść. To już nie woda, tylko kryształ. Ale trzymajcie się środka. I weźcie się za ręce. Jeśli ktoś wpadnie do wody, wciągniecie go. Most jest mocny, utrzyma was.

Arthur parę razy tupnął nogą i spuścił wzrok. To, co zobaczył w kryształach, zmroziło go. Jego matka frunęła z noworodkiem przypasanym do ciała. Leciała nad czubkami drzew, kierując się na północ, ku wolności. I nagle nie mogła już lecieć dalej. Wyczerpana runęła na ziemię, płacząc. Teraz zabije dziecko, zrozumiał Arthur Stuart. Lepsze to niż powrót w niewolę. Zabije dziecko, a potem siebie.

– Nie – szepnął.

– Arthurze Stuarcie – usłyszał ostry głos Alvina. – Nie patrz w kryształ.

Z wysiłkiem podniósł wzrok; Łoś, Wiewiórka i reszta przyglądali się mu wielkimi oczami.

– Niech nikt nie patrzy na most – powiedział głośno. – Będą się wam zwidywać różne rzeczy, których tam nie ma. Na to się nie patrzy, po tym się chodzi.

– Nie widzę krawędzi mostu – odezwała się Mama Wiewiórka. – Dzieci nie umieją pływać.

– Nie będą musiały. Niech najmniejsze idą między starszymi.

I niech wszystkie trzymają się za ręce.

– Najmłodsze nie zajądą tak daleko – rzekł Papa Łoś.

Ktoś przedarł się na brzeg. La Tia.

– O to się nie martwcie. Mamy tu mnóstwo silnych ramion, poniosą tych, co nie mogą chodzić. – Wymieniła parę imion i obok niej stanęli młodzi, silni mężczyźni i kobiety, przeważnie Czarni, choć było między nimi paru Francuzów i innych Europejczyków.

– Nie bójcie się, małe – zwróciła się La Tia do dzieci. – Te wielkie ludzie was poniosą, nie bójcie się nic. Powiedz im, niech się cieszą – zwróciła się do Mamy Wiewiórki.

– Nie bójcie się – powiedziała Wiewiórka. – To teraz nasi przyjaciele, przeprowadzą nas przez most, który zrobił dla nas Alvin.

Parę dzieci pisnęło ze strachu, a kilka się rozplakało, ale mocno trzymały się za ręce, posłuszne mimo lęku. Arthur Stuart ruszył przez most, uważając, żeby trzymać się środka. Gdyby się ześliznął do wody, przeraziłby ich.

– Chodźcie za mną! – zawołał. – Jak już zaczniemy iść, nie możemy się ociągać.

– Ja tu zostanę – oznajmiła La Tia. – Popilnuję, czy się wszystko toczy jak trzeba. Wy idźcie, tak. My potem.

Arthur odwrócił się i zrobił dobre dwadzieścia kroków po moście. Znowu się obejrzał. Parę starszych dzieci stąpało za nim ostrożnie. Wrócił do nich i wziął za rękę to, które szło pierwsze.

– Trzymajcie się wszyscy za ręce – rzekł. – Idźcie gęsiego. To daleka droga, ale sobie poradzicie.

– Słuchajcie muzyki – powiedział Alvin. – Muzyki wody, nieba i wszystkich żywych stworzeń wokół was. Zielona pieśń was poprowadzi.

Arthur Stuart dobrze znał zieloną pieśń, choć nigdy nie umiał sam jej znaleźć. Ale ledwie Alvin o niej wspomniał, pieśń stała się słyszalna, jakby

rozbrzmiewała wokół od dawna, a tylko on nie raczył jej dotąd zauważyć. Ruszył dalej, trzymając za rękę idące za nim dziecko, i narzucił grupie tempo, które uznał za odpowiednie dla wszystkich.

W ciemnościach nie widział, jak daleko rozciąga się przed nim most – było tak, jakby szedł po taflí jeziora. Ale jego przenikacz widział most wyraźnie jak w słoneczny dzień.

Początkowo Arthur Stuart nie potrafił opanować lęku, że coś się nie uda. Ktoś spadnie. Jakoś zgubią drogę. Most skończy się, nie sięgając brzegu. Albo zacznie się uginać i przeciekać. Albo skręcać, tworząc spiralę prowadzącą donikąd. Wszystkie możliwe katastrofy.

Ale marsz, chlupot wody i krzyk ptaków zaczęły koić niepokój. To była zielona pieśń. Ogarnęła go niczym trans. Jego nogi zaczęły poruszać się jakby z własnej woli, nie myślał już o tym, by iść, sunął naprzód, jakby stanowił część mostu, jak podmuch wiatru. Ten most stanowił jedność z Alvinem, teraz to rozumiał. Ten most był żywy. Arthur Stuart czuł, jakby Alvin niósł go na rękach nad wodą, jakby woda i wiatr go ciągnęły.

Tylko czasami uświadamiał sobie, że śpiewa. Nie nuci, lecz śpiewa na całe gardło dziwną pieśń, którą znał od zawsze, choć dotąd tego nie wiedział. Dziewczynka za nim podchwyciła melodię i także zaczęła śpiewać, w jej ślady poszło następne dziecko i wkrótce rozległa się pieśń zwielokrotniona przez wiele głosów. Śpiewali także dorośli, ale ich głosy brzmiały nikło, niczym nitki w tkaninie tej wielkiej, rozległej pieśni wiatru, fal, ryb w wodzie i ptaków na niebie, i zwierząt po drugiej stronie jeziora, i ludzi na jeziorze, pochodu ciągnącego się przez pół mili, a potem milę.

Szedł coraz szybciej, nie zdając sobie sprawy, że narzuca tempo, ale dzieci nie narzekały. Nogi niosły je tak szybko, jak trzeba. A dorośli z dziećmi na rękach przekonali się, że wcale nie tracą sił. Dzieci zasnęły, wtulone w swoich tragarzy; ich oddechy stopiły się z rytmem pieśni. Szli i szli, a drugi brzeg był coraz bliżej.

A kiedy wszyscy dołączyli do zielonej pieśni, wydało im się, że most zaczął świecić. Teraz wyraźnie widzieli jego krawędzie; pulsowała w nim zielona pieśń. Przy każdym kroku stawała się silniejsza, a kryształowy most jaśniał mocniej w mroku nocy. Arthur Stuart zdał sobie sprawę, że i oni stali się częścią mostu, ich kroki go wzmacniają, sprawiają, że staje się grubszy i bardziej odporny. A ponieważ most stanowił jedność z Alvinem, dodali sił także jemu, a przynajmniej sprawiali, że akt Stwarzania go nie osłabiał.

Arthur Stuart czuł serce Alvina bijące w kryształowym moście. I pojął, że światło, które z niego bije, to błądy odbłask płomienia serca Alvina.

Wydawało się, że idą przez wieczność. Nagle ujrzeni przed sobą brzeg i było tak, jakby minęła tylko chwila.

Arthur Stuart wysłał swój przenikacz i przekonał się, że most jeszcze nie dotknął brzegu. Dlatego, nie zwalniając kroku, zmierzył przenikaczem przestrzeń pomiędzy krańcem mostu i błotnistym brzegiem i powiedział mostowi Alvinowi: tutaj. Tu jest brzeg. Dojdź do tego miejsca i ani trochę dalej.

Most śmignął naprzód, tak jakby tylko czekał na sygnał. Po chwili zarył się w ziemię.

Arthur Stuart nie przyspieszył kroku, choć miał ochotę przebyć ten ostatni etap biegiem. Za nim szli ludzie, trzymali się za ręce, więc aż do końca utrzymał ten sam rytm kroków, a potem sprowadził idącą za nim dziewczynkę na brzeg.

Poszedł dalej, w stronę lasu. Po drodze mówił do dziecka:

– Wchodzimy do lasu. Inni pójda za nami. Idź, idź, zejdz na prawo, żeby zrobić miejsce innym. I trzymajcie się wszyscy za ręce!

Puścił jej dłoń.

A wtedy zielona pieśń wypuściła go z objęć.

Zatoczył się i omal nie upadł.

Przez chwilę stał w nieprzyjemnej ciszy, łapiąc powietrze.

Szereg ludzi na moście ciągnął się milami, a wszyscy szli szybko, szybciej niż się spodziewał. Nawet Papa Łoś szedł bez trudu, dzielnie, nie wspierając się na nikim.

Łoś i Wiewiórka także się zachwiali, kiedy puścili ręce dzieci, ale natychmiast odzyskali równowagę, nie zapominając o swoich obowiązkach.

Ja też nie zapomnę o moich, pomyślał Arthur Stuart. Rozejrzał się wokół, szukając płomieni serc małych zwierząt. W przeciwieństwie do komarów, węże znalazły się łatwo, choć trudniej było je przekonać, żeby ich zostawiły. Tu niebezpieczeństwo, po wiedział im bez słów. Uciekajcie, ratujcie się. Uśluhały, choć niechętnie. Ogarnęła go radość. Może zachował jeszcze trochę mocy Alvina, dzięki której mógł więcej niż do tej pory. A może przejście po moście Alvina do rytmu zielonej pieśni obudziło w nim coś, co spało aż do tego dnia?

Czy wszyscy, którzy przeszli przez most, staną się Stwórcami?

Tu i ówdzie odciągnął wodę z trzęsawiska, by utworzyć twardą ścieżkę. Od czasu do czasu wysyłał swój przenikacz na most, by sprawdzić, jak sobie radzi Alvin. Most nadal był solidny, a to oznaczało, że płomień serca Alvina płonie jasnym płomieniem. Ale jego ciało było za daleko, żeby Arthur Stuart mógł je

znaleźć; nie potrafił się zorientować, czy Alvin słabnie. Nie mógł także policzyć, ile osób zostało jeszcze na tamtym brzegu ani ile już przeszło.

Jego zadaniem było zapewnienie im bezpiecznego, suchego terenu, na którym mogliby się zebrać.

Wielu ludzi usiadło, potem się położyło i z wciąż rozbrzmiewającym w sercu echem zielonej pieśni zasnęło w bladym świetle księżyca. Ich sny wypełniała melodia życia.

Calvin nie potrafił pohamować ciekawości. W końcu nie musiał stać ciągle na grobli, żeby utrzymać mgłę na miejscu.

Właściwie mgła teraz radziła już sobie sama. A widząc rozgniewane i przerażone płomienie serc sunące ulicami Barcy, Calvin wołał nie stać tu samotnie. Kto wie, co ten tłum zamierza zrobić? A czy nie jest obowiązkiem Stwórcy zapobiegać takim sytuacjom?

Grupa ludzi szła przez dzielnicę francuską; ich wściekłość rosła z każdym napotkanym pustym domem. Druga grupa, głównie portowi pijacy, szukała niewolników, by wrzucić ich do wody. Nie znalazłszy ich, atakowali każdego przechodnia z cudzoziemskim akcentem – albo i bez. Nie było w tym wielkiej logiki, ponieważ miasto nawet nie należało do Amerykanów.

Calvin widział gniew w ich płomieniach serc, a także, oczywiście, strach wrzucanych do wody ludzi.

Najbardziej rozgniewany tłum – który poruszał się w najbardziej zorganizowany sposób – zmierzał wprost do sierocińca, gdzie Alvin nie mógł się powstrzymać, żeby nie udowodnić Calvinowi swojej wyższości, poprawiając po nim stopę wyleczonego mężczyzny. O co ten krzyk? – myślał Calvin. Niby gdzie miałem się nauczyć anatomii? Oczywiście Alvin wiedział wszystko – z wyjątkiem tego, jak naprawdę funkcjonuje ten świat.

Dlatego niech sobie siedzi w słonym jeziorze i wtopia płomień swego serca w most, by mogły po nim przejść najgorsze szumowiny. Cały Alvin! Wszystkim pokazuje, jaki to jest skromny i jak wszystkim służy. Ale Jezus powiedział, że ten, który najbardziej pragnie panować, musi być sługą wszystkich. Czy to nie mówi wiele o Alvinie? I kogo tu zżera ambicja? Calvin nie miał nic przeciwko temu, by stać na uboczu – jak przystało na prawdziwego Stwórcę, co zawsze powtarzał Alvin. Ale Alvin mówi jedno, a robi drugie.

Calvin spokojnie truchtał zamglonymi ulicami – trzeźwi, przyzwoici ludzie siedzieli w domach, przestraszeni nagłą mgłą i krzykami. Pojawili się też żołnierze. Hiszpanie rzekomo szukali buntowników, by ich wylapać, ale starannie sprawdzali wyłącznie najspokojniejsze uliczki, ponieważ starcie

z tłumem nikomu nie przynosi zaszczytu. Jeśli się strzela, dochodzi do masakry; jeśli nie, można oberwać cegłą w głowę.

Więc nie było trudno omijać żołnierzy; Calvin dogonił tłum akurat pod domem Łosia i Wiewiórki. Ludzie aż tak go nie interesowali – tłum to tłum, wszystkie twarze były równie głupie i brzydkie jak zawsze, kiedy ludzie pozwalają podejmować decyzje komuś innemu. Okrutne marionetki i tyle. Najciekawszy wydawał się ciemny, rozpalony płomień serca, który prowadził i podjudzał tłum.

Przywódca z wielkim, masywnym nożem u pasa kpił z przyszłych podpalaczy.

– Co, nigdy nie widzieliście ognia? Dzieci bez przerwy bawią się ogniem, a wy nie potraficie spalić jednej wyschniętej chałupy?

Calvin stanął obok niego.

– Czasami trzeba zrobić coś samemu.

Mężczyzna spojrzał na niego z szyderczym uśmiechem.

– Żeby ktoś doniósł na mnie Hiszpanom? Dzięki, ale nie.

– Nie to miałem na myśli. – Calvin wyciągnął rękę i wskazał dach. W tej samej chwili podgrzał drewniane deski tak, że buchnęły płomieniem.

Tłum wrzasnął z zachwytem; wszyscy najwyraźniej byli zbyt pijani, by zauważyć, że pożar wybuchł bez niczyjej interwencji.

Ale przywódca nie był pijany i tylko na nim Calvin chciał zrobić wrażenie.

– Wiesz co? – odezwał się mężczyzna z nożem. – Wydaje mi się, że jesteś bardzo podobny do pewnego złodzieja i oszusta, nie jakiego Alvina Smitha, który jeszcze dziś rano mieszkał w tym pensjonacie.

– Mówi pan o moim ukochanym bracie – odparł Calvin. – Nikt oprócz mnie nie ma prawa obrzucać go wyzwiskami.

– Proszę o wybaczenie. Jestem Jim Bowie, do usług. A jeśli się nie mylę, właśnie się przekonałem, że Alvin nie jest jedynym niebezpiecznym członkiem swojej rodziny.

– Tylko nie próbuj judzić tłumowi przeciwko mnie. Mój brat nie znosi zabijać ludzi, ale ja nie mam takich oporów. Spróbuj coś pisnąć, a wszyscy eksplodują, jakby się najedli prochu. No, zaczynaj, proszę bardzo!

– Niby jak mnie powstrzymasz, jeśli zechcę cię zabić? – warknął Bowie. Nagle poblądł. – Nie, tylko żartowałem, zostaw mój nóż w spokoju.

Calvin roześmiał się mu w twarz.

– Chcesz, żeby ten dom spłonął w wyjątkowo efektowny sposób?

– Wszystko w twoich rękach.

Calvin zbadał strukturę budynku, ciężkie masywne belki i słupy tworzące

jego szkielet. Podgrzał je jednocześnie – i stały się tak gorące, że nie spłonęły, raczej się stopiły. Zewnętrzna warstwa każdej deski spaliła się tak szybko, że popiół opadł na ziemię niczym pierze z tysiąca poduszek.

Dom zapadł się i runął w tak potężnej chmurze dymu, popiołu i gorącego powietrza, że osmalił włosy, rzęsy i brwi ludzi stojących najbliżej. Niektórzy doznali poparzeń, a nawet stracili wzrok, ale Calvin nie poczuł specjalnego współczucia. Zasłużyli sobie na to, prawda? Chcieli mordować i palić, prawda? Ci, którzy oślepli, nigdy więcej nie dołączą do podpalaczy – więc wychodzi na to, że Calvin wyleczył ich z żądzy mordu.

– Zdaje się, że dobrze cię mieć za przyjaciela – powiedział mężczyzna z nożem.

– Skąd wiesz? – odparł Calvin. – Nie widziałeś mnie z żadnym moim przyjacielem.

Bowie wyciągnął rękę.

– Panie, nazywam się Jim Bowie i chciałbym być twoim przyjacielem.

– Panie, nie sądzę, żebyś miał wielu przyjaciół na tym świecie, podobnie jak ja. Więc nie udawajmy, że się kochamy. Mogę ci się do czegoś przydać i chętnie dam się wykorzystać, jeśli po wiesz mi, co będę z tego miał i dlaczego jest to dobre i szlachetne przedsięwzięcie.

– Nie jest dobre ani szlachetne – wyszczerzył zęby Bowie.

– Czego pan ode mnie chce, drogi panie?

– Pańskiego towarzystwa. Podczas pewnej ekspedycji. Jest to propozycja, którą pański brat odrzucił, jak sądzę, ze strachu.

– Al niczego się nie boi.

– Nikt się nie boi, że Meksykanie rozwalą mu głowę. Widać nie ma tam nic ciekawego.

– Meksykanie?

– Niektórzy z nas uważają, że pora, by do Meksyku wróciła cywilizacja.

Cywilizacja? Taka? Calvin spojrzał na tych, którzy zostali wśród dopalających się ruin, i wybuchnął śmiechem.

– Tłum to tłum – powiedział Bowie. – A Meksykanie są źli i trzeba ich wybić.

– Nie wątpię. Ale dlaczego akurat ty?

– Zmęczyło mnie czekanie na Boga.

Calvin uśmiechnął się do niego.

– Może jednak mamy o czym rozmawiać. Nigdy nie byłem w Meksyku.

Alvin poczuł szturchnięcie. Ktoś potrząsnął go za ramię.

– Słońce wstaje – odezwała się jakaś kobieta.

La Tia.

– Wszyscy już przeszli – dodała druga.

Kto to? Aha, matka Marii od Zmarłych.

– Jak masz na imię? – wymamrotał Alvin. – Bo nie wiem.

– Rien – odpowiedziała.

Maria od Zmarłych ujęła jego krwawiące ręce.

– Wstań, czarowniku. Wstań i przejdź przez most z krwi twojej.

Usiłował się podnieść, wspierając się na niej, lecz omdlał. Upadł twarzą w dół, na dłonie, a potem na kryształowy most. Pług w worku ześliznął się mu z ramienia. Cały most zatętnił życiem; Alvin poczuł, że ogarnia go ciepło.

I spokój. Dokonało się. Teraz może zasnąć.

Most zaczął się pod nim uginać.

– Nie! – krzyknęła La Tia. – Wytrzymaj! Nie możesz zasnąć!

Podniosła worek; tętno natychmiast ustało i Alvin odzyskał jasność myśli. Nie, jeszcze nie pora na odpoczynek.

– Wojsko nadchodzi, chłopcze! – powiedziała La Tia. – Wiedzą już, że niewolniki poszły precz, ranek nadchodzi i nikt nie pracuje. Dziś to już nie pijaki, nie. Dziś żołnierze, musimy uciekać!

Ale to nie jej słowa dodały mu sił. Poczuł moc talizmanów, jakie miała przy sobie. Zawsze widział drobne zaklęcia, uroki i hekсы, potrafił je powstrzymać, jeśli chciał, więc przyzwyczaił się do myśli, że nie mają na niego wpływu. A teraz z wdzięcznością przyjął moc, która na niego spłynęła, gdy Czarna Królowa zawiesiła mu amulet na szyi.

– Musiałeś tu zostać, robić most – powiedziała La Tia. – Ale nie czujesz, że twój brat leje krew z drugiej strony?

Alvin zbadał cały most i zrozumiał, że płonie w nim nie tylko płomień jego serca, ale i drugi, wcale nie słaby. Arthur Stuart wlał do wody własną krew, by wzmocnić most z kryształu.

La Tia i matka Marii od Zmarłych – Rien, tak? – wzięły go pod ręce, a Maria od Zmarłych wtoczyła taczki na most. Ludzie idący na końcu pochodu znikli już we mgle, lecz opary rzedły, a na wschodzie pojawiły się pierwsze przebłęski światła. Arthur Stuart nie ustawał w wysiłkach, ale Calvin dał sobie spokój.

Za nimi szła Michele, przyjaciółka i strażniczka La Tii. Rzucała uroki na most. Nie migotały tak jak pług. Były raczej jak sól sypana na lód.

– Piecze – poskarżył się Alvin. – Ja tak nie chcę.

– Tak trzeba, wtedy wrogi się boją – powiedziała La Tia. – Ona rzuca moje

uroki od strachu i ognia.

– Ten most powstał, by przyzywać ludzi. Kryształ ma im otwierać oczy. Nie możesz kłaść na niego ciemności i strachu.

– Jak tak, to tak – powiedziała La Tia. – Robisz rzecz, co ja nigdy nie widziała, więc póki stoję na twojej krwi, robię tak, jak mówisz. Michele! – rzuciła przez ramię. – Pozbieraj to, już, i zrób pierścień na brzegu, powstrzymaj ich!

Michele wróciła biegiem na ląd i rozłożyła uroki w wielkim półkolu, by powstrzymać żołnierzy jak najdłużej.

– Dla nich to ogień – powiedziała La Tia. – Nienawiść i strach, a oni zrobią z tego ogień.

Krew nadal skapywała z rąk Alvina. Maria od Zmarłych odstawiała taczki i zaczęła obwiązywać mu dłoń, by powstrzymać krwotok, ale Alvin ją odsunął.

– Moja krew musi padać na most – powiedział. – Sam Arthur go nie utrzyma.

– Więc to, co uczyniłeś, niedługo się odczyni? – spytała Maria od Zmarłych.

– To mój pierwszy raz i chyba nie wszystko się udało. Ale może to nigdy nie jest trwałe? Może w ten sposób nie można zbudować niczego trwałego?

– Przestań z nim gadać – odezwała się Rien. – Marie, pokazuj nam drogę.

– Znam drogę – powiedział Alvin.

– A co będziesz, jak zemdlejesz? Co?

Alvin nie znalazł odpowiedzi.

Maria od Zmarłych ruszyła na czele pochodu. Nie odeszli daleko, kiedy dogoniła ich Michele.

– Żołnierze idą, i dużo innych, bardzo złych. Ogień na razie ich powstrzymuje, ale niedługo się przedostaną. Musimy biec.

– Nie mogę – powiedział Alvin.

Ledwie skończył mówić, usłyszał zieloną pieśń, która pomogła innym tak szybko przeprawić się na drugi brzeg. Skoro już nie musiał sam podtrzymywać mostu, mógł ją do siebie dopuścić, pozwolić się wzmocnić i trochę uleczyć. Uciszył kobiety.

– Słyszycie? – spytał.

I po chwili usłyszały. Przestały rozmawiać, a Alvin przestał się na nich opierać. Wkrótce wraz z czterema kobietami szedł szybko, długimi krokami, jakimi kobiety zwykle nie chodzą. Dogonili ostatnich ludzi w pochodzie na długo, zanim dotarli na drugi brzeg Pontchartrain, a wtedy pieśń rozbrzmiała mocniej także w ich sercach i szybszym krokiem ruszyli przed siebie.

I dobrze, bo kiedy pierwszy żołnierz wpadł na most, Alvin odczuł to jak uderzenie. Jakby ktoś miażdżył mu serce; buty uciekinierów były lekkie, lecz żołnierze deptali go brutalnie. A kiedy biegli po wąskim moście, Alvin słyszał, jak walczą z zieloną pieśnią – tak jakby dwie orkiestry nawzajem się przekrzykiwały.

Odebrali mu siły. Szło kilkuset żołnierzy, każdy uzbrojony w muszkiet. Na drugim krańcu mostu ktoś usiłował wprowadzić na kryształową drogę konia ciągnącego lekkie działo artyleryjskie.

– Nie utrzymam ich – jęknął Alvin.

– Już prawie jesteście! – krzyknęła Maria od Zmarłych. – Widzę brzeg! Zaczęła biec.

Ale na drugim brzegu jeziora nie było mgły, więc widok ognisk nie oznaczał, że naprawdę są już na miejscu. Alvin zwolnił krok, zachwiał się. Znowu musiał się oprzeć o kobiety; prawie wlokły go za sobą. Znowu poczuł się samotny. Zielona pieśń go opuściła, a może to on nie mógł jej już usłyszeć. Ale z każdym słabnącym krokiem czuł, że w szkielecie mostu tętni inna siła. Arthur Stuart oddał mu prawie całą moc, lecz Alvin nie miał wyjścia. Musiał z niej korzystać, dopóki nie będą bezpieczni.

W chwili gdy zaczął podejrzewać, że most ciągnie się w nieskończoność, przeszli ostatnie sto, pięćdziesiąt, dziesięć kroków i dobrnęli na brzeg. Maria od Zmarłych postawiła taczkę na twardym lądzie i rozejrzała się, gotowa pomagać.

Arthur Stuart leżał bezwładnie na piasku. Papa Łoś i Mama Wiewiórka klęczeli obok niego. Papa Łoś się modlił, Mama Wiewiórka śpiewała pierwsze słowa, jakie ktokolwiek ułożył do zielonej pieśni, słowa o żywicy, liściach, kwiatach, owadach, rybach, ptakach i – tak! – wiewiórkach śmigających po boskiej sieci.

Chłopiec mocno trzymał most palcami, z jego nadgarstków spływała krew na kryształ. To nie powinno być możliwe, ale teraz most stał się także częścią jego, a wokół jego zakrwawionych palców całkowicie stał się nim, więc usłuchał jego żądania.

Alvin osunął się na piasek, położył ręce i głowę na plecach Arthura Stuarta.

– Puść go, musisz go puścić pierwszy. Kiedy ja go puszcze, cały jego ciężar spadnie na ciebie, a ty go nie utrzymasz, puść go teraz!

Arthur Stuart go nie słyszał, tak bardzo pogrążył się w transie.

– Oderwijcie jego ręce od mostu! – zawołał Alvin.

Łoś i Wiewiórka nie zdołali tego zrobić, La Tia i Maria od Zmarłych też.

– Oni nadchodzą – szepnął mu do ucha Alvin – i nie możemy ich

utrzymać, most nie utrzyma takiego obciążenia, musisz go puścić! Ja już nie mogę, a jeśli spróbujesz go utrzymać o własnych siłach, umrzesz.

Arthur Stuart zdołał wykrztusić ledwie dosłyszalnym głosem:

– Oni zginą.

– Tak sędzę. Nie umieją pływać. Zginą, ścigając niewolników, by znów ich zniewolić. Nie do ciebie należy walczyć o życie takich ludzi.

– To tylko żołnierze.

– Czasami i dobrzy ludzie giną w walce o niesłuszną sprawę.

Arthur Stuart zaczął płakać.

– Jeśli puszcze, zginą przeze mnie.

– Sami postanowili wejść na most prowadzący do wolności, mając w sercach żądzę mordy i pogardę.

– Daruj im życie, bo nie puszcze.

– Zrobię, co mogę – obiecał Alvin. – Zrobię, co mogę.

Arthur Stuart oderwał zakrwawione ręce od kryształu. Alvin poczuł, że płomień jego serca znika z mostu i w tej samej chwili wycofał swój.

Płomień pozostał na miejscu jeszcze przez chwilę, zatrzymany we krwi.

A potem most zniknął.

– Nie pozwól im utonąć! – krzyknął Arthur Stuart. Potem za padł ni to w omdlenie, ni to w głęboki sen.

Papa Łoś i Mama Wiewiórka odciągnęli go dalej od wody i obandażowali mu rany; Maria od Zmarłych i jej matka zrobiły to samo z rękami i nogami Alvina.

Alvin prawie tego nie zauważył; usiłował znaleźć płomienie serc żołnierzy. Nie mógł uratować wszystkich, ale tych, którzy mieli dość rozumu, by wyrzucić broń, zdjąć buty lub próbować pływać, mógł utrzymać na powierzchni. Ci, którzy nawet nie próbowali i nie wyrzucili muszkietów, czyniących ich żołnierzami, nie mieli sił, by sobie pomóc.

La Tia zrozumiała, co robi Alvin, i stanęła na brzegu jeziora w miejscu, gdzie niedawno znajdował się most. Odchyliła głowę do tyłu, wyspała do otwartych ust szczyptę proszku. Potem spojrzała przed siebie i krzyknęła głosem jak grom, głosem, który wzburzył spokojną taflę jeziora.

– Rzućcie broń! Płyńcie! Zrzućcie buty! Wracajcie!

Wszyscy ją usłyszeli i uratowali życie. Tego ranka na most weszło trzystu żołnierzy oraz koń z działem. Koń nie miałby żadnych szans, lecz Alvin w ułamku chwili przeciął uprzęż łączącą go z zabójczym balastem. Koń ocalał życie, dział poszło na dno. Do brzegu nie dopłynęło tylko dwudziestu żołnierzy. Ocaleni wypęzli na ląd, dysząc, plując wodą i kaszląc. Żaden nie

miał ani broni, ani butów.

Dopiero wtedy, gdy ostatni walczący o życie wróg został uratowany, Alvin pozwolił sobie na utratę przytomności.

Na północnym brzegu jeziora znalazły się tysiące ludzi o najróżniejszych kolorach skóry, mówiący wieloma językami. Rozpaczliwie potrzebowali kogoś, kto im powie, dokąd iść i co zrobić, żeby znaleźć wodę pitną i jedzenie. Ale nikt nie zaproponował, by obudzić Alvina i Arthura Stuarta. Mężczyzna i chłopiec, którzy stworzyli kryształowy most z wody i krwi, budzili podziw i szacunek. Nikt nie ośmielił się ich niepokoić.

Tymczasem w Barcy Calvin zobaczył, co się dzieje z płomieniem serca Alvina. Ujrzał jego głęboki sen i osłabienie.

Teraz mogę go zabić. Zrobić dziurę w jego sercu, wypełnić jego płuca krwią... umrze, zanim ktokolwiek zauważy, co się dzieje. Nikt nie będzie wiedział, że to ja go zabiłem, a nawet gdyby, żaden sąd tego nie udowodni.

Ale dziś go nie zabiję, pomyślał Calvin. Ani nigdy. Choć on zabija mnie codziennie – swoją pogardą, pouczeniem i nieświadomością, kim naprawdę jestem. Bo jestem od niego różny.

On nie chce zabijać ludzi, bo uważa, że to coś złego. Ja nie chcę zabijać ludzi nie z posłuszeństwa jakimś prawom, ale z własnej woli, bo żal mi tych, którzy mnie krzywdzą i wykorzystują.

I kto jest faryzeuszem? A kto jest taki jak Jezus? Może nikt inny się ze mną nie zgodzi, ale tak właśnie jest, Bóg mi świadkiem.

Chłopiec na posyłki

Verily Cooper obudził się w starej gospodzie w Hatrack River. Tu urodził się Alvin Stwórca i tu powrócił po dwunastu latach, by odbyć naukę u kowala.

Właśnie z powodu tej nauki Verily Cooper przybył do miasta. Stary kowal zmarł jakiś czas temu, a ponieważ przeżył swoją żonę, na mocy testamentu ich dzieci weszły w posiadanie „złotego pługa z czystego złota, skradzionego przez ucznia Alvina, syna Alvina Millera z Vigor Kościoła”. Ojciec Margaret Larner, Horacy Guester, napisał do Verily’ego natychmiast, gdy po mieście zaczęły krążyć plotki. Stary Horacy nie ufał żadnemu prawnikowi z wyjątkiem Verily’ego, a musiał przeszkodzić sędzi pólglówkowi w wydaniu urzędowego pisma nakazującego Alwinowi oddać pług.

Gdyby ten pług nie istniał!

Ale istniał i nigdy nie należał do kowala. Alvin osobiście wykuł go w kuźni. I to Alvin jakoś zmienił go w złoto, a stary kowal z chciwości oskarżył go o kradzież.

Oskarżenie zostałoby natychmiast oddalone, gdyby miejscowi, którzy nie znali Alvina, nie uznali go za najgorszego łobuza. Na próżno Horacy przysięgał wszystkim razem i każdemu z osobna, że kowal nigdy nie posiadał złota w takiej ilości, że jego córka nigdy nie poślubiłaby złodzieja i że wszyscy znają kowala jako notorycznego kłamcę i oszusta. Rozprawa miała się odbyć i sędzia, który tej jesieni ubiegał się o reelekcję, mógł wydać wyrok schlebiający powszechnym gustom.

I właśnie dlatego Verily Cooper znowu znalazł się w mieście jako prawny przedstawiciel Alvina. Tym razem, na szczęście, Alvin nie siedział w więzieniu. Był gdzieś daleko, zajęty misją zleconą mu przez żonę – jakby nie miał własnych zajęć.

Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Dlaczego obudził się akurat teraz? Nie chciało mu się do wygodki. Pewnie usłyszał przez sen jakiś hałas. Może pijak awanturuje się pod drzwiami gospody, żeby go wpuszczono?

Nie. Teraz usłyszał stukot końskich kopyt i głos stajennego prowadzącego konie do stajni, by tam je napoić, nakarmić i wytrzeć. Rzadko się zdarza, by podróżni przybywali tak późno. Verily wstał i otworzył okno; latarnie płonęły tak jasno, że z daleka można było wziąć ich blask za łunę leśnego pożaru.

Ciekawość nie pozwoliłaby mu zasnąć, gdyby się nie dowiedział, kto przybył o tak nietypowej godzinie.

Nieszczególnie go zdziwiło, kiedy przy kuchennym stole ujrzał żonę Alvina,

Margaret, zasiadającą nad cieszącą się zasłużoną sławą kurczącą potrawką ojca.

– A, to ty – powiedziała.

– Ja także się cieszę, że cię widzę, pani Smith. – Skoro chciała go traktować niegrzecznie, mógł się jej odwdzińczyć, nazywając ją nazwiskiem męża.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– Jestem zmęczona i nie spodziewałam się pana zobaczyć.

Proszę przyjąć wyrazy skruchy, panie Cooper. Bardzo proszę.

– Ależ oczywiście, pani Larner. I wzajemnie.

– Nie ma pan za co przepraszać. Od lat nie uczę, więc nie za służbę już na to nazwisko. I z dumą przyjmuję za tytuł zajęcie mojego męża, ponieważ tylko taka praca mi została.

Stary Horacy stanął za nią i rozmasował jej ramiona.

– Jesteś zmęczona, mała Peggy. Rozmowy odłóż na jutro.

– On może się dowiedzieć już teraz. Myślałam, że spotkamy się dopiero rano, ale skoro go obudziłam, mogę mu zepsuć resztę nocy.

Oczywiście wiedziała o jego obecności w Hatrack River. Nawet jeśli Horacy jej o tym nie napisał, i tak by się dowiedziała, tak jak się dowiadywała o wszystkim, na czym jej zależało. Jako żagiew miała taki dar. Zawsze go mocno niepokoiło, że wystarczy jej spojrzeć na niego, by poznać dokładnie jego przyszłość. A przy tym nigdy nie raczyła mu o niczym powiedzieć.

– Czego ode mnie pani chce? – spytał.

– Alvin potrzebuje pańskiej pomocy.

– Dawno temu Alvin nie zechciał mnie na towarzysza podróży. Ale nadal mu pomagam – tu, gdzie jestem.

– Jest coś pilniejszego.

– To niech ktoś inny pojedzie. Sprawa testamentu i pługa będzie się wlec za Alvinem, jeśli od razu jej nie załatwię.

– W tej chwili Alvin ma pod swoją opieką jakieś pięć tysięcy ludzi, którzy uciekli z Nueva Barcelona. Ponad połowa to zbiegli niewolnicy albo wolni Czarni, a reszta to znienawidzeni Francuzi.

Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo zależy Hiszpanom, by znowu wziąć ich pod but.

– Więc co mam zrobić? Zebrać armię i pofrunąć z nią jak ze stadem gołębi, żeby jak najszybciej pospieszyć na odsiecz?

Horacy Guester cmoknął.

– To nie jest całkiem wykluczone.

– Dla mnie tak. To nie mój talent – rzekł Verily.

– Pańskim talentem – odparła Margaret – jest sprawianie, by różne rzeczy do siebie pasowały.

– Czasami.

– Alvin zadba o bezpieczeństwo tych ludzi podczas podróży – ciągnęła. – Natomiast rozpaczliwie potrzebuje celu podróży.

– Zakładam, że już pani znalazła takie miejsce.

– Alvin zaprzyjaźnił się z kimś w Nueva Barcelona. To pewien zbankrutowany sklepikarz z zachodnich kresów Noisy River. Nazywa się Abraham Lincoln.

– I ma ziemię?

– Jest poważany w tej części kraju. Pomoże wam znaleźć jakieś tereny.

– Mam nadzieję, że za darmo. Niewiele się wzbogaciłem na mojej profesji. Dla przyjaciół pracuję bez wynagrodzenia.

– Nie wiem, jak trzeba będzie zapłacić. Wiem tylko, że jeśli pan nie pojedzie na spotkanie z panem Lincolnem, prawie wszystkie ścieżki poprowadzą Alvina i jego podopiecznych ku katastrofie. Ale jeśli pan pojedzie...

– Niech zgadnę – znajdą się jakieś ścieżki prowadzące w bezpieczne miejsce.

– Najpierw rzeczy najważniejsze. Alvin potrzebuje miejsca, w którym bezdomni znajdą na jakiś czas schronienie i coś do jedzenia. Na terenach niewolników nie ma nic takiego, to pewne.

Verily usiadł przy stole i spojrzał Margaret w oczy.

– Wolalbym zostać tutaj i raz na zawsze zakończyć sprawę tego testamentu. Może pani pojedzie porozmawiać z panem Lincolnem.

Westchnęła i wbiła wzrok w miskę.

– Przez pięć lat usiłowałam tłumaczyć ludziom, by robili to, co ich uchroni przed straszną, krwawą wojną. Wie pan, co osiągnęłam gadaniem?

– Na razie wojny nie ma.

– Odsunęłam ją o rok lub dwa, może trzy. A wie pan, jak?

– Jak?

– Wysyłając mojego męża do Nueva Barcelona.

– To on zapobiegł wojnie?

– Tak, nie wiedząc, że to robi. Wojna została odsunięta dzięki wybuchowi żółtej febry. Ale potem mój mąż zrobił krok dalej i dopuścił do tej... tej niemożliwej ucieczki. Tego wyzwolenia niewolników.

Horacy zachichotał.

– Chyba wreszcie złapał bakcyła abolicjonizmu.

– Zawsze tego pragnął – odparła. – Dlaczego zrobił to akurat teraz? Ta ucieczka niewolników doprowadzi do wybuchu wojny jak amen w pacierzu.

– Więc usunął jedną przyczynę wojny, a potem wywołał następną – odezwał się Verily.

Margaret pokiwała głową i zjadła łyżkę potrawy.

– Bardzo smaczne, tato.

– Proszę mi wybaczyć, że zachowam się jak prawnik – powie dział Verily Cooper – ale dlaczego pani tego nie przewidziała, wysyłając go z domu?

Margaret jadła, więc odpowiedział stary Horacy.

– W przypadku Alvina moja córka nie widzi tak wyraźnie jak zawsze. Nie wie, jaką decyzję on podejmie. Widzi niektóre sprawy, ale nie wszystkie. Według mnie to czyste błogosławieństwo.

Mężczyzna, którego żona zna wszystkie jego czyny, myśli i pragnienia, właściwie może się od razu zabić.

Horacy żartował, dlatego zaczął się śmiać, ale Margaret nie dostrzegła w tym nic śmiesznego. Verily zauważył, że do potrawy padają łzy.

– No, no – odezwał się – to już i tak słone. Wiem dobrze, bo jadłem na kolację.

– Ojciec ma rację – szepnęła. – Och, biedny Alvin. Nie powinnam była za niego wychodzić.

Ta myśl przyszła Verily’emu do głowy już parę razy, a ponieważ wiedział, że Margaret potrafi czytać w płomieniu jego serca, nie silił się na obłudne zapewnienia.

– Może i tak – powiedział – ale jak pani już wie, Alvin sam decyduje o sobie. Wybrał panią tak, jak większość ludzi wybiera sobie partnera, nie widząc końca, lecz pragnąc do niego dojść, trzymając się za rękę.

Położyła mu rękę na dłoni i uśmiechnęła się blado.

– Oto słowa prawdziwego prawnika.

– Słowa prawdy. Alvin wybrał panią, bo jest pani, kim jest, a on czuje to, co czuje. Nie dlatego że według niego zawsze dokonuje pani właściwych wyborów.

– Czuje to, co czuje – powiedziała i zadrżała. – A jeśli się do wie, że wysłałam go do Nueva Barcelona, wiedząc, że sprowadzi śmierć na setki dusz?

– Dlaczego miałby się dowiedzieć? – spytał Verily, choć już znał odpowiedź.

– Bo mnie spyta. A ja odpowiem.

– To on spowodował epidemię żółtej febry, prawda?

– Niechący, ale... tak., – A pani o tym wiedziała.

– Tylko to mogło powstrzymać wojnę zaplanowaną przez króla. Gdyby zaatakował Nueva Barcelona, Stany Zjednoczone mu siałyby wejść na teren Kolonii Korony, by nie pozwolić odepchnąć się od morza. Ale wybuch żółtej febry odstraszył królewską armię.

Zanim febra ustąpi, znikną także wszyscy królewscy agenci w mieście. Ta droga do wojny jest już zamknięta.

– Więc za cenę życia tych, którzy umarli podczas zarazy, ocaliła pani życie tych, którzy zginęliby na wojnie.

Pokręciła głową.

– Tak mi się wydawało, ale Alvin nieświadomie znowu otworzył te drzwi. Teraz wojna, która nadejdzie, zmiecie tyle samo ofiar.

– Ale odsunęła ją pani o parę lat.

– Co z tego?

– To parę lat życia. Ludzie będą się kochali, żenili, rodzili dzieci. Kupowali i sprzedawali, orali, siali i zbierali, przenosili się i osiedlali. Za dwa, trzy lata to będzie inny świat, a ci, którzy umrą podczas wojny, coś przez ten czas przeżyją. Te lata to sporo.

– Może i tak, ale to za mało, żeby Alvin mnie nie znienawidził, kiedy się dowie, że wysłałam go, by spowodował śmierć setek ludzi w zamian za odwołanie śmierci setek tysięcy innych.

– Ciii... – odezwał się Horacy. – On cię nie znienawidzi.

Ale Verily nie miał tej pewności. Alvin nie przyjmie z zachwytem wiadomości, że został sprowokowany do czegoś, co w jego pojęciu będzie bez wątpienia strasznym grzechem.

– Dlaczego nie mogła mu pani po prostu powiedzieć, co się stanie? On by sam podjął decyzję.

Pokręciła głową.

– Każda droga, na której mówiłam prawdę, prowadziła go do zrobienia czegoś innego, by zapobiec wojnie – i wszystkie te sposoby by zawiodły, a na końcu większości ścieżek widziałam jego śmierć.

Wybuchnęła płaczem.

– Za dużo wiem! Och! Boże, pomóż, to mnie tak męczy!

Horacy usiadł, otoczył ją ramieniem. Spojrzał na Verily'ego, który usiłował znaleźć słowa pocieszenia.

– Jest zmęczona, a pan też powinien się wyspać. Proszę wracać do łóżka. Ona także się położy. Jutro będzie dość czasu, by po rozmawiać.

Jak zwykle, Horacy wiedział, co zrobić, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Verily wstał.

– Pojadę. Spełnię pani prośbę. Może pani na mnie liczyć.

Znajdę schronienie dla ludzi Alvina.

Lekko skinęła głową, nadal kryjąc twarz w dłoniach.

Nie mógł liczyć na inne pożegnanie, więc poszedł korytarzem do swego pokoju. Początkowo irytowało go, że musi odłożyć na później uwolnienie Alvina od chciwych spadkobierców kowala, jednak zapomniał o wszystkim, zanim przekroczył próg pokoju. To już nie była jego sprawa. Miał inne zadanie, które jeszcze się nie zaczęło. Więc kiedy się położył, wkrótce zasnął, gdyż na razie nie miał żadnych zmartwień.

Rano jednak nie spotkał Margaret. Na podłodze pod drzwiami jego pokoju czekała na niego kartka, na której widniała nazwa miasta Springfield oraz wskazówki, jak dotrzeć do Abrahama Lincolna.

Przy śniadaniu stary karczmarz miał poważną minę.

– Martwię się o dziecko – powiedział. – W nocy zaczęła wymiotować. Zbyt nadszarpnęła siły, pochorowała się. Teraz śpi, ale jeśli straci i to dziecko, razem z nim chyba straci zdrowe zmysły.

– Czy mam jechać, nie zamieniwszy z nią ani słowa?

– Wszystko, co musi pan wiedzieć, znajduje się na tej kartce.

– Bardzo wątpię.

– No dobrze – zgodził się Horacy z bladym uśmiechem. – Wszystko, co według niej powinien pan wiedzieć.

Verily Cooper uśmiechnął się równie blado i wrócił do pokoju, by spakować się przed długą drogą na zachód. Gdyby został w Vigor Kościele, zamiast przyjeżdżać do Hatrack, miałby do pokonania tylko jedną trzecią tej drogi. Czasami wydawało mu się, że życie upływa mu na podróżach i nigdy nie udaje mu się dotrzeć tam, gdzie dzieje się coś ważnego.

Ale tak przecież mogłaby brzmieć definicja życia, jeśli się nad tym zastanowić. Jedynym prawdziwym docelowym punktem przeznaczenia jest śmierć, a nasze życie to poszukiwanie najbardziej określonych i przyjemnych dróg do niej.

Dobrze przed południem Verily znalazł się w siodle, więc słońce miał nadal za plecami. Kiedy kolej żelazna wreszcie dotrze do Mizzippy? Jeśli położą tory, człowiek nie będzie potrzebować nawet jednego konia. Ale teraz można było albo jechać na końskim grzbiecie, albo uspokajać oszalałego ze strachu konia na barce lub parowcu.

Verily pomyślał, że Alvin i Margaret to bez wątpienia para najpotężniejszych, najbardziej utalentowanych i błogosławionych ludzi na tym

kontynencie. A jednak Margaret nieustannie była smutna i przerażona, a Alvin włóczył się po świecie, zagubiony i melancholijny. Nie po raz pierwszy Verily pomyślał, że dobrze jest mieć w miarę zwykły dar.

8

Plany

W Nueva Barcelona wreszcie wydarzyło się coś, co pozwoliło oderwać myśli od żółtej febry. Ludzie nadal umierali i z całą pewnością nikt nie zapominał o zarazie szerzącej śmierć w mieście, ale ci, którzy okazali się zupełnie bezradni w obliczu epidemii, nagle dostali zadanie, dzięki któremu zrobią to, o czym marzyli od samego początku moru, i dzięki czemu mogą teraz okryć się chwałą.

Ucieczka z miasta.

Była to pierwsza reakcja bogaczy: zabierali rodziny i wyjeżdżali na plantacje. Ale zwykli mieszkańcy miasta nie mieli takiej możliwości i nienawidzili za to bogaczy. Nie, prawdziwi mężczyźni zostali. Nie mogli sobie pozwolić na wywiezienie rodzin z miasta, więc musieli beczynnie patrzeć, jak ich żony i dzieci chorują i umierają. Nie wspominając już o tym, że sami także mogli się pożegnać z życiem. Kiepska śmierć – jęczeć w gorączce, aż wreszcie przyjdzie pora zająć miejsce na wózku do wywożenia zwłok, ponuro turkoczącym ulicami miasta.

Dlatego kiedy rozeszła się wieść, że gubernator Anselmo Arellano szuka ochotników do wyprawy w górę rzeki w celu sprowadzenia zbiegłych niewolników – i zabicia białych renegatów, którzy im pomogli – ochotników nie zabrakło. Zwłaszcza wśród tych, których zwykle zwano marginesem.

Nie wszyscy uważali ich za szczególnie odważnych czy honorowych. Na przykład bardzo niewiele ładacznic dało im darmowy kwadrans tylko dlatego, że miały do czynienia z „żołnierzem, który może zginąć”. Nikt lepiej od prostytutek nie wiedział, jak niewielu mężczyzn potrafi realizować swoje przechwałki. Nie była to armia, która zdołałaby długo się utrzymać, gdyby napotkała opór. Nadawali się tylko do wieszania bezbronnych Francuzów.

To właśnie Calvin usłyszał, przesiadując w portowych tawernach, gdzie zbierali się „żołnierze” przed wymarszem. Dowodził nimi syn gubernatora, pułkownik Adan, który jako od dawna pełniący obowiązki dowódcy garnizonu w Nueva Barcelona zyskał sobie niechętnie uznanie za to, że nie jest tak brutalny, jak mógł być. Ale Calvin bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jaką desperację czuł biedny pułkownik na widok tej żalosnej zbieraniny, która znalazła się pod jego komendą.

Choć może jednak nie była taka żalosna. Pijani jutro wytrzeźwieją i mogą stać się podobniejsi do żołnierzy. A wroga nietrudno będzie im znaleźć. Pięć tysięcy niewolników i Francuzów, idących w tempie najwolniej idącego

dziecka – chyba natrafienie na ich ślad nie będzie trudne, co? I czy potrafią się bronić? O, pułkownik Adan chyba jednak nie popadł w rozpacz.

Mógłby mieć trochę inny nastrój, gdyby naprawdę uwierzył w te niestworzone bajdy o moście stworzonym z czystej wody, który znikł, kiedy weszli na niego żołnierze, więc dwie dziesiątki utonęły, a reszta najadła się strachu i opila wody. Prawdopodobnie był tak przyzwyczajony do żalosnych usprawiedliwień żołnierzy, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż to akurat może być prawdziwe.

Ciekawe, co zrobi Alvin. Zapewne nie będzie walczyć. Za bardzo sobie ceni ludzkie życie, biedaczek. A przecież połowa z tych osłów i tak by się zabiła, spadłszy po pijanemu z mostu albo wdając się w bójkę o byle co.

No, cokolwiek postanowi, ja mu nie pomogę, pomyślał Calvin.

Nie miał nic przeciwko pomaganiu, jeśli mu to nie krzyżowało planów. Dlatego dziś rano odszukał Jima Bowie i poprosił, by zaprowadził go do Steve'a Austina. Spotkali się w knajpie oddalonej od doków o dwie przecznice, co oznaczało, że panował w niej względny spokój. Znajdowali się w niej także inni ludzie, choć Calvin nie zwróci na nich uwagi. Albo ich pozna później, albo nie. Teraz liczył się tylko Austin i meksykańska przygoda.

Austin opowiadał właśnie, jak to w ramach przysługi dla gubernatora musi ruszyć na poszukiwanie niewolników, nim zajmie się ekspedycją.

– To nie potrwa długo – mówił. – Jak daleko mogła odejść banda zbiegów? Pewnie znajdziemy ich zapłakanych na północnym brzegu Pontchartrain. Paru powiesimy, wielu wychłostamy i zawlecziemy do domu. A potem – do Meksyku!

Calvin tylko pokręcił głową.

Austin przeniósł spojrzenie na Jima Bowie.

– Potrzebuję wojowników – powiedział – nie doradców.

– Ja bym go posłuchał, Steve.

– Ta wesoła wyprawa jest skazana na klęskę – oznajmił Calvin. – Nie pchajcie się tam, gdzie zaraz się zrobi gorąco.

– Klęskę? A jakie wojsko ich pokona?

Calvin bez słowa zmiękczył ich kufle, które osunęły się jak zwiędłe, zalewając stół piwem i zimnym miękkim metalem. Mężczyźni poderwali się na równe nogi i zaczęli wycierać spodnie. Calvin usiłował się nie uśmiechać, choć wyglądali, jakby się zsikali. Zaczekał, aż Austin uświadomi sobie, że metalowe kałuże na stole były przed chwilą kuflami.

– Co zrobiłeś?

– Nic wielkiego – oznajmił Calvin. – Jak na Stwórcę.

Austin łypnął na niego spode łba.

– Twierdzisz, że jesteś Stwórcą?

– Stwórcy nie istnieją – mruknął ktoś.

– A twoje piwo nadal jest w kuflu – odparł wesoło Calvin. – Nie jestem zbyt wprawnym Stwórcą, ale mój brat Alvin należy do pierwszej ligi.

– I jest z nimi – dodał Jim Bowie. – Usiłowałem go namówić, żeby poszedł z nami, ale nie chciał.

– Kiedy armia pułkownika Adana znajdzie zbiegów – oświadczył Calvin – zakładając, że ich znajdzie... nie zdziwiłbym się, gdyby ich broń zmieniła się w kałuże metalu.

– Albo w ogóle zniknęła – dodał Bowie. – Sam to widziałem.

Masywna stal i co? Poszło! O tak! – Pstryknął palcami.

Austin przeniósł się do suchego stołu i zamówił nowe piwo. Zastanowił się przez chwilę.

– Ufam, że to będziemy mogli wypić?

Calvin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wkrótce wszyscy siedzieli razem – z wyjątkiem paru ludzi Austina, którzy przypomnieli sobie o niecierpiących zwłoki sprawach czekających na nich tam, gdzie nikt nie rozpuszcza metalowych kuflów samą myślą.

– Jak pan sądzi, może bym się przydał w pańskiej ekspedycji do Meksyku? – spytał Calvin.

– Owszem – powiedział Austin. – I to jak!

– Strasznie mnie ciekawi to plemię. Mój brat uważa, że o Czerwonych wie wszystko. Ale jego Czerwoni to spokojny lu dek. Ja chciałbym poznać tych Meksykanów, tych co wydzierają swoim ofiarom bijące serca.

– A martwi się nadadzą? Bo nie jedziemy ich poznawać, tylko zabijać.

– Wszystkich? O rety!

– A, wszystkich to nie – przyznał Austin. – Ale pewnie zwykli ludzie się ucieszą, że koniec z tymi poganami.

– Coś wam powiem – oznajmił Calvin. – Będę z wami do końca i pomogę, na ile zdołam, pod warunkiem że wyruszyście do Meksyku jutro rano.

Austin wybuchnął śmiechem.

– Przychodzi pan i rozkazuje, kiedy mamy wyruszyć?

– Nie rozkazuję, skąd. Mówię tylko, że dołączę do każdej ekspedycji, która wyruszy jutro rano. A jeśli się taka nie znajdzie, to nigdzie nie jadę. Nie uwzględniliście mnie w swoich planach, więc możecie ruszać i realizować je beze mnie.

– Dlaczego tak bardzo panu zależy, byśmy nie łapali zbiegów?

– Cóż, jak powiedziałem, przede wszystkim jest z nimi mój brat. Ponieważ pańscy ludzie są w tej chwili najgroźniejsi w całym Barcy, mój brat będzie nieco bezpieczniejszy, jeśli usunę was z miasta.

– Tak właśnie myślałem. Skąd mam wiedzieć, że nie zniknie pan, kiedy pułkownik Adan wyruszy w pościg?

– Druga przyczyna jest ważniejsza. Jeśli wyruszyście z pułkownikiem, pańscy ludzie ucierpią tak samo jak inni. Przypuszczam, że kiedy Alvin z nimi skończy, nie będą w stanie zdobyć wychodka własnej babci, co dopiero Meksyku.

– Nie wiem, czy pański brat jest aż tak niebezpieczny.

Calvin wstał, podszedł do stołu i przyniósł bezkształtny placek, który był niegdyś kuflem.

– Czy może pan skupić na tym myśli przez chwilę, żebym nie musiał roztapiać następnych?

– Dobrze, dobrze. Jasne, że jest niebezpieczny. A ja jestem bardzo zobowiązany, że nas pan ostrzegł.

– Trzecia przyczyna: nie lubię czekać. Jeśli ekspedycja wyruszy jutro, jadę. Jeśli nie, znudzę się i pójdę poszukać lepszej rozrywki.

Austin pokiwał głową.

– Cóż. Zastanowię się.

– Dobrze.

– Ale nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie. Skąd ma my wiedzieć, że jutro tu pan będzie?

– Bo tak powiedziałem. Nie zmusicie mnie, żebym z wami po szedł, jeśli nie zechcę, ale mówię, że mam na to ochotę. Nie dostaniecie lepszej gwarancji. Nie musicie mi ufać. Róbcie, co chcecie.

– Skąd mam wiedzieć, że nie będzie mi pan sprawiał samych kłopotów? Już teraz się pan szarogęsi, co będzie potem?

Calvin wstał.

– Panowie, widzę, że niektórych z was bardziej interesuje bycie wielkim wodzem niż walka z mocą, którą Meksykanie czerpią z rozlewu krwi. Przepraszam, zmarnowałem wasz czas. Słyszałem, że Meksykanie kastrują wielkich wodzów, zanim wyrwą im serce. Jest to zaszczyt, który zapewne chętnie przyjmiecie.

Ruszył do drzwi.

Austin go nie zatrzymał. Nikt za nim nie pobiął.

Calvin się nie zawahał. Nie zwolnił kroku. Wyszedł na ulicę. I nadal nikt go nie zatrzymywał. A niech ich!

Nie, jednak pojawił się ktoś. Jim Bowie, Calvin poznał jego płomień serca. Bowie zatrzymał się i rzucił...

Calvin schylił się i uskoczył w lewo.

Tam, gdzie przed chwilą była jego głowa, drżał nóż wbity w drewnianą ścianę.

Calvin skoczył z furią. Po chwili znalazł się przy nim uśmiechnięty Jim Bowie. Calvin bluznął wiązką tak barwnych francuskich przekleństw, że paru francuskojęzycznych przechodniów stanęło i spojrzało na niego ze szczerym podziwem.

– Czym się tak gorączkować, panie Stwórco? – spytał Jim Bowie. – To chyba jasne, że celowałem prosto w twoją głowę. Twój brat by sprawił, że nóż by zniknął w locie.

– Ja mam więcej szacunku dla sztuców – warknął Calvin, choć prawda wyglądała tak, że na unicestwienie noża w locie miał tyle samo szans, co na zatrzymanie wirującej kuli ziemskiej.

Z kuflami poszło mu łatwo, bo stały na stole i nigdzie się nie wybierały.

– Zdaje mi się – powiedział Bowie – że nie dorastasz swojemu bratu do pięć, ale chcesz, byśmy myśleli, że potrafisz tyle samo co on. A jeśli to cię doprowadza do wściekłości...

– Nie doprowadza – syknął Calvin.

– Cieszy mnie to. Klaruję to tak, jak Steve’owi Austinowi.

Chciałem, żeby twój brat się do nas przyłączył, bo gwarantowałby nam sukces. Ale nie chciał. Zamiast tego skombinował sobie pięć tysięcy zbiegów, których trzeba karmić i gdzieś przenocować.

A niech tam. Ty chcesz z nami jechać – według mnie chcesz mieć okazję pokazać, że jesteś taki dobry jak twój brat. Ale nie jesteś, a kiedy ten fakt stanie się jasny i oczywisty, wielu dobrych chłopców z tej ekspedycji przypłaci życiem to, że ci zaufali.

Calvin miał ochotę rozerwać go na strzępy, lecz on także miał zasady, choć nie takie jak Alvin. Nie zabija się człowieka jedynie dlatego, że powiedział coś nieprzyjemnego, nawet jeśli to same kłamstwa.

Tak więc tylko kiwnął głową i ruszył w stronę doku.

– No – powiedział – rozsądny wybór. Biegnij do Steve’a Austina i życz mu ode mnie powodzenia.

Jednak Bowie nie spieszył się z odejściem. Dobry znak.

– Słuchaj no, panie Calvin, przyszedłem prosić, żebyś wrócił.

Musimy wiedzieć, ile potrafisz. Oczywiście roztapianie cynowych kuflów to strasznie fajna sztuczka, ale chcemy się przekonać, co umiesz naprawdę.

Dostrzegłeś mój nóż na tyle szybko, żeby przed nim uskoczyć, ale nie potrafiłeś go zniszczyć w locie, co pozwala podejrzewać, że wystrzelone meksykańskie kule także nie rozpląną się w powietrzu. Dlatego zanim zaczniemy się przyzwyczajać do twoich przechwałek i zadzierania nosa – a mówię to w najcieplejszy z możliwych sposobów, bo są to cechy, którymi sam się szczycę – i zanim zabierzemy cię na pokład, musimy wiedzieć, ja kie konkretne twoje umiejętności przydadzą się nam w walce.

– Ta wczorajsza mgła była moja.

– Łatwo się chwalić wczorajszą pogodą.

W odpowiedzi Calvin ochłodził powietrze wokół nich.

– Zdaje się, że właśnie otoczyła nas dzisiejsza mgła.

I rzeczywiście, wilgoć w powietrzu zaczęła gęstnieć, aż Bowie stracił z oczu wszystko z wyjątkiem twarzy Calvina.

– Dobra – ustąpił. – Pożyteczny dar.

– Mój talent nie ogranicza się do robienia mgły czy innych zjawisk pogodowych.

Ryba wyskoczyła z wody i wylądowała na chodniku doku. Po niej następna. I jeszcze parę. Wkrótce wszędzie na drewnianych deskach trzepotały dziesiątki ogonów. Naturalnie niektórzy rybacy zaczęli je zbierać – jedni by je wrzucić do wody, inni by sprzedać. Natychmiast wybuchły kłótnie.

– Te ryby muszą być chore, nie wolno ich sprzedawać!

– Według mnie wcale nie są chore, o, jakie silne!

W chwilę potem wszystkie ryby wyrwały się ludziom z objęć i skoczyły do wody.

– Gdybyście potrzebowali ryb... – wyjaśnił Calvin.

– No jasne, pewnie. Ale co możesz zrobić, jeśli nie trafimy na rzekę?

Przez chwilę Calvin miał ochotę mu przyłożyć. Nie potrafi docenić cudu? Taki by się skarżył Mojżeszowi, że codziennie jest tylko manna, a nie mięso.

Bowie wyszczerzył zęby i klepnął go w ramię.

– Człowieku, nie znasz się na żartach? No jasne, że możesz z nami jechać. Nikt nie ma jednocześnie talentu do unikania ciosu w plecy plus robienia mgły plus wyrzucania ryb z wody.

– Więc zdałem egzamin? – spytał Calvin, pozwalając sobie na nutkę urazy.

– Jasne.

– A czy ty zdasz mój?

Ledwie skończył mówić, a poczuł wbijający się mu w brzuch nóż. Nie zauważył niebezpieczeństwa ani w płomieniu serca Bowiego, ani w ruchu jego ciała.

- Gdybym chciał cię zabić, czy zdążyłbyś mnie zatrzymać? – spytał Bowie.
- Masz talent, którego trudno nie szanować.
- O, to nie talent. Po prostu mam cholerną smykałkę do noża.

Alvin obudził się tylko dlatego, że musiał się wysiusiać. W przeciwnym razie przespałby kolejne dziesięć godzin, był tego pewien. Jego sił nie odbudowałby żaden, choćby najgłębszy sen.

Ale kiedy wstał, okazało się, że czekają go obowiązki, których nie sposób uniknąć. Wiele spraw powinien załatwić jeszcze przed załatwieniem swojej potrzeby. Ale jego umysł nie pracował jak należy, oczy nadal same się zamykały, a kiedy ludzie zaczęli go bombardować pytaniami, nie potrafił się zmusić do odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedział, kiedy jakaś kobieta spytała, gdzie znajdą coś do jedzenia w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

– Nie wiem – powiedział, kiedy jakiś mężczyzna spytał drżą cym głosem w łamanej angielszczyźnie, czy zjawią się żołnierze w łodziach.

A kiedy Papa Łoś podszedł i spytał, czy jego zdaniem po tej stronie jeziora także jest żółta febra, Alvin tak głośno warknął „nie wiem”, że Papa Łoś drgnął.

Nieopodal leżał Arthur Stuart. Wyglądał jak aligator wygrzewający się na brzegu jeziora. Albo jak trup. Alvin ukląkł przy nim. Dotknął go, bo tylko tak mógł dostrzec jego płomień serca, nie wyężdżając sił. Jeszcze nigdy przedtem nie czuł tak ogromnego zmęczenia, że samo patrzenie w czyjś płomień serca zdawało się nieznosnym ciężarem.

Arthur był zdrowy, tylko zmęczony. Co najmniej tak jak Alvin. Różnica polegała na tym, że jego nikt nie gnębił pytaniami.

– Dajcie mu spokój! – krzyknęła La Tia. – On zmęczony jak pies!

Alvin poczuł na swoim ramieniu dłonie – małe dłonie na masywnym ramieniu. Próbowaly go podnieść. W pierwszym odruchu chciał je odtrącić, ale usłyszał ciche pytanie:

– Chcesz pić? Jeść?

To była Maria od Zmarłych. Alvin pozwolił się jej dźwignąć z ziemi.

– Muszę się wysiusiać – powiedział cicho.

– Kazaliśmy ludziom wykopać latryny. Jedna jest niedaleko.

Oprzyj się o mnie.

– Dziękuję.

Zaprowadziła go krótką ścieżką w zaroślach do śmierdzącej dziury z przerzuconą deską.

– Łatwo znaleźć w ciemnościach – rzekł.

– Ciało musi zrobić to, co musi. Zostawiam cię samego.

Odeszła, a on poradził sobie sam. W zasięgu ręki czekało mnóstwo liści, a także woda w wiadrach. Po chwili musiał przyznać, że czuje się lepiej. Trochę oprzytomniał. Nabrał wigoru. I poczuł głód.

Kiedy wrócił, przekonał się, że La Tia potrafi uspokoić ludzi. Stali w kolejce do niej, a ona odpowiadała cierpliwie na wszystkie pytania. Ale nie miała planu i nie przygotowywała wymarszu. I chyba nikt nie zajął się zorganizowaniem jedzenia.

Na brzegu jeziora tłum ciągnął się na pół mili w obu kierunkach. Alvin poszukał aligatorów, które porwałyby każde dziecko, jeśli weszłoby do wody. Na razie nie dostrzegł żadnych, a nabrał już tyle sił, że szukanie płomieni serc nie wymagało wysiłku.

Mama Wiewiórka i Papa Łoś byli nieopodal. Alvin ruszył ku nim. Maria od Zmarłych natychmiast znalazła się u jego boku. Podsunęła mu ramię.

– Jestem za duży, żeby się na tobie opierać – powiedział.

– Już to zrobiłeś i wytrzymałam.

– Czuję się lepiej. – Jednak się oparł, bo nadal miał nieco zachwianą równowagę, a piaszczyste wybrzeże było wyboiste i zdradzieckie, mokra trawa zaś śliska i podmokła. – Dziękuję – powtórzył. Starał się nie przygniatać jej ciężarem.

Papa Łoś podszedł do niego zamaszystym krokiem – naprawdę zamaszystym, bez śladu dawnego utkania.

– Przepraszam, że nękałem cię w chwili, gdy dopiero się obudziłeś.

– Cieszę się, że się czujesz lepiej – odpowiedział Alvin. – I dobrze chodzisz. Papa Łoś chwycił go w objęcia.

– To boskie błogosławieństwo, lecz dziękuję rękom, które sprawiły ten cud. Alvin odwzajemnił uścisk, ale przelotnie, ponieważ czekało go zadanie.

– Spakowaliście wiele jedzenia – zwrócił się do Mamy Wiewiórki.

– Dla dzieci – odparła obronnym tonem.

– Wiem, wiem. Ale rozważ – jeśli ludzie staną się zdesperowani, czy zdołacie obronić zapasy? Niedaleko są gospodarstwa, tam nie brak jedzenia, ale musimy iść razem. Podzielcie się prowiantem, przynajmniej z dziećmi, a ja obiecuję, że do jutrzejszego wieczora znajdzie się jedzenie dla wszystkich.

Mama Wiewiórka zastanowiła się. Widział, że myśl o dzieleniu się zapasami sprawia jej ból, lecz taki sam ból sprawi jej widok głodujących obcych dzieci, podczas gdy jej są syte.

– Dobrze, podzielimy się z wszystkimi dziećmi. Przynajmniej chlebem i serem. Z surowymi ziemniakami i suchym ziarnem nic na razie nie zrobimy.

– Słuszna decyzja – pochwalił Alvin. Spojrzał na Marię od Zmarłych. – Czy La Tia może powiedzieć Czarnym, a twoja matka Francuzom, żeby przyprowadzili tu dzieci? Niech się po cichu ustawiają w kolejce.

– Ty śnisz, jeśli myślisz, że potrafią stać cicho – powiedziała Maria od Zmarłych.

– Ale jeśli poprosimy, niektórzy posłuchają.

– Prosić łatwo – mruknęła Maria od Zmarłych. Ruszyła truchtem, unosząc spódnicę przy przeskakiwaniu przez przeszkody.

Ludzie ustawili się całkiem sprawnie – lecz ci, którzy nie mieli dzieci, zaczęli się burzyć. Jeden z mężczyzn krzyknął do Alvina idącego pod prąd w tłumie ludzi z dziećmi:

– A nam to się nie chce jeść?!

– Dziękuję za zrozumienie – odpowiedział Alvin.

– Też mi wolność! Zaraz umrzemy z głodu! – odezwała się jakaś zażywna czarnoskóra kobieta.

– Zostało pani jeszcze parę ładnych godzin życia! – odkrzyknął Alvin.

W tłumie rozległy się śmiechy. Kobieta wycofała się, burcząc coś pod nosem.

Wkrótce wróciły La Tia, Maria od Zmarłych i jej matka.

– Musimy się zorganizować – rzekł Alvin. – Podzielcie ludzi na grupy i wybierzcie przywódców.

– Dobry pomysł – pochwaliła La Tia i zamilkła, czekając na dalsze instrukcje.

– Ja ich nie znam – ciągnął Alvin. – To ty musisz podzielić ludzi, którzy mówią po angielsku. – Odwrócił się do Marii od Zmarłych i jej matki. – A wy tych, którzy mówią po francusku. Niech każda grupa, złożona z dziesięciu rodzin, wybierze swojego przywódcę. Jeśli nie zdołają dojść do porozumienia, ja to zrobię.

– Oni mnie nie lubią – zaprotestowała Maria od Zmarłych.

– Ale cię znają. I boją się ciebie. Na razie to wystarczy. Po wiedz, że ja cię o to poprosiłem. I że im szybciej się zorganizuje my, tym szybciej wyruszymy w drogę i znajdziemy świeżą wodę i dobre jedzenie. Powiedz, że nic nie zjem, dopóki wszyscy się nie najedzą.

– Ty możesz zgłodnieć bardzo – mruknęła La Tia.

Trwało to o wiele dłużej, niż spodziewał się Alvin. Zadanie wydawało się proste, ale słońce było już wysoko na niebie, kiedy La Tia i Maria od Zmarłych odraportowały, że wszystko gotowe. Ludzie podzielili się na grupy, jeden na pięciu przywódców otrzymał dowodzenie nad grupą pięćdziesięciu rodzin,

jeden na dwóch dowódców pięćdziesiątek – dowodzenie nad oddziałem stu rodzin.

W ten sposób na brzegu Pontchartrain zasiadła rada złożona z dziesięciu przywódców stu rodzin, by wraz z Alvinem, La Tia, Marią od Zmarłych i Arthurem Stuartem, który się wreszcie obudził, zaplanować podróż. Rien, matka Marii, została ku swemu zdumieniu przywódczynią setki. Papa Łoś i Mama Wiewiórka znaleźli się poza wszystkimi grupami, ponieważ ich rodzina była nietypowo liczna.

Alvin wiedział, że ludzie uwielbiają tytuły, dlatego przywódców setek nazwał pułkownikami, pięćdziesiątek – majorami, a dziesiątek – kapitanami.

– Czyli ty jesteś generałem – zauważył Arthur Stuart.

– Jestem Alvinem. Generałem możesz być ty.

– Generałem ja! – oznajmiła La Tia. – Nie chłopiec. Kto pójdzie za chłopcem?

– Wy – oznajmił Alvin. – Kiedy odejdę.

La Tia miała odpowiedzieć ostro, ale ugryzła się w język.

– Nie mamy dokąd iść – oznajmił Alvin głośno. – Mogę was przeprowadzić na północ, gdzie zaczynają się gospodarstwa. Tam znajdziemy jedzenie, lecz pamiętajmy, że rodziny gospodarzy nie mogą umrzeć z głodu. Ale im dłużej będziemy maszerować, tym większą armię mogą wysłać, by nas pokonała. Musimy się wydostać z terenów, gdzie panuje niewolnictwo, a na to jest tylko jeden sposób.

– Morzem – powiedziała Maria od Zmarłych. – Trzeba nam łodzi.

– Statki bez przyjaznej załogi na nic się nam nie zdadzą. Czy ktoś tutaj umie żeglować? – Nikt się nie zgłosił. – Ale pomysł był dobry. Cieszę się, że mi pomagacie. To dotyczy wszystkich. Nie ma złej pory na nowy pomysł.

– Więc dokąd pójdziemy? – spytała La Tia.

– Cóż, generale – powiedział Alvin, starając się nie uśmiechać na widok jej dumnej miny – jest tylko jedno miejsce, dokąd mogę się udać, a Biali za nami nie pójda.

– Nie zabieraj nas na ziemie Czerwonych! – szepnęła Rien.

– Nie będziemy mogli tam zostać, ale może Tenskwa-Tawa pozwoli nam przejść. Może Czerwoni podzielą się z nami jedzeniem i użyczą schronienia. Rzecz w tym, że to ja znam Tenskwa-Tawę, tylko ja mogę z nim porozmawiać i spytać, czy pozwoli nam przejść przez jego ziemie na północ. Nie mogę tam wysłać nikogo innego. Więc wasz lud będzie musiał słuchać generała La Tii.

– Ale ja nie znam drogi.

– Przez jakiś czas kierujcie się na północ, a potem znajdziecie drogę

prowadzącą na zachód do Mizzippy. Liczę na waszą pomysłowość. To, czego nie powiedzą wam spotkani po drodze Biali, usłyszycie od Czarnych.

– A co będzie, jeśli zjawi się wojsko? – spytała Maria od Zmarłych. – Nie mamy tu wojowników, może z wyjątkiem paru Francuzów. Nie mamy broni.

– Właśnie dlatego generał La Tia musi zasięgnąć rady obecnego tu Arthura Stuarta.

– Ja nie mam broni – powiedział Arthur.

– Ale wiesz, co zrobić, kiedy ktoś ją w nas wyceluje. Na każdą plantację, na której się znajdziecie, musisz dopilnować, by żadna broń nie wystrzeliła. W nocy musisz sprawić, żeby opadła mgła, w której nie znajdą was źli ludzie. Musisz pilnować płomieni serc, by nikt nie zabłądził.

– Nie – odezwała się La Tia. – To mogę zrobić ja. Wiem jak.

Nie obarczaj chłopca bardzo dużo.

Arthur Stuart pokiwał głową z wdzięcznością.

– Przyglądanie się płomieniom serc nie jest dla mnie takie łatwe, jak dla ciebie. A mgłę potrafi robić Calvin, nie ja.

– To nie takie trudne. Dziś cię nauczę. Jest też coś jeszcze.

Tylko ty mówisz wszystkimi językami. Musisz dopilnować, żeby wszyscy rozumieli wszystkich.

– Do diabła, Alvin, ja czasem nie rozumiem nawet ciebie.

Wszyscy się roześmiali, ale tak naprawdę byli przerażeni – bali się niebezpieczeństw, które czekały w drodze, a jeszcze bardziej bali się własnego niedoświadczenia. To tak jakby ślepy prowadził ślepego. Albo kulawy kulawego.

– I jeszcze jedno – dodał Alvin. – Ludzie będą bardzo narzekać. Wy, przywódcy, musicie być cierpliwi – i to wszyscy, dopilnujcie tego. Słuchajcie i nie wpadajcie w gniew. Ale jeśli ktoś podniesie rękę przeciwko przywódcy, macie go ukarać. Rozumiecie?

Osoba, która zbuntuje się przeciwko przywódcy, wypada z grupy.

Już nie jest jednym z nas. A to dlatego, że nie możemy się bać tych, którzy są z nami. Musimy wiedzieć, że potrafimy ze sobą być.

– Jak mamy wyrzucić złego człowieka, co bije? – spytała La Tia.

– Generał poprosi silnych mężczyzn, by wypędzili winowajcę z obozu.

Arthur dopilnuje, żeby nie znalazł drogi powrotnej.

– A jak ma rodzinę?

Alvin westchnął.

– Generale, zawsze można znaleźć powód, żeby kogoś nie karać. Ale czasem trzeba ukarać jednego, żeby dziesięciu nie popełniło tego samego

błądu. A czasami trzeba zmienić serce w kamień, żeby zrobić to, co trzeba.

Arthur Stuart prychnął cicho.

– Arthur to wie – rzekł Alvin. – Ale ponieważ mnie tu nie będzie, wszystkie decyzje podejmujecie wy. Wy je podejmujecie, wy pilnujecie, żeby zostały wykonane, i wy ponosicie konsekwencje.

– Dlatego idziesz? – spytała La Tia.

– Właśnie. Odchodzę, jak tylko się zaczynają kłopoty.

Spojrzał jej prosto w oczy. Odwróciła wzrok; przyszło mu do głowy, że zapewne nieczęsto się jej zdarza taka kapitulacja.

– Kiedy odejdziesz? – spytał jeden z pułkowników.

– Dopiero kiedy znajdziemy jedzenie. I nocleg. Kiedy znajdziemy się na suchym lądzie, z dala od komarów.

Margaret wchodziła po schodach na poddasze, gdzie mieszkała jako dziecko. Teraz był tam składzik. Gdy odwiedzała ojca, spała w pokoju na parterze, który dla niej zachował. Usiłowała go namówić, żeby i ten pokój wynajmował za pieniądze, ale nie chciał o tym słyszeć.

– Jeśli ludzie będą w nim mieszkać, to przestanie być twój pokój.

W tym pokoju dwadzieścia pięć lat temu urodził się Alvin. Ojciec pewnie o tym nie pamiętał, ale ona za każdym razem, kiedy przekraczała próg, widziała tamtą scenę: matkę Alvina w łóżku, szarpaną bólami i jeszcze większą rozpaczą po pierworodnym Vigorze, którego zaledwie godzinę temu porwała rzeka.

Peggy – wtedy mała Peggy, ponieważ matka żyła – musiała wykonać pewne zadanie. Podbiegła do kobiety na łóżku i położyła ręce na jej brzuchu. W tej samej chwili ujrzała mnóstwo rzeczy. Ułożenie dziecka. To, że rodząca zamknęła łono, a teraz nie potrafi go otworzyć. Matka Peggy wykonała zakłęcie z kółkiem kluczy, łono się otworzyło, a dziecko wyszło na świat.

Peggy jeszcze nigdy nie widziała dziecka, którego płomień serca opowiadałby tak okropną historię. Był jasny jak żaden inny, lecz kiedy spojrzała w przyszłość dziecka, nie ujrzała jej. Nie było ścieżek. Przyszłość nie istniała. To dziecko miało umrzeć, nie podjąwszy żadnej decyzji.

Chyba że... było coś, co mogła zrobić. Jedna mroczna, maleńka ścieżka prowadziła przez mrok, ale otwierała się na setki tysięcy wspaniałych przyszłości. I w tej jednej wąskiej furtce, która prowadziła do wszystkiego, zobaczyła samą siebie, pięcioletnią Peggy Guester, jak zdejmuje czepek z twarzy dziecka. Więc to zrobiła i każda z możliwych śmierci odpadła, a każde możliwe życie stało się możliwe.

Dałam mu życie, pomyślała. W tym pokoju.

Ale tylko raz. Zachowała ten czepek, zaniósła go na strych, do swego pokoju i schowała. A kiedy dziecko wyrosło na małego, a potem większego chłopca, za pomocą małych strzępków czepka zyskiwała dostęp do jego talentu, którego jeszcze nie potrafił zrozumieć.

Poznawała Alvina w miarę upływu czasu. Nauczyła się ratować mu życie. Kiedy zdjęła mu czepek z twarzy, otworzyły się przed nim tysiące jaśniejących ścieżek, ale na każdej z nich umierał młodo. I za każdym razem, kiedy go ratowała, nieco dalej na drodze znowu pojawiała się następna śmierć.

Alvin, syn młynarza, miał wroga.

Ale miał także przyjaciółkę, która nad nim czuwała. I stopniowo kiedy coraz więcej ścieżek pokazywało, jak osiąga wiek dojrzały, zaczęła dostrzegać kogoś jeszcze. Surową, skromną kobietę, nauczycielkę, która go kochała, wyszła za niego i dbała o jego bezpieczeństwo.

To tutaj, na tym poddaszu zdała sobie sprawę, trzymając w dłoni ostatnie strzępki czepka, że ta surowa, skromna nauczycielka to ona sama.

I kocham go, pomyślała. Jestem jego żoną. Noszę jego dziecko.

Ale nie potrafię dbać o jego bezpieczeństwo.

Krzywdzę go teraz tak jak wszyscy. Nie mam już jego czepka. A gdybym miała, też by mu to nie pomogło. On doskonale rozumie swój talent. Zna zasady działania wszechświata o wiele lepiej ode mnie. Nawet kiedy w niego spoglądam, nie potrafię zrozumieć, co widzi i w jaki sposób.

Więc zamiast nad nim czuwać, wykorzystuję go. Znalazłam własny cel w życiu: walkę z niewolnictwem, a także z tą straszną wojną, którą widzę w każdym płomieniu serca. Byłam wszędzie, zrobiłam wszystko, a on tymczasem się miotał, nie wiedząc, co ma robić.

A dlaczego nie wiedział?

Bo mu nie powiedziałam.

Wiem, jak wielkie dzieło jest mu pisane. Ale nie mogę mu powiedzieć, bo kiedy raz wstąpi na tę drogę, nie będzie dla niego ratunku. Zginie straszną śmiercią z rąk ludzi, którzy go nienawidzą, zdradzony przez tych, których kocha. Straszna, zła śmierć przerwie jego dzieło w połowie. A mnie przy nim nie będzie. Na niektórych ścieżkach jest sam, na innych są przy nim przyjaciele. Niektórzy umrą, inni będą żyć. Ale żaden nie może go uratować. To jego śmierć ich ocali.

Ale dlaczego? Dlaczego ma zginąć? Przecież to człowiek, który sprawia, że kule rozpływają się w powietrzu. Potrafi przeniknąć przez ścianę, kiedy znajdzie się w ślepych zaułku. Może sprawić, że podłoga rozstąpi się pod

napastnikami. Może ich oślepić, wypełnić bezrozumną paniką, kazać uciekać.

Jednak na żadnej ze ścieżek nie robi nic podobnego. Przyjmuje śmierć, którą mu przynoszą. A ja nie mogę tego znieść. Jak Alvin, tak pełen życia i radości, może wybrać śmierć, kiedy życie stoi przed nim otworem?

Uklękła przy małym okienku na strychu, tak jak wtedy gdy miała pięć lat i przyglądała się, jak rodzina Alvina odjeżdża na zachód, gdzie zbudowała młyn, początek miasta Vigor Kościół. I zdała sobie sprawę: jeśli Alvin zapragnie śmierci, nie mogę się oszukiwać, że to nie będzie miało nic wspólnego ze mną.

Mężczyzna, który ma żonę i dzieci, nie chce umierać. Nie chce – jeśli ich kocha, a oni kochają jego. Nie chce, jeśli ma nadzieję. Mogłabym go ocalić moją miłością. Zawsze to wiedziałam.

A co zrobiłam? Wysłałam go do Nueva Barcelona. Wiedząc, że jeśli tam pojedzie, niechcący uśmierci setki ludzi. Ocali tysiące, tak, ale setki stracą życie i nie pomoże mu świadomość, że ja ponoszę winę. To go tylko zaboli, bo wtedy przestanie mi ufać. Pomyśli, że coś jest mi droższe od niego. Że wykorzystałam jego zaufanie dla wyższej sprawy.

To nieprawda. Alvinie, kocham cię nad życie.

Tylko nie kocham cię tak, jak chciałeś być kochany. Kocham cię jak tamta pięcioletnia dziewczynka, która czuwała nad twoim bezpieczeństwem. Która zawracała cię ze strasznej drogi. Dawała ci wolność, byś mógł dokonać dobrych wyborów, które na ciebie czekały w dorosłym życiu.

Potem odebrałam ci wolność, nie mówiąc ci wszystkiego, co wiem o konsekwencjach twoich czynów. Prawie słyszę, jak mówisz: Mężczyzna nie jest wolny, jeśli nie wie wszystkiego, co może wiedzieć o swoim wyborze.

Ale gdybym ci powiedziała, nie zrobiłbyś tego, co trzeba zrobić. Próbowalbyś wszystkich ratować. A ja widzę te ścieżki. To by się nie udało. Poniósłbyś klęskę i całkiem możliwe, że byś umarł, porzucając wielkie dzieło.

Tymczasem zmieniasz je w coś wspaniałego. Tych ścieżek nie widziałam. Kiedy korzystasz ze swojej mocy, zawsze otwierasz drzwi do przyszłości, która przedtem nie istniała. Więc nie widziałam mostu, który zrobisz z wody, nie widziałam pięciu tysięcy płomieni serc, które wyszły za tobą z miasta na pustkowiu. Czyli skończyło się dobrze, nie rozumiesz?

Ale mógłbyś powiedzieć: „Skoro nie widzisz drzwi, które otwieram moją mocą, dlaczego nie zaufałaś mi, że postąpię w Barcy jak trzeba?”.

A może by tak nie powiedział. Na niektórych ścieżkach tego nie mówił.

Dotknęła brzucha tam, gdzie biło serce jej dziecka. Zdrowego dziecka, o mocnym, jasnym płomieniu serca.

Ale nie przypominało płomienia serca Alvina. To dziecko było zwyczajne. Utalentowane, lecz nie ponad przeciętność. Ten mały chłopiec nie będzie miał wroga ścigającego go w każdym dniu jego życia. I nie będę musiała czuwać nad nim tak jak nad Alvinem. Będę mogła być dla niego zwyczajną matką. I dla jego braci i sióstr, jeśli Bóg pozwoli.

Bóg i Alvin. Bo Alvin może już nigdy do mnie nie wrócić. Kiedy się dowie, że go wykorzystałam, zwiodłam, zmusiłam... że nie zaufałam mu na tyle, by pozwolić mu podjąć decyzję...

Usiadła plecami do okna i zaczęła cicho płakać w fartuch. A płacząc, myślała: Czy moja matka też tak płakała, kiedy umarły moje dwie starsze siostry? Nie, ja znam te łzy. Choć moje pierwsze dziecko nie żyło na tyle długo, bym zdążyła je poznać, złożyłam to małe ciało do ziemi i w tym poczułam się podobna do matki.

Nie płaczę też tak, jak mogłaby płakać matka, gdyby dowiedziała się o miłości mojego ojca do pani Modesty. Zataiłam przed nią ten sekret, bo zobaczyłam straszne konsekwencje jego wyjawienia – zniszczyłby ich oboje.

Nie, teraz płaczę tak, jak płakałby mój ojciec, gdyby zrozumiał, że matka dowie się o jego zdradzie, a on nie będzie mógł w tym przeszkodzić. Moim grzechem nie jest zdrada, to pewne. Pod tym względem byłam wierna Alwinowi. Ale i tak go zdradziłam, zawiodłam to głębokie zaufanie między mężczyzną i kobietą, którzy stają się jednością.

Gorzkie łzy nadchodzącego wstydu.

W tej samej chwili przestała płakać. Szlocham nad samą sobą, pomyślała. Nad sobą się użalam.

Nic z tego. Zmierzę się z konsekwencjami moich czynów. I spróbuję jak najlepiej wykorzystać to, co między nami zostało. Może dziecko nas uzdrowi. Może.

Nienawidziła tych wszystkich „może”. Także pod tym względem mgła zasnuwała wiele ścieżek w przyszłości Alvina. Peggy dokładnie wiedziała, co się wydarzy w życiu byle pasterza, którego mijala na drodze, ale przyszłość męża, człowieka najważniejszego dla niej na świecie, pozostała niebezpiecznie odkryta, a jednocześnie nieprzenikniona.

Wszystkie nadzieje spoczywały w ukrytych rejonach jego płomienia serca – ponieważ te widoczne nie dawały żadnej nadziei. Na żadnej z tych dróg nie czekało jej szczęście. Ponieważ życie bez Alvina nie miało dla niej radości.

Calvin stał w doku i patrzył, jak statki kolejno odbijają od brzegu. Pułkownik Adan zadbał o organizację. Parowce wyruszały w rejs zgodnie

z planem; nie było obawy, że się ze sobą zderzą.

Niestety, niektórzy postanowili za wszelką cenę wyrwać się z miasta, czy to w ramach oficjalnej ekspedycji, czy też nie. Dlatego podczas manewru przemieszczania parowców nagle na rzece pojawiły się dwie duże łodzie z sześcioma mężczyznami przy wiosłach i jakimś tuzinem pod bronią. Wielu z nich stało i popisywało się brawurą.

Na ich widok Calvin wybuchnął śmiechem. Głupcy. Strasznie im się spieszy w objęcia śmierci, w które z pewnością trafią.

I to szybciej niż się spodziewał, choć jeśli się zastanowić, wypadek wydawał się niemal nieunikniony. Zbyt wielki porządek zawsze zdaje się nudzić Boga, Los, Opatrzność, czy kto tam decyduje o takich rzeczach. Zawsze pojawia się element chaosu, choćby po to, żeby ożywić sytuację.

Oczywiście jedna z łodzi, której pilot wrzeszczał na parowiec, żądając usunięcia się na bok, usiłowała się wcisnąć między dwa statki. Jednak parowce nie mogą się szybko zatrzymywać, a podpici wiosłarze nie charakteryzują się precyzją ruchów. Kapitan parowca dostrzegł niebezpieczeństwo; hiszpańscy żołnierze na pokładzie wystrzelili w stronę wiosłujących.

Sprovokowali tym uzbrojonych ludzi z drugiej łodzi, którzy odpowiedzieli ogniem. Żadna kula nie trafiła celu z jednej prostej przyczyny: wiele muskietów strzelających jednocześnie w tym samym kierunku miało taki odrzut, że łódź rozkołysała się i wywróciła dnem do góry. Niektórzy wypłynęli, parszając wodą. Inni – krzycząc. Jeszcze inni wcale nie wypłynęli, najwyraźniej nie mogąc zdjąć pod wodą ciężkich butów lub uwolnić się od ołowianej amunicji.

Krótkie jest życie głupca, pomyślał Calvin. Zwłaszcza takiego, który wchodzi na pokład, nie myśląc o tym, jak dotrze na ląd, jeśli się wydarzy coś nieprzewidzianego.

Tymczasem przerażeni wiosłarze z pierwszej łodzi, sądząc, że drugą łódź zatopiła kula z hiszpańskiej armaty, usiłowali zmienić kierunek. Niestety, nie uzgodnili go między sobą, więc wiosła zaczęły się zderzać i prąd porwał łódź prosto pod dziób wielkiego statku.

Podczas zderzenia połamane wiosła stały się dzidami, które przebiły ciała wiosłarzy. Niektórzy z pasażerów łodzi wskoczyli do wody; kto tego nie zrobił, zginął zgnieciony przez statek.

W dokach zapanował chaos; ludzie usiłowali pomóc rozbitkom. Niektórzy nawet wskoczyli do wody, by ratować tonących, jednak większość śmiała się i wiwatowała, doskonale się bawiąc kosztem tamtych idiotów. A Calvin, choć nie wiwatował, również się śmiał.

Alvin pewnie jakoś ratowałby tych durniów, którzy nie potrafią pływać. Może rozpuściłby ich buty albo amunicję. Albo dałby im skrzela – wyłącznie po to, żeby się popisać.

Ale gdyby Calvin nawet zdołał szybko wymyślić coś takiego i gdyby potrafił dokonać takiej sztuki na odległość, wcale by nie próbował. Świat nie ucierpi na stracie paru głupców. Miasto Barcy tylko zyska na tym, że ci pijani kretyni nie będą się mogli rozmnażać.

Dziś na rzece roi się od głupców, pomyślał Calvin. Ci, którzy znajdują się na statkach, skończą tak samo jak tamte potopione błazny, kiedy Alvin z nimi skończy. Pewnie ocala życie – w końcu chodzi o Alvina – ale z całą pewnością nie powrócą jako zwycięzcy.

Ekspedycja do Meksyku pewnie też się nie powiedzie, myślał wesoło Calvin. Ci aroganci uważają, że bez trudu zwyciężą Meksykanów, ponieważ są Biali. Ich także czeka klęska. A ponieważ ruszają na spotkanie z Meksykanami, a nie z Alvinem Stwórcą, wielu chłopców Steve’a Austina prawdopodobnie straci życie.

Ale nie Calvin. Będzie posłuszny planom tych głupców, dopóki mu się to przyda, a przynajmniej będzie go bawić, ale nigdy nie poświęci życia, by zrealizować cudze cele. On myśli tylko o własnych planach.

W przeciwieństwie do Alvina, któremu rozkazuje żona. Skoro o głupcach mowa...

Trochę to potrwało, ale w końcu znaleźli sukienki na Marię od Zmarłych i Rien, jej matkę, tak ładne, że nadały im wygląd właścioleek niewolników. Może były nieco znoszone, ale ostatecznie mogły ująć. Maria od Zmarłych i Rien wyglądały, jakby mogły posiadać niewolnicę La Tię i młodego silnego niewolnika Arthura Stuarta.

Na tych terenach czasami spotykano obcych. Jeszcze dziesięć lat temu jedyni Biali byli traperami albo zbiegami. Ale kiedy Czerwoni opuścili te tereny i przeszli na drugi brzeg Mizzippy, napłynęli osadnicy. Każdy, kto mieszkał tu choćby pięć lat, uważał się za zasiedzialego mieszkańca. Nikt nie zdziwi się na widok dwóch dam z nieznaney rodziny – na to liczyli.

Alvin nie chciał iść do domu na plantacji.

– Na nic wam się nie przyda to, co powiem. Jestem mężczyzną i Białym, nie możecie mnie naśladować. Będę was obserwować, na wypadek gdyby coś poszło nie tak, ale musicie sobie radzić same.

La Tia i Arthur Stuart zaczęli w pewnej odległości od ganku. Maria od Zmarłych i Rien podeszły, by klaskaniem w dłonie przywołać kogoś do drzwi. Wkrótce otworzył je stary czarnoskóry mężczyzna.

– Dobry wieczór – rzekł poważnie.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Maria od Zmarłych. To ona miała rozmawiać, ponieważ mówiła z mniej charakterystycznym akcentem niż Rien. A także lepiej potrafiła udawać damę. – Moja matka i ja pragniemy porozmawiać z panem tego domu, jeśli to możliwe.

– Pan nie w domu – odparł stary. – Pani chora. Ale młody panicz jest.

– A zatem czy możesz go sprowadzić?

– Panie chcą wejść i spocząć? W domu cień.

– Nie, dziękujemy – odparła natychmiast Maria. Nie miała zamiaru tracić z oczu Arthura Stuarta i La Tii.

Wkrótce stary powrócił z niespełna czternastoletnim młodzieńcem. Towarzyszył mu biały mężczyzna w średnim wieku. Nie był to pan domu ani niewolnik, więc kto?

Maria zwróciła się do chłopca.

– Nazywam się Marie Moore – powiedziała. Uzgodnili, że po winna się przedstawiać angielskim nazwiskiem, przez co stworzy wrażenie, że jej ojciec poślubił Francuzkę. – Moja matka niechętnie mówi po angielsku.

– *Parlez-vous francais, madame?* – wyrwał się mężczyzna.

– Panie guwernerze, ona chce to powiedzieć mi – rzekł chłopiec.
– Mnie, paniczu – poprawił go guwerner.
– To nie lekcja, jeśli pan pozwoli. – A więc chłopiec udawał tak samo jak Maria. Odwrócił się z wyrazem irytacji, który szyb ko zamaskował godnością. – Czego sobie panie życzą? Jeśli chodzi o wodę lub jedzenie, kuchnia jest na tyłach domu.

Nie był to dobry znak. Traktował je jak żebraczki, a powinien w nich zobaczyć damy z tej samej klasy co on.

Na szczęście guwerner natychmiast dostrzegł jego gafę.

– Paniczu, nie można wysyłać dam do kuchni, jakby były służącymi lub żebraczkami. – A do Marii i Rien powiedział: – Proszę mu wybaczyć. Panicz Roy jeszcze nigdy nie przyjmował gości, więc...

– To nie damy – przerwał chłopiec. – Spójrz na ich sukienki.

Niewolnice ubierają się lepiej.

– Paniczu, jesteś nieuprzejmy.

– Panie guwernerze, zapomina pan, gdzie pańskie miejsce – odparł Roy. Znów spojrzał na Marię. – Nie wiem, czego chcecie, ale nie wspomóżemy was, a na waszym miejscu byłbym bardzo ostrożny, bo podobno wczoraj w nocy przez Pontchartrain przeszła wielka banda zbiegłych niewolników. Naszych zamknęliśmy już dzisiaj, bo mogłoby przyjść im do głowy coś głupiego, ale wy nie zdołacie powstrzymać swojej parki.

Maria uśmiechnęła się i oznajmiła najbardziej dystyngowanym tonem:

– Więc na dworze jest niebezpiecznie, lecz młody panicz nie zaprosi do domu dwóch dam, ponieważ nie spodobały mu się ich sukienki. Twoja matka będzie zadowolona, kiedy damy z towarzystwa usłyszą, jak musiałyśmy odejść, gdyż młody panicz jest zbyt dumny. – Odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach. – Chodź, mamó, to nie jest dobra rodzina.

– Paniczu! – syknął guwerner.

– Zawsze pan uważa, że nie mam racji, ale ja wiem, że to kłamczuchy! To mój talent.

Maria odwróciła się.

– Więc masz dar rozpoznawania kłamstw?

– Zawsze potrafię poznać – oznajmił Roy. – A ty i twoja matka jesteście kłamczuchami. Wiem, niegrzecznie tak mówić, ale ojciec zawsze mnie ze sobą zabiera, kiedy jedzie kupować konie czy niewolników, bo potrafię powiedzieć, kiedy ktoś kłamie, mówiąc: „Niżej zejść nie mogę” albo „Ten koń jest zdrowiutki”.

– Jesteś dla ojca wielką pomocą.

– Tak – zgodził się chłopiec z dumą.

– Ale nie wszystkie kłamstwa są do siebie podobne. Moja matka i ja znalazłyśmy się w ciężkiej sytuacji, lecz nadal udaje my bogate damy, ponieważ w ten sposób ratujemy naszą dumę.

Jednak chyba nie jesteśmy pierwszymi paniami w tym domu, które chciały cię zwieść.

Chłopiec uśmiechnął się z zażenowaniem.

– No, to by się zgadzało. Kiedy przychodzą tu jej przyjaciółki, kłamstwa latają w powietrzu jak muchy.

– Czasami z grzeczności można darować niewinne kłamstewko.

– Sam bym tego lepiej nie ujął – wtrącił guwerner. – Panicz jest taki młody...

– Przecież widzą – warknął Roy, znowu zirytowany. – Więc może zechcecie panie wejść i wypić... na przykład lemoniadę?

– Ach, wspaniale. Jednak zanim przyjmimy pańskie łaskawe zaproszenie... Słyszę, że na imię ma pan Roy, lecz nie znamy pańskiego nazwiska.

– Nazwisko wzięliśmy od naszych upraw. Roy Cottoner, a mój ojciec to Abner Cottoner. Imię ma po generale z Biblii.

– Po francusku pańskie imię oznacza „król”.

– Wiem – burknął Roy, znowu zirytowany. Wyglądał na porywczego chłopca.

Zaprosił je do domu. Maria nie miała pojęcia, jak należy się zachować – pierwsza powinna iść mama czy ona? – ale doszły do wniosku, że Roy też tego nie wie, a zresztą już je uznał za oszustki, więc parę wykroczeń przeciwko etykietce nie zaszkodzi.

– Jeśli można... – odezwała się do chłopca.

Roy odwrócił się i przystanął.

– Naszym niewolnikom chce się pić. Czy...

Roześmiał się lekceważąco.

– Ach tak. Stary Bart, nasz służący, zaprowadzi ich do cysterny.

Rzeczywiście, czarnoskóry staruszek już siedł w stronę Arthura Stuarta i La Tii. Maria pomyślała, że chciałaby mieć więcej zaufania do talentu Arthura Stuarta. Cóż, Alvin mu ufał, więc czy ona mogła podważyć to zaufanie?

W salonie Roy zaproponował, by usiadły. Odwrócił się do guwenera.

– Proszę powiedzieć Petunii, że mamy ochotę na lemoniadę.

Guwerner był dotknięty do żywego.

– Nie jestem służącym.

– Więc co, mam iść sam?

Maria pomyślała, że na ile zna się na dobrych manierach, naprawdę powinien to zrobić, ale guwerner tylko zgrzytnął zębami i wyszedł. Ulżyło jej.

Roy stanął w drzwiach, przybierając dziwną, sztywną pozę. Maria podejrzewała, że naśladuje ojca. U dorosłego mężczyzny ta poza wydawałaby się niewymuszona i elegancka.

– Tak jak pan odgadł – odezwała się – przyszłyśmy prosić o pomoc.

– Ojca nie ma – odparł Roy. – Nie mam pieniędzy.

– Nie potrzebujemy pieniędzy. Chciałybyśmy wprowadzić na wasze ziemie dużą grupę ludzi, nakarmić ich waszymi zapasami i przenocować.

Roy zmrużył oczy i porzucił wystudiowaną pozę.

– Więc to wy przeszliście Pontchartrain.

– W rzeczy samej. Jest nas pięć tysięcy i wolelibyśmy przyjąć pomoc ofiarowaną dobrowolnie. Jednak jeśli będziemy musieli, weźmiemy sobie to, czego nam potrzeba. Są z nami setki głodnych dzieci, musimy je nakarmić.

– Wynocha z mojego domu!

– Jesteś młody – po raz pierwszy odezwała się matka Marii. – Nie wiesz, że godność polega na tym, by udawać, iż pragniesz te go, czemu nie możesz zapobiec.

– Niech tylko mój ojciec wróci, powystrzela was jak psy!

– Roy! – Od strony korytarza dobiegł słaby głos i w progu stanęła krucha kobieta, słaba i rozczochrana, jakby się właśnie obudziła, w szlafroku narzuconym na ramiona. – Roy, w tym domu zachowujemy się uprzejmie.

– One uciekły z Barcy, mamó! Chcą nam zabrać jedzenie i różne rzeczy.

– To jeszcze nie powód, żeby zachowywać się niegrzecznie.

Jestem Ruth Cottoner, pani tego domu. Proszę wybaczyć moje mu synowi grubiaństwo.

– Nie powinnaś za mnie przeproszać, mamó! To złodziejki i kłamczuchy!

– Gdybym nie była tak chora, wychowałabym go lepiej – westchnęła Ruth ze smutkiem.

Uniosła muszkiet, który trzymała za sobą. Wycelowwała go prosto w Rien i pociągnęła za spust, zanim Maria zdążyła krzyknąć. Proch syknął i zaiskrzył, z lufy wysypała się garstka śrucin.

– Dziwne – powiedziała Ruth. – Mój mąż powiedział, że jest nabity i gotowy do strzału.

Za jej plecami pojawił się Arthur Stuart.

– Był – rzekł. – Ale czasami broń bywa nieposłuszna.

Ruth odwróciła się w jego stronę. Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się

strach.

– Czyim jesteś niewolnikiem? Co robisz w moim domu?

– Nie jestem niewolnikiem żadnego człowieka. Jestem kimś, kto nie lubi, gdy celuje się z muszkietu do jego przyjaciół.

Obok niego stanęła La Tia.

– Pani, odłóż fuzję i siadaj. – Niosła tacę, na której stał dzbanek lemoniady i sześć szklanek. – Porozmawiamy sobie.

– Zostawcie moją matkę w spokoju! – krzyknął Roy i zrobił ruch, jakby chciał się rzucić na La Tię, lecz Arthur Stuart chwycił go za ręce i przytrzymał.

– Umrzesz za to, że podniosłeś rękę na mojego syna – powie działa Ruth.

– Wszyscy kiedyś umrzemy – zauważył Arthur Stuart. – Słyszeliście, co powiedziała ta dama. Siadajcie.

– Wdarliście się do mojego domu.

– To nie dom – oznajmił Arthur Stuart. – To więzienie, w którym trzyma się wbrew ich woli sześćdziesięciu Czarnych. Pani ich więzi i za tę zbrodnię zasługuje pani na straszną karę. Ale nie przyszliśmy tu, by kogoś karać, więc myśli o karze proszę zachować dla siebie. A teraz siadać!

Usiadła. Arthur pchnął Roya na krzesło. La Tia postawiła tacę na małym stoliku i zaczęła napełniać szklanki lemoniadą.

– Ktoś zamknął wszystkich Czarnych w chatach – powiedziała. – Taki upał, to niedobrze.

– Więc ich wypuściłem – dodał Arthur. – Teraz gaszą pragnienie przy studni, ale wkrótce pomogą naszej grupie rozlokować się na waszych trawnikach i w stodołach. Potem przyrządzą kolację na pięć tysięcy osób. Jak w Biblii, prawda?

– Nie mamy jedzenia dla tak wielu osób! – krzyknęła Ruth.

– Jeśli nie, skorzystamy z gościnności waszych sąsiadów.

– Mój mąż może wrócić w każdej chwili!

– Będziemy go wypatrywać. Proszę się nie lękać, nie pozwoli my, żeby przypadkiem kogoś postrzelił.

Maria z mimowolnym podziwem obserwowała jego spokój. Zachowywał się, jakby ta sytuacja sprawiała mu przyjemność. A jednak nie był złośliwy.

– Mój mąż zorganizuje pościg! Każe was powiesić!

– Nawet kobiety i dzieci? – spytał łagodnie Arthur Stuart. – Bardzo niebezpieczny precedens. Na szczęście my nie jesteśmy mordercami, więc was nie powiesimy.

– Pan guwerner na pewno już pobiegł po pomoc – oznajmił Roy z zadowoleniem.

– Zakładam, że pan guwerner to ten biały mężczyzna o miękkim ciele, ten, który przeczytał więcej książek, niż potrafi zrozumieć?

Roy skinął głową.

– Stoi na podwórku ze spuszczoneymi spodniami, a czarni analfabeci czytają mu Biblię. Zdaje się, że twierdził z wielkim naciskiem, iż Czarnych nie można nauczyć czytać, bo mają za małe mózgi, czy też przypieczone na słońcu. W tej chwili udowadniają mu, że się pomylił.

– Nie marnowaliście czasu – odezwała się Rien.

– Jestem chora. Umieram – powiedziała Ruth. – To okrucieństwo tak mnie traktować w ostatnich tygodniach życia!

Arthur spojrzał na nią z uśmiechem.

– A ile tygodni wolności zamierzała pani dać swoim niewolni kom, zanim umrą?

– Naszych niewolników traktujemy dobrze, też coś!

Jakby w odpowiedzi do pokoju wszedł stary Bart. Jego ruchy nie były już powolne. Szedł szybko, energicznie. Podszedł do Ruth i splunął jej na kolana. Roy poderwał się z krzesła, ale stary Bart uderzył go w twarz tak mocno, że chłopiec się przewrócił.

– Nie! – krzyknęła Maria.

– *Non!* – zawtórowała jej matka.

– Nikogo nie bić – powiedziała La Tia łagodnie. – I nie pluć też.

Stary Bart spojrzał na nią.

– Wszyscy nasi chcieli to zrobić, ale ja powiedziałem: Pozwólcie, zrobię to tylko raz w imieniu was wszystkich. Mnie powierzy li to zadanie. Wiecie, że ten chłopiec już przymusił dwie dziewczyny? Jedna nawet jeszcze nie dostała miesięcznych słabości.

– To kłamstwo! – krzyknął Roy.

– Mój syn nie byłby zdolny do...

– Nie opowiadajcie Czarnym, do czego są niezdolni Biali – przerwał Arthur Stuart. – Ale z tym już skończyliśmy. Nie przyszliśmy tu, by przynieść zemstę czy sprawiedliwość. Tylko wolność.

– Przynosicie mi wolność i mówicie, że nie mogę z niej korzystać?

– Wiem, co robisz – odezwała się La Tia. – Ty domowy niewolnik. Ty chcesz, żeby ci z pola zapomnieli, że śpisz pod dachem, w łóżku.

Stary Bart błysnął strasznym spojrzeniem.

– Codziennie traktują mnie jak śmiecia, cały czas, i łóżko ma mi to wynagrodzić? Nienawidzę ich bardziej niż inni. Uderzyłem go, nie zabiłem, tak wygląda miłosierdzie.

Arthur Stuart pokiwał głową.

– Szanuję pańskie uczucia. Ale teraz nie interesuje nas ani sprawiedliwość, ani miłosierdzie. Chcę bezpiecznie przeprowadzić pięć tysięcy ludzi do Mizzippy. I nie potrzebuję, by cały kraj za wrzał od plotek o niewolnikach, którzy biją dzieci ich byłych pa nów.

– Nikt nie powie o biciu – wycedził Bart. – Powiedzą, że tego chłopca zabiliśmy, tę kobietę zgwałciliśmy, a tego głupiego nauczyciela pokroiliśmy na kawałki. Więc skoro i tak to powiedzą, może to zrobimy? Tak troszeczkę?

Ruth jęknęła.

– Już zrobił pan wszystko, co trzeba. Jeśli podczas naszej obecności tutaj podniesie pan na kogoś rękę, będę musiał pana powstrzymać.

Stary Bart uśmiechnął się z wyższością.

– Chciałbym to zobaczyć.

– Nie sądzę – odparł Arthur.

Maria usiłowała rozładować sytuację. Wstała i podeszła do Ruth Cottoner.

– Poroszę mi dać rękę.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła kobieta. – Nie podam ręki złodziejce i włamywaczce!

– Znam się na chorobach. Wiem więcej niż pani lekarz.

– W Barcy – dodał Arthur Stuart – wszyscy chorzy przychodzili do niej, żeby się przekonać, czy wyzdrowieją.

– Nie zrobię pani krzywdy – dodała Maria. – I powiem prawdę. Pani syn to potwierdzi.

Kobieta powoli wyciągnęła dłoń.

Maria poczuła, że ciało Ruth staje się jej własnym, i od razu znalazła raka. Jego centrum znajdowało się w łonie, ale rozprzestrzeniał się, zjadał kobietę od środka.

– Jest źle – powiedziała. – Zaczęło się w pani łonie, ale teraz jest wszędzie. Ból musi być straszny.

Ruth zamknęła oczy.

– Mamo... – szepnął Roy.

Maria spojrzała na Arthura Stuarta.

– Potrafisz...?

– Ja nie – odpowiedział. – To dla mnie za wiele.

– Czy mógłby Alvin...?

– Spytaj go. Ale dla niego także może być tego za dużo. Nie potrafi dokonywać cudów.

– Macie jakiegoś uzdrowiciela? – spytała Ruth z goryczą. – Już tu bywali,

szarlatani.

– Na ogół nie zajmuje się uzdrawianiem – odparł Arthur Stuard. – Robi to tylko wtedy, kiedy spotyka kogoś, no, potrzebującego.

Maria puściła rękę Ruth i podeszła do okna. Ludzie już chodzili wokół grupkami po dziesięć i pięćdziesiąt rodzin. Czarni z plantacji prowadzili ich do budynków i szop. Z kuchni dobiegał brzęk garnków i talerzy, szatki i rozmowy.

Łatwo było go znaleźć wśród tego mrowia. Był potężny jak legendarny heros – Achilles lub Herkules – a mądry i dobry jak Prometeusz. Na pewno potrafi uleczyć tę kobietę. A jeśli odpłaca jej latami życia, czy ktoś oskarży ich o kradzież?

Verily Cooper zawsze obcierał sobie uda, kiedy jechał konno. I naciągał sobie mięśnie. Niektórzy uwielbiają konną jazdę. Verily ich nie rozumiał. I nie musiał. Prawnicy dobrze zarabiają, prawda? Prawnicy jeżdżą powozami. Pociągami.

Jadąc konno, trzeba przez cały czas myśleć. Koń sam nic nie robi, nie ma szans. Zawsze trzeba zachowywać czujność; w przeciwnym razie koń zrozumie, że on tu rządzi, i znajdziesz się w drodze do czegoś, co koń uznał za interesujące.

No i te otarte uda. Siodło nie urażało ich tylko wtedy, kiedy się stało w strzemionach. Ale to z kolei męczyło mięśnie. Może z czasem wyrobiłby w sobie nieco więcej siły i odporności, ale na ogół nie wybierał się w tak długie konne wycieczki. Dlatego najpierw stał w strzemionach, a potem siadał i dawał sobie obcierać uda.

Tak czy tak, nogi bolały.

Dlaczego mam się tak poświęcać dla Alvina? Albo Margaret Lerner? Co ja im właściwie zawdzięczam? Czy ich sprawy nie wypełniają mi życia, odkąd zostałem ich przyjacielem? I co ja z tego mam?

Te nielojalne myśli go zawstydzaly, lecz przecież to nie jego wina, co przychodzi mu do głowy, prawda? Przez jakiś czas był przyjacielem i towarzyszem podróży Alvina, niestety, te dni minęły. Usiłował się nauczyć Stwarzania wraz z innymi w Vigor Kościele, ale choć miał talent, pozwalający mu dostrzegać, jak różne rzeczy do siebie pasują, i sprawiać, żeby stopiły się ze sobą – co, jak mówił Alvin, stanowiło kluczową umiejętność Stwarzania – nadal nie mógł dorównać Alwinowi.

Potrafił nastawić złamaną kość – całkiem niezłą umiejętność – ale zbliżyć otwartej rany już nie. Potrafił zrobić beczkę tak szczelną, że nigdy nie

przeciekała, ale nie potrafił otworzyć metalowego zamka, rozpuszczając metal. A kiedy Alvin porzucił szkołę i ruszył w drogę, Verily nie widział powodu, by dalej ćwiczyć.

A jednak Alvin o to prosił, więc go posłuchał. On i Measure, starszy brat Alvina – dwóch kretynów, niestety. Uczyli się nawzajem tego, co umieli.

A jako prawnik nie zarabiał niemal nic.

Jestem dobrym prawnikiem, powiedział sobie. Idzie mi tak dobrze jak z bednarstwem. Może nawet lepiej. Ale nigdy nie stanę przed Sądem Najwyższym ani innym szacownym zgromadzeniem. Nigdy nie dostanę sprawy, dzięki której stanę się sławny – chyba że będę bronił Alvina, i to oskarżonego o najgorsze czyny.

Znowu się zamyślił i koń to wykorzystał. Nie byli już na głównej drodze, ale gdzie? Czy teraz musi się cofnąć?

Drogę, na której się znalazł, przecinał strumień. Zamiast brodu, jak na większości dróg, biegł nad nim mocny most – w dodatku kryty – zaledwie na trzy metry szeroki, lecz wysoki i bez śladów zniszczenia. Verily wiedział, że wszystkie kryte mosty na tej drodze zbudował ojciec Alvina i jego starsi bracia, by nikt więcej nie stracił syna i brata tylko dlatego, że pewnego dnia jakaś mało ważna rzeczka, na przykład Hatrack River, przybierze i stanie się głęboka i porywista.

A więc koń skręcił i teraz zmierzali nie na zachód do Carthage i Noisy River, lecz na północny zachód do Vigor Kościoła. Była to dłuższa droga, lecz skoro już Verily się nad tym zastanowił – lepsza. Będzie mógł wypocząć i uzupełnić zapasy. Usłyszy nowiny. I może spotka także miłość swojego życia, która go pozna i odciągnie od tych skomplikowanych spraw.

Alvin ma żonę i dziecko w drodze, a ja co? Otarte nogi. I żadnych klientów.

Muszę znaleźć w Noisy River prawnika, który poszukuje pomocnika. Chyba umiałbym pracować w zespole. Dla Alvina Stwórcy nigdy nie byłem prawdziwym partnerem – nikt nim nie jest, może z wyjątkiem żony, a skoro są tak od siebie daleko, ich także trudno nazwać partnerami.

Rozejrzę się w Springfield i sprawdzę, czy nie mógłbym tam zamieszkać.

Nie pojadę przez Vigor Kościół. Nie tam czeka na mnie miłość mojego życia. Miłość do Alvina Stwórcy, na dobre czy na złe, nadaje kształt mojemu życiu. Będę mu służyć w Springfield. Nie pojadę okrężną drogą.

Zawrócił konia i wkrótce odnalazł rozstaje, na których koń skręcił w złą stronę. Nie, bądź uczciwy, pomyślał. To ty skręciłeś w złą stronę, niczym Jonasz uciekając od swojego obowiązku.

Arthur Stuart przyglądał się uważnie Alvinowi, by nauczyć się, jak leczyć taką chorobę. Nie zdołał wychwycić szczegółów wyleczenia stopy Papy Łosia, ale mniej więcej potrafił się zorientować, o co chodziło. Ta kobieta była trudniejszym przypadkiem. Kiedy Maria od Zmarłych powiedziała, co się dzieje w jej ciele, Arthur także to zobaczył, ale nie potrafił określić granic raka, zrozumieć, gdzie kończy się dobra tkanka, a zaczyna zła. W jej wnętrzu widział mnóstwo małych plamek i co do niektórych nie potrafił się zorientować, czy to rak.

Więc kiedy Alvin wszedł do domu i przywitał się z nim, La Tia, Rien i Marią od Zmarłych, Arthur Stuart nie mógł się doczekać, kiedy zabierze go do pani Cottoner.

Alvin skłonił się nad jej dłonią i poważnie uściśnął dłoń naburmuszonego Roya.

Potem spytał, czy może usiąść obok i wziąć ją za ręce, ponieważ „byłoby mi łatwiej, gdybym pani dotykał, choć jeśli to pani niemiłe, mogę sobie poradzić bez tego”.

W odpowiedzi chwyciła go za ręce. I tak, siedząc w salonie, otoczeni gwarem obozowiska na podwórzu, a także wewnątrz domu, ponieważ ludzie wpadali czasem, pytając o coś La Tię lub Rien, Alvin zaczął pracować nad zmianą wnętrza Ruth.

Arthur Stuart usiłował za nim nadążyć. Tym razem Alvin pracował powoli. Zupełnie jakby chciał pokazać Arthurowi metodę – i może tak właśnie było. Ale zawsze najważniejsze szczegóły umykały. Arthur widział, na co patrzy Alvin, czuł, w jaki sposób szuka czegoś na granicy między dobrą i złą tkanką, ale nie potrafił się zorientować, jak rozpoznaje, która jest chora, a która zdrowa.

Na szczęście niektóre rzeczy potrafił dostrzec. Na przykład, że kiedy Alvin rozbijał chorą tkankę, kazał się jej rozpląnąć we krwi, by można ją było wydalić. Jak łączył wszystko w miejscach, skąd zniknął rak. Jak dodawał kobiecie sił.

– Niedobrze mi – szepnęła.

– Ale nie boli – odszepnął.

– Nie, nie boli.

– Prawie skończyłem. Pani ciało mi pomaga znaleźć wszystkie chore miejsca. Nie potrafiłbym tego zrobić bez pomocy pani ciała. Pani wie, jak się leczyć – nie umysłem, lecz ciałem, kośćmi i krwią. Trzeba je było trochę... nakierować. Widzi pani? To nie cud. Mój dar polega na tym, że wiem, co chce zrobić pani ciało, choć tego nie potrafi... i pokazuję mu ten sposób.

– Nie rozumiem.

– Mdłości miną, kiedy ostatki chorych tkanek wyjdą ze stolcem.

Najpóźniej rano. Może wcześniej.

– I nie umrę?

– Nie czuje pani? – spytał łagodnie Alvin. – Nie czuje pani, że wszystko w środku wyzdrowiało?

Pokręciła głową.

– Ból minął, to wszystko.

– No, to już coś, prawda?

Zaczęła płakać.

Roy natychmiast podbiegł, położył jej rękę na ramieniu i spojrzał gniewnie na Alvina i Arthura Stuarta.

– Ona nigdy nie płacze! To przez was!

– Płacze z ulgi – wyjaśnił Arthur Stuart.

– Nieprawda – powiedział Alvin.

– Cierpi przez was! – krzyknął Roy.

– Płacze, ponieważ się boi. Czego się pani boi?

– Boję się, że kiedy odejdziecie, to wróci.

– Nie mogę obiecać, że nie, lecz nie wydaje mi się. Ale jeśli tak się stanie, proszę do mnie napisać. List należy zaadresować do syna Alvina Millera, w Vigor Kościele w stanie Wobbish.

– Nie może pan tu wrócić.

– Pewnie że nie – odezwał się Roy. – Wtedy będę większy i go zabiję!

– O nie – powiedziała pani Cottoner.

– Właśnie że tak! Ukradł nam niewolników! Nie rozumiesz, mam?

Będziemy biedni!

– Ciągłe mamy ziemię. A ty masz matkę. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Jej spokojne spojrzenie musiało przekazać chłopcu coś, czego Arthur Stuart nie zrozumiał. Roy wybuchnął płaczem i wybiegł z pokoju.

– Jest taki młody – szepnęła.

– Wszyscy mamy na sumieniu ten grzech – powiedział Alvin.

– A niektórzy nigdy go nie porzucają.

– Nie ja – odparła. – Ja nigdy nie byłam młoda.

Arthur Stuart domyślił się, że kobieta ukrywa jakąś historię, ale nie potrafił jej odgadnąć. Gdyby była tu jego siostra Peggy, poznałaby ją i może później mu opowiedziała. Albo gdyby Bazarz tu był, poznał jej historię i opisał w książce, może Arthur zdołałby ją zrozumieć. Na razie mógł się tylko domyślać, co Ruth miała na myśli.

Albo co chciał powiedzieć Alvin, kiedy oznajmił:

– Teraz jest pani młoda.

– Może przez parę godzin.

Alvin otworzył dłonie, by ją uwolnić, ale ona szybko chwyciła go za nadgarstki.

– Och, proszę... jeszcze nie.

Więc przez jakiś czas siedział, trzymając ją za ręce.

Arthur Stuart nie mógł na nich patrzeć. Tu już nie chodziło o leczenie. Alvin nie używał swojego talentu. Po prostu trzymał za ręce kobietę, która patrzyła na niego jak na Boga lub cudem odnalezionego brata. Arthur Stuart czuł, że coś jest nie tak. Jakby jego siostra Peggy coś traciła. Miał ochotę powiedzieć: Ruth Cottoner, nie masz prawa trzymać tych rąk.

Ale się nie odezwał. Wyszedł z domu i ujrzał La Tię, po cichu wydającą rozkazy i kierującą wszystkim bez podnoszenia głosu. Czasami nawet się śmiała i witała uśmiechem i żartami wszystkich, którzy do niej przyszli.

Zobaczyła go.

– Chodź! – zawołała. – Nie znam hiszpański, nie rozumiem te go tu!

Więc Arthur Stuart zajął się sprawami obozu i zostawił Alvina z kobietą, która była w nim prawie zakochana. A dlaczego by nie? Właśnie ocalił jej życie. Zajrzał w jej ciało, zobaczył, co jest zepsute, i naprawił to. Kogoś takiego chyba trzeba pokochać, prawda?

Ekspedycja do Meksyku nie wyruszyła w drogę parowcem. Steve Austin musiał znaleźć jakiegoś hojnego darczyńcę, bo dostali trzymasztowy szkuner, doskonały na statek handlowy, z wiosłami niczym galera, ponieważ w Zatoce Meksykańskiej często panowała bezwietrzna pogoda. Na pokładzie znajdowała się prawdziwa armata oraz działa, które mogli znieść na ląd. Artyleria!

Calvin czuł coraz większy szacunek do Steve'a Austina, który wyraźnie potrafił załatwić wszystko. Oczywiście wiele osób chętnie dałoby pieniądze na podbój Meksyku, gdyby powodzenie wyprawy wydało się im pewne. A ponieważ szanse powodzenia równały się niemal zeru – tylko jeden statek i setka niezdyscyplinowanych „żołnierzy” – oznaczało to, że Steve Austin ma wielki dar przekonywania.

Muszę się tego nauczyć, pomyślał Calvin. Będę go obserwować i nauczę się, jak się namawia ludzi, żeby inwestowali pieniądze w szalone projekty. Całkiem pożyteczna umiejętność.

Obrócono statek za pomocą lin trzymany na brzegu, dzięki czemu nie mógł się zgubić w wiecznej mgle po drugiej stronie rzeki. Potem liny opadły

i statek pożeglował w długą drogę do ujścia Mizzippy.

Tuż za Barcy mgła na prawym brzegu się przerzedziła, a zanim dotarli na otwarte morze – znikła zupełnie. Interesujące. Zatem nie ma związku z rzeką, lecz z granicami ziem chronionych przez Tenskwa-Tawę. To nasunęło Calvinowi pytanie, czy mgła zalega także wzdłuż wybrzeża i na granicy z Meksykiem.

A może Tenskwa-Tawa zawarł z Meksykanami jakieś przymierze? Może i on składał ofiary z ludzi? A jeśli tak, czy Alvin o tym wie? Bardzo ciekawe zagadnienie. Tu wzniosłe cele, walka z niewolnictwem i krwawą wojną, a tam najlepszy przyjaciel, czerwonoskóry prorok, brata się z meksykańskimi dzikusami, którzy wydzierają ludziom serca.

Oczywiście Calvin wiedział o tym od samego początku. Alvin jedynie udaje cnotliwego, mówi, że korzysta ze swojej mocy wyłącznie w służbie dobra, ale nie wie, co jest dobre, tak samo jak Calvin czy ktokolwiek inny. Pewnie uważa, że to, co robi, jest szlachetne, ale to nieprawda. Alvin jest taki sam jak inni – robi to, co chce, mając nadzieję, że mu to ujdzie na sucho. I traktuje wszystkich, którzy mu staną na drodze.

Calvin przynajmniej potrafi przyznać, że sam tak robi. Nie ma żadnych złudzeń.

Spojrzał na rozmigotaną wodę; wietrzyk wydał żagle i statek ruszył zygzakiem. Ocean był roziskrzony, olśniewający. Świetlne refleksy oślepiły. A na jaskrawoniebieskim niebie sunęły małe białe chmurki.

Ale pod powierzchnią wody panuje mrok, myślał Calvin. Dno jest błotniste i roi się od stworzeń, które się nawzajem pożerają. A potem lądują w sieciach poławiaczy krewetek, jakby Bóg zstąpił z nieba, by ukarać grzeszników. Ale to nie kara, a one nie zgrzeszyły, są tylko głodnymi krwiożerczymi stworzonkami, które dały się złapać.

Alvin usiłuje żyć na powierzchni błękitnego morza. Ja nie.

Wokół żołnierze śmiali się i żartowali. Przechwalali się, czego dokonają w Meksyku. Austin pewnie zamierza zejść na ląd i wykorzystać moc Calvina, by zrobić wrażenie na potencjalnych sprzymierzeńcach i przerazić Meksykanów. Ci rechoczący, przechwalający się mężczyźni byli najemnikami, co do jednego. A niewielu najemników wynajmuje swoją odwagę wraz z ciałem. Dopóki nikt do nich nie strzela, dopóki nie widzą, jak towarzysze broni padają trupem, będą dzielni. A kiedy zaczną się kłopoty, uciekną.

Dlaczego by nie? Ja też ucieknę.

Biedny Steve Austin. Tyle pieniędzy tylko po to, by zawieźć działa do Meksyku.

Ale przecież może także wygrać. W końcu ma Calvina Stwórcę, człowieka obdarzonego mocą, który nie waha się jej używać.

Czy to nie ja sprawiam, że ciepły i miły wiatr wieje w kierunku, w którym zmierzamy? Nikt na pokładzie nie podejrzewa, że to moje dzieło. Dopóki jestem na tym statku, nikt nie będzie musiał siadać do wiosła.

Nadszedł wieczór; wszyscy już zjedli posiłek. Plantację Cottonerów otoczyła gęsta mgła, choć na samej plantacji powietrze było tak przejrzyste, że można było podziwiać gwiazdy.

Arthur Stuart był z siebie dumny; nauczył się robić mgłę. Trudno uwierzyć, że zaledwie parę tygodni temu uczył się dopiero zmiękczać żelazo i szło mu okropnie powoli. Widać był jak dziecko, które z wysiłkiem stawia pierwsze kroki, a dwa tygodnie później radośnie śmiga po całym domu i podwórku.

Mgła lub czyste powietrze. Decyzja należała do niego.

– To tylko mgła – powiedział Alvin, kiedy Arthur Stuart oszalał z zachwyty. – Nie zrobiłeś nowego księżyca ani nie ruszyłeś z posad góry.

– To pogoda! Robię pogodę!

– Robisz płot wokół ludzi, których trzeba chronić. Nie popisuj się i nie zacznij decydować, kto dostanie deszcz, a kto nie.

Trudno zatrzymać burzę, którą się raz rozpęta.

– Nie będę rozpętywać żadnej burzy – burknął Arthur Stuart. – Znasz mnie tak długo i uważasz, że jestem Calvinem?

Alvin uśmiechnął się.

– Tu nie mam żadnych wątpliwości. Ale nigdy nie będziesz mi mógł powiedzieć: Nie wiedziałem, to nie moja wina.

– Więc nauczysz mnie wszystkiego?

– Wszystkiego, co mi przyjdzie do głowy.

– A kto nauczył ciebie?

– Moje głupie błędy.

– Jeśli głupie błędy tyle ci dały, dlaczego nie pozwolić mnie się uczyć u tego samego nauczyciela?

Alvin nie znalazł odpowiedzi. Roześmiał się.

– Musisz spać – powiedziała Maria od Zmarłych. – Nie od chodź do rana.

– Noc jest dla mnie najlepsza – odparł. – A prześpię się, idąc.

Maria od Zmarłych spojrzała pytająco.

– Nauczył się tego od Czerwonych – wyjaśnił Arthur Stuart. – Biegnie we śnie. Wczoraj też tak zrobił, przechodząc przez jezioro. Nie słyszałaś?

– Słyszałaś? Jaki to dźwięk? – roześmiała się, sądząc, że Arthur Stuart

żartuje.

Po chwili o nim zapomniała. Wpatrywała się w Alvina; Arthur uświadomił sobie, że ostatnio Maria od Zmarłych robi tylko to, chyba że ma jakieś pilne zadanie. Nie patrzyła na niego z takim uczuciem jak Ruth Cottoner. To było coś innego. Kompletnie uniesienie. Zachłanność. Jakby pożerała go oczami.

Ruth Cottoner kochała Alvina, to pewne – miłością zrodzoną z wdzięczności, ulgi, strachu i zaufania do człowieka, który ją ocalił. Maria od Zmarłych także go kochała, ale inaczej. Jakby miała jakiś cel. Jeszcze tego celu nie osiągnęła, ale dążyła do niego.

Nie mogę nic o tym wiedzieć, pomyślał Arthur Stuart. Nie jestem Peggy. Nie jestem żagwią, by spoglądać w płomienie ludzkich serc.

Poza tym Peggy nie posłałaby Alvina tam, gdzie zakocha się w nim inna kobieta.

A zresztą, o ile się orientuję, kobiety zawsze kochały Alvina, tylko ja byłem zbyt młody i głupi, żeby to zauważyć. Ale parę przypadków pamiętam, a jakże. Nic z tego nie wyszło. Alvin nigdy nie reagował.

Tym razem chyba nie zauważał, jak Maria od Zmarłych na niego patrzy. Może dlatego że była bardziej subtelna. W końcu ja sam zauważyłem to dopiero dziś. Więc może nie dostrzegł, że jej spojrzenie zawsze za nim idzie, że Maria wsłuchuje się w każde jego słowo, że go czci. Jednak czy to widział, czy nie, jej zachowanie miało na niego wpływ. Ciągle się do niej odwracał. Mówił do kogoś innego, ale zerkał na nią, jakby sprawdzał, czy go usłyszała. Jakby był to jakiś żart zrozumiały tylko dla nich dwojga.

Ale między nimi nie ma żadnych żartów ani nic. Na nic nie mieli czasu. Przecież zawsze przy nich byłem, prawda? Niemal zawsze, z wyjątkiem tego pierwszego razu, kiedy się spotkali, a ona zaprowadziła go do chaty na bagnach, żeby uleczył jej matkę.

Ta Maria od Zmarłych widzi w człowieku tylko to, czy jest chory i czy umrze na tę chorobę. Ale co widzi w Alvinie? Mężczyznę, który sprawi, że jej koszmary się nie urzeczywistnią.

Nie, ona widzi moc. Moc zmieniania świata, przyszłości.

A może tylko te szerokie ramiona.

Zresztą co mnie to obchodzi. Alvin się w niej nie zakocha. Nie zauważa żadnych kobiet z wyjątkiem Peggy – wiedziałbym, gdyby było inaczej.

Przecież nie tylko Alvin coś potrafi. Ja może nie potrafię leczyć, ale utrzymałem most od drugiej strony, a to już coś. I sprawiłem, że muszkiet Ruth Cottoner nie wypalił. I zrobiłem mgłę!

Co ja sobie wyobrażam? Ona jest pewnie z pięć lat starsza ode mnie. Poza

tym to Biała. Francuzka. Choć teraz potrafię już całkiem nieźle mówić po francusku. I jestem pół-Biały, a zresztą co za różnica? Przecież niedługo opuścimy ziemie, na których panuje niewolnictwo.

Nie. W jej oczach jestem dzieckiem, w dodatku pół-Czarnym, a przede wszystkim uczniem Alvina, on jest mistrzem, więc dlaczego miałaby na mnie patrzeć?

Ale dobrze, że Alvin wyjeżdża. Dobrze, że ma zadanie. Nie należy się rozpraszać, kiedy trzeba załatwić ważne sprawy.

Alvin nie robił wielkiego hałasu ze swoim odejściem. Spełnił wszystkie obietnice. La Tia, Arthur, Maria od Zmarłych i Rien znali swoje zadania – Maria i Rien miały odwracać uwagę ludzi z dworu, dopóki Arthur Stuart i La Tia nie uwolnią niewolników i nie powiedzą im, co się dzieje. Oczywiście nie zawsze tak będzie – nie zawsze pan domu będzie nieobecny, niewolnicy zamknęci w chatach, a nadzorca pijany do nieprzytomności. Bez Alvina nie będą już mogli leczyć. Ale jakoś dadzą sobie radę.

Alvin nie chciał, by tysiące uchodźców zobaczyły jego odejście. Zwłaszcza jeśli ktoś miałby go prosić o pozostanie. W obozie zapanowałby nastrój niepewności. Przecież ludzie, którzy dziś odegrali najważniejszą rolę, byli nadal z nimi. A kiedy uciekinierzy zaczną o niego pytać, usłyszą: Alvin poszedł na zwiady, niedługo wróci.

Więc kiedy nadeszła pora odejścia, po prostu cicho odszedł.

Widział to tylko Arthur Stuart, ale nie podbiegł, by się pożegnać. Z uśmiechem patrzył, jak Alvin zarzuca worek na ramię, wchodzi w las i znika we mgle. A kiedy odwrócił wzrok, okazało się, że nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie Alvina.

Nikt oprócz Marii od Zmarłych. Udawała, że rozmawia z matką i paroma Francuzami, ale wzrok miała wbity w punkt, w którym zniknął Alvin.

To miłość, pomyślał Arthur Stuart. Dziewczyna szaleje z miłości.

Ludzie nie od razu ułożyli się do snu. Byli zmęczeni, więc można by się spodziewać, że zaraz pójdą spać. Dzieci rzeczywiście zasnęły natychmiast, kiedy zaspokoili głód, ale inni rozmawiali, dziwili się i martwili, i jeszcze przez jakąś godzinę w obozie panował gwar.

Arthur Stuart czuł, że potrzebuje snu jak wszyscy, może nawet więcej, lecz najpierw sprawdził, czy mgła jest na swoim miejscu. To było jego zadanie; co byłby wart, gdyby je zaniedbał? Dlatego po raz ostatni obszedł obóz. Paru Czarnych, uwolnionych z plantacji Cottonerów, podeszło i chciało mu dziękować, ale powiedział, że nie dał im niczego, czego nie mieliby od Boga. Potem przeprosił ich i ruszył dalej.

Kiedy wrócił do dworu, prawie wszyscy już spali. Dopiero teraz zorientował się, że nie zadbał nawet o koc dla siebie.

Nieważne. Noc była ciepła, trawa sucha, a owady mu nie przeszkadzały. Znalazł pusty splechetek ziemi nieopodal miejsca, w którym zaczynała się mgła, usiadł i zaczął pocierać stopami o trawę; po całodziennym marszu to mu przyniosło ulgę. Przypomniawszy sobie, że buty zostawił gdzieś koło domu. Rano je znajdzie albo obejdzie się bez nich. Buty są dobre na zimę, ale trudno je nosić ze sobą przez całe lato, kiedy chce się czuć ziemię pod stopami.

– Więc odszedł – odezwała się Maria od Zmarłych.

Nie zauważył jej nadejścia. Przeklął się w myślach. Alvin zawsze wiedział, kto jest w pobliżu. A on przecież widział płomienie serc, przynajmniej te najbliższe. Tylko nie przyzwyczaił się ich szukać. Wokół były ich setki, wszystkie uśpione. Nie zwracał na nie uwagi.

– Teraz ty jesteś Stwórcą – dodała.

– Uczniem – mruknął. – Jeśli w ogóle. Moim prawdziwym ta lentem są języki.

Powiedziała coś w języku przypominającym trochę hiszpański, a trochę francuski.

– Najpierw muszę się ich nauczyć – dodał. – Nie mam ich wszystkich w głowie.

Roześmiała się cicho.

– Jak to jest, kiedy się z nim ciągle podróżuje?

– Jakby się miało szwagra, który czasem traktuje cię jak dziecko, a czasem jak człowieka.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– To musi być cudowne... widzieć, jak robi te szlachetne rzeczy.

– Na ogół robi tylko jedną przed kolacją i daje sobie spokój na resztę dnia.

– Droczyś się ze mną.

– Chcesz wiedzieć, jak to jest? Spytaj mamę, czy to bardzo ciekawe, kiedy znajduje chorobę w kimś, kto potem umiera.

– Można się do czegoś takiego przyzwyczaić?

– Nawet nie próbuję. Chcę się tego nauczyć.

– Dlaczego? Dlaczego, skoro on potrafi to zrobić o wiele lepiej?

Czy wiedziała, jak bardzo go zraniła?

– Ale chyba dobrze, że się czegoś nauczyłem, nie sądzisz?

W przeciwnym razie musielibyśmy postawić strażę, a jak ci się wydaje, ilu wartowników byśmy znaleźli?

– Więc naprawdę zrobiłeś mgłę? Nie on?

– On zaczął, żeby mi pokazać, jak to się robi. Ja dokończyłem.

– I potrafisz ją zrobić jutro?

– Mam nadzieję, bo tę mgłę musimy zostawić. Jeśli zostanie my tu na drugą noc, na plantacji nie zostanie nic do jedzenia i Cottonerowie umrą z głodu.

– Nie umrą. Nie muszą już karmić niewolników, pamiętasz? – Położyła się na trawie. – Gdybym mogła z nim podróżować, była bym szczęśliwa w każdej minucie każdego dnia.

– Ze mną jest inaczej. Mniej więcej co drugi dzień kaleczę się w palec albo jem coś nieświeżego. Ale w pozostałe dni to szczyt szczęścia.

– Dlaczego ze mnie żartujesz? Otwieram przed tobą serce.

– On jest żonaty. A jego żoną jest moja siostra.

– Nie martw się. Nie kocham go w ten sposób.

Owszem, kochasz, pomyślał.

– Miło mi to słyszeć.

– Czy możesz mi pomóc?

– W czym?

– Ta kryształowa kula... ta, co ją ze sobą noszę...

– O ile pamiętam, paru chłopców z radością pomaga ci pchać taczki.

Niecierpliwie machnęła ręką.

– Spoglądam w nią i to, co w niej widzę, przeraża mnie.

– Co widzisz?

– Śmierć wszystkich ludzi na świecie. Tylu, że nie widzę już twarzy.

Arthur Stuart zadrżał.

– Nie wiem, co jest w tej kuli. Może widzisz tylko to, co umiesz zobaczyć.

Ty wiesz, jak zobaczyć śmierć, więc tylko to widzisz.

Kiwnęła głową.

– Możliwe. Chciałam spytać, co ty zobaczyłeś.

– Moją matkę – powiedział. – Frunęła. Niosła mnie na wolność.

– Więc urodziłeś się w niewoli.

– Matka oddała wszystkie siły i życie, żeby mnie uratować.

– Była bardzo dzielna. A ty pewnie jesteś bardzo smutny.

– Miałem rodzinę. Kilka rodzin. Czarną – Berrych, którzy uda wali przez jakiś czas moich prawdziwych rodziców, by ludzie się nie domyślili, że jestem zbiegiem. I Guesterów, rodzinę Białych, która mnie wychowała. Zaadoptowała mnie teściowa Alvina, stara Peg. I zrobiła to z całego serca, choć Alvin był mi bardziej ojcem niż ojciec Peggy. Guester jest karczmarzem i dobrym człowiekiem.

Pomógł wielu niewolnikom uciec z niewoli. I zawsze mnie ciepło wita, ale to Alvin zabiera mnie wszędzie i wszystko pokazuje.

– I wszystko to zanim skończyłeś dwadzieścia lat.

– To jeszcze nie koniec.

– Ach, więc ty możesz ze mnie żartować, a ja z ciebie nie?

– Nie wiedziałem, że żartujesz.

– Więc jednak nie mówisz we wszystkich językach – roześmiała się.

– Wybacz, ale chyba pora spać.

– Nie gniewaj się na mnie, uczniu Stwórcy. Przed nami wiele wspólnej pracy. Powinniśmy być przyjaciółmi.

– Jesteśmy. Jeśli tego chcesz.

– Chcę.

Chcesz mnie wykorzystać, żeby być blisko Alvina, pomyślał, ale tego nie powiedział.

– A ty? – spytała.

Czy to ważne?

– Oczywiście – powiedział. – Wszystko pójdzie łatwiej, jeśli będziemy przyjaciółmi.

– Pewnego dnia pomożesz mi zrozumieć, co widzę w kuli Alvina?

– Nie rozumiem nawet, co widzę we własnej zupie – mruknął.

– Ale spróbuję.

Oparła się na łokciu i pocałowała go w czoło.

– Będę spała spokojnie, wiedząc, że jesteś moim przyjacielem i mogę się od ciebie uczyć.

Wstała i odeszła.

Ty może będziesz spać spokojnie, pomyślał Arthur Stuart. Ja nie.

Alvin nie potrafił usłyszeć zielonej pieśni. Nie tylko dlatego, że na pobliskich polach bawełny pracowali Czarni i ich gorzkie, pełne skargi monotonne nucenie rozlegało się na tle pieśni życia. Rozpraszały go także lęki i zmartwienia.

Zostawienie Arthura na czele grupy było ryzykowne. Chłopak nie wiedział zbyt wielu rzeczy. Nie o Stwarzaniu, lecz o samym życiu, o konsekwencjach każdego czynu. Nie żeby Alvin sam był ekspertem – ani Margaret, bo choć widziała wiele ścieżek, nie była pewna, które prowadzą w dobrym kierunku. Ale wiedział więcej niż Arthur Stuart, po prostu dłużej przyglądał się temu światu.

Co gorsze, prawdziwe rządy w obozie sprawowała La Tia, a także – w mniejszym stopniu – Maria od Zmarłych i jej matka. La Tię poznał na dzień przed przejściem przez jezioro. Przyzwyczaiła się do władzy – jak potraktuje Arthura Stuarda, kiedy Alvina nie będzie w pobliżu? Gdyby potrafił zaglądać do ludzkich serc! La Tia była nieustraszona, ale mogło to oznaczać zarówno brak wahań, jak i brak sumienia.

A Maria od Zmarłych? Widać było, że jest zauroczona Arthurem Stuartem – lubiła jego towarzystwo, śmiała się z jego dowcipów. Oczywiście chłopiec nigdy tego nie zauważył, nie jest przyzwyczajony do towarzystwa kobiet, a ponieważ Maria od Zmarłych nie jest flirciarą ani latawicą, trudno mu będzie odczytać te sygnały. Ale co się stanie, jeśli pod nieobecność Alvina Maria wyjawia swoje uczucia? Co wtedy zrobi pozbawiony nadzoru chłopiec w towarzystwie kobiety, która może być o wiele bardziej doświadczona?

Miał także złe przeczucia odnośnie zabieranych z plantacji niewolników. Ale jak powiedziała La Tia, kiedy zasugerował, by tego nie robić: „To marsz wolności, człowieku! Kogo zostawisz? Ci potrzebują mniej wolności? Dlaczego my jesteśmy wybrani? Oni takie same Izraelici jak my!”.

Izraelici. Oczywiście wszyscy porównywali ten exodus do wyjścia z Egiptu, przy czym mieli nawet zatonięcie „armii faraona”. Mgła to kolumna dymu. A kim był Alvin? Mojżeszem? Raczej wątpliwe. Ale tak uważało wiele osób.

Choć nie wszystkie. W grupie było wiele uraz. Ludzie, którzy uciekli z miasta, nienawidzili wszelkiej władzy, nie tylko władzy Hiszpanów czy właścicieli niewolników. A Bart, służący z domu Cottonierów... w jego sercu było tyle furii, że dziwne, jak zdołał ją powstrzymywać przez tyle lat. Nadal nad sobą panował i wyraźnie się uspokoił, ujrzawszy rozmiary tego

przedsięwzięcia. I dobrze, że przy okazji zobaczył, jak Arthur Stuart i La Tia korzystają z mocy, której nigdy nie widział u Czarnych – i że wielu Białych słucha ich rozkazów. To był już nowy świat.

Ale kiedy przybędą na nową plantację, gdzie niewolnicy cierpią bardziej niż ci u Cottonerów, gniew starego Barta znowu wybuchnie, a niewolnicy Cottonerów ujrzą ten ogień i również zapłoną. To leży w ludzkiej naturze. A przez to sytuacja stanie się niebezpieczna.

Ilu ich tam jest – tych, którzy tak jak stary Bart mają posłuch wśród swoich? A ilu tych, którzy narobią zamieszania po prostu dla draki? Przecież nie można mówić na każdej plantacji: Uwolnimy tylko tych, którzy są mili i zdolni do wybaczenia, a reszta, wredna lub zbyt gniewna, żeby zachowywać się spokojnie, ma zostać w niewoli.

Tak jak Mojżesz, zabiorą wszystkich, którzy jęczą w jarzmie. I tak jak Mojżesz, nie zgadną, którzy z ocalonych zrobią złotego cielca, czym zniweczą szansę ucieczki, zanim jeszcze dotrą do Ziemi Obiecanej.

Ziemia Obiecana. Oto jego największe zmartwienie. Gdzie ma ich zabrać? Gdzie jest kraina mlekiem i miodem płynąca? Bóg nie ukazał mu się w płonącym krzewie. Jedyne spotkanie, które da się uznać za kontakt z aniołem, nastąpiło tej ciemnej nocy, kiedy Tenskwa-Tawa – wówczas wiecznie pijany Czerwony imieniem Lolla-Wossiky – pojawił się w jego pokoju, a Alvin uzdrowił jego ślepe oko. Ale Lolla-Wossiky nie był Bogiem ani nawet aniołem tego rodzaju, z jakim zmagał się Jakub. Był tylko człowiekiem jęczącym pod brzemieniem bólu swego narodu.

A więc to jedyny anioł, jakiego kiedykolwiek spotkał Alvin. O innych nawet nie słyszał, chyba że uwzględni się to, co mąż jego siostry, Armor-of-God Weaver zobaczył w kościele wielebnego Throwera, kiedy Alvin był dzieckiem. Było to coś migotliwego, co mknęło po ścianach kościoła. Thrower oszalał, ujrawszy to, lecz Armor-of-God nie wiedział, co to było. Tak wyglądały kontakty Alvina z siłami nadprzyrodzonymi.

O, w jego życiu wydarzały się cuda, mnóstwo dziwnych wydarzeń, niektóre wspaniałe. Peggy, która czuwała nad nim przez całe dzieciństwo, choć on o tym nie wiedział. Moc, którą w sobie odnalazł, zdolność spoglądania w serce świata i nakłaniania go, by stał się lepszy. Ale nic nie dało wiedzy, co powinien zrobić. Zawsze każdej decyzji towarzyszył cień wątpliwości, ponieważ nikt tak naprawdę nie zna prawdy, nawet w głębi serca.

Wkrótce, udręczony natłokiem myśli, które nie prowadziły do żadnych wniosków, poczuł, że nogi mu słabną, a stopy zaczynają boleć – coś takiego nie przydarzyło mu się od czasu, kiedy Ta-Kumsaw nauczył go słuchać zielonej

pieśni i czerpać siłę z tętniącego wokół życia.

To na nic, pomyślał. Jeśli będę biec jak normalny człowiek, będę się przemieszczał zbyt wolno. Minie więcej niż jedna noc, zanim dotrę do rzeki. Muszę to wszystko wyrzucić z głowy i dać się zagarnąć zielonej pieśni.

Tylko jedno pomagało mu zapomnieć o wszystkim.

Zaczął szukać płomienia serca Margaret, który zawsze znał równie dobrze jak własny. Jest... a tuż pod płomieniem jej serca lśniła iskierka dziecka, które wspólnie stworzyli. Alvin skupił się na nim, wniknął w małe ciało, poczuł bicie serca, przepływ krwi, siłę sączącą się z ciała Margaret, ruch mięśni, które jego syn napręzał i rozluźniał.

Poznając to nowe życie, tego przyszłego człowieka, zapomniał o troskach, a wtedy przyszła do niego zielona pieśń, która ogarnęła także jego syna – bijące serce Alvina wtopiło się w rytm drzew, małych zwierząt, trawy i nawet uprawianej przez niewolników bawełny, gdyż wszystko to żyło. Ptaki na niebie, owady pełzające po ziemi, pchły i komary, wszystko to stanowiło część melodii. Aligatory na brzegach leniwych rzek i stojących bajor, jeleni skubiący trawę wśród polan, drobne zioła o leczniczych i trujących mocach, ryby w wodzie i szmer oddechów śpiących ludzi, którzy w nocy, we śnie, znowu stawali się jednością ze światem, choć z nim walczyli za dnia.

Nagle z Alvina opadło zmęczenie i ból, a przyszło ożywienie, zadowolenie. I tak znalazł się na brzegu Mizzippy. Minał wiele ścieżek, lecz żadnej przyzwoitej drogi, gdyż w tych rejonach najlepiej podróżowało się wodą, największym gościńcem była Mizzippy.

Gwiazdy i sierp księżyca świeciły jasno. W ich blasku Alvin ujrzał szeroką rzekę ciągnącą się daleko na prawo i lewo; każda zmarszczka na wodzie lśniła srebrem. Jednak w połowie rzeki przez całą jej długość widać było wieczną mgłę, która chroniła zachodni brzeg przed niespożytą ambicją Europejczyków.

Tenskwa-Tawa bez wątpienia wiedział o przybyciu Alvina. Jego bratowa Becca była tkaczką nici życia. Ona zauważyłaby nic Alvina i to, że przenika granicę między Białymi i Czerwonymi. Tenskwa-Tawa już pewnie o tym wie. Wie, że skoro Alvin tu przychodzi z drugiego brzegu rzeki, a nie z północy czy południa wzdłuż niej, chce przekroczyć wodę. To znaczy, że chce porozmawiać.

Alvin nie robił tego często. Nie chciał się narzucać. Sprawa musiała być poważna. Dlatego Tenskwa-Tawa ufał jego osądowi i zjawiał się na spotkanie.

Albo nie. W końcu nie zawsze przychodził na każde skinienie Alvina. Gdyby był zajęty, Alvin musiałby poczekać. Na razie się to nie zdarzyło, a przynajmniej czekanie nie było długie. Lecz Alvin wiedział, że kiedyś tak będzie, i był gotów czekać. Przez jakiś czas.

A jeśli Tenskwa-Tawa w ogóle nie przyjdzie? Co to będzie znaczyć? Że odmawia? Że nie wpuści tych pięciu tysięcy dzieci Izraela – a raczej dzieci Boga? Może dla niego były to tylko dzieci biednych rodziców, lecz mimo wszystko ludzkie stworzenia... Więc jeśli nie pozwoli im przejść przez jego ziemię, co wtedy?

Alvin spojrział w lewo – nie oczami, lecz szukając płomieni serc ekspedycji, która wyruszyła dziś po południu z Barcy w pogoni za zbiegłymi niewolnikami. Dobrze – niewiele drogi przebyli tego pierwszego dnia i nadal znajdowali się daleko. W tej grupie także było wiele gniewu i cierpienia; ci, którzy jeszcze byli pijani – wymiotowali, tych, którzy już trzeźwili, bolała głowa. Ci, którzy żalowali, że nie są pijani, narzekali na nudę podróży i kiepski poziom rozrywki na pokładzie okrętu.

Statek z Calvinem oddalał się coraz bardziej. Tam także było wiele gniewu – ale innego, bardziej rozgoryczonego, jakby dojrzewającego od dawna. Calvin znalazł ludzi podobnych do niego, którzy uważali, że świat jest im coś winien i ociąga się ze spłatą długu. Czy naprawdę dotrą do Meksyku? Czy Calvin oszalał do tego stopnia, żeby się angażować w tę szaloną ekspedycję? Wszędzie, dokąd się wybiorą, narobią kłopotów.

Ale przede wszystkim Alvin zastanawiał się, w jaki sposób przemierzy rzekę.

Zbudowanie mostu dla siebie nie wydawało się rozsądne, ale rzeka była zbyt szeroka, żeby ją przepłynąć, w dodatku w pełnym ubiorze i ze złotym pługiem – doskonałym jako kotwica, kiepskim w roli tratwy. Dlatego Alvin ruszył w górę rzeki. Problem tylko w tym, że tuż nad wodą drzewa i krzewy stanowiły gęstą płataninę, za którą nie widać było ewentualnych łodzi. Nie były to gościnne ziemie dla rolników czy rybaków i wątpliwe, żeby ktokolwiek mieszkał zbyt blisko rzeki. No i aligatory – widział ich płomienie serc, przygaszone na czas snu, z wyjątkiem tych, które były głodne. Bardzo by się ucieszyły, gdyby mogły wrzucić na ząb kawał ludzkiego mięsa i trawić je przez cały dzień, wylegując się na brzegu w słońcu.

Nie podchodź do mnie, szepnął do najbliższego obudzonego aligatora. Nie ruszaj się z miejsca. Dziś nie jestem dla ciebie.

Wreszcie uświadomił sobie, że nie zdobędzie łodzi, dopóki jej sam nie zrobi.

Więc znalazł umierające drzewo – w tej dziczy ich nie brakowało – i namówił je, żeby puściło ostatnie korzenie, którymi wpijało się w ziemię. Wpadło do wody z głośnym chlupotem. Po chwili Alvin odciął mu wszystkie zbędne konary. Drzewo było prawie uschnięte i lekko unosiło się na wodzie.

Alvin nadał mu odpowiedni kształt, a potem ruszył pomiędzy krzakami i wykrotami, aż znalazł się na tyle blisko pnia, że nie musiał daleko brodzić w wodzie, by do niego dojść.

Pewnym problemem było wejście na pień, który łatwo się obracał. Alvin pomyślał, że pewnie mniej więcej tak wyglądało wielkie drzewo, które w dniu jego przyjścia na świat płynęło rzeką podczas powodzi. To, co zabiło jego brata Vigora, stało się jego środkiem transportu.

Wspomnienie przeszłości przywiodło mu na myśl czasy dzieciństwa, kiedy wszystkie wypadki, które go spotykały, zdawały się mieć jakiś związek z wodą. Tak twierdził jego ojciec, choć nie był przesądny. Woda chce cię zabić, powiedział Alvin senior.

I była to prawda. Nie, woda sama w sobie nie miała woli ani pragnienia, by go skrzywdzić, jednak w naturalny sposób uszkadzała, przeżerała rdzą, rozpuszczała i zalewała błotem wszystko, z czym miała kontakt. Była idealnym narzędziem Niszczyciela.

Wraz z myślą o odwiecznym wrogu, który tak często zagrażał jego życiu, powróciło dawne uczucie z dzieciństwa. Wrażenie, że obserwuje go ktoś znajdujący się tuż poza jego polem widzenia. Kiedy odwracał głowę, obserwator uciekał. Zawsze widział tylko pustkę. Ale na tym właśnie polegał problem – Niszczyciel był nicością lub miłośnikiem nicości i nie spocznie, dopóki wszystko nie zniknie.

Alvin mu się przeciwstawił. Żaloszny, niezdarny słabeusz, oto kim jestem, pomyślał. Nie potrafię budować szybciej, niż Niszczyciel burzy. A jednak on nienawidzi mnie za to, że w ogóle próbuję.

A może wcale mnie nie nienawidzi. Może jest dzikim stworzeniem, bez przerwy głodnym, a we mnie po prostu wyczuwa ofiarę. Nie jest złośliwy. Czy burzenie nie stanowi etapu budowania? To wszystko elementy tego samego wielkiego nurtu natury. Dlaczego miałbym być wrogiem Niszczyciela, skoro tak naprawdę pracujemy w tandemie, Stworzyciel i Niszczyciel – Stworzyciel tworzy coś z ruin, dzieła Niszczyciela.

Alvin zadrżał. Do czego zmierza? O czym myśli?

Tuż obok ujrzał płomień serca. Bardzo głodny. Ten aligator, któremu kazał się nie zbliżać. Najwyraźniej zwierzę zmieniło zdanie, co stawiało w niezręcznej sytuacji Alvina, zanurzonego w wodzie po uda, trzymającego dryfujący bal i obciążonego balastem worka z pługiem.

Potężne szczęki zacisnęły się na jego nodze i natychmiast wciągnęły go pod wodę.

Alvin zmusił ciało, by nie reagowało – młóćące ramiona i szamotanina nie

na wiele się zdadzą, kiedy aligator trzyma człowieka za nogę.

Zwierzę miotnęło łbem w obie strony; coś w biodrze Alvina trzasnęło. Jeszcze jedno szarpnięcie i kość wyskoczy ze stawu. Alvin sięgnął do mózgu aligatora, chcąc go poprosić, by go puścił. To proste, wytłumaczyć stworzeniu o słabym rozumie, jak ma widzieć świat. To nie do jedzenia, to niesmaczne, niebezpieczne, uciekaj.

Aligator nie zainteresował się jego słowami. W jego płomieniu serca kryło się coś starego i złośliwego. Nie był głodny, po prostu chciał zabić Alvina. Płonął żądzą rozdarcia go na strzępy, ta żądza go rozsadzała.

A z oddali zbliżały się inne płomienie serc. Aligatory zwabione szamotaniną w wodzie.

Dlaczego aligator nie reaguje?

Bo jesteś w wodzie, idioto.

Nie, byłem w wodzie już tysiące razy i nic się nie stało, a...

Nie pora na dyskusje. Jeśli z aligatorem nie można się dogadać, trzeba to załatwić inaczej.

Alvin sięgnął przenikaczem do nozdrzy zwierzęcia. Zatkanął je i powiedział aligatorowi, że powietrze jest mu potrzebne.

Wszystko na nic. Aligatora to nie obeszło.

Teraz Alvin już wiedział, że walczy z czymś dużo bardziej niebezpiecznym niż zwykły aligator. Zwierzęta chcą żyć i nigdy o tym nie zapominają. Więc kiedy aligator lekceważy fakt, że nie może oddychać...

Następne szarpnięcie. Alvin poczuł, że jego staw biodrowy pęka. Teraz noga trzymała się tylko na paru ścięgnach, mięśniach i skórze. Aligator przerwie je w ułamku chwili.

Ból był straszny, ale Alvin odciął się od niego. Nie po to przebył taką drogę, nie po to stawał wobec tylu niebezpieczeństw, żeby teraz zginąć w rzece w taki sam sposób, w jaki Niszczyciel usiłował go zabić już tyle razy wcześniej.

Zdjął worek z ramienia i wbił go w pysk zwierzęcia.

Aligator usiłował zacisnąć zęby na żywym pługu. Musiał puścić nogę Alvina – jednak ten nie potrafił jej uwolnić. Kości i mięśnie nie współdziałały ze sobą i noga nie reagowała na sygnały mózgu. Nie mógł jej wyjąć ze szczęk aligatora, ponieważ obie ręce były mu potrzebne do trzymania pługa. Domyślał się, że Niszczyciel chciał mu odebrać pług i pogrzebać go na dnie rzeki. Na to nie zamierzał pozwolić. Włożył w ten pług sporą część samego siebie i nie stracił go bez prawdziwej walki.

Inne aligatory były już blisko. Alvin sięgnął ku najbliższemu i usiłował go skłonić do ataku na aligatora, który go pochwycił, lecz choć drugim

zwierzęciem nie kierowała złośliwość, ono także go nie posłuchało. Bało się. Niszczyciel potrafił wykrzyczeć strach do jego serca głośniejszym głosem, niż Alvin mówił do niego o głodzie. To zwierzę uciekło, inne czekały w półkołu, jakieś piętnaście kroków od Alvina, przyglądając się walce.

Aligator nadal usiłował zmiażdżyć zębami pług. Przy każdym rozwarciu i zaciśnięciu szczęk Alvin wbijał pług głębiej. Był grubszy od jego nogi; wreszcie, kiedy zęby już nie wbijały się w jego ciało, Alvin zdołał się przekręcić i wysunąć okaleczoną nogę pomiędzy wielkich szczęk.

W tej samej chwili aligator szarpnął się, usiłując uciec z pługiem w zębach, lecz Alvin był na to przygotowany. Skoczył gadowi na grzbiet i potężnym niedźwiedzim uściskiem zacisnął jego szczęki na pługu.

Aligator nie zareagował. Pług był zbyt duży, nie mógł go połknąć, nie mógł też wypluć. W dodatku nozdrza miał nadal zaciśnięte. W trakcie tej walki Alvin parę razy zaczerpnął oddechu. Jak długo wytrzyma bez powietrza aligator?

Bardzo długo, zrozumiał, coraz mocniej zaciskając chwyt.

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że aligator przestał się rzucać.

Mimo to nie rozluźniał chwytu.

No, wreszcie. Ostatnie szarpnięcie, ostatnia słaba próba wypłynięcia na powierzchnię.

W tej samej chwili udroził jego nozdrza. Niszczyciel nie zmusi go do zabicia zupełnie niewinnego stworzenia, które nie zrobiłoby mu krzywdy, gdyby nie było zmuszone.

Alvin wstał, wspierając się na zdrowej nodze. Uniósł głowę aligatora nad wodę. Zwierzę od razu zaczęło się rzucać, oddychając przez paszczę i nozdrza. Wówczas cisnął je na kłodę; rozwarło szeroko szczęki i Alvin wyrwał mu worek z pługiem. Potem zepchnął aligatora do wody. Tym razem jego rozkaz został wysłuchany. Zwierzę odpłynęło.

Inne aligatory otoczyły je i wciągnęły pod wodę.

Nie! – krzyknął Alvin prosto w ich mózgi. Puście! Odejdźcie! Zostawcie go.

Uśluchały.

A kiedy odpływały, Alwinowi wydawało się przez krótką chwilę, że widzi między nimi płomienne, podobne do gada stworzenie, nie aligatora, lecz raczej salamandrę, której lśnienie przygasiły mętne wody Mizzippy.

Czy to właśnie zobaczył Thrower w kościele, kiedy Armor-of-God zastał go skulonego z przerażenia na widok tego czegoś, co śmigало po ścianach?

A może to tylko złudzenie, bo ból... jest... tak wielki...

Alvin wyszedł na brzeg, ciągnąc za sobą okaleczoną nogę i worek. Upadł na

piasek, zdyszany.

Wtedy zdał sobie sprawę, że Niszczyciel jednak zwyciężył. Nie chciał, żeby Alvin przeszedł na drugi brzeg. Dlatego trzeba to zrobić, natychmiast, żeby nie dać nieprzyjacielowi wygrać.

Woda podtrzymywała nieznośny ciężar wyrwanej ze stawu nogi. Alvin na poły doskakał, na poły dopłynął do kłody. Rzucił na nią worek i wpelzł za nim. Musiał skorzystać ze swojej mocy, by kłoda nie obróciła się razem z nim. Powiosłował rękami w stronę prądu.

Przed nim czekała ściana mgły. Tam jest bezpiecznie. Jeśli Alvin tam dotrze, znajdzie się w strefie ochronnej Tenskwatavy. Za stworzeniem tej mgły stoi cała moc Czerwonych. Niszczyciel nie będzie mógł się tam dostać.

Alvin wiosłował, choć z bólu w każdej chwili mógł stracić przytomność. Nie potrafił się skoncentrować na tyle, by wiosłowanie szło mu szybko lub z mniejszym wysiłkiem. Nie mógł się też skupić na okaleczonym biodrze. Sunął do przodu, wiosłował, wiedząc, że nurt znosi go na lewo.

Otoczyła go mgła. Z pierwszą falą ulgi spadło na niego omdlenie.

Ocknął się i zobaczył pochylonego nad nim Czarnego.

Mężczyzna ten przemówił językiem, którego Alvin nie zrozumiał, choć wydawało mu się, że już go gdzieś słyszał. Nie potrafił tylko sobie przypomnieć gdzie.

Leżał na plecach. Na suchym lądzie. Więc pewnie przeprawił się przez rzekę.

A może ktoś go znalazł i przyciągnął na brzeg.

Mężczyzna zaczął mówić z większym naciskiem. Wkrótce znaczenie jego słów stało się jasne; wielkie, silne ręce chwyciły za okaleczoną nogę Alvina, a drugie ręce pchnęły jego udo. Kość zgrzytnęła o kość, błysnęła oślepiający ból. Nie udało się, kość nie wskoczyła na miejsce, a kiedy noga znowu zwisała w dziwnej pozycji, ból stał się zbyt wielki i Alvin zemdlał.

Ocknął się znowu, prawdopodobnie chwilę później. Mężczyzna znowu coś powiedział; Alvin uniósł osłabłą rękę.

– Zaczekajcie – szepnął. – Tylko chwilę.

Nie zareagowali. Teraz widział, że jest ich kilku i postanowili mu nastawić nogę bez względu na wszystko. Nie mógł ich powstrzymać.

W rozpaczliwym pośpiechu zaczął badać swoje ciało, znalazł ścięgna, które blokowały kości drogę, i kiedy tym razem pociągnęli i pchnęli, zdołał przeprowadzić kość bez przeszkód na dawne miejsce. Przez chwilę balansowała na krawędzi stawu, po czym z gwałtownym szarpnięciem zaskoczyła.

Alvin znowu zemdlął.

Gdy odzyskał przytomność, leżał już gdzie indziej, w jakimś pomieszczeniu, i nikt przy nim nie czuwał, choć na zewnątrz słyszał głosy mówiące w dziwnym języku, nie tym samym co poprzednio.

Na zewnątrz czego?

Otwórz oczy, idioto, to się przekonasz.

Chata. Stara, ze ścianami pełnymi szpar, które warto by uszczelnić gliną. Widać od dawna nikt w niej nie mieszkał.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł inny Czarny. Alvin miał wrażenie, że go poznaje. Mężczyzna był ubrany w pióra i zwierzęce skóry, stwarzało to złudzenie ledwie przykrytej nagości. Inaczej niż Czerwony, może tak jak Afrykanie. Może ubrał się tak, jak się ubierał w ojczyźnie, zanim został porwany i sprzedany w niewolę.

Alvin już go kiedyś widział. Na pokładzie statku.

– Ja uczyć angielski – odezwał się mężczyzna.

Właśnie, niewolnicy na statku mówili łamaną angielszczyzną. Niektórzy znali hiszpański, a większość porozumiewała się mową Meksykanów, lecz Alvin żadnego z tych języków nie znał.

– Byłeś na „Yazoo Queen” – powiedział.

Mężczyzna patrzył na niego pytająco.

– Łódź. Ty na łodzi – rzekł Alvin.

Mężczyzna radośnie przytaknął.

– Ty na łódź! Ty bierz ja... my... łódź precz!

– Zgadza się. Uwolniliśmy was.

Mężczyzna rzucił się na kolana przy macie, na której leżał Alvin, i chwycił go w objęcia. Alvin odwzajemnił uścisk.

– Jak długo tu jestem?

Mężczyzna znowu spojrzał pytająco. Najwyraźniej pytanie przekraczało jego znajomość języka.

Alvin usiłował usiąść, ale mężczyzna pchnął go na posłanie.

– Śpi, śpi – powiedział.

– Nie, już się wyspałem.

– Śpi, śpi!

Jak Alvin miał mu wyjaśnić, że kiedy obejmowali się i rozmawiali, sprawdził swoją nogę, znalazł wszystkie obrażenia – bolesne miejsca w stawie, ślady zębów aligatora – i je wyleczył?

Mógł tylko podnieść wyrwaną ze stawu nogę i pokazać, że może nią swobodnie poruszać. Mężczyzna zdumiał się i usiłował położyć jego nogę na

posłaniu, lecz Alvin pokazał mu, że w miejscu, gdzie ukąsił go aligator, nie ma blizn.

Mężczyzna roześmiał się nagle i pociągnął za koc. Widać uznał, że Alvin żartuje, pokazując mu zdrową nogę. Ale kiedy się przekonał, że druga też jest cała, wstał i powoli wycofał się do drzwi.

– Gdzie moje ubranie? – spytał Alvin.

W odpowiedzi mężczyzna rzucił się do ucieczki i wypadł na zewnątrz.

Alvin wstał i rozejrzał się w półmroku chaty, ale nie w poszukiwaniu ubrań. Gdzieś zniknął jego worek, a wraz z nim – pług. Czy ześliznął się z kłody do Mizzippy? A może dotarł wraz z nim na brzeg i teraz mieli go ci ludzie?

Wysłał przenikacz na poszukiwanie pługa, wypatrując jego ciepłego blasku. Ale to było co innego niż płomień serca, jasna iskierka w migotliwym morzu. Pług był żywym złotem, tak, ale jednak złotem, w którym nie ma miejsca na ogień życia. Gdyby Alvin wiedział, gdzie szukać, znalazłby bez trudu, ale jeszcze nigdy nie usiłował go zlokalizować zupełnie w ciemno.

Owinął się kocem jak spódnicą. Może nie uwierzą mu, że potrafił się tak szybko uzdrowić, ale nie pozwoli, by przez ich troskę czy własną skromność zguba nie została odnaleziona.

Wyszedł. Był ranek, więc może jednak nie spał tak długo. Ranek tego samego dnia. Dlaczego miałby spać dłużej? Tuż przed walką z aligatorem zielona pieśń zregenerowała jego siły. A walka nie trwała długo. Parę szarpnięć i gotowe. Dlaczego by go to miało tak zmęczyć? Gdyby nie ból, utrata krwi i energia, którą zużył na uleczenie biodra, wcale by tego nie odczuł. Nie, to na pewno ten sam dzień. Nie stracił go.

Czarni go zauważyli i ruszyli pędem w jego stronę. Musieli to być ci sami, których razem z Arthurem Stuartem uwolnił na pokładzie „Yazoo Queen” – ludzie, których Steve Austin zamierzał wykorzystać jako tłumaczy i przewodników po Meksyku, ponieważ niegdyś byli tam niewolnikami. Dlatego nie mieli powodu go krzywdzić.

– Mój worek – odezwał się. – Samodziałowy. Miałem go na ramieniu. Był ciężki. – Gestem pokazał zarzucanie worka na ramię i zdejmowanie go.

Zrozumieli go natychmiast.

– Złoty duch! – zawołał ten, który z nim przed chwilą rozmawiał. – Złota lata! – Zrobił parę kroków i skinął na Alvina.

Pług, uwolniony z worka, unosił się jakiś metr nad ziemią. Trzej Czarni siedzieli, tworząc doskonały trójkąt. Spoglądali na pług; każdy wyciągał do niego rękę.

Przewodnik Alvina zawołał do nich. Wstali powoli, ale nadal wyciągali

dłonie po pług, który pozostawał w tej samej pozycji. Odwrócili się ostrożnie i ruszyli do Alvina.

– Brać nie – powiedział przewodnik. – Ona nie daje.

Alvin zrozumiał, że pług nie pozwala się dotykać obcym. Cofał się przed wyciągniętymi dłońmi.

Z wyjątkiem dłoni Alvina. Kiedy on się zbliżył i wyciągnął rękę, pług niemal wskoczył mu w dłonie. Oczywiście wówczas koc opadł na ziemię, ale ponieważ Czarni także byli nadzy, Alvin spytał tylko:

– Macie moje ubrania? I gdzie jest ten worek?

Zaczęli go ubierać, uśmiechając się i kiwając głowami. Wkładając mu spodnie, usiłowali podnieść obie jego nogi jednocześnie.

– Nie! – powiedział zdecydowanie. – Od dzieciństwa ubieram się sam.

Ostrożnie położył pług na mokrej trawie. Rosa była obfita, a może w nocy padało. W chwili gdy położył pług na ziemi, mężczyźni podbiegli, wyciągnęli ręce do pługa, który znowu uniósł się w powietrze.

– Złota lata! – powiedział z wyrzutem przewodnik.

– To pług – odparł Alvin. – Służy do leżenia na ziemi.

Służył raczej do wbijania się w ziemię i rozorywania jej, odwracania pecyn ziemi na słoneczny skwar. W tej chwili Alvin zrozumiał naturę swego pługa. Przez cały czas myślał tylko o tym, że jest z żywego złota, ale najpierw, zanim się w nie zmienił, był pługiem i od dawna czekał, aż zostanie użyty zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Był z metalu, który po przetopieniu można sprzedać za wysoką cenę, ale to nie znaczy, że przestał być tym, czym został stworzony.

Ubrany Alvin po prostu naciągnął na niego worek, który zarzucił na ramię. Pług łagodnie spoczął na miejscu jak zawsze.

Mężczyźni westchnęli na ten widok.

Pojawił się inny Czarny. Niósł coś ostrożnie na macie z liści. To coś zamigotało jak kryształ w jasnym blasku słońca. Alvin natychmiast to rozpoznał. Ostatnie wątpliwości, czy rzeczywiście są to ludzie uwolnieni z „Yazoo Queen”, musiały się rozwiać, ponieważ Czarny niósł kryształowy sześcian, który Alvin zrobił z kropli własnej krwi w wodzie na pokładzie statku. Dał im dwa takie sześciany, by pokazali je Czerwonym na drugim brzegu rzeki. Było jasne, że coś takiego mógł zrobić tylko Tenskwa-Tawa lub jego uczeń, dlatego sześciany powinny być przepustką. Najwyraźniej jego plan się powiódł.

– No dobrze – powiedział Alvin. – Gdzie jestem i gdzie Tenskwa-Tawa?

– *Profeta Roja* – odezwał się jeden z mężczyzn. – Ten-si-ki-wa Ta-wa.

Wymówił imię tak, jak powiedzieliby je Czerwoni. Cóż, Alvin nie miał talentu do uczenia się obcych języków, to było jasne od samego początku, a on

nie zamierzał się wstydzić, że przez tyle lat nazywał przyjaciela zniekształconym imieniem.

– Ten-sa-ka-wa Ta-wa – wymamrotał.

Jeden z mężczyzn poprawił go, lecz Alvin natychmiast się poddał. Tenskwa-Tawa od lat reagował na tak wymawiane imię. Widocznie mu to nie przeszkadzało.

– Zostajemy – powiedział przewodnik. – Czekamy.

A więc Tenskwa-Tawa szedł już na spotkanie. No cóż, Alvin mógł na niego poczekać tak samo jak tamci – zwłaszcza że był już ubrany i odzyskał pług. Ulżyła mu świadomość, że pług na swój sposób potrafi o siebie zadbać. Trudno złapać i przetopić coś, co ucieka przed obcymi rękami. Można to załatwić za pomocą potężnych heksów, ale tego nie potrafił byle złodziej. Teraz Alvin mógł trochę mniej się bać o pług.

Do południa usiłował się nauczyć imion niektórych Czarnych, ale swą kiepską wymową rozśmieszał ich do łez. W końcu zaczął podejrzewać, że wcale nie mówią mu własnych imion, tylko brzydkie słowa w swoim języku.

W południe był posiłek. Cienki płaski chleb, jak placek, lecz cieńszy, posmarowany jakąś pikantną pastą, która mogła zawierać fasolę, choć niekoniecznie. Jednak była smaczna. Palila, a woda nie gasiła piekącego smaku, ale Czarni podali w koszyku pokrojone owoce papai; jeden kęs łagodził pieczenie. A po chwili Alvin przyzwyczaił się i nawet polubił ten smak.

Po posiłku wybrał się na spacer, żeby rozejrzeć się po okolicy. Czarni szli za nim krok w krok jak dzieci w małym miasteczku za przybyszem. Nie wiedział, czy chcą go chronić, czy też dopilnować, żeby nie uciekł, a może po prostu są ciekawi, co jeszcze zrobi.

Okazało się, że jest na szerokiej, płaskiej wyspie przy prawym brzegu Mizzippy. U brzegu mgła kończyła się jak nożem uciął. Kanoë leżały na brzegu kanału pomiędzy wyspą i brzegiem. A więc nie byli tu uwięzieni. Alvin przyjął to z ulgą. Jednak podejrzewał, że wybór wyspy na miejsce zamieszkania Czarnych mógł stanowić pewien kompromis między tymi Czerwonymi, którzy nie życzyli sobie odstępstw od prawa, że na zachód od rzeki mogą mieszkać tylko oni, a tymi, którzy uważali, że zbiegli niewolnicy stanowią inną kategorię niż Biali ze strzelbami i siekierami.

Tenskwa-Tawa przybył po południu – i to w wielkim stylu. Raptem ze wszystkich stron runęli Czerwoni, wrzeszcząc i wyjąc, jakby byli na wojennej ścieżce. Alvin słyszał już ten dźwięk – w czasach gdy Mizzippy nie była jeszcze podzielona, a jego pojмали wojownicy. Był tak przerażający, że zaczął się zastanawiać, czy Czerwoni nie wykorzystują chwilowego pokoju na

przygotowanie się do krwawej wojny. Ale potem zdał sobie sprawę, że te wrzaski i wycia to tylko odpowiednik „i-haa!”, „hosanna!”, „alleluja!” i „hip, hip, hurra!”.

Tenskwa-Tawa wyłonił się z lasu po drugiej stronie kanału. Czerwoni otoczyli go i zaprowadzili do wielkiego kanoe. Przenieśli go do niego, żeby nie zamoczył stóp, po czym wskoczyli do środka i zaczęli wiosłować tak gwałtownie, że kanoe wystrzeliło przed siebie niczym ciśnięty kamień. Potem znowu wzięli go na ramiona, zanieśli na brzeg i postavili dokładnie przed Alvinem. I tak stanęli naprzeciw siebie: Alvin z dwudziestoma pięcioma Czarnymi stojącymi w półkolu i Tenskwa-Tawa z taką samą liczbą ustawionych w półkole Czerwonych.

– Czy tak to wygląda – odezwał się Alvin – kiedy król Anglii spotyka się z królem Francji?

– Nie – odparł Tenskwa-Tawa. – Za mało broni, za mało ubrań.

I rzeczywiście tak było, choć w porównaniu z Czarnymi Czerwoni wyglądali na zapiętych pod szyję, ponieważ skrawki materiału czy jelenich skór zakrywały im całe korpusy i nogi. Gdybym ja się tak ubierał, spieklbym się jak grzanka, pomyślał Alvin.

– Dobrze, że przyszedłeś – dodał Tenskwa-Tawa. – Ja także chciałem z tobą pomówić.

– O nich?

– Oni nie przeszkadzają. Dopóki śpią na tej wyspie, mogą się swobodnie poruszać po wybrzeżu. Tam mają farmy. Szkoda będzie, jak ich zabierzesz.

– Nie zamierzam ich zabrać.

– Bardzo chcą być twoimi wojownikami i zabić wszystkich twoich wrogów. Dlatego muszą spać na wyspie. Bo nie chcą się wyrzec wojny.

– Ja nie mam wrogów – zdziwił się Alvin.

Tenskwa-Tawa parsknął śmiechem.

– To znaczy takich, z którymi mogliby walczyć ci wojownicy – wyjaśnił Alvin.

– Dziwnie słyszeć – powiedział Tenskwa-Tawa – jak Czarni mówią językiem Czerwonych, jakby znali go od dziecka. Język, którym mówią, niewiele się różni od mowy Navaho, którą musiałem poznać, bo to plemię oporniej niż inne rezygnowało z wojny.

Wyglądało na to, że nie wymordowali jeszcze wszystkich Hopi i nie chcieli rezygnować z zabijania, dopóki nie skończą.

– Więc nie było łatwo skłonić wszystkich Czerwonych do ślubowania przeciwko wojnie.

– Nie. Ani przekonać młodych, by także złożyli przysięgę, gdy wejdą w dorosłość. Nadal często się bawią w wojnę, a kiedy im zabraniać, robią to po kryjomu. Przez zbyt wiele pokoleń chowaliśmy chłopców na wojowników, żeby mogli odmienić serca z dnia na dzień. Pokój trwa, bo jest wielu dorosłych, którzy pamiętają zabijanie – i to, jak straszne ponosiliśmy klęski raz za razem. Ale zawsze są tacy, którzy chcą się przeprawić przez rzekę, odbić nasze ziemie, a białych diabłów zapędzić do morza.

– Wielu Białych marzy o przedarciu się przez mgłę i zagarnięciu także tych ziem – odparł Alvin.

– A między nimi również twój brat.

Alvin zastanowił się, który z jego braci mógł powiedzieć coś tak głupiego.

– Wszyscy są farmerami, młynarzami i tak dalej w Vigor Ko ściele.

Z wyjątkiem Calvina.

– Właśnie. O nim chciałem z tobą porozmawiać.

Obejrzał się na Czerwonych i rzucił parę słów, po czym w innym języku przemówił do Czarnych. Alvin ze zdumieniem ujrzał, że obie grupy natychmiast łączą się i zaczynają grać w karty i kości.

– Nie mów, że te karty drukujesz po swojej stronie rzeki – powiedział.

– Mieli je Czarni, których mi przysłałeś. Grają na pieniądze, tyle że zamiast pieniędzy są kamyki. Ten, kto wygrywa, puszy się przez godzinę, ale kiedy zaczynają nową partię, to od zera.

– Bardzo cywilizowane.

– Przeciwnie. Dziecinne dzikusy.

W uśmiechu Tenskwa-Tawy widać było ślad dawnego bólu, lecz Alvin go rozumiał.

– Cóż, my, białe diabły, ujrzelibyśmy w tym cudowną szansę i zagrilibyśmy z nimi o ich ziemie. I oszukiwalibyśmy tak długo, aż wszystko byłoby nasze.

– A my, czerwone diabły, wymordowalibyśmy prawie wszystkich z was, a resztę zamęczylibyśmy na śmierć, bo potrafimy czerpać moc z cierpienia. – Podniósł rękę. – O tym chcę porozmawiać.

Dopóki twój brat nie wybrał się do Meksyku, to nie była twoja sprawa, lecz teraz jest.

– Więc naprawdę zabrał się z tymi głupcami?

– Meksykanie sprawiali nam problemy. Pomiedzy naszymi ziemiami leży szeroka pustynia, ale nie jest tak wyraźną granicą jak ta mgła. Wiele plemion mieszka na tych jałowych terenach, kursują po nich podróżnicy i handlarze. Słyszysz się wiele opowieści o tym, jak Meksykanie zbuntowali się przeciwko

Hiszpanom i wypędzili ich, z wyjątkiem pięciu tysięcy, których trzymają jako ofiary. Codziennie jednemu z nich wyrywają z piersi bijące serce.

– Nie tak jak twój lud.

– Żyją w inny sposób. Dobrze pamiętamy, jak z północy przy byli ich przodkowie – okrutni ludzie, którzy mówili językiem odmiennym od wszystkich innych. Navaho byli ostatnią falą, Meksykanie pierwszą, ale oni nie wierzą w zieloną pieśń. Swoją moc czerpią z bólu i krwi wrogów. My też tak robiliśmy. Irrakwa byli z tego znani, a i ty chyba miałeś spotkanie z innymi, którzy uwielbiali rozlew krwi i tortury. Ale zawsze potrafiliśmy odsunąć się od tego i wrócić do muzyki żyjącej krainy. Ci Czerwoni tego nie potrafią albo nie chcą, co wychodzi na to samo. I kpią z moich nauk o pokoju, wysyłają mi posłańców, żądając, żebyśmy im dali Białych na ofiary, bo w przeciwnym razie przyjdą i pojmagają naszych.

– Jeszcze tego nie zrobili?

– Na razie tylko grożą, lecz plemiona z południa twierdzą, że kiedy groźba raz padnie, nadejście czynów to tylko kwestia czasu.

– Więc co zrobisz?

– Na pewno nie mgłę – mruknął Tenskwa-Tawa cierpko. – Na pustyni nie ma wilgoci, a poza tym tamci kogoś właśnie zamęczy li i zyskali moc z jego bólu, wystarczającą, by zniweczyć wszystko, co im rzucę pod nogi.

– Więc... jeśli to nie twój plan...

– Żyjemy w harmonii z ziemią. A oni swoją ziemię zlewają krwią.

Wierzimy, że przy odrobinie zachęty obudzimy olbrzyma, który śpi pod wielkim miastem Meksykiem.

– Olbrzymy istnieją naprawdę? – zdziwił się Alvin. – Nie wie działem.

Tenskwa-Tawa spojrzał na niego ze zboląłą miną.

– Ich miasto jest zbudowane na kraterze, w którym wrze rozpalony płynny kamień. Nie wyrwał się na powierzchnię od wielu lat, ale to zabijanie go obudziło i teraz się burzy.

– Mówisz o wulkanie.

– Tak jest.

– Chcesz sprawić, żeby miasto spotkał los Pompejów.

– Sama ziemia to sprawi.

– Czy to nie odmiana wojny?

Tenskwa-Tawa westchnął.

– Żaden z nas nie podniesie broni, by skrzywdzić człowieka.

Wysłaliśmy im ostrzeżenie, że ich miasto utonie w ogniu, jeśli nie

zaprzeszają nikczemnych ofiar z ludzi i nie uwolnią wszystkich plemion, które opanowali siłą i strachem.

– Więc tak teraz prowadzicie wojny.

– Tak. Żyjemy w pokoju ze wszystkimi narodami, jeśli nam na to pozwalają. Dopóki nie rozkochamy się w wojnie i nie zaczniemy się nią posługiwać, by rządzić innymi, nadal będziemy ludem miłującym pokój.

– Więc zakładam, że Navaho usłuchali nie tylko perswazji?

– Przytrafiła im się długa susza. Deszcz padał tylko na pola Hopi.

– I to im dało do myślenia.

– Alwinie, chyba nie muszę się przed tobą usprawiedliwiać?

– Nie. Tylko zachowujesz się jak swój brat. Myślałem, że jesteś...
cierpliwszy.

– Bo znieśliśmy rzeź naszych przyjaciół i ukochanych nad Chybotliwym Kanoe?

– Tak. Pozwalaliście się mordować, aż im się znudziło zabijanie.

– A co mamy zrobić z tymi, którym zabijanie nigdy się nie znudzi?

– Więc Biali nie są tacy źli, to chcesz powiedzieć?

– Bogowie Meksykanów są spragnieni krwi i głodni bólu. Biali na ogół chcą się wzbogacić i mieć spokój. Choć kiedy cię zabijają, ich motywy są ci obojętne. Ale Biali na ogół nie uważają wojny i mordowania za swój cel – tylko za środek.

– No, to zasłużyliśmy na osobne miejsce w piekle.

– Alwinie, zrobimy to, co zrobimy. Już się prawie stało i teraz nie potrafimy tego opanować ani zatrzymać. Podziemne siły są ogromne i straszne; trzeba było wszystkich najmądrzejszych mężczyzn i kobiet z każdego plemienia, którzy przez wiele miesięcy uczyli ziemię, co powinna zrobić w mieście Meksyk.

– I musiałeś mi powiedzieć, bo Calvin właśnie tam zmierza.

– Zasmuciłoby mnie, gdybym się przyczynił do śmierci twego brata.

– Problem w tym, że jeszcze nie było przypadku, by Calvin zrobił to, o co go proszę.

– Nie sądziłem, że to będzie łatwe. Wiem tylko, że byś mi nie wybaczył, gdybym cię nie ostrzegł i nie dał szansy spróbować.

Alvin westchnął i usiadł.

– Chciałbym być znowu małym chłopcem.

– Któremu Niszczyciel zrzucił na głowę belki i którego starał się wykrwawić podczas operacji?

– Wtedy walczyłem tylko o siebie. Nie mogę jechać za Calvinem do

Meksyku, ponieważ znalazłem w Barcy jakieś pięć tysięcy zbiegłych niewolników i Francuzów, którym muszę dać miejsce zamieszkania.

Tenskwa-Tawa objął wyspę gestem ręki.

– Jeśli uważasz, że zmieścisz tu swoje pięć tysięcy, zapraszam. Ale tylko niewolników. Mój lud nie zniósłby tu białych Francuzów.

– Chyba nie.

– Kanada nie jest tak piękna, żeby Francuzi stali się tu lepsi i mniej okrutni niż Anglicy czy Hiszpanie.

– Mamy także paru z nich. Biedacy, którzy powierzyli nam swój los. Ale nie chcemy tu zamieszkać.

– To dobrze. Bo nie potrafiłbym przekonać plemion, by wam na to pozwoliły.

– Chcemy przejść bezpiecznie przez wasze ziemie.

– Dokąd?

– Na północ. Wzdłuż rzeki. Na północ, bo po drugiej stronie rzeki znajdują się Stany Zjednoczone. A dokładnie wolny stan Noisy River. Nie chcemy znaleźć się znowu na terytorium, gdzie panuje niewolnictwo.

– Pięć tysięcy. Co będą jedli?

Alvin wyszczerzył zęby.

– To co da im ziemia i wy, dobrzy ludzie.

– Przejście pięciu tysięcy ludzi zostawi bliznę na naszych te renach.

– To pora zniw. Dojrzewają zboża, drzewa rodzą owoce. Czy czasy po tej stronie rzeki są tak ciężkie, że nie możecie się podzielić z ludźmi, którzy uciekają z niewoli i nieszczęścia?

– Trzeba będzie wiele wysiłku. Nie jesteśmy tacy jak wy. Nie mamy tylu upraw, żeby je zawieźć wozami, pociągami czy barkami gdzie indziej i sprzedać. Każda wioska ma własne pola, a pożywienie dostają od innych tylko w czasach klęski głodu.

– Czy pięć tysięcy ludzi bez ziemi i jedzenia to nie rodzaj ruchomej klęski?

Tenskwa-Tawa pokręcił głową.

– Prosisz mnie o coś bardzo trudnego. I nie tylko z powodów, które już wymienilem. A co powiedzą Biali ze Stanów Zjednoczonych i Kolonii Korony, kiedy pięć tysięcy zbiegłych niewolników przejdzie na drugi brzeg rzeki pomimo mgły i wyłoni się z niej pięćset mil dalej?

– O tym nie pomyślałem.

– Przez rzekę zaczną się przeprawiać łodzie pełne ludzi.

– Ale nie przekroczą granic.

– Mgła to mgła. Nasycamy ją lękiem, tak, ale ci, których gna potężna

chciwość lub wściekłość, mogą ten lęk pokonać. Co roku paru się na to odważa, a czasem któremuś się udaje.

– I co z nim robicie?

– Zakuwamy w kajdany. Pracują z kobietami, aż postanowią złożyć przysięgę pokoju i żyć pomiędzy nami.

– A jeśli nie? Odsyłacie ich?

– Nikogo stąd nie wypuszczamy.

– Z wyjątkiem mnie.

– I tych dwudziestu pięciu Czarnych. Możesz ich sobie za brać, kiedy tylko zechcesz. Bo nie będą opowiadać historii o raj, który tylko czeka, aż pojawi się armia zdolna podbić nieuzbrojonych dzikusów.

– Więc musimy przejść rzekę w taki sposób, by nikomu nie przyszło do głowy, że może sam tego dokonać.

Tenskwa-Tawa roześmiał się.

– Alwinie, masz duszę komedianta.

– W swoim czasie ty także wystawiłeś parę komedii.

– Jeśli to będzie wyglądać na cud, armia Stanów Zjednoczonych oraz królewska nie uznają, że też tak mogą. Jedynym błędem rozumowania jest ten, że twoje przejście przez jezioro Pontchartrain graniczyło z cudem, a jednak wojsko ruszyło w pościg za tobą.

– Zrezygnowali, kiedy zabrałem most.

Tenskwa-Tawa pokręcił głową.

– Mam na głowie wojnę z Meksykanami, a mam ci pomóc w cudownym przejściu przez Mizzippy, by narazić wielki i miłujący pokój naród na niebezpieczeństwo.

– Hej, ten kij ma dwa końce. Ja usiłuję ocalić pięć tysięcy zbiegów, a ty mi nagle oświadczasz, że mój brat zmierza prosto w krater czynnego wulkanu.

– Jak to dobrze, że tak bardzo się nawzajem lubimy.

– To ty nauczyłeś mnie wszystkiego, co umiem.

– Ale nie wszystkiego, co umiem ja.

– A ja oddałem ci oko.

– I uzdrowiłeś moje serce. Lecz i tak same z tobą kłopoty.

Po drugiej nocy rozeszły się wieści i już było trudniej. Pani Cottoner nic nie mówi, powiedziała La Tia, ale jej syn tak. A ludzie z drugiego domu... Arthur Stuart musiał skorzystać ze stwórcielskiej mocy, by zapieczętować drzwi i okna pokoju, w którym ich zamknął. Nie chcieli się uspokoić i ciągle krzyczeli. Przez was będziemy nędzarzami, nie macie prawa, ci niewolnicy są nasi! Maria miała ochotę zatkać im usta bawełną, całym zbiorem przyniesionym przez niewolników, wypchać ich tak, by stali się jak wielkie poduszki, na których się wysypiali, podczas gdy niewolnicy spędzali nocę na twardych deskach i słomie w brudnych, zaszczurzonych chatach.

Takich jak chata, w której Maria musiała dorastać w Barcy, w Bagnie. Ale matka Marii nie była niewolnicą. Jesteśmy z lepszej rodziny niż te szumowiny, mawiała. Pochodzimy z portugalskiej rodziny królewskiej, lecz Napoleon wygnał nas i zmusił do ucieczki do Nowego Orleanu, a potem sprzedał go Hiszpanom, żebyśmy już zawsze były bezdomne. Bo jesteś wnuczką księcia, a on był synem króla. Powinnaś poślubić co najmniej hrabiego, dlatego musisz się uczyć dobrych manier, francuskiego i angielskiego, i dygania, i ładnego chodzenia, i...

Kiedy Maria dorosła, zrozumiała, że nie wszyscy potrafią zaglądać do ludzkich organizmów i widzieć, czy są chore i czy umrą. I raptem matka zaczęła opowiadać coś zupełnie innego. Twój ojciec był wielkim czarnoksiężnikiem. Stwórcą, tak ich tutaj nazywają. *Facteur. Createur*. Potrafił wyrzeźbić ptaka z drewna, dmuchnąć na niego, a ptak odlatywał. Ty odziedziczyłaś trochę tego daru i trochę mojego, bo moim talentem jest miłość. Kocham ludzi, moja droga Marie, ty masz tę miłość po mnie i dzięki niej zagładasz do ich serc, a moc twojego ojca pozwala ci zajrzeć w ich śmierć, bo to jest największa moc, spojrzeć śmierci w oczy i się nie przestraszyć.

Co za bujdy! Wtedy Maria wiedziała już, że to same kłamstwa. W Portugalii matka nazywała się Caterina, w skrócie Rina. Kiedy przybyła do Nowego Orleanu, ludzie kpili z niej i nazywali ją *Rien*, to po francusku znaczy „nic”. Albo nawet *de Rien*, co Francuzi mawiają po „dziękuję”, mając na myśli „nie ma za co”. Bo Maria rozumiała już, że jej matka była prostytutką, i to niezbyt drogą, a jej ojcem był prawdopodobnie jakiś klient, zanim matka dostała skuteczny heks przeciwko ciąży.

Ale udawała, że wierzy w opowieści, bo matka z taką radością je opowiadała. A to, że są nieprawdziwe, przyjęła z ulgą, bo zawsze się bała, że

Napoleon pewnego dnia straci władzę lub umrze, portugalska rodzina królewska wróci na tron, zacznie ich szukać, znajdzie i matka będzie zadowolona, bo będzie mogła wrócić tam, gdzie się wychowała, ale Maria nie potrafiła dobrze dygać, jej francuski nie był elegancki ani wytworny, a ona chodziła brudna i zawsze pogryziona przez komary, więc na dworze wszyscy by się z niej tylko śmiali, tak jak ludzie na ulicach Barcy. Ale jeszcze gorzej, bo śmiałyby się z niej piękne damy i panowie. Dlatego się nie cieszyła, że pochodzi z rodziny królewskiej. Już lepiej być córką taniej portugalskiej dziwki z Nueva Barcelona.

Ale teraz, z dala od najbardziej znienawidzonych ludzi z Barcy, nagle stały się ważne. Alvin, Arthur Stuart i La Tia odnosili się do nich z szacunkiem, bo to one pukały do drzwi dworów. Nosily piękne stroje i zachowywały się jak damy z rodziny królewskiej, a nawet jeśli nie mogły naprawdę nikogo oszukać, bo stroje nie były aż tak piękne, zabawnie było popatrzeć, jak opowiadanie mamy jednak się trochę sprawdziło.

Trzeciego dnia, kiedy zobaczyli dwór, La Tia powiedziała:

– Ten niedobry. Idziemy dalej.

I tak by zrobili, gdyby na ganek nie wyszli trzej mężczyźni, wycelowali muszkiety i kazali się wszystkim poddać.

Wtedy Arthur Stuart – jaki to mądry chłopak, niech go Bóg błogosławi – sprawił, że lufy wszystkich muszkietów zmiękły i opadły, tak że nie dało się z nich strzelać. Mężczyźni dobyli szabel i ruszyli na nich. Arthur Stuart sprawił, że szable też stały się giętke niczym wierzbowe witki. La Tia zaczęła się śmiać i nie mogła przestać.

Ale tym razem nie było sensu udawać. Mieszkańcy tego domu, całej okolicy, dowiedzieli się już o ogromnej rzeszy zbiegłych niewolników, którzy opanowują plantacje, gwałcą kobiety, zabijają mężczyzn i pozwalają niewolnikom palić wszystko do fundamentów. Oczywiście nie była to prawda – z wyjątkiem tego, że dwie Francuzki wpraszają się do cudzych domów, a kiedy są już w środku, dwoje podróżujących z nimi niewolników podburza całą plantację.

Więc nie będzie już elementu zaskoczenia przy drzwiach. Od tej pory każda plantacja będzie polem walki.

Trzej biali mężczyźni znaleźli się związani w stodole, a wszystkie białe kobiety zamknięto w pokoju na piętrze. Na całej plantacji nie było ani jednego niewolnika, ponieważ wszystkich odesłano. La Tia, Arthur Stuart, Maria i jej matka zwołali radę pułkowników, by podjąć decyzję.

– Gdybyśmy usłyszeli zieloną pieśń – powiedział Arthur Stuart –

moglibyśmy iść nocą i nie czuć głodu, tak jak podczas przejścia przez Pontchartrain.

– Nie pamiętam żadnej zielonej pieśni – odezwała się La Tia.

– Pamiętasz, tylko nie wiedziałas, że to ona.

– Co takiego jest w tej pieśni? Dlaczego jest zielona?

– To pieśń życia, które cię otacza. Nie ludzkiego, ludzkie życie to przeważnie tylko hałas. I nie maszyn. Muzyka drzew, wiatru, żaru słońca, muzyka ryb, ptaków, robaków i pszczoł. Muzyka życia całego świata, który nas otacza, a ty pozwalasz sobie wejść w tę pieśń. Sam tego nie potrafię, ale kiedy jestem z Alvinem, on mnie wrzuca w tę pieśń i wtedy ją słyszę; czuję, jakby moje ciało biegło samo z siebie. Mogę biec i biec, i biec, i pod koniec czuję się, jakbym się obudził z długiego mocnego snu. I dopóki biegnę, nie czuję głodu. Ani pragnienia. Przynależę do świata, który wiruje dniem i nocą, wiatr wieje nade mną, rośliny ze mnie wyra stają, zwierzęta po mnie chodzą...

Cudownie było słuchać, jak opowiada z rozświetloną twarzą. Ten młody pół-Czarny mężczyzna kochał Alvina nawet bardziej niż Maria. Och, trzymać Alvina za rękę i biec przez las, słuchać zielonej pieśni i widzieć, że krzaki i gałęzie usuwają się z drogi, a ziemia staje się gładka i miękka...

La Tia nie poddała się rozmarzeniu. Robiła listę.

– Ryby, ptaki, drzewa – powtórzyła, kiedy Arthur Stuart skończył. – Nie chce się jeść, nie chce się pić. Wiatr. I robaki, tak? I żar słońca. Coś jeszcze? Coś więcej?

– Chcesz rzucić czar, który będzie miał takie działanie?

– Spróbuję. Najlepiej jak mogę. – Uśmiechnęła się podstępnie. – To mój talent, chłopcze.

Natychmiast wysłała Michele i kilka innych, które widać już poprzednio służyły jej pomocą, po potrzebne rzeczy. Pióro ptaka, płetwa ryby – to najtrudniejsze – żywy żuk, liście drzewa. Szczypa ziemi, kropla wody, popiół z ogniska, a kiedy wszystko to znajdzie się w woreczku, La Tia dmuchnie do niego i okręci go długim włosiem kobiety, na przykład Marii.

Rano woreczki dla niej, Arthura Stuarta i wszystkich pułkowników były już gotowe.

– Teraz zobaczymy, czy ta zielona pieśń zagra – powiedziała La Tia.

– A co ze mną? – spytała Maria. – I moją matką?

– Ty weźmiesz mnie za rękę, twoja mama – Arthura. Ja to robię inaczej, ale ty myśl o miłości.

Arthur spojrzał na nią i uniósł brwi, jakby go to śmieszyło. Ignorant.

Maria wzięła za rękę La Tię, Arthur matkę, ruszyli i... nic się nie stało. Było

zupełnie inaczej niż podczas przechodzenia przez most.

– Chyba się nie uda bez Alvina – powiedział Arthur Stuart. – Choć tego się można nauczyć. On się z tym nie urodził. Nauczył go sam Ta-Kumsaw.

La Tia jęknęła głośno i lekko uderzyła go w czoło.

– Ty niemądry, ty nie mówisz La Tii to czary Czerwonych, ta zielona pieśń? Dawać pułkownicy, wszystkie, niech przyniosą woreczki.

Zatrzymano pochód; pułkownicy zebrali się w grupce, a reszta ludzi czekała, niechętnie mamrocząc.

La Tia otworzyła woreczki i powiedziała:

– Jedna kropla waszej krwi, już. No, kto by usłuchał czegoś takiego bez sprzeciwu? Ale Arthur Stuart rzekł:

– Mogę utoczyć kroplę krwi z waszych palców i nie będzie bo lało, ale musicie się zgodzić.

Więc wszyscy oczywiście się zgodzili i Arthur ujmował po kolei ich ręce, zamykał oczy, skupiał się i po chwili spod paznokcia spływała jedna kropla krwi, która wpadała do woreczka.

Wtedy La Tia znowu dmuchała w woreczek i zawiązywała go, lecz tym razem dodawała do włosów Marii źdźbło trawy.

– Teraz może – powiedziała.

I tym razem ruszyli, a czar zaczął działać. Maria nie wiedziała, czy reaguje na prawdziwą zieloną pieśń – nie słyszała jej, przechodząc przez most. Raczej pamiętała jakieś napięcie, kiedy pchała taczki, nie czując bólu dłoni ani pleców.

I coś podobnego zaczęło się dziać także teraz. Już dawno zostawiła taczki, teraz na zmianę z matką niosła kulę z krwawej wody, którą zostawił jej Alvin. Ale w tej chwili nie musiała się nikim wyręczać. Kula nadal była ciężka, lecz Maria się nie męczyła. Nie czuła nawet bólu ramion, w które wpijały się paski.

Owszem, w końcu poczuła głód i pragnienie, ale to jej nie przeszkadzało. A jej stopy zawsze odnajdywały odpowiednie miejsce na ziemi.

Czar nie działał tylko na Arthura Stuarta. W końcu chłopiec oddał swój woreczek matce Marii.

– Wszystkie siły koncentruję na mgle, żeby była przed i za nami, i na płomieniach serc tych, którzy mogą nam zrobić krzywdę. Chyba dlatego czar na mnie nie działa.

– Szkoda, dziecko – powiedziała La Tia. – Rób to, co robisz, wszyscy się za ciebie modlimy.

Arthur Stuart uchylił kapelusza i z uśmiechem ruszył przed siebie.

Maria miała ochotę podbiec do niego, wziąć go za rękę i iść razem z nim,

ale to by było głupie. Przede wszystkim musiałyby mieć woreczek. Po drugie, on musiał się skupić na swoim zadaniu. Po trzecie, prawdopodobnie by sobie tego nie życzył.

Reszta zareagowała na czar. Małe dzieci szły szybciej. Dorośli niosący niemowlęta się nie męczyli. Nikt nie przystawał, żeby odpocząć, i nie zostawał za grupą, więc choć nie szli szybciej niż dotąd, pokonali dłuższą drogę.

Nie spieszyli się także z wyborem plantacji na nocleg.

– Przeszliśmy daleką drogę – rzekł Arthur Stuart. – Może tutejsi uważają, że są bezpieczni i nie będą na nas czekać.

– Myślisz, że podejdę do domu? Obudź się ze sen – mruknęła La Tia.

– Co innego możemy zrobić?

– Pozabijać ich.

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegł głos. Był to stary Bart, kamerdyner z domu Cottonerów.

– Słyszeliście. Ty masz talent, chłopcze. Skorzystaj z niego.

Sięgnij do ich serc i zatrzymaj je, żeby już nie były.

– To by było morderstwo.

– To nie morderstwo. To wojna, a oni ją wygrywają, chyba że zrobisz to co żołnierze i zabijesz ich, zanim oni zabiją ciebie.

– Nie tutaj. Nie dziś.

– Jak ich zabijesz, wygramy – nalegał Bart. – Nie zasługują na nic innego po tym, co nam zrobili.

– Ty martwy? – spytała La Tia. – Twoje serce nie bije, tak?

Stary Bart odwrócił się gwałtownie.

– Nie mów mi, czy mam prawo czuć gniew. Przez wszystkie te lata byłem martwy w środku. Jestem mężczyzną, a nie mogłem się zachowywać jak mężczyzna.

– Śmieszny trup. Stoi i gada. Pewnie sika trzy razy na dzień!

Ile trupów tak może?

Stary Bart miałby pewnie odpowiedź i na to, ale śmiech zebranych go przekonał, że to niedobry dzień na dyskusje. Jednak Maria widziała, że nie porzucił pomysłu, tylko chęć rozmawiania o nim.

– Zabić ludzi – ciągnęła szyderczo La Tia. – Chcemy jedzenie. Chcemy spanie. Zabić kogoś za to w jego własny dom?

Arthur Stuart pokręcił głową.

– Na jego miejscu pewnie myślałbym tak samo.

– Wy, mężczyźni. Wy tylko by zabijali.

– Wiesz, że to nieprawda. Ale kiedy będzie trzeba, chciałbym, żebyś

znalazła kogoś innego do tego zadania.

Zaszli już wystarczająco daleko.

– Wiem – odezwała się Maria. – Pójdę sama.

– Nie! – krzyknęła jej matka.

– Szukają dwóch kobiet z dwojgiem niewolników. Pójdę sama, a Arthur Stuart i La Tia nadejdą od innej strony. Arthurze, zaopiekujesz się mną, prawda?

– Tak.

– Ja im wszystko wytłumaczę. Chcemy tylko jedzenia i noclegu. Ale... może kiedy będę mówić, zaprezentujesz im swoją moc.

Zasnuj mgłą wszystkie okna. Pokaż im, że lepiej nam pozwolić, byśmy przenocowali i poszli w swoją stronę.

Zastanowili się i Arthur wprowadził poprawkę:

– Wszystkie okna z wyjątkiem jednego. Przez jedno będzie widać czyste niebo.

– Więc lepiej znajdziemy dom, zanim słońce zajdzie.

Dopiero kiedy wszyscy się zgodzili i grupa ruszyła przed siebie, Maria zdała sobie sprawę, na co się zdecydowała. A jeśli tym razem będą mieli strzelby? Jak szybko potrafi działać Arthur Stuart?

Zanim znaleźli się w polu widzenia mieszkańców domu, Arthur zatrzymał pochód.

– W tym domu jest czterech dorosłych mężczyzn i sześć kobiet. I dużo broni. I żadnych dzieci.

To zły znak, zrozumiała Maria. Prawdopodobnie odesłali dzieci w bezpieczne miejsce.

– Dobry znak – powiedziała La Tia. – Nie odesłali kobiet. Nie myślą, że przyjdziemy dziś.

– Mgła, jak tylko wejść do środka – przypomniała Maria Arthurowi Stuartowi.

Uściskał jej dłoń.

– Możesz na mnie liczyć.

Ruszyła samotnie drogą i weszła na długi podjazd. Zauważono ją na długo, zanim zdołała się zbliżyć do drzwi. Na ganek wyszło trzech mężczyzn z muszkietami.

– Oszalałaś, dziewczyno! – zawołał najstarszy. – Nie wiesz, że w tę stronę zmierza banda gwałcicieli i złodziei?

– Wóz mojego papę przewrócił się na drodze, potrzebuję po mocy.

– Twój papa nie ma szczęścia. Nie wyjdziemy z tego domu dla nikogo.

– Ale on jest ranny, jak chce wstać, to upada.
– Co to za akcent? – spytał najmłodszy. – Jesteś Francuzką?
– Moi rodzice są z Nueva Barcelona.
– W tym tygodniu niedobrze być w tych stronach Francuzką. Uśmiechnęła się.

– Czy mogę przestać być, kim jestem? Och, musicie mi pomóc.
Przynajmniej dajcie mi paru służących, żeby postawili wóz i przyprowadzili tu mojego ojca. Nie możecie tego zrobić?

– Niewolnicy są zamknięci. Rano ich już tu nie będzie. Na pewno żadnego nie wypuścimy.

– Widzę, że Opatrzność przywiodła mnie do domu, gdzie nie znają chrześcijańskiego miłosierdzia. – Odwróciła się i ruszyła z powrotem.

Można się było spodziewać, że przekona ich dopiero, kiedy przestanie się starać.

– Jeszcze nigdy nie odmówiłem nikomu w potrzebie – powiedział stary.
– Jeszcze nigdy nie było buntu niewolników – odparł drugi, potężny.
– Ale nawet w czasach buntu – zauważył młody – wozy przewracają się, a uczciwi ludzie odnoszą rany i potrzebują pomocy.

Maria nie czuła się dobrze, okłamując tych ludzi. Najstarszy chciał jej okazać życzliwość, a młody chciał jej zaufać. Ten potężny tylko chronił swoich. A skoro jego podejrzenia były całkowicie uzasadnione, to czysta niesprawiedliwość, że właśnie on wyszedł na gbura. No cóż, wkrótce wszystko się wyjaśni. Miała nadzieję, że jedno niedobre doświadczenie nie oduczy ich pomagania sąsiadom. Byłoby źle, gdyby ich wyprawa zmieniła ten świat na gorsze.

– Wróć! – krzyknął stary.
– Nie, zostań! – zawołał ten potężny. – Pójdziemy z tobą. Razem z młodym zbiegli po schodkach i ruszyli ku niej truchtem.

Nie tak to miało być. Powinni ją wpuścić do domu.
– Ale chciałam papie przynieść wody.
– Będzie na to mnóstwo czasu, kiedy go wniesiemy do domu. Byli już przy niej. Nie miała wyjścia, musiała ruszyć przed siebie.

Nagle pojawiła się mgła – znikąd, znienacka. Powietrze ochłodziło się i opary stały się tak gęste, że Maria straciła mężczyznę z oczu.

– Co, do diabła... – odezwał się ten potężny.
– Nie widzę własnych stóp – powiedział ten młody.
Maria milczała; gdy pojawiła się mgła, zawróciła i ruszyła ku domowi.
Po chwili wyszła z oparów. Nie obejrzała się, żeby sprawdzić, jak wygląda

taka pojedyncza gęsta chmura – ciekawe, może tak jak słup dymu z Biblii?

Starego nie było na ganku.

A potem, kiedy zrobiła jeszcze parę kroków, pojawił się z muszkietem w dłoni.

– Od początku wiedziałem, że to diabelskie sprawki, ty wieźmo! – krzyknął.

Strzelił.

Celował prosto w nią, a lufa wyglądała całkiem normalnie. Maria zamknęła oczy, przekonana, że to jej ostatnie chwile.

Ale kiedy huk przebrzmiał, nic nie poczuła. Ruszyła dalej ku gankowi.

Dopiero po chwili z lufy muszkietu wypadła kula, która upadła z piaskiem i rozlała się na ziemi, płaska jak srebrny dolar.

– Nie jestem wieźmą – powiedziała Maria. – A pan jest dobrym, uczciwym człowiekiem. Myśli pan, że ktoś skrzywdzi pana lub ludzi, których pan kocha? Nikt nikomu nie robi krzywdy.

Z mgły rozległy się głosy:

– Kto strzelał? Gdzie jest dom?

Tym razem Maria się obejrzała. Dwie gęste chmury, nieco wieźsze od człowieka, poruszały się szybko po trawniku, ale żadna nie zbliżała się do ganku i żadna nie trzymała prostego kursu.

– Słyszeliśmy, co zrobiliście innym! – krzyknął stary.

– Słyszeliście kłamstwa. Wystarczy się zastanowić. Skoro wszystkich pozabijaliśmy, kto by mógł powtórzyć, że do drzwi pukają dwie Francuzki i dwoje niewolników? Przecież ich właśnie wyczekiwaliście, tak?

Stary nie był głupi. Potrafił uważnie słuchać.

– Chcemy jedzenia – ciągnęła Maria. – I weźmiemy je z tego domu. Macie go dużo, ale nie zabierzemy wszystkiego. Sąsiedzi pomogą wam uzupełnić braki. A wy i tak nie potrzebujecie dużo żywności.

– Bo zamierzacie zabrać naszych niewolników, tak?

– Zabrać ich? Nie możemy ich zabrać. Niby gdzie mamy ich zabrać, do kieszeni? Pozwolimy im z nami podróżować, jeśli ze chcą. Jeśli postanowią zostać z wami, zostaną. Zrobią, co zechcą, bo są dziećmi Boga.

– Przeklęci abolicjoniści!

– Tak, abolicjoniści. A pan potrafi być miły dla obcych, lecz uważa ludzi za swoją własność. Bracie, zastanów się.

– Za kazania dziekuję. Możecie kraść, co się wam spodoba, ale nie udawajcie świętych.

Maria stanęła na ganku, zwrócona twarzą do starego. Usłyszała, że za jej

plecami otwierają się drzwi. Potem rozległo się szczęknięcie kurka strzelby. Syknął proch.

I znowu o deski plasnęła rozmięczona kula.

– A niech to! – rozległ się kobiecy głos.

. – Zabiłaby mnie pani – powiedziała Maria, nie odwracając głowy.

– W tych okolicach strzelamy do intruzów.

– My nie krzywdzimy *personne*, a wy macie w sercach morderstwo. –

Maria spojrzała na kobietę. – Co wy tu jecie, skoro strzelacie kobiecie w plecy za to, że prosi o trochę tej żywności? – Wyciągnęła dłoń do drżącej kobiety, która oparła się o drzwi. Do tknęła jej ramienia. – Jesteś zdrowa. To dobrze. Ceń sobie ten skarb, to zdrowie, nie masz żadnej choroby. Żyj długo.

Potem odwróciła się do starego i wzięła w dłonie jego rękę.

– O, jesteś silny. Ale brakuje ci tchu, tak?

– Jestem stary. Nietrudno się domyślić, że mam zadyszkę.

– I masz bóle w piersiach. Chcesz o nich zapomnieć, tak? Ale mija parę miesięcy i one znowu są. Uporządkuj sprawy, pożegnaj się, dobry człowieku. Za parę tygodni staniesz przed Bogiem.

Spojrzał jej twardo w oczy.

– Dlaczego mnie przeklinasz? Co ci zrobiłem?

– Nie przeklinam cię. Nie mam mocy, by zabijać lub nie. Do tykam i wiem, czy jesteś chory i czy umrzesz. Jesteś chory.

Umrzesz. We śnie. Ale wiem, że jesteś dobry i wielu będzie opłakiwać twoją śmierć, a rodzina będzie cię wspominać z miłością.

W oczach stanęły mu łzy.

– Co z ciebie za złodziejka?

– Głodna. W przeciwnym razie bym nie kradła. Ani ja, ani reszta.

Stary odwrócił się i spojrzał na trawnik. Maria sądziła, że spogląda na swoich towarzyszy, których otuliły chmury, ale nie. Podczas ich rozmowy Arthur, La Tia i matka musieli otworzyć chaty niewolników. Dom otoczyli czarni mężczyźni, kobiety i dzieci. Dwie chmury znikły; mężczyźni stali wewnątrz kręgu, rozbrojeni. Arthur Stuart wystąpił naprzód i wyciągnął rękę, jakby się spodziewał, że biały właściciel niewolników uściśnie dłoń Czarnemu.

– Nazywam się Arthur Stuart.

Stary parsknął śmiechem.

– Mówisz, że jesteś królem?

Arthur wzruszył ramionami.

– Mówię, jak się nazywam. I mówię, że żadna broń w tym do mu nie zadziała, a mężczyzna, który czeka za drzwiami z drągiem, żeby dzielić

w głowę mnie lub Marię, może go już odłożyć, bo nie wyrządzi nikomu większej krzywdy, niż gdyby bił gąbką lub papierem.

W głębi domu ktoś zaklął i przez drzwi na trawnik przed domem wypadł gruby kawał drewna.

– Wpuście nas do środka – poprosiła Maria. – Moją matkę, przyjaciół i mnie. Pozwólcie nam usiąść i porozmawiać, jak rozwiązać tę sytuację tak, żeby nikomu nie stała się krzywda i żebyście nie zostali z niczym.

– Wiem, jak to zrobić – powiedział stary. – Odejdźcie i zostawcie nas w spokoju.

– Musimy dokądś iść. Musimy coś jeść. Musimy gdzieś spędzić tę noc.

– Ale dlaczego u nas?

– Dlaczego nie? Bóg zwróci wam dziesięćkroć to, czym się z nami dziś podzielicie.

– Skoro mam umrzeć tak szybko, jak powiedziałaś, zostawcie chociaż dobry dom moim synom i córkom.

– Dopiero bez niewolników ten dom stanie się wreszcie dobry.

Później, kiedy wszyscy byli już nakarmieni i spali, także gospodarze, których nie trzeba było zamknąć, Maria miała okazję porozmawiać z Arthurem Stuartem.

– Dziękuję, że dałeś mi mgłę, kiedy była mi potrzebna, i nie czekałeś, aż wejdę do domu.

– Nasze plany nie mogą się powieść, kiedy druga strona nie wie, jak się zachować – odparł z uśmiechem. – Świetna robota.

Odwzajemniła uśmiech. Rzeczywiście, dobrze się spisała. Nie wiedziała, jakie to miłe, kiedy ktoś ją chwali. Nie знаła tego uczucia aż do tej wyprawy. Dopóki nie poznała Alvina i Arthura Stuarta. Och, jak wielką mają moc, jaki talent! Ale największe wrażenie robiło na niej to, że potrafili ogrzać serce dobrymi słowami.

Czerwoni przewieźli Alvina na drugi brzeg Mizzippy w kanoe – tym razem podróż była znacznie przyjemniejsza. Zabrali go w dół rzeki, w pobliże portowego miasta Red Stick. Rzeka tworzyła tam sporą zatokę, więc Alvin musiał przemierzyć niewielki odcinek drogi suchym lądem do miasta. Tymczasem Czerwoni zawrócili, niezauważeni przez nikogo. Na północy Stanów Zjednoczonych stanowili dość powszechny widok, gdyż to głównie oni zamieszkiwali stany Irrakwa i Cherriky, jednak ubierali się jak Biali. Tu, na dalekim południu, gdzie Kolonie Korony wywierały większy wpływ, Czerwoni nieczęsto się pokazywali, zwłaszcza ci z drugiego brzegu rzeki, ubierający się

tradycyjnie. A kiedy już się zjawiali, budzili strach. Wyglądali jak dzikusy; na ich widok Biali chwyтали za broń i bili w dzwony na alarm.

Ale samotny Biały, ubrany jak wszyscy, podróżny kowal z ciężkim workiem na plecach nie budził niczyjej ciekawości.

Poza tym ludzie mieli co innego na głowie. Właśnie przybyła ekspedycja gubernatora i nagle w Red Stick zaroilo się od setek znudzonych wojaków; niektórym już się odechciało wlec przez pustkowia i walczyć ze zbiegłymi niewolnikami. Ich entuzjazm słabł, w miarę jak trzeźwili. Pułkownik Adan nie był aż takim zwolennikiem dyscypliny, by nie rozumieć, że jego żołnierze powinni być nieco nietrzeźwi. Dlatego wszyscy znaleźli się w knajpach, a hiszpańscy żołnierze usiłowali wyegzekwować zakaz picia więcej niż dwie kolejki, żeby wojsko nie upiło się do nieprzytomności. Nikt nie zauważył przywódcy grupy, którą ścigali.

Alvin bez trudu ocenił sytuację. Z zadowoleniem zauważył, że w mieście nie ma członków wyprawy Steve'a Austina. Byli twardzi, potrafili zabijać i chętnie to robili. Natomiast ci z grupy pościgowej chętnie się chwalili tym, co robią i co zrobili, lecz nie spieszyli się z działaniem.

Zastanowił się, czy odwiedzić pułkownika Adana w kajucie na parowcu i powiedzieć: Pokażcie się tu pojutrze, to zobaczycie, jak przekraczamy rzekę, a was zostawiamy po szyję w błocie. Ale istniała możliwość, że Adan każe go powiesić albo zastrzelić, zamiast tylko zamknąć. Alvin potrafiłby uniknąć niebezpieczeństwa, lecz co z tego? Starcie z Niszczycielem pod postacią aligatora prawie zupełnie pozbawiło go woli walki. Ta jego strona, która tylko czekała na jakąś rozróbę, chwilowo się zużyła. Teraz szukał bardziej pokojowych rozwiązań.

Dlatego wszedł do knajpy i oparł się o bar koło hiszpańskiego oficera.

– Gdzie są zbiegowie? – spytał.

– Nie powiedzieli – odparł oficer z mocnym akcentem.

– No, a ja wiem – powiedział Alvin. – A przynajmniej słyszałem bardzo prawdopodobną plotkę. Ale nie powiem samemu pułkownikowi Adanowi, bo jeszcze mu przyjdzie do głowy, że byłby ze mnie dobry żołnierz i mnie wcieli.

Oficer zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Co nas obchodzą plotki?

– Wszystko zależy od tego, kto je opowiada. Te tutaj moczymordy mogłyby powiedzieć nawet, że uciekinierzy są na księżycu, bo o niczym nie mają pojęcia. Ale ja usłyszałem plotkę od Czerwonych szmuglujących skóry przez rzekę. Powiedzieli, że niedaleko od brzegu widzieli sporo wolnych Czarnych.

Oficer nadal mu nie wierzył.

– Szmuglują skóry? I nie zabili cię?

– No, może by i zabili, ale było ich tylko dwóch, a ja nie jestem taki najmniejszy. Poza tym chcieli, żebym wam przekazał tę wiadomość.

– A co ich to obchodzi?

– Bo jeśli zbiegowie dojdą do rzeki, może im wpaść do głowy, żeby ją przejść, tak jak przeszli jezioro Pontchartrain. Chyba idą z nimi czarownicy. Królowa La Tia. Więc jeszcze rozpędzą mgłę i wejdą na ich tereny. A Czerwoni nie chcą, żeby po ich stronie rzeki biegali jacyś Czarni i francuskie szumowiny.

– Kim ty jesteś? Posłańcem?

Alvin wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, co miałem powiedzieć. A ty już to powtórz, komu chcesz.

Oficer chwycił go za ramię. Był silny. Oczywiście Alvin mógłby strzepnąć z siebie jego rękę, nawet tego nie zauważywszy, ale nie chciał wszczynać bójki.

– Lepiej wyjdź ze mną na dwór i powiedz coś więcej – powie dział officer.,

– Jak wyjdziemy, ci tutaj wypiją więcej niż dwie kolejki i przez całą drogę będą sikać i rzygać.

– Chodź!

Alvin poszedł bez sprzeciwu. W knajpie byli jeszcze dwaj żołnierze, którzy także wyszli. Za drzwiami od razu zrobiło się głośno – bez wątpienia składano zamówienia na zakazane drinki. W Red Stick pewnie podskoczy cena rumu i whiskey, bo do zmroku powinno ich zabraknąć.

Na dworze officer kazał żołnierzom chwycić Alvina.

– Sam to opowiedz pułkownikowi Adanowi.

– Przecież mówiłem, że tego właśnie nie chcę.

– Jak nie kłamiesz, musi się o tym dowiedzieć.

– Nie kłamię. I nie wiem, dlaczego Czerwoni mieliby kłamać, ale powiem, o którym miejscu mówili. Trzeba obejść to pierwsze duże zakole rzeki, a potem drugie, i tam, gdzie Mizzippy skręci znowu na wschód, to będzie to miejsce.

– Nie mów tego mnie, bo tracisz czas.

– Powiem tylko tobie i nikomu innemu – oznajmił Alvin. Następnie wyszarpnął się i łokciami uderzył obu żołnierzy w brodę, aż walnęli głowami w drewnianą ścianę knajpy. Jeden padł na ziemię niczym kłoda, drugi się zatoczył. Alvin odsunął od siebie broń oficera, ale on wyciągnął szablę.

– Nie, nie – napomniął go Alvin. – Jeśli mnie zabijesz, co po wiesz pułkownikowi?

W odpowiedzi officer zadał cios.

Alvin usunął się w bok, wyjął szablę z dłoni oficera i złamał ją na kolanie. Przykro mu było niszczyć tak doskonale ostrze – hiszpańska stal była

prawdziwym skarbem – i nie ucieszyło go też, że musiał pobić żołnierzy, ale musiał się uwolnić w tradycyjny sposób, bez żadnych sztuczek, żeby pułkownik nie zorientował się w podstępie.

Oficer krzyknął, jakby złamano mu rękę, nie szablę. Alvin uciekł, słysząc za sobą jego wrzask:

– *Siga lo! Siga lo!*

Ale żołnierze nie byli w stanie ścigać nikogo. Po chwili Alvin znikł im z oczu za budynkami i co sił w nogach pobiegł do lasu.

Arthur Stuart obudził się, ponieważ ktoś go chwycił za ramię.

– Co zno...

– Ciii, nie budź innych.

Alvin! Arthur Stuart usiadł.

– Rany, jak dobrze...

– Czego konkretnie nie zrozumiałeś z „ciii”?

– Nikogo nie ma – odparł Arthur, choć już ciszej.

– Tak ci się wydaje. Ale Maria od Zmarłych jest tuż obok.

– Nie była, kiedy zasypiałem.

Wstali i ruszyli we mgłę otaczającą obóz.

– Wracam od pułkownika Adana. Jutro po południu jesteśmy umówieni nad rzeką.

– Przechodzimy?

– Tenskwa-Tawa nam pozwolił. Dadzą nam jedzenie i nocleg, i nie będziemy już musieli napadać na cudze domy.

– I dobrze, bo mam dość. Ludzie się nas strasznie boją.

– Chyba nie jesteś urodzonym łobuzem. A tak nad tobą pracowałem!

– No, na razie nam się udawało. Maria od Zmarłych ma ta lent do oszukiwania, a mnie nieźle idzie robienie mgły i zgina nie luf.

– A La Tia rzuciła czary.

– Pomogły. Ale to nie to samo co marsz z tobą.

– Teraz będę iść z wami. Nie chcę robić kolejnych przystanków. Musimy tam dotrzeć pierwsi. A to znaczy, że trzeba wszystkich obudzić i już się zbierać.

– Po ciemku?

– Zobaczymy, czy nadal będzie ciemno, zanim ich wszystkich pobudzimy.

Zebranie grupy do wymarszu trwało niespełna godzinę, głównie dlatego że Alvin nie pozwolił nikomu przygotować żadnego posiłku. Matki karmiły swoje niemowlęta, a wszyscy mogli po drodze jeść chleb, ser i owoce, lecz nie wymagającego gotowania, mycia i czekania.

Oczywiście wszyscy narzekali, ale czary La Tii sprawiły, że czuli się wypoczęci i gotowi nawet po krótkim śnie.

A kiedy Alvin prowadził pochód, czary zaczęły działać jeszcze lepiej. Teraz to już naprawdę była zielona pieśń, nie jej blade echo. Arthur Stuart nie musiał już myśleć o mgłę, więc przyłączył się i poczuł, jak pieśń go obejmuje.

Zanim nadszedł świt, wszyscy już biegli – dorośli truchtem, dzieci ze wszystkich sił, lecz nikt nie zostawał w tyle i nikt nie czuł zmęczenia. W ciemnościach nikt się nie przewrócił ani nie odłączył od grupy, ponieważ w zielonej pieśni zawsze wie się dokładnie, gdzie się jest i gdzie są wszyscy inni, ponieważ pieśń staje się częścią ciebie, a ty częścią pieśni.

Biegli przez cały ranek. Biegli przez całe popołudnie. Nie zatrzymywali się, by jeść i pić. Z chlupotem przemierzali strumienie, zatrzymując się tylko po to, by wziąć na ręce małe dzieci. Uciekinierów było już sześć tysięcy – wszyscy niewolnicy z plantacji, przez które przeszli, dołączyli do nich. Biegli przez lasy, nie szukając dróg ani znaków.

Ostatnia czerwona łuna zachodzącego słońca właśnie znikła z nieba, kiedy dotarli do niskiego cypla nad zakolem Mizzippy i ujrzeli ją, szeroką na milę, zabarwioną szkarłatem słońca.

– Rano przejdziemy? – spytał Arthur Stuart.

– Przejdziemy, jak tylko ostatnia osoba dojdzie na cypel.

Przez cały dzień ich pochód nieco się rozproszył, dlatego ostatni pułkownicy zgłosili się dobrze po zapadnięciu zmroku.

Alvin jeszcze raz zarządził, by pierwsi szli Papa Łoś, Mama Wiewiórka i ich dzieci, lecz dziś prowadziła ich La Tia.

– Tym razem nie będzie mostu – wyjaśnił Alvin radzie. – Spiętrzymy rzekę. Będzie wyglądała przedziwnie, jak ściana wody po waszej prawej stronie. Nikt nie powinien na nią patrzeć, nie mamy na to czasu.

Następnie stanął na cyplu tuż nad wodą i uniósł pochodnię. Arthur Stuart czekał za nim.

Mgła na drugim brzegu się rozplynęła i pojawiło się światelko drugiej pochodni.

– Kto tam jest? – spytał Arthur Stuart.

– Tenskwa-Tawa. Pomoże mi spiętrzyć Mizzippy.

– Bardzo dobrze. Niech rzeka się spiętrza aż do nieba!

Alvin roześmiał się, rozciął dłoń paznokciem i cisnął krew nad wodę.

Wyglądało to tak, jakby woda skoczyła mu prosto w dłoń, ale to nie była woda, o nie. To znowu był kryształ, a kiedy Alvin go ujął, kryształ zaczął się rozciągać jak cienka tafla szkła, sięgając na drugi brzeg rzeki. W połowie drogi

spotkał się z taką samą, pełznącą z naprzeciwka taflą. Woda po lewej stronie zapory odpłynęła, wsiąkła, znikła.

Ale w górze rzeka się spiętrzyła; Arthur pomyślał, że lada chwila przeleje się przez zaporę. Jednak tak się nie stało. Pewnie dlatego że wystąpiła z brzegów i zalała tereny po stronie należącej do białych ludzi.

Teraz Arthur Stuart zrozumiał, dlaczego wybrano akurat to miejsce. Po drugiej stronie rzeki brzeg był wyższy. Powódź nie zaleje ziem Czerwonych.

– Mam dla ciebie zadanie – odezwał się Alvin.

– Biorę... jeśli sobie poradzę.

– Pułkownik Adan zbliża się do nas rzeką w paru łodziach.

Łądem wysłał oddział żołnierzy. Oni pewnie powchodzą na drzewa, ale martwię się o tych w łodziach.

– Czy nie wylądują na mieliźnie?

– Wylądują, lecz może ich podkusić, żeby wysiąść i ruszyć ko rytem pieszo.

A kiedy zdejmujemy zaporę, utoną.

– Jak rydwany faraona.

– Nie chcę więcej żadnych trupów. I nie ma takiej potrzeby.

Trzeba ich ostrzec.

– Zatrzymam ich w łodziach.

– Proszę cię tylko, żebyś im posłużył radą.

– Posłużę im tak mocną radą, że dotrze do każdego.

– No, a zanim zaczniesz się popisywać przed oddziałem z muszkietami i artylerią, mógłbyś osuszyć to błotniste koryto, że by nikt nie ugrzązł.

I rzeczywiście, pierwsze osoby brnęły już w głębokim błocie. Jednak Arthur Stuart nauczył się przez ostatnie dni tak wiele, że szybko odparował wodę z górnej warstwy dna, które zmieniło się w ubitą drogę szerokości około pięćdziesięciu stóp – na tyle szeroką, że ludzie mogli iść po nim ławą. W ten sposób przejście mogło potrwać o wiele krócej niż przemierzenie Pontchartrain.

La Tia zorientowała się, co zrobił Arthur, i krzyknęła z radości.

– Wszyscy prędko! Hop, hop, jak żaby!

I ruszyła biegiem.

Arthur tylko rzucił okiem na tamę. Była zrobiona z czystego kryształu, więc nie przypominała żadnej innej. Wyglądało to tak, jakby woda nagle stanęła dęba. Nawet w ciemnościach widział poruszające się w niej kształty. Najpierw sądził, że to ryby, ale zdał sobie sprawę, że jest za ciemno, by je dostrzec. Nie, to coś znajdowało się w kryształach. Były to te same wizje, które niepokoiły i hipnotyzowały ludzi podczas przekraczania Pontchartrain.

– Nie patrzcie na tamę! – krzyknął Alvin. – Niech nikt nie pa trzy na tamę! Widać oczywiście wszyscy spojrzeli. Tylko raz i natychmiast odwrócili wzrok, bo La Tia, Łoś, Wiewiórka, Maria od Zmarłych i Rien popędzili ich naprzód, setkami, po drodze Arthura.

Arthur ruszył biegiem w dół rzeki – nie spieszył się, bo musiał utwardzać przed sobą drogę, żeby nie ugrzęznąć. Już za pierwszym zakolem ujrzał dwie duże łodzie, smętnie osiadłe w grzęzawisku. Wyskakiwały z nich dziesiątki żołnierzy, którzy natychmiast wpadali w głębokie błoto.

– Wracać do łodzi! – krzyknął Arthur Stuart.

Żołnierze usłyszeli go; niektórzy zatrzymali się i rozejrzeli, by sprawdzić, z którego brzegu dochodzi głos.

– *Vuelvan-se en los navios!* – krzyknął jeszcze raz, podchodząc bliżej.

Nie był nieostrożny. Zaczął właśnie sprawdzać, czy na pokładzie łodzi jest broń, kiedy usłyszał rozkaz *atiren!* – i na pierwszej łodzi błysnęło pół tuzina muszkietów. Czy był poza zasięgiem kul?

No cóż, był i nie był. Kule dotarły daleko, ale wyraźnie zwolniły, a ta, która go trafiła, nie miała dużego pędu. Jednak wbiła się w brzuch, tuż nad pępkiem i ból był straszny. Arthur zgiał się wpół i padł na ziemię. Bezmyślny idiota! – przeklinał się, krzycząc z bólu.

Bez względu na ból musiał wypełnić misję. Tyle że przy przebitych mięśniach brzucha nie potrafił znaleźć sił, by krzyczeć. Cóż, przewidywał, że po dobroci ich nie przekona, dlatego opracował drugi plan. Biegąc z zieloną pieśnią, usłyszał, poczuł i wreszcie zobaczył płomienie serc setek aligatorów mieszkających w rzece i jej dopływach.

Nie było trudno je zwabić. Przyjdźcie do łodzi, powiedział. Na łodziach dużo jedzenia.

I przyszły. Nie wiadomo, co pomyślały swymi małymi gadzimi mózdkami, kiedy ujrzały, że rzeka znikła, ale z pewnością zrozumiały, że kolacja została podana.

Problem tylko w tym, że nie miały pojęcia, co to jest łódź. Wiedziały jedynie, że ktoś je woła, i mniej więcej orientowały się, skąd dochodzi wołanie. Wkrótce wszystkie ruszyły prosto na Arthura Stuarta. A ponieważ pachniał krwią i wyglądał kropka w kropkę jak ranne zwierzę – nic dziwnego, naprawdę był ranny – nie mógł im mieć za złe, że uważają go za obiecany posiłek.

W życiu nie słyszałem o tak durnej śmierci, pomyślał Arthur Stuart. Sam siebie poszczułem aligatorami. Dobrze, że umrę, zanim spłodzę dzieci, bo taka głupota nie powinna się odrodzić w następnym pokoleniu.

Wtedy aligatory jak na komendę zawróciły i ruszyły w stronę łodzi. Minęły

Arthura Stuarta obojętnie, jakby zmienił się w spróchniały pień. A kiedy szły, orząc błoto groźnymi aligatorzymi łapami, poczuł, że coś się dzieje z jego brzuchem. Rozpiął koszulę i spojrzał na ranę akurat w chwili, gdy kula wyjrzała z niej niczym świstak z nory, po czym wypadła na ziemię.

Krew przestała płynąć, skóra się zabiłżniła, ból ustał. Arthur Stuart pomyślał: Dobrze, że Alvin nadal mnie pilnuje, bo wystarczy, żeby mi powierzył jedno głupie zadanie, a ja znajduję dwa sposoby, żeby stracić życie.

Aligatory pędziły ku łodziom, ale w ciemnościach żołnierze ich nie zauważyli.

– Aligatory! – krzyknął. – Wracajcie do łodzi!

Spojrzeli w jego stronę i ci, którzy znajdowali się najbliżej, zorientowali się, co się dzieje. No cóż, człowiek biega szybciej od aligatora – ale na suchym lądzie, nie w grząskim bagnie. Arthur Stuart doszedł do wniosku, że powinien wysuszyć dno wokół łodzi, lecz znajdowały się bardzo daleko i nie mógł być zbyt precyzyjny. Jednak chyba mu się udało i z ulgą przekonał się, że wszyscy żołnierze na czas wrócili do łodzi. Ci, którzy w nich zostali, wciągnęli innych na pokład. Ostatni ledwie uciekli przed rozwartymi szczękami, ale jeśli ktoś coś stracił, to najwyżej stopę albo nawet tylko but.

Aligatory otoczyły łodzie, kłapiąc szczękami i usiłując się wdrzeć na pokład. Arthur Stuart uznał, iż nie powinny zginąć tylko dlatego, że zwabił je obietnicą posiłku. Tak więc podkrał się bliżej, odnalazł przenikaczem muszkiety i zgiał ich lufy. Lufy dział były tak grube, że łatwiej było mu je stopić na tyle, by zwęzić ich wyloty.

Teraz żołnierze mogli walczyć z aligatorami, używając muszkietów jak maczug. Co wydało się Arthurowi Stuartowi wyrównanym starciem.

Ruszył więc ku zaporze, wracając po osuszonej przez siebie ścieżce.

Prawie wszyscy przeszli już na drugi brzeg. Biegli po dwadzieścia, trzydzieści osób w jednym rzędzie, nadal z ostatnim echem zielonej pieśni w uszach; dotarłszy na drugi brzeg, biegli dalej, by zrobić miejsce następnym. Arthur obszedł ich i wkrótce stanął obok Alvina.

– Dzięki, że mi wyjąłeś kulę.

– Następnym razem wymyśl coś subtelniejszego niż wrzaski w zasięgu strzału. Nie chcę się wymądrzać, ale myślę, że to dobra rada.

– I dzięki, że odpędziłeś ode mnie aligatory.

– Przyszło mi do głowy, że tak naprawdę nie wołasz ich do siebie. Miło, że nie pozwoliłeś żołnierzom do nich strzelać. Nie że by świat stał się jakoś wyraźnie lepszy, kiedy ocali się parę aligatorów, ale zawsze mi się zdawało, że zwierzęta nie powinny ginąć tylko dlatego, że uwierzyły w nasze kłamstwa.

– To nie było kłamstwo. Na tej łodzi naprawdę jest mnóstwo mięsa.
– Tylko parę aligatorów zdołało się ku nim przebić, a żołnierze już je odpędzili. Ale pewnie będą bardzo zadowoleni, kiedy woda znowu popłynie korytem rzeki.
– Czyli kiedy?
– No, na tym brzegu nie widzę już żadnych płomieni serc oprócz twojego i mojego. I Marii od Zmarłych, która nie potrafi się z tobą rozstać.
– Ze mną! – prychnął Arthur Stuart, ale kiedy się odwrócił, rzeczywiście ujrzał Marię od Zmarłych wspinającą się po zboczu.
– Wszyscy przeszli – powiedziała.
– Posiedzę tu sobie, dopóki wszyscy nie znajdą się na tam tym brzegu. Mam na myśli również was dwoje.
– Nie zostawię cię tu samego! – obraził się Arthur Stuart.
– Nie chcę się o ciebie martwić, kiedy nadejdzie pora usunąć zaporę. Przynajmniej raz w życiu niech będzie po mojemu. Męczy mnie wstrzymywanie tej rzeki, a im dłużej się ze mną kłócisz, tym dłużej to trwa.
– Uratowałeś mi życie, ostatecznie mogę cię posłuchać.
– Uratowałem ci je dwa razy, więc pamiętaj, że należy mi się jeszcze jeden akt posłuszeństwa.
Arthur Stuart wziął Marię od Zmarłych za rękę i razem śmignęli w dół po zboczu. Przebiegli korytem rzeki tuż przed zaporą. Pędzili tak szybko, że wkrótce dogonili ostatnich ludzi w pochodzie. Arthur Stuart wypatrywał płomieni serc tych, którzy mogli zgubić drogę, ale kapitanowie, majorowie i pułkownicy dobrze spełniali swe obowiązki. Nikt nie odłączył się od pochodu.
Papa Łoś wyciągnął rękę do Marii od Zmarłych, by pomóc jej wspiąć się na brzeg. La Tia roześmiała się radośnie, gdy Arthur Stuart wbiegł na strome zbocze, nie szukając łagodniejszego wzniesienia, po którym wychodziła większość ludzi.
Na szczycie cypla stał Tenskwa-Tawa. Arthur Stuart zobaczył go po raz pierwszy w życiu. W pierwszej chwili pomyślał: Wcale nie jest taki wspaniały. A w drugiej: Wygląda jak potężny anioł, kiedy tak wstrzymuje rzekę taflą kryształu, stworzonego częściowo z jego krwi.
Tenskwa-Tawa machnął pochodnią, którą trzymał w drugiej ręce. Potem widząc, że Alvin rzucił własną pochodnię i ruszył biegiem, także upuścił swoją i wyciągnął rękę, jakby coś ku sobie przyciągał.
Na przeciwnym brzegu – Arthur Stuart widział to nie oczami, lecz obserwując płomień serca Alvina – Alvin biegł, trzymając w ręce swój koniec zapory.

Odciągnął ją od wybrzeża; za jego plecami chlusnęła woda. Arthur Stuart jeszcze nie widział, żeby Alvin biegł tak szybko. Koniec zapory osłaniał jego plecy.

– Rzucaj do mnie! – krzyknął Tenskwa-Tawa.

Alvin cisnął swój koniec tamy niczym kamień lub oszczep. Nie mógł dorzucić tak daleko, ale Tenskwa-Tawa przyciągnął go do siebie wyciągniętą ręką, choć od tamy dzieliło go pół mili. Przyciągał tamten koniec szybciej, niż Alvin biegł. Wreszcie oba końce znalazły się w rękach Tenskwa-Tawy, a Alvin biegł wąskim przejściem między dwoma ścianami tamy.

Arthur Stuart pozwolił sobie na jedno spojrzenie w dół rzeki. Znowu posłużył się raczej przenikaczem niż oczami; ujrzał, jak pierwsze języki wody obmywają łodzie, unoszą je i wyrwywają z grząskiego dna. Ale woda napływała coraz szybciej i łodzie zaczęły wirować wokół własnej osi, nie dając się opanować.

Alvin dotarł na brzeg i tak jak Arthur wbiegł po nim prosto do Tenskwa-Tawy. Nawet wtedy się nie zatrzymał, lecz padł prosto w objęcia Czerwonego Proroka. Obaj przewrócili się na ziemię. Końce kryształowej tamy wymknęły się z rąk Tenskwa-Tawy i niemal natychmiast kryształ pękł na tysiące okruchów, które rozpląnęły się w wodzie bez śladu. A Alvin i Tenskwa-Tawa leżeli w trawie, ściskali się i śmiali z radości, że udało się im spiętrzyć wody Mizzippy i sprowadzić uciekinierów na wolność.

Tylko La Tia znalazła w sobie dość odwagi, by podejść do tych, którzy przed chwilą dokonali cudu, i powiedzieć:

– Co, szalejecie jak chłopcy? My mówimy *merci beaucoup* Bogu.

Alvin legł na plecach i spojrzał na nią.

– Ciekawe, któremu Bogu.

– Może wy, chrześcijany, macie rację z tym Bogiem – odparła. – A może ja, a może on, a może nikt, ale Bóg i tak przyjmie nasze *merci beaucoup*.

Widziała Tenskwa-Tawę, kiedy wspinała się na brzeg, ale najwyraźniej nie przyjrzała się mu dokładnie. Bo teraz, kiedy poderwał się na nogi – o wiele sprężysiej, niż pozwalał mu na to wiek – w jej oczach coś błysnęło.

– Ty – powiedziała.

Skinął głową.

– Ja.

– Widzę cię w kuli.

– Jakiej kuli? – spytał Alvin.

– Tej co zrobiłeś, tej co ona nosi! – La Tia wskazała na Marię od Zmarłych, która rzeczywiście szła z ciężarem na ramieniu. – Bez przerwy go widzę. Mówi

do mnie.

Tenskwa-Tawa skinął głową.

– I dziękuję ci za pomoc – powiedział. – Nie wiedziałem, że jesteś z nimi.

– Nie wiedziałam, ty Czerwony Prorok.

– Więc już się znacie?

– On podgrzewa ziemię, daleko stąd – wyjaśniła. – Prosi mnie pomagać, budzić ziemię. Podgrzewać, żeby wybuchło. Chyba wiem jak.

– Więc cieszę się, że cię widzę we własnej osobie.

– Wielu mężczyzn cieszy się, jak mnie widzi we własnej osobie, ale nic z tego nie mają.

Tenskwa-Tawa uśmiechnął się, co w jego przypadku należało rozumieć jako wybuch śmiechu.

Arthur Stuart pomyślał – nie po raz pierwszy – że ci ludzie, obdarzeni naprawdę potężną mocą, są jak ekskluzywny klub. Wszyscy się znają. A ludzie tacy jak on zawsze będą stać na uboczu.

Talent Verily Coopera nie ograniczał się do ścisłego dopasowywania klepek beczki. Pozwalał mu także dostrzec, w jaki sposób różne rzeczy do siebie pasują i gdzie znajdują się nieregularności, które je różnią. Różne rzeczy – i różni ludzie. Wiedział, którzy są przyjaciółmi, a którzy wrogami, gdzie duma lub zazdrość powodują pęknięcie dostrzegalne tylko dla nielicznych. Różnica polegała na tym, że w przypadku dwóch niedopasowanych klepek potrafił sięgnąć w ich wnętrze i niemal bez zastanowienia – a na pewno bez wysiłku – zmienić je tak, żeby do siebie pasowały.

Z ludźmi nie było tak łatwo. Trzeba było ich przekonywać albo znaleźć sposób, by zmienić ich pragnienia lub przekonania. Ale taki talent przydawał się prawnikowi. Verily potrafił szybko ocenić ludzi, nie indywidualności, lecz rodziny lub społeczności.

Wjeżdżając do Springfield w Noisy River, Verily natychmiast wyczuł ducha tego miasta.

Spotkani po drodze ludzie przystawali i go obserwowali – czego szuka obcy na tych granicznych ziemiach? A przynajmniej uchodzących za graniczne. Mizzipy stanowiła granicę dla białych osadników, więc tereny szybko się zagęszczały. Verily widział to za każdym razem, kiedy wybierał się na zachód w te rejony. Springfield tętniło życiem – wiele budynków robiło wrażenie całkiem nowych, budowano już na przedmieściach, gdzie zresztą stało wiele zwykłych prowizorycznych szałasów, które ludzie stawiali na lato, zanim znajdą czas, by zbudować coś porządniejszego na zimę.

Ale ci ludzie nie tylko stawiali i na niego patrzyli – oni uśmiechali się, machali ręką, a nawet wołali „szacunek”, „pochwalony” lub „witaj, przybyszu”. Małe dzieci biegły za nim i choć zachowywały się normalnie – to znaczy parę nie zdołało się oprzeć pokusie i rzucało pecynami suchej gliny w konia lub niego, lecz żadne nie ciskało kamieniami ani błotem, więc nie były szczególnie złośliwe.

Rynek także był ładny – kwadratowy, z ratuszem i kościołami. Verily nie poczuł się ani trochę zdziwiony, że baptyści musieli patrzeć na tyły ratusza, podczas gdy kościołowi episkopalnemu dostał się widok od frontu. Prezbiterianie dostali stronę północną, a luteranie południową. Gdyby w Springfield pojawili się katolicy, purytanie lub kwakrzy, pewnie musieliby zbudować kościoły poza miastem. Verily lubił radosną hipokryzję amerykańskiej wolności wyznania. Nie było żadnej obowiązującej religii, ale

nikt nie miał wątpliwości, która obowiązuje mniej.

Verily uznał, że o miejscu pobytu Abrahama Lincolna, byłego sklepikarza i handlarza, najprędzej dowie się w ratuszu.

Miejski urzędnik potrafił poznać prawnika na milę; powitał Verily'ego nieufnym uśmiechem.

– Chciałbym znaleźć pewnego obywatela tego miasta – po wiedział Verily.

– Wezwanie do sądu? – spytał radośnie urzędnik.

Jednak wyglądam na prawnika, pomyślał Verily.

– Nie, chodzi tylko o prywatną rozmowę.

– Więc to nie sprawa sądowa?

Verily omal się nie roześmiał. Od pierwszej chwili wiedział, z kim ma do czynienia. Był to ktoś, kto wykuł na pamięć regulamin, znał zakres swoich obowiązków i z największą przyjemnością odmawiał zrobienia wszystkiego, co w przepisach nie figurowało.

– Oczywiście, że nie. I nie chcę marnować pańskiego czasu.

Dlatego pozostanę tutaj, w miejscu publicznym, gdzie ma prawo przebywać każdy obywatel Stanów Zjednoczonych, i będę witać każdą osobę, która przekroczy próg ratusza. Może ktoś z nich po może mi znaleźć tego obywatela. A kiedy mnie pytają, dlaczego nie poproszę o pomoc urzędnika, powiem, że nie chcę marnować czasu tego bardzo zajętego dżentelmena.

Uśmiech urzędnika nieco zlodowaciał.

– Pan mi grozi?

– Czym? – zdziwił się Verily. – Pragnę odnaleźć obywatela tego miasta z powodów, które pozostaną między mną, nim i naszym wspólnym znajomym. Nie zamierzam skrzywdzić ani jego, ani nikogo innego. Ponieważ ten budynek stoi w samym środku miasta – a jest to piękna budowla, muszę powiedzieć, nie ustępuje w niczym ratuszom w żadnym podobnym mieście w Hio, Wobbish czy Nowej Anglii – wydaje mi się, że nie ma lepszego miejsca, gdzie mógłbym znaleźć kogoś, kto wskaże mi drogę do pana Abrahama Lincolna.

No i proszę. Wymienił to nazwisko. Teraz zobaczymy, czy urzędnik oprze się pokusie zaprezentowania swojej wiedzy. Nie oparł się.

– Stary Abe? No, dlaczego od samego początku pan nie mówił, że chodzi o starego Abe'a?

– Starego? Ten, którego szukam, nie skończył jeszcze trzydziestki.

– Czyli to ten. Wysoki, chudy, brzydki jak sam diabeł, ale słodki jak miód?

– Słyszałem plotki o jego wzroście, ale resztę opisu pozostaje mi sprawdzić osobiście.

– Jest w sklepie, ale nie własnym, bo własny stracił. Albo w knajpie

Hirama. Ale wie pan co? Niech pan wyjdzie na ulicę i posłucha, skąd dochodzi śmiech. Tam musi być Abe Lincoln, bo albo kogoś rozśmieszył, albo sam się śmieje.

– Bardzo dziękuję. Obawiam się, że zająłem panu zbyt wiele czasu, i to wcale nie w sprawie urzędowej, więc lepiej już pójdę, nie będę dłużej przeszkadzał.

– Ależ wcale mi pan nie przeszkodził – odparł urzędnik. – Przyjaciół Abe’a jest przyjacielem wszystkich.

Verily pożegnał się i wyszedł na ulicę tonącą w blasku słońca.

Abe Lincoln wyglądał mi na pijaka, a przynajmniej miejscowego nicponia, pomyślał. Zbankrutował i cały czas przesiaduje w knajpie lub sklepie. I kogoś takiego mam znaleźć?

Choć zwykły pijak lub nicpoń pewnie by nie zasłużył na ciepłe słowa kogoś tak zorganizowanego i uporządkowanego jak ten urzędnik.

Dziwne, lecz kiedy Verily zatrzymał dwóch mężczyzn wychodzących od golibrody – ich gładkie policzki zdradzały, że codziennie wydają dziesięć centów na golenie – i spytał, czy wiedzą, gdzie można znaleźć Abrahama Lincolna, obaj uciszyli go gestem ręki, nastavili ucha i rzeczywiście, wkrótce dobiegł ich odległy wybuch śmiechu.

– Chyba jest w sklepie Cheapera – powiedział jeden.

– Prosto przed siebie tą ulicą – dodał drugi. – Po przekątnej.

Zatem Verily poszedł za śmiechem i wkrótce rzeczywiście stanął przed chłodnym wnętrzem sklepu, gdzie siedziało kilku mężczyzn i parę dam, a o ścianę opierał się najbrzydszy człowiek – choć nie chory ani okaleczony – jakiego Verily Cooper widział w całym swym życiu. I był wysoki, tak jak mu powiedziano, prawdziwa żyrafa wśród ludzi. Właśnie coś opowiadał.

– Więc cóż mi mówi: Abe, czy przód tratwy nie powinien być skierowany w dół rzeki? A ja mu na to: no i jest. A on domniemanie, Abe, to jest przód tratwy. I wskazuje w górę rzeki, co w ogóle nie miało sensu. No cóż, taki brak logiki zawsze irytuje, może nie tak strasznie, ale troszkę i owszem, więc mówię: wiesz, Coz, faktycznie dziś rano tak postanowiliśmy, ale to przecież zależy tylko od nas, nie sądzisz? W świetle nowych okoliczności mamy prawo zmienić zdanie i znaleźć sobie nowy przód tratwy!

Verily nie miał pojęcia, o czym jest to opowiadanie, i z całą pewnością nie znał tego jakiegoś Coza, ale kiedy ludzie w sklepie zaczęli się śmiać – a robili to średnio co sześć słów – mimo woli dołączył do nich. Nie chodziło tylko o słowa, lecz o to, w jaki sposób wypowiadał je Lincoln – z cierpkim humorem i tak, że wychodził na głupka, ale obdarzonego swoim rozumem.

Najbardziej interesujące było to, jak pasował do obecnych w sklepie. Od nikogo nie dzieliło go żadne pęknięcie. Wszyscy Ignęli do niego niczym najlepsi przyjaciele. A przecież nie można być najlepszym przyjacielem wszystkich. Nikt nie ma czasu na to, by znaleźć sobie więcej niż paru przyjaciół tak bliskich i drogich, że nie zazdroszczą powodzenia, nie kpią z porażek i nie denerwują ich drobne wady.

To było coś więcej niż sympatyczny charakter. Verily znał parę osób, które miały do tego talent – w profesji prawnika jest ich sporo – i przekonał się, że choćby ich talent był nie wiadomo jak duży, pod ich nieobecność człowiek się wściekał, że dał się omotać, a kiedy ich czar zaczynał działać, ten gniew nie pozwalał o sobie tak zupełnie zapomnieć. Natomiast tutaj nie było nic podobnego. Nie, Lincoln nie omotał tych ludzi i nie korzystał z żadnej ukrytej mocy. On jedynie opowiadał, a im podobały się nie tylko opowieści, ale i opowiadający.

Zauważenie tego wszystkiego nie zajęło mu wiele czasu – w końcu na tym polegał jego talent. Opowiadanie ciągnęło się, a Lincoln niczym nie zdradzał, że zauważył przybysza.

– No i teraz Coz zaczął się nad tym zastanawiać – całkiem znieruchomiał, bo wiecie, że jak Coz myśli, angażuje do tego całe ciało – i w końcu mówi: Abe, spróbowałem myśleć tak jak ty, ale chyba musiałbym włożyć nogi w górę nogawek.

Ludzie zrozumieli dowcip dopiero po chwili, lecz wszyscy wiedzieli, że go rozumieją i że ten żart ma być zrozumiały dla wszystkich. Verily poczuł, że już lubi Lincolna, nie tą instynktowną sympatią, która pojawia się niemal odruchowo, ale również taką, która przychodzi, gdy pozna się kogoś i zaczyna go podziwiać. Abraham Lincoln nie wynosił się nad nikogo, ale także się nie poniżał.

– Och, mamy gościa – powiedział Lincoln. – To pewnie prawnik i tak mu się spieszy do zakupów, że nawet nie znalazł sobie noclegu ani nie otrzepał ubrania.

– Ani nie zostawiłem konia w stajni – dodał Verily. – Mam pilną sprawę, która nie pozwala mi na te przyjemności.

– A jednak przychodzi pan do sklepu i słucha, co mnie i Cozowi przydarzyło się na rzece. Musi pan pochodzić z miasta nawet mniejszego niż Springfield, jeśli moja opowieść oderwała pana od interesów.

– O nie – odparł Verily Cooper. – Bo pan jest Abraham Lincoln i mam sprawę właśnie do pana.

– Tylko nie kolejny wierzyciel, o którym nic nie wiem!

Pozostali roześmiali się, ale niezbyt wesoło. Nie chcieli, by pana Lincolna spotykały niemiłe rzeczy. Jedna dama powiedziała nawet:

– Jeśli pański klient uważa, że pan Lincoln jest mu coś winien, to może spać spokojnie. Stary Abe nigdy nie zostawia nie spłaconych długów.

– Co mi się udaje głównie dzięki temu, że nigdy nie pożyczam.

– Nie pożyczasz dla siebie – odparła dama. Była wyraźnie starsza od Lincolna, ale Verily wykluczył, żeby mogła być z nim spokrewniona. Nie, prawdopodobnie przyszła tu coś kupić.

– Nazywam się Verily Cooper i mamy wspólnego przyjaciela. Alvina Smitha, którego poznał pan podczas podróży przez Mizzippy zaledwie parę tygodni temu.

– Dobry człowiek – potwierdził Lincoln i zamilkł.

– Co, nie usłyszymy historii o tym Alvinie? – spytał ktoś.

Lincoln wyszczerzył zęby.

– Wiecie, że nie opowiadam o innych, tylko o sobie. – Pod szedł i podał rękę Verily’emu. – Miło mi pana poznać. Choć muszę wyznać, że to dziwne nazwisko dla prawnika.

– Wykształcono mnie na bednarza – wyjaśnił Verily. – A kiedy nie mam klientów, mogę dorobić na beczkach.

– A moja rodzina nigdy nie zapomniała o hrabstwie w Anglii – powiedział Lincoln. – Skąd i pan pochodzi, jeśli sądzić po akcencie.

– Owszem, ale teraz jestem obywatelem tego kraju. Wszyscy niedawno zesłaliśmy ze statków, które nas tu przywiozły.

– Chętnie z panem porozmawiam, ale teraz pracuję w sklepie państwa Cheaperów i do tej pory zajmowałem czas tym państwu, nie pozwalając im zrobić sprawunków. Czy ta sprawa może poczekać pół godziny?

Mogła i Verily chętnie zaczekał. Przez te pół godziny znalazł stajnię i obrok dla konia, a kiedy wrócił, w sklepie nie było już nikogo. Lincoln nie wyglądał już tak jowialnie.

– To nie czas na dobre wieści z Barcy – powiedział. – Słyszałem straszne historie o wybuchu żółtej febry. Mam nadzieję, że nie przynosi mi pan wieści o chorobie Alvina lub jego młodego przyjaciela o królewskim imieniu.

– Są jak najzdrowsi, o ile mi wiadomo.

– A w codziennej edycji łgarstw znanych jako „Demokrata Springfield” przeczytałem dziwną historię o niewolnikach, którzy przeszli po wodzie, i o hiszpańskiej armii, która ruszyła w po ścig za nimi. Muszę powiedzieć, że niektórzy – na tyle głupi, by wierzyć w takie bajdy – martwią się, że Hiszpanie wtargną do Springfield. Usiłowałem namówić pana Cheopera, by kupił książki

do nauki hiszpańskiego, bylibyśmy wtedy gotowi na każdą okoliczność, ale się nie zgodził.

– I domyśla się pan, że Alvin miał z tym coś wspólnego.

– Mam taką nadzieję, bo jeśli ktoś ma się wpakować w tarapaty, to lepiej w ważnej sprawie, a Alvin ma w sobie coś takiego, że gdziekolwiek się zjawia, zawsze kogoś zdenerwuje.

– Przyjechałem tu, bo Alvin potrzebuje pomocy, a tylko pan może mu jej udzielić.

– Chętnie pomogę, jeśli będę mógł. Jak pan wie, jestem mu coś winien.

– Nie dlatego prosimy. To nie dług, bo choćby był mu pan winien nie wiadomo co, poprosimy pana o coś o wiele ważniejszego.

– Co może być ważniejszego od uratowania mi życia?

– Życie pięciu, sześciu tysięcy Francuzów i byłych niewolników, którzy nie mają się gdzie podziąć.

– Trzech mogę umieścić w moim pokoju nad gospodą, ale żaden więcej się nie wciśnie, a i to pod warunkiem, że nie obrażą się, gdy się będzie po nich deptać w drodze do wygodki.

– Zamierzają przekroczyć rzekę i będą potrzebować schronienia. Żona Alvina, Margaret Larnier, może pan o niej słyszał...

– Jest wielce poważana wśród abolicjonistów – powiedział Lincoln – choć nie tych, którzy uważają, że niewolników można wyzwolić tylko poprzez wojnę.

– Margaret jest, co zapewne pan już wie, żagwią.

– O tym nie wspomina się nawet w gazetach abolicjonistów, a powinni to sobie cenić.

– Nie korzysta publicznie ze swego talentu, ale widzi to, co widzi, a zobaczyła, że ekspedycja zbiegłych niewolników i Francuzów znajdzie bezpieczne schronienie tylko z pańską pomocą.

Koścista twarz Lincolna posmutniała.

– Mam nadzieję, że pańska przyjaciółka jest gotowa na rozczarowanie.

– Nie zgadza się pan?

– Zrobię, co będę mógł, ale musi pan coś zrozumieć: wszystko, do czego się biorę, obraca się w ruinę, ale to wszystko. Chyba mam do tego naturalny talent, bo wszystko psuję, choćbym się nie wiadomo jak przygotowywał.

– No, nie wiem. Opowiedział pan dobrą historię.

– Człowiek z tego nie wyżyje.

– Ja żyję.

– Z opowiadania historii? Proszę wybaczyć, ale nie wydaje mi się pan typem humorysty.

– Nie powiedziałem, że moje opowieści są śmieszne, choć w mojej profesji odrobina poczucia humoru od czasu do czasu wcale nie zaszkodzi.

– Powiada pan, że wszyscy prawnicy to bajarze?

– Na tym polega nasze główne zajęcie. Bierzemy garść faktów i opowiadamy historię, która łączy je ze sobą tak, by sobie nie zaprzeczały. Drugi prawnik bierze te same fakty i opowiada inną historię. A sąd daje wiarę jednej lub drugiej.

Lincoln parsknął śmiechem.

– W pańskich ustach brzmi to tak, jakby prawnicy byli taki mi samymi obibokami co łajzy zabawiające ludzi w sklepie.

– Naprawdę pan się tak widzi?

– Sądzę, że świadectwo pańskich własnych oczu potwierdzi moją wersję.

– Moje oczy widzą co innego niż pańskie. W tym mieście panuje szczęście – jeszcze nigdy nie widziałem go tyle w każdym do mu i człowieku.

– Zawsze mówiłem, że dobrze się tu mieszka i że sąsiedzi dobrze ze sobą żyją.

– Miasto jest jak żywe stworzenie. Wszystko w nim pasuje do siebie jak w ciele – niezbyt pięknym, bo są w nim różne głowy, różne ręce i nogi, i palce, ale chyba rozumie pan, o co mi chodzi.

– Wszystko ma swoje miejsce.

– Tak, lecz w innych miastach ludzie na ogół nie mogą zna leżć swojego miejsca albo nie są z niego zadowoleni, albo usiłują znaleźć sobie takie, do którego nie pasują, albo krzywdzą kogoś, kto ma prawo być w tym mieście tak samo jak oni. Jednak czuję, że w tym mieście się tego nie spotyka.

– I u nas mieszkają skunksy, tak jak w innych miastach. Jak podnoszą ogony, ludzie wiedzą, że muszą się kryć.

– To miasto ma serce.

– Cieszę się, że pan to widzi.

– A tym sercem jest pan.

Lincoln parsknął śmiechem.

– O, tego się nie spodziewałem. Pan jednak ma poczucie humoru.

Verily tylko się uśmiechnął.

– Jeśli zacznie się pan zastanawiać, gdzie może znaleźć schronienie pięć do sześciu tysięcy uciekinierów, nie tylko znajdzie pan dobrą odpowiedź, ale i będzie pan jedyną osobą, która przekona mieszkańców tego miasta, by ich tu wpuścili. Lincoln zapatrzył się w dal.

– W sprawach handlowych jestem do niczego – wyznał. – Zawsze mówię prawdę o tym, co sprzedaję, a wtedy nikt tego nie kupuje.

- Ale czy potrafi pan przemawiać w obronie pognębionych?
Zwłaszcza gdy pan wie, że każde pańskie słowo jest prawdziwe?
- Jeśli pan tego nie zauważył, im więcej pognębionych, tym mniejsza ich popularność. Człowiek, którego zaczepi jeden że brak, chętnie da mu pensa, ale niech tego samego dnia stanie przed nim pięciu żebraków, to ostatniemu nie da nic. A gdy za czepi go pięciu żebraków naraz, ucieknie i będzie krzyczeć, że go napadają.
- I właśnie dlatego potrzebujemy schronienia dla tych ludzi, zanim ktoś przekona się na własne oczy, ilu ich jest.
- Och, wiem, ile to pięć tysięcy osób. To cztery razy więcej od liczby mieszkańców Springfield i tyle samo, ile jest w całym hrabstwie.
- Więc nie ma tu dla nich miejsca.
- Ani w żadnym innym mieście nad Mizzippy. I sądzę, że jeśli zamierzacie ich przewieźć w łodziach, będziecie chcieli znaleźć dla nich schronienie blisko miejsca, w którym wylądują.
- Nie w łodziach.
- Na piechotę? Jeśli mają przejść aż do Noisy River, kiedy będzie ich ścigać straż obywatelska z każdego hrabstwa, w którym panuje niewolnictwo, to nie moja pomoc wam potrzebna.
- Oni nie przejdą po wschodnim brzegu rzeki.
Lincoln wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- A, więc Alvin namówił Czerwonych, żeby ich przepuścili.
- Przepuścili, ale nie pozwolili zostać.
- Wcale mnie to nie dziwi. Dziś wpuszczasz pięć tysięcy, jutro do twoich drzwi puka dziesięć.
- Wiem, nie wierzy pan, żeby mógł pan pomóc, ale Margaret Larnier jest innego zdania. Trochę zdążyłem pana poznać i sądzę, że doskonale pan sobie poradzi, a w tej chwili brakuje panu jedynie chęci, by spróbować.
- Przecież wie pan, że przegram.
- Nie możemy przegrać bardziej z pańską pomocą niż bez niej.
- Wie pan, że Coz będzie chciał pomóc, a on jest nawet bar dziej tępy ode mnie.
- Z radością przyjmę pomoc Coza, kimkolwiek on jest, jeśli mogę na pana liczyć.
- Coś panu powiem.
- Czy chce pan czegoś w zamian?
- O, i tak to zrobię, a raczej zrobię wszystko co w mojej mocy. Ale skoro mamy spędzić ze sobą nieco czasu, a prawdopodobnie czeka nas wiele godzin

wspólnej podróży, może zechciałby mnie pan nauczyć podstaw prawa?

– Przepisy prawne nie służą do opowiadania, tylko do czytania.

– Czyta je ten, kto się już zdecyduje, że chce być prawnikiem. Ale przedtem o nich mówi, żeby się dowiedzieć, w co się pakuje i czy chce poświęcić na nie całe życie.

– Wątpię, żeby mógł pan poświęcić całe życie na jedną rzecz.

Wątpię, by miał pan to w sobie, jeśli w ogóle znam się na ludziach.

Ale myślę, że jeśli się pan uprze, to będzie pan dobrym prawnikiem.

Zwłaszcza że nigdy nie będzie pan wyglądał jak prawnik.

– Więc to nie wada?

– Każdy prawnik, który będzie pańskim przeciwnikiem w sądzie, weźmie pana za wieśniaka i uzna, że nie warto się przygotowywać.

– Ale ja jestem wieśniakiem.

– A ja bednarzem. Bednarzem, który wygrywa większość swoich spraw.

Lincoln parsknął śmiechem.

– Więc powiada pan, że będąc sobą i nie udając nikogo innego, oszukam tych wielkich panów prawników lepiej, niż gdybym chciał ich okłamać?

– Nie ma pan wpływu na to, co inni o panu myślą, zanim do staną do ręki wszystkie dowody.

Lincoln wyciągnął dłoń.

– Jestem z panem, dopóki nie znajdziemy schronienia dla tej gromadki Alvina. Chyba obóz na peryferiach miasta to za mało.

A jeśli Alvin postanowi rozdzielić tych ludzi pomiędzy dwadzieścia miast, będzie jeszcze gorzej, bo nikt ich nie zechce.

– Może nie obejdzie się bez tego, choć to także niebezpiecznie. Wie pan, że odszukiwacze niewolników zjawiają się tu natychmiast, gdy rozejdą się plotki.

– Tak... musimy znaleźć miejsce, skąd odszukiwaczenie zdołają ich wywieźć na południe.

– Miejsce, które zapewni im ochronę.

– A zatem potrzebujemy całkowicie abolicjonistycznego hrabstwa.

Z własnym sędzią, żeby wiadomo było, jak zakończy się pozew o każdego niewolnika.

– To by był wielki plus, owszem.

– Hrabstwo, w którym sędzia pokoju nie będzie współpracował z odszukiwaczami.

– Czy jest gdzieś takie? – spytał Verily.

– Jeszcze nie – odparł Lincoln i uśmiechnął się szeroko.

Wszystko było zaplanowane precyzyjnie niczym kościelny piknik. Arthur Stuart obserwował to ze szczerym podziwem. Wszystkie opowieści o Czerwonych mówiły o dzikusach żyjących na łonie natury, jedzących owoce prosto z drzew, przemawiających do jeleni, które podchodziły po to, by czerwonoskóry mógł je rąbnąć w głowę. Były także inne historie o dzikusach mordujących, gwałcących, skalpujących i trzymających Białych w niewoli, dopóki ci nie uciekną lub dopóki nie odnajdą ich żołnierze, po czym Biali odmawiają powrotu do domu. Albo o tym, że Czerwony upija się w mgnieniu oka, pada jak kłoda i do końca życia myśli już tylko o tym, by się znowu napić.

Oczywiście Arthur Stuart podświadomie wiedział, że takie historie nie trzymają się kupy. Alvin poznał Czerwonych jeszcze przed narodzinami Arthura Stuarta, jego przyjacielem był Czerwony Prorok. Arthur wiedział też, że Alvin poznał i podróżował z Ta-Kumsawem, a nawet dał się poznać jako renegat, gdyż podczas wojny przebywał przez jakiś czas z Czerwonymi.

Arthur widywał wielu Czerwonych – ale na ogół byli to Irrakwa lub Cherriky, ubrani w garnitury, mający miejsce w Kongresie, nadzorujący budowę linii kolejowych, kierujący bankami i wykonujący wszystkie inne zawody, więc nie różnili się od Białych niczym z wyjątkiem koloru skóry i wzrostu, bo bywali bardzo wysocy.

– Dobry człowiek, na ile to możliwe – powiedział raz Alvin Arthurowi Stuartowi ze smutkiem o jednym z nich. – Żyje w dostatku, jest inteligentny. Ale co musiał oddać, żeby się wzbogacić...

Arthur Stuart podejrzewał, że Alwinowi chodzi o zieloną pieśń. Przeczuiwał, że Czerwoni mogą żyć w zielonej pieśni przez cały dzień, a ten Irrakwa z tego zrezygnował.

Ale kiedy pomyślało się o Czerwonych z drugiego brzegu Mizzippy, człowiek się spodziewał, że żyją w tradycyjny sposób, polują, łowią ryby i mieszkają w wigwamach. Więc początkowo Arthur Stuart zwyczajnie się zirytował, widząc, że Czerwoni zbudowali sobie chaty z bali i mają całe miasta, a także akry pól obsianych kukurydzą i fasolą.

– To żadna zielona pieśń – powiedział do Marii od Zmarłych – tylko miasta.

Maria od Zmarłych się roześmiała.

– Dlaczego Czerwoni mieliby nie mieć miast? I to dużych?

Myślisz, że tylko Biali wiedzą, co to jest miasto?

A kiedy przyszło do nakarmienia tych sześciu tysięcy zbiegów... ha! – Czerwoni okazali się zorganizowani jak armia. Rozstawili pięćdziesiąt stołów i każdy pułkownik i major miał przyprowadzić pięćdziesiąt rodzin. Podchodzili kolejno do stołów i ładowali do koszy czekające na nich jedzenie. Potem nieśli je na pastwiska, na których pozwolono im rozbić obozy, i wszystko szło tak gładko, że każdy zdążył zjeść śniadanie, zanim słońce zaczęło na dobre przypiekać. I przez cały czas kobiety znosiły nową żywność – kukurydziany chleb, placki, tłuczoną fasolę, cydr, jabłka, papaje i wielkie kiście winogron.

O te winogrona po prostu musiał spytać.

– Skoro Czerwoni mają winogrona, jak to możliwe, że nie wy naleźli wina?

– Nie mieli winogron, dopóki nie nauczyli się od Białych, jak je hodować – odpowiedział Alvin.

– Więc czy teraz robią wino?

– Ich cydr i wino zawierają tak mało alkoholu, że musisz się wysiusiać, na długo zanim ci się zakręci w głowie. Tenskwa-Tawa o to zadbał. Ale to najbezpieczniejszy sposób przechowywania wody, w której nie ma chorób. Poza tym Tenskwa-Tawa chce uodpornić Czerwonych na alkohol, żeby nie stali się jego niewolnika mi, tak jak on i wielu innych.

– Trudno sobie wyobrazić, że był niewolnikiem czegośkolwiek.

– Ale był. Niewolnikiem alkoholu, gniewu i nienawiści. Te raz zawarł pokój ze wszystkimi, którzy tego pragną, i życie poświęca czytaniu i uczeniu się wszystkiego, co tylko może.

– Więc Czerwoni mają książki?

– Sprowadza je z naszej strony Mizzippy – rzekł Alvin. – Oraz z Kanady i Meksyku. Dużo podróżuje, tak jak kiedyś jego brat.

Dlatego tak dobrze mówi po angielsku. A także po francusku, hiszpańsku i w trzydziestu narzeczeniach czerwonych plemion na do datek. Powiada, że pewnego dnia granica zniknie i Biali będą mu sieli żyć z Czerwonymi. Chce, żeby jego lud był gotowy to zrobić, nie wyrzekając się zielonej pieśni, tak jak to zrobili Cherriky i Irrakwa.

Przez cały ranek Tenskwa-Tawa naradzał się z La Tia i kilkunastoma starymi czerwonoskórymi mężczyznami i kobietami. A kiedy Arthur Stuart spytał, co robią, Alvin kazał mu pilnować własnego nosa.

Jednak w południe, kiedy rozpoczęło się wydawanie następnego posiłku – w którym tym razem znajdowało się mięso, głównie wędzony indyk, gdyż Czerwoni hodowali całe ich stada – Alvin dostał zaproszenie do wielkiej sali na spotkanie rady i zabrał ze sobą Arthura Stuarta.

W sali było chłodno i ciemno. Na środku paliło się ognisko, a w dachu była

dziura, choć Czerwoni doskonale potrafili robić kominy, co widać było na przykładzie chat. Więc musiało mieć to coś wspólnego z tradycją. Czerwoni siedzieli na ziemi lub na derkach, ale dla La Tii przygotowali krzesło, takie samo jak miała w Barcy. Więc La Tia siedziała najwyżej, niczym samotna sosna w kępie buków.

– Usiądź z nami, Arthurze Stuarcie – odezwał się Tenskwa– Tawa. – Chcemy ci powierzyć misję.

Tego Arthur Stuart się nie spodziewał. Misja? Dla niego? Myślał, że będzie towarzyszyć Alwinowi. Dni, kiedy musiał pełnić funkcję drugorzędnego Stwórcy, który ledwie potrafi utrzymać mgłę wokół obozu, udowodniły mu, że nie jest gotowy do Stwarzania. Nie popełnił żadnego strasznego błędu, ale mógł, bo ledwie nad wszystkim panował. Był dumny, że sobie poradził, i szczęśliwy, że nie będzie musiał tego robić nigdy więcej.

– Zrobię, co będzie trzeba – powiedział. – Ale chyba wiecie, że nie jestem Stwórcą?

– Nie potrzebujemy Stwarzania – odparł Alvin. – Chodzi o twój dar do języków, a także o to, że jesteś mądry, odpowiedzialny i... jesteś sobą.

Arthur Stuart nic z tego nie rozumiał, lecz chętnie zgodził się go wysłuchać – nie, raczej usłyszeć, czego właściwie od niego chcą.

Tenskwa-Tawa wytłumaczył mu, co się dzieje w Meksyku i że wulkan wybuchnie, zwłaszcza teraz, gdy do akcji włączyła się La Tia.

– Zamierzałem wysłać kogoś z moich ludzi z ostrzeżeniem, i wyślę – ciągnął Tenskwa-Tawa. – Niektórzy już tam są. Ale wystąpiła pewna komplikacja. Do Mexico City zmierza grupa Białych, którzy zginą – albo z rąk Meksykanów, albo w wybuchu wulkanu.

– Albo i tak, i tak – dodała La Tia. – Niektórzy muszą umrzeć dwa razy, żeby coś do nich dotarło.

– Więc chcemy ci powierzyć dwie sprawy – mówił dalej Tenskwa-Tawa. – Musisz ostrzec Białych i pomóc im uciec, jeśli zechcą.

Arthur Stuart parsknął śmiechem.

– Wysyłacie pół-Czarnego chłopaka, żeby ostrzegł Białych?

– Jest z nimi mój brat Calvin.

– On mnie nie lubi.

– Ale będzie wiedział, że ja cię przysyłam. I przekona innych.

– Aha, chodzi o życie Calvina – powiedział Arthur Stuart z wahaniem.

Doskonale wiedział, że jego siostra Margaret nie ma dobrego zdania o Calvinie i może ulżyłoby jej, gdyby zginął. Ale oczywiście Alvin się z nią nie zgadzał. Nadal uważał Calvina za niegrzecznego młodszego brata, który kiedyś

wyrośnie na przyzwoitego człowieka.

– Oraz innych – powiedział Alvin – jeśli wystarczy im rozumu, żeby się ratować.

– Jak mam się tam dostać, żeby zdążyć ich ostrzec?

– Będziesz biec z zieloną pieśnią.

– Ale będę musiał przebiec przez pustynię.

– Zielona pieśń niewiele ma wspólnego z zielonym kolorem – wyjaśnił Alvin. – Wypływa z życia, a jak wiesz, na pustyni roi się od żywych istot, tylko bardziej chce się im pić.

– Sam sobie nie poradzę.

– Dam ci uroka, jak przedtem, ale lepszego – odezwała się La Tia.

– A ja będę z tobą biec przez parę pierwszych godzin, żebyś się rozpędził – dodał Alvin. – Przekroczyłeś próg, nie rozumiesz?

Jesteś pierwszym człowiekiem, który nie urodził się Stwórcą, a jednak nauczył się Stwarzania.

– Nie tak dobrze jak ty. W ogóle nie można nas porównywać.

– Może i nie, ale jesteś dobry, a zresztą zielona pieśń to nie Stwarzanie. Dowiedziałem się tego i ty też to zrozumiesz, a im dłużej będziesz ją słyszeć, tym lepiej ją poczujesz. Zobaczysz.

– I nie zabłądzę?

– Im bliżej będziesz Meksyku, tym więcej ludzi pokaże ci drogę.

– A jeśli któryś pomyśli, że całkiem niczego ofiara byłaby z mojego serca?

– Wtedy wykorzystasz moc, której się nauczyłeś. Nie chcę, żebyś tylko dostarczył wiadomość. Masz jeszcze wrócić, cały i zdrowy.

– Aha, chcesz, żebym sprowadził ze sobą tych Białych.

– Chcę, żebyś przyprowadził ich w miejsce, gdzie będą bezpieczni, ale w żadnym wypadku do nas. Zostaw ich na wybrzeżu, zapakuj do łodzi – tyłu, ilu z tobą przyjdzie – i wracaj.

– Nikt mnie nie posłucha. Czy Calvin kiedykolwiek posłuchał ciebie?

– Calvin robi to, co chce. Ale nie pozwolę mu umrzeć tylko dlatego, że o czymś nie wiedział, choć mogłem mu to powiedzieć.

– Mam nadzieję, że zdążę przed wybuchem wulkanu. A jeśli się zgubię?

– Nie bój – powiedziała La Tia. – Wulkan będziesz nosić z sobą. Kolejne zadanie?

– Niby jak?

Teraz głos zabrał Tenskwa-Tawa.

– Obudziliśmy podziemnego olbrzyma. Coraz bardziej się rozpala. Nie potrafimy przewidzieć, kiedy wybuchnie. Ani gdzie. Ale La Tia zna stare

afrykańskie sposoby przemawiania do ziemi. Zrobiła dwa uroki. Nie będą działać, dopóki się ich nie spali. Ty musisz się nauczyć na pamięć, gdzie je spalić i co przy tym powiedzieć, a potem nauczysz tego moich ludzi.

– Dlaczego są dwa?

– Jeden przyzywa dym z ziemi – wyjaśniła La Tia. – Drugi woła gorącą czerwoną krew ziemi.

– Moi ludzie – mówił dalej Tenskwa-Tawa – powiedzą Meksykanom, kiedy pojawi się dym. Zobaczą go i wtedy uwierzą. Chce my im dać wiele czasu na ucieczkę. Nie zamierzamy ich zabić, lecz pokazać, że potężna moc sprzeciwia się temu, czego – jak wierzą – chce od nich Bóg.

– Chcemy odebrać moc kapłanom, którzy składają ofiary z ludzi – wtrącił Alvin.

– Trzy dni po pierwszym uroku – ciągnął Tenskwa-Tawa – spalą drugi.

– I wulkan wybuchnie.

– Nie wiemy, jak wielki będzie wybuch. Nie potrafimy zapanować nad olbrzymem, kiedy się raz obudzi.

– A co z tymi, którzy zapalą uroki?

– Oby zdążyli w porę uciec.

– Nie wiemy, jak szybko ten urok pracuje – wyjaśniła La Tia.

– Ja go nigdy nie robiłam.

– To skąd wiecie, że się uda? – spytał Arthur Stuart.

Wydawało mu się, że pytanie jest uzasadnione, ale La Tia rzuciła mu straszne spojrzenie.

– Ja jestem La Tia! Inne ludzie robią uroki, co mogą się nie udać.

Arthur Stuart uśmiechnął się szeroko.

– Mam nadzieję, że kiedyś będę tak doskonały jak ty.

– Niech – powiedziała. Najwyraźniej nie zauważyła ironii.

Arthur Stuart przez następną godzinę uczył się, jak złożyć urok – na wypadek jak się on rozpadnie, powiedziała La Tia. Powtarzał słowa i ruchy.

– A jeśli nie zrobię tego, jak trzeba? – spytał. – Jeśli coś zapomnę? Czy zadziała wolniej albo wcale nie zadziała?

La Tia znowu spiorunowała go wzrokiem.

– Nie zapomnisz. To się nie dowiemy, jak on bardzo zaszkodzi, jak jeden głupi chłopak zapomina.

Więc nawet kiedy uznała, że on już wie, Arthur Stuart poszedł do zagajnika nad rzeką i jeszcze raz powtórzył wszystko.

Tam zastała go Maria od Zmarłych. Spał wyczerpany. Zielona pieśń pomogła jemu i innym zachować siły przez noc i ranek, ale sen spadł na niego

nagle i nieodwołalnie.

Arthur Stuart poczuł rękę na ramieniu i poderwał się na nogi. Zdziwił się, gdy ujrzał Marię od Zmarłych, ponieważ widział ją we śnie.

– Alvin mnie po ciebie przysłał – powiedziała. – Przepraszam, że cię budzę.

Pokręcił głową.

– Nie szkodzi. Nie chciałem zasnąć.

– Na czym leżysz?

Arthur Stuart spojrzał w dół i z przerażeniem ujrzał, że we śnie przygniótł mniejszy urok i go wygiął. Rzucił przekleństwo, przeprosił, a kiedy Maria od Zmarłych powiedziała, że nie szkodzi, podziękował i zaklął jeszcze raz.

– Ona mnie zabije, jeśli tego nie złożę!

– La Tia? Czasem mi się wydaje, że mogłaby kogoś zabić dla wprawy. Jaka ona ma moc!

– Dobrze, że jest po naszej stronie.

– Jeszcze.

– To samo można powiedzieć o tobie. Co będzie, jak znajdzie my się w bezpiecznym miejscu? Gdzie wszyscy pójdą?

– A gdzie mogą pójść? Gdzie zbiegli niewolnicy będą bezpieczni? A moi, Francuzi, nie potrafią mówić tak jak w Paryżu.

Myślisz, że nas zechcą w Kanadzie? Wszędzie będziemy obcy. Może zostaniemy w Stanach Zjednoczonych. Może zostaniemy z Alvinem.

– Alvin ciągle podróżuje. Rzadko spędza dwie noce z rzędu w tym samym łóżku.

– Więc może i my będziemy podróżować.

O, na pewno. Alvin już ją zaprasza.

– Wiesz, że jest żonaty.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Wiem, głupku.

– Jestem głupi?

– Tak, kiedy tak mówisz. Myślisz, że chcę męża? Myślisz, że wszystkie kobiety chcą mężczyzn na mężów albo wcale?

– No, przecież nie masz męża.

– A kiedy go zechcę, powiem mu to, a tobie nie będzie nic do tego.

Tyle na temat jego snu.

– Teraz też mi nic do tego. – Obejrzał mały urok ze wszystkich stron.

Wyglądał całkiem dobrze, a jednak coś z nim było nie tak.

– Czy to miało w nim być? – spytała Maria. Podniosła suche czerwone

ziarno kukurydzy.

– Tak, tak, dziękuję. – Włożył je pomiędzy dwa kawałki brzozy kory. – Trudno sobie przypomnieć to, czego nie widać.

O rety, wszystko popsuję, po prostu wiem. To ważne zadanie, oni chyba oszaleli, że wysyłają głupka. Położyła mu na ramieniu rękę.

– Tak naprawdę wcale nie jesteś głupi.

– Jestem, miałaś rację.

– Jesteś, kiedy chcesz odgadnąć, jak myślą kobiety. Ale nie w sprawach mężczyzn.

– Pewnie wtedy jestem jeszcze większym głupkiem – burknął, ale jej dotyk sprawił mu przyjemność, choć była zakochana w żonatym mężczyźnie.

– Widziałam cię w kryształowej kuli. Widziałam, jak biegniesz i biegniesz, przez pustynię, po zboczu góry, do wielkiej do liny wśród wysokich gór, z jeziorem na środku i miastem na środku jeziora. Widziałam, jak biegniesz, zapalasz ogień i ten ogień zmienia wszystkie góry w wielkie kominy, z których bucha dym, a potem ziemia się trzęsie i góry zaczynają krwawić.

– Plan polega na tym, żeby mnie tam wtedy nie było.

– Ta kula nie pokazuje tego, co się naprawdę wydarzy, tylko znaczenie tego, co się może wydarzyć. Ale będziesz biec, tak? I tysiące ludzi unikną ognia.

– Ognia, którego nie będzie, jeśli nie będzie tego. – Pokazał jej większy urok. – Wiesz, jaka straszna jest La Tia?

– Widziałam moją matkę, jak dosiada rekina – odparła Maria od Zmarłych. – Widziałam, jak pływa z rekinami i bawi się z nimi jak ze szczeniakami. Nie boję się La Tii.

– Dlaczego niektórzy mają taką moc, a inni prawie wcale?

– Dlaczego widzę choroby i śmierć, i nie potrafię nic zrobić?

Dlaczego potrafisz mówić każdym językiem, jakim zechcesz, ale nie masz nic do powiedzenia? Talent to brzemię; brak talentu to brzemię. Bóg chce zobaczyć, co zrobimy z naszym brzemieniem.

– Więc wiesz, czego chce Bóg?

– Wiem, że taka jest prawda. Ty też o tym wiesz. – Maria wstała. – Alvin po ciebie posłał, więc przyszedł.

– Pamiętam. Wrócę, jak to naprawię.

– Wiem. Ale teraz już naprawiłeś, no więc chodźmy. Na co czekasz?

– Rozmawiamy, to wszystko.

Wtedy ku jego zaskoczeniu położyła ręce na jego ramionach, pochyliła się i pocałowała prosto w usta.

– Czekasz na to – powiedziała.

– Pewnie tak. A może na drugi, taki sam?

Pocałowała go znowu.

– Więc twierdzisz, że nie jesteś zakochana w Alvinie?

Roześmiała się.

– Chcę, żeby nauczył mnie wszystkiego, co umie. Ale ciebie... ciebie ja chcę nauczyć wszystkiego, co umiem.

I pobiegła ku miastu Czerwonych.

Kiedy Arthur Stuart wrócił, La Tia natychmiast zażądała, żeby jej pokazał uroki. Choć cmokała z ubolewaniem i poprawiała coś tu i tam, robiła to w uroku, którego nie przygniótł, więc doszedł do wniosku, że dobrze się spisał, a ona pewnie tylko robi wiele hałasu.

Alvin wyszedł z nim z miasta po kolacji.

– Już się przespałeś – powiedział – a zielona pieśń cię wzmocni.

– Chcesz mi dać rozpęd – odparł Arthur Stuart – ale przecież będę musiał robić przystanki, choćby tylko po to, żeby spytać o drogę. Jak mam się wtedy rozpędzić?

– Możesz się zatrzymywać i nie przestaniesz słyszeć zielonej pieśni. Tylko się jej trzymaj, ciągle jej nasłuchuj. Zobaczysz. Ale łatwiej ci będzie, jeśli będziesz się trzymać z dala od maszyn.

– Zapamiętam.

– To jedyne, co mi przeszkadza – wyjaśnił Alvin. – Bo ko cham maszyny i kocham zieloną pieśń, a często nie mogę ich mieć jednocześnie. Tenskwa-Tawa kpi z Irrakwa, którzy wolą kolej żelazną od muzyki ziemi, ale powiadam ci, Arthurze Stuarcie, żela zna droga ma własną muzykę i ja ją kocham. Parowe silniki, koła i przekładnie, tłoki, ogień i prędkość... czasami żałuję, że nie mogę się osiedlić i zostać inżynierem.

– Inżynierowie docierają tylko tam, gdzie są tory.

– No i widzisz. Jestem podróżnikiem i tak wygląda prawda.

– Dlatego ty powinienes wyruszyć w drogę, nie ja. Ja wszystko popsuję i ludzie będą żałować, że nie ty poszedłeś.

– Nikt nie chciał, żebym poprowadził tych ludzi.

– Ja chciałem.

– Poradzisz sobie. A teraz przestańmy gadać i niech się rozpocznie twoja podróż.

Zaczęli biec; kiedy Arthur Stuart raz usłyszał zieloną pieśń, dobiegła go głośniejsz niż kiedykolwiek wcześniej. Ziemie uprawne Czerwonych nie były podobne do plantacji Białych. Kukurydza i fasola rosły obok siebie,

wymieszane; były także inne rośliny, a w nich żyło mnóstwo zwierząt, więc tam gdzie ziemia była zaorana i zasiana, muzyka nie cichła. Może istniał sposób, by dźwięki maszyn zabrzmiały w harmonii z ziemią. Wtedy Alvin nie musiałby między nimi wybierać.

Po chwili Arthur Stuart zauważył, że Alvina już przy nim nie ma. Przez chwilę się bał, ale wiedział, że niepokój niczego nie zmieni, najwyżej zerwie jego łączność z zieloną pieśnią, więc pozwolił się jej pochłonać i biegł równym krokiem na południowy zachód, wśród pagórków, wzgórz, strumieni, w tak prostej linii, na jaką pozwalał teren, a wszystkie żyjące stworzenia mu pomagały i usuwały się z drogi.

Przyszło mu do głowy, że może biec szybciej, i tak rzeczywiście było. I jeszcze szybciej – teraz prawie frunął. Ale jego stopy zawsze odnajdywały właściwe miejsce, każdy jego skok był pewny i nieomylny, każdy wdech przyjemny, a każdy wydech brzmiał jak cicha pieśń radości.

– Dlaczego nie patrzysz w kryształową kulę? – spytała pewnego ranka Maria od Zmarłych.

– Bo nie ma tam nic, co chciałbym zobaczyć.

– My w nią spoglądamy i widzimy ważne rzeczy.

– Ale nie można w nie wierzyć, prawda?

– Pokazują to, co nadejdzie.

– Nieprawda. Pokazują to, czego się spodziewasz. Zniekształcone strachem i nadzieją. Ale jeśli nie wiesz, czego szukasz...

– Jak na kogoś, kto nie patrzy w kulę, wiesz o niej bardzo dużo.

– Nie podoba mi się to, co w niej widzę.

– Mnie też nie. Ale to nie dlatego nie chcesz patrzeć.

– Nie?

– Według mnie nie patrzysz w nią, bo to twoja żona widzi przyszłość, nie ty. A gdybyś spojrział w kulę, nie potrzebowalbyś już żony.

– A według mnie mówisz o sprawach, o których nie masz pojęcia – powiedział Alvin i odwrócił się.

– Nie podoba mi się także to, czego nie widzę.

Nie mógł teraz odejść, musiał się dowiedzieć.

– Czego nie widzisz?

– Na przykład dobrego męża dla mnie. Ani dzieci. Ani szczęśliwego życia. Czy nie to powinny pokazywać kryształowe kule?

– Może takie u jarmarcznych wróżek.

– Ta jest z wód bagien Nueva Barcelona, wiem. I pokazuje mi, że kochasz swoją żonę i nigdy jej nie zostawisz.

Znowu odwrócił się do niej.

– A pokazuje, że nie powinnaś bawić się uczuciami Arthura Stuarta i udawać, że go kochasz?

– To nic złego, jeśli to prawda.

– Prawda, że bawisz się jego uczuciami? Czy że jesteś w nim zakochana?

– Że coś mnie do niego ciągnie. Że go lubię. Że chciałam go pocałować, zanim wyruszył.

– Po co?

– Bo to dobry chłopiec i nie powinien umrzeć, nie znając smaku pocałunku.

– Kryształowa kula pokazała ci jego śmierć, tak?

– A to nieprawda?
– Kula pokazuje to, w co wierzysz. Dlatego w nią nie spoglądam.
– Pozwól, że ci wyjaśnię, co pokazuje mi kula. Miasto na wzgórzu nad rzeką, a na środku miasta wielki pałac z kryształu, takiego jak kula, woda spiętrzona i lśniąca w słońcu tak, że nie można na nią patrzeć.
– Budynek z kryształu. A reszta zwykła?
Skinęła głową.
– Miasto nazywa się Miastem Stwórców, Pięknym Miastem albo Kryształowym Miastem.
– Mnóstwo nazw na jedno marzenie.
– Tam nas prowadzisz, tak?
– Więc może kula nie pokazuje jedynie twoich marzeń.
– A czyje marzenie zobaczyłam?
– Moje.
– Coś panu powiem, monsieur Stworzyciel. Ci ludzie nie potrzebują żadnych wymyślnych kryształowych budynków. Chcą tylko kawałka ziemi, którą mogą zaorać, zbudować dom, założyć rodzinę i żyć dobrym życiem.
Pług w worku Alvina zadrżał.

Kiedy w południe Verily Cooper stawiał się w sklepie Cheapera na spotkanie z Lincolnem, czekał na niego już ktoś inny. Mały akuratny urzędnik z ratusza.
– Nie na swoim terytorium? – zagadnął Verily.
– Jestem tu w sprawie służbowej – odparł urzędnik.
– Więc lista pańskich obowiązków jest dłuższa, niż się spodziewałem.
Urzędnik wręczył mu złożoną i zapieczętowaną kartkę.
– Dla pana.
Verily rzucił na nią okiem.
– Chyba nie.
– Nie jest pan przedstawicielem prawnym niejakiego Alvina Smitha, znanego także jako Alvin Miller junior z Vigor Kościoła w stanie Wobbish?
– Tak.
– Więc wszelkie dokumenty adresowane do pana Smitha po winny trafić do pańskich rąk.
– Jednakże – odparł Verily, dotykając ramienia urzędnika, by zasugerować, że nie uda mu się teraz wybiec ze sklepu – nie jesteśmy w stanie Hio, gdzie mam licencję na prowadzenie praktyki prawniczej. Nie jesteśmy także w stanie Wobbish, gdzie posiadam podobną licencję. W tych stanach istotnie jestem przedstawicielem prawnym pana Smitha. Natomiast w stanie

Noisy River jestem zwyczajnym obywatelem mającym prywatną sprawę do pana Abrahama Lincolna i nie mogę pełnić obowiązków niczyjego przedstawiciela. Tak mówi prawo. Te dokumenty nie zostały przekazane zgodnie z przepisami.

Oddał je urzędnikowi, który łypnął na niego straszonym wzrokiem.

– Pozwolę sobie zauważyć, że pańskie słowa to czyste gówno.

– Czy jest pan prawnikiem?

– W tym stanie pan także nim nie jest.

– Jeśli nie jest pan prawnikiem, nie powinien pan wygłaszać opinii prawnych.

– A zrobiłem coś takiego?

– Tak, mówiąc, że moje słowa to czyste gówno. Tylko prawnik byłby w stanie zaprezentować opinię na temat czystości prób ki odchodów. A może mam przyjąć, że praktykuje pan prawo, nie zarejestrowawszy się w stanie Noisy River?

– Czy przyjechał pan tu specjalnie po to, by zmienić mi życie w piekło?

– Albo pan, albo ja – wyjaśnił Verily. – Ale powtórzę coś, co miałem niegdyś przyjemność powiedzieć lordowi protektorowi i jego przedstawicielom w Anglii.

– Mianowicie?

– Żegnam.

Verily nasadził kapelusz na głowę i wyszedł na ulicę.

Urzędnik minął go i popędził przed siebie tak, że wzbił obłoczek kurzu, bo dzień był gorący i suchy.

Wówczas ukazał się Abe Lincoln w towarzystwie wiernego towarzysza Coza.

– I co sądzisz, Coz? Chyba musimy się zgodzić, że to była agresywna akcja prawna. Ale przecież za każdym razem, kiedy prawnik twierdzi, że nie jest prawnikiem, ogólna kondycja ludzkości leciutko się poprawia, prawda?

Coz wyszczerzył zęby i splunął w piasek, który zmienił się w kulkę błota i przetoczył się parę centymetrów.

– Ale lubimy pana Coopera – powiedział. – To dobry prawnik.

– To dobry człowiek. I dobry prawnik. Ale czy to możliwe, że by był nimi jednocześnie?

– Jeśli pan będzie tak mówić dalej – odezwał się Verily – nie nauczę pana nic więcej.

– Według mnie Abe już jest świetnym prawnikiem – oznajmił Coz.

– Co to znaczy?

– No, niech pan spojrzy na siebie – wyjaśnił Coz. – Chodzi pan i chodzi, tak? I nikt panu nie płaci, tak?

– Tak.

– Abe tak ma przez cały czas.

– Wiesz, że ciężko pracuję – rzekł urażony Abe. – Wyciosałem połowę sztachet w Springfield, podejmowałem się różnych robót, żeby spłacić dług w sklepie. Kopalem rowy, wywoziłem na wóz i w ogóle robiłem wszystko, co się dało.

– Och, Abe, proszę cię. Nie możesz znieść, że inni także po trafiają żartować?

– Nie chciałem, żeby pan Cooper mnie miał za lenia.

Ponieważ Verily przez parę ostatnich dni usiłował dotrzymać kroku długonogiemu panu Lincolnowi, tak naprawdę nie dał się przekonać o jego lenistwie.

Ale dziś nie chodzili. Na prośbę Lincolna Verily wynajął dwa konie dla niego i Coza, choć nie potrafił odgadnąć, dlaczego towarzystwo Coza jest tak istotne. Jednak Lincoln sobie go zażyczył, więc Verily zapłacił, zubożając coraz chudszy portfel. Sprawdzili siodła i uprzęż, a potem Verily jeszcze raz sprawdził siodła i uprzęż koni Coza i Lincolna, bo sądząc z jej wyglądu, nie mieli o tym pojęcia.

– Nie znacie się dobrze na koniach – odgadł.

– Jesteśmy biedni – wyjaśnił Abe.

– Ja bardziej – dodał Coz.

– Bo każdy grosz wydajesz na zbytki.

– Zakochany mężczyzna musi kupować prezenty dla swojej damy.

– Oraz drinki.

– Chciało się jej pić.

– A potem zachciało się jej zemdleć. Wtedy opłaciłeś pokój w karczmie, bez wątplenia licząc na to, że jej poranna wdzięczność okaże się większa niż ból głowy, ale rano...

– Moje życie uczuciowe na pewno nie interesuje pana Coopera.

– Twoje życie uczuciowe istnieje tylko w twojej wyobraźni, przez co tym bardziej zdumiewają mnie kwoty, które na nie prze puszczasz.

I tak było bez przerwy od Springfield po Mizzippy.

Po paru godzinach zostawili za sobą pola kukurydzy i przeszli brodem przez Noisy River. Następnie ruszyli przez usianą drzewami prerię, gdzie prawie nikt nie zasiewał pól. Były to tereny graniczne, a farmerzy woleli się trzymać z daleka od zamglonej Mizzippy.

Do zadrzewionego cypla nad wielką rzeką dotarli tuż przed zmrokiem.

U ich stóp kołysało się morze drzew, za drzewami lśniła osrebrzona księżycem rzeka.

– Tu przenocujemy – oznajmił Lincoln.

– I zjemy kolację, mam nadzieję – dodał Coz.

– Kolację? – zdziwił się Verily.

Abe spojrzał na niego ostro.

– Powiedziałem, że będziemy potrzebować ekwipunku.

– Ale o jedzeniu nie było ani słowa!

– Niech mnie diabli, jeśli jedzenie nie wchodzi w skład ekwipunku! –

rzucił nieco zirytowany Abe.

– Skoro myślał pan o jedzeniu, trzeba było powiedzieć.

– Jeśli się wam wydaje, że będę polować na króliki o tej porze i z pustym żołądkiem, toście obaj oszaleli – oznajmił Coz.

– Jeśli o mnie chodzi – wycodził Abe – rozważam zostanie kanibalem.

Verily wyszczerzył zęby.

– Teraz rozumiem, dlaczego przywieźliśmy Coza.

Coz podparł się pod boki i spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Zaraz! Nikt tu nikogo nie zje, a na pewno nie mnie. Może i wyglądam krzepko, ale zapewniam, że to wszystko tłuszcz, bez odrobiny mięśni, więc jeśli będziecie mnie chcieli upiec jak bekon, tylko was zemdli.

Verily westchnął.

– Trudno żartować z kogoś, kto nie chce zauważyć dowcipu.

– My też żartowaliśmy – powiedział Coz. – Od początku wiedzieliśmy, że zabrał pan jedzenie.

– Och, nie! Jedzenia nie mamy. Żart dotyczył zjedzenia pańskiej szanownej osoby.

Obaj westchnęli z obrzydzeniem. Wówczas Verily parsknął śmiechem.

– No dobrze, może i zostało mi coś w jukach z zeszłej podróży.

Wyjął suchary i suszoną wołowinę.

– Wiecie co – odezwał się Abe. – Odrobineczkę mnie niepokoi, że tamto ognisko przy rzece zgasło, ledwie się pojawiliśmy.

– Może skończyli jeść – mruknął Coz.

– Nie widziałem żadnego ogniska – dodał Verily.

– Może im za gorąco? – podsunął Coz.

– A może zauważyli wyłaniających się z lasu podróżnych i uznali, że to łatwy łup.

– Rychło w czas o tym myśleć – rozległ się donośny głos z krzaków za koźmi. Z zarośli wyłonił się potężny mężczyzna, który wyglądał, jakby stoczył

wiele bójek i nie przegrał żadnej. Był uzbrojony po zęby w pistolety i noże, a w dłoniach trzymał gotowy do strzału muszkiet.

Po raz pierwszy Verily ujrzał strach w oczach Abe'a Lincolna.

– Jeśli miał pan nadzieję, że łup będzie łatwy, to ma pan w połowie rację. Będzie łatwy, tylko nie ma żadnego łupu.

– Mów za siebie – syknął Coz. – Na pewno pan Cooper cały swój majątek ma w jukach.

Abe szturchnął go.

– No pięknie! I po co zwracasz uwagę na naszego przyjaciela pana Coopera?

– Przecież chciał mnie usmażyć jak bekon! – obraził się Coz i szturchnął Abe'a.

– To był żart! – warknął Abe, szturchając go mocniej.

– Może teraz tak mówi – odparł Coz, szturchając Abe'a jeszcze mocniej.

Kiedy Abe rzucił się na niego, zderzył się nie z przyjacielem, lecz z obcym. Razem potoczyli się w krzaki.

– Niech się pan nic a nic nie martwi – pocieszył Verily'ego Coz. – Abe nie umie się bić, ale wkłada w to całą duszę i nie pod daje się szybko.

– Verily! – krzyknął potężny mężczyzna. Głos miał taki, jak by ktoś młócił pięściami w jego pierś.

– On zna pańskie imię? – zdziwił się Coz.

– Verily, powiedz pan coś, bo będę musiał zabić twojego wielkiego paskudnego kumpla!

– Nie powinien tak przezywać Abe'a – rzekł dotknięty Coz.

– Abe! – zawołał Verily. – Ten pan nie chciał nas okraść.

Odgłosy bójki ucichły.

– Znacie się – powiedział Abe.

– Abe Lincoln, to jest Mike Fink i vice versa.

– Daj pan sobie spokój z tym sądowym gadaniem, bo mnie denerwuje. Jeszcze chwila i kogoś zabiję.

– Ale nie pana Lincolna. Wciąż mi nie powiedział, dlaczego mnie przywiózł w to zapomniane przez Boga miejsce.

– Ja także tego nie rozumiem – odparł Mike – ale Peggy po wiedziała, że tu was zastanę, no to przyjechałem.

– Chyba nie rzeką w górę nurtu?

– Chyba nie, choć pochlebia mi takie podejrzenie. Choć jest również dość głupie, bo połowę drogi musiałbym przemierzyć w dół Hio, czyli z nurtem.

– Nie wyruszył pan z Hatrack River?

– Z Vigor Kościoła. Pojechałem pociągiem do Moline, a potem dopiero wszedłem na pokład łodzi. Dziś rano dotarłem na miejsce. Nie spieszył się pan. Springfield nie jest aż tak daleko.

– Mój tyłek świadczy, że bardzo daleko – wtrącił Coz. – Dali mi niewygodnego konia.

– Pod tobą każdy koń jest niewygodny.

– Więc Peggy wiedziała, że tu będziemy.

– Kim jest ta Peggy? – spytał Abe. – I dlaczego wie dzień wcześniej o tym, co przyszło mi do głowy wczoraj?

– Człowiek, który walczy jak dzieciuch, nie powinien zarzucać kłamstwa człowiekowi, który właśnie mu zdrowo przygrzmocił – zauważył Mike.

– Nikomu nic nie zarzucam. Grzecznie pytam.

– Peggy to Margaret Larner – powiedział Verily. – Żona Alvina. Opowiadałem panu.

– A nie wspomniała, czy plan, który nas tu przywiódł, to dobry pomysł?

– Nie jestem tu z pańskiego powodu – oznajmił Mike. – Bez urazy. Ani z powodu Verily Coopera.

– No, mam nadzieję, że nie z mojego – odezwał się Coz – bo zmoczyłem spodnie na sam pański widok. Jak mnie pan napad nie, wszystko poleje się na pana.

– Dzięki za ostrzeżenie. Jestem tu z powodu Alvina.

– Myślałem, że wysłała pana Peggy.

– Owszem, żebym się tu spotkał z Alvinem. Alvin tu przybędzie, bo wy tu będziecie.

Coz nie posiadał się z radości.

– Spotkamy Alvina! Spodziewałbyś się, Abe? A może to jest twój plan?

– Cóż to za wspaniałe miejsce, co?

– Raczej nie – mruknął Verily. – Margaret nie przysłałaby tu Mike'a Finka, gdyby Alvinowi nic nie groziło.

– Peggy twierdzi, że ponieważ ani Alvin, ani jego przedstawiciel nie zjawili się na rozprawie, sędzia wydał wyrok zaocznie. Na kazał Alvina aresztować za kradzież i sprowadzić do Carthage Ci ty, gdzie albo okaże rzeczony złoty przedmiot, albo znajdzie się w więzieniu.

– Niech zgadnę – odezwał się Verily. – Wyznaczono nagrodę?

– Ktoś zaoferował pięćset dolarów.

– A pan ma bronić Alvina?

– Ja mam złapać każdego, kto się połasi na tę nagrodę, utłuc go na pył i upiec jak chleb.

– My nie chcemy nagrody – zapewnił go Coz.

– Pięćset dolarów to mnóstwo pieniędzy – mruknął Abe.

Mike zrobił krok w jego stronę, a Abe, co należy odnotować mu na plus, nawet nie drgnął.

– Uspokój się, Mike – powiedział Verily. – Abe Lincoln lubi sobie pożartować. To zaufany przyjaciel Ala.

– Ja mu nie ufam – burknął Mike.

– Moje pytanie brzmi następująco – odezwał się Coz. – Jeśli Alvin chce, żeby go pan bronił, to czemu się uganiam po całym świecie z tym młodym chudzielcem?

– Nie muszę go bronić przed żadnym niebezpieczeństwem, jakie czeka na niego w drodze. Tu Alvin doskonale daje sobie radę sam. Ale kiedy ktoś stanie przed nim z sądowymi dokumentami, a on się uniesie honorem i sam sobie wmówi, że powinien się dać zaciągnąć do więzienia i zostać w nim, choć wszyscy wiemy, że nie zatrzymają go żadne mury – wtedy zaczyna się pole popisu dla mnie. Bo mnie bez różnicy, mogę trzasnąć w pysk człowieka, który tylko wykonuje swoje zadanie.

– Albo odgryźć mu ucho – podsunął z nadzieją Coz.

– Z uszami skończyłem już dawno temu – powiadomił go Mike. – Jak również z wydłubywaniem oczu. Alvin mnie zmusił do przysięgi.

– Zmusił? – zdziwił się Abe.

Mike spuścił wzrok.

– Przecież to kowal, wiadomo, jaką ma krzepę. Nie wspominając już o tym, że wystarczy mu spojrzeć na moją nogę, żeby ją złamać.

– Ta walka, która przeszła już do legendy, była nieuczciwa z obu stron – powiedział Verily.

– Och, przecież o nic nie oskarżam Alvina. Tłumaczę tylko, w jaki sposób mógł pobić kogoś tak podłego jak ja. – Zrobił krok naprzód i stanął nad Cozem. – Bo jestem podły. To nie jest tylko na pokaz. Lubię to chrupnięcie, kiedy wgniataam komuś twarz w ziemię.

– Cha, cha – wydusił z siebie Coz. – Ale śmieszne.

– Kiedy Alvin tu będzie? – spytał Verily.

– Wiadomo, że Peggy robi się niekonkretna, kiedy idzie o poczynania Alvina. Chyba nie wie nic ponad to, że Alvin tu przybędzie i się z wami spotka. No to jestem.

– Przyjechał pan pociągiem – powiedział Verily. – Ach, też bym tak chciał.

– No i byłem ciekaw, czyście już jedli – ciągnął Mike. – Bo nie chciało mi się grać żarcia tylko dla siebie, a zimnej fasoli nie lubię.

Wkrótce na cyplu zapłonęło ognisko, przy którym grzały się dwa kociołki, jeden z gulaszem, drugi z wodą.

– Palimy ogień, który widać ze wszystkich stron – odezwał się Abe. – Pewnie po to, żeby poszukiwacze nagród nie potykali się w ciemnościach o lisy i bobry.

– Alvina jeszcze nie ma, więc nie ma nagrody, no nie? – od parł Mike. Ale Mike Fink wcale nie był nieostrożny. Zaproponował, że będzie pierwszy trzymał wartę, i ostrzegł Verily’ego, że jest następny.

Zaspany Verily Cooper stał oparty o drzewo nad rzeką, kiedy nagle ktoś znalazł się u jego boku.

– Rzeka pięknie wygląda nocą – odezwał się cicho Alvin. Verily nawet nie mrugnął.

– Pewnego dnia chciałbym ją ujrzeć bez mgły.

– Pewnego dnia mgła nie będzie już potrzebna.

– Cieszę się, że cię widzę.

– Cieszę się, że mnie widzisz.

– Gdzie twoja pięcioletnia gromadka?

– Sześćletnia. Idą na północ. Wyprzedziłem ich, żeby się z tobą spotkać i sprawdzić, czy robisz to, na co liczę.

– Znajduję dla nich miejsce.

– I co? Znalazłeś?

– Razem z Lincolnem włoczymy się tu i tam. Niektóre miasta abolicjonistów przyjęłyby z setką przybyszów, ale wątpię, żeby w całym stanie znalazło się sześćdziesiąt takich miast.

– Złe wieści.

– A ty masz dobre? Powiedz, że w pobliżu nikogo nie ma, mogę przestać pilnować obozu i iść spać.

Alvin uśmiechnął się szeroko.

– Nikogo nie ma w pobliżu. Idź spać.

– Zanim pójde, powiedz mi coś jeszcze. Przyszedłeś, bo to dla nas dobre miejsce?

– Przyszedłem, bo chcę, żebyś dorobił uchwyt do mojego pługa.

Maria od Zmarłych obudziła w Alvinie nową nadzieję. Przecież jej nie opowiadał o Kryształowym Mieście, prawda? A ona opisała dokładnie to, co zobaczył w wirze Tenskwa-Tawy. A nawet dużo więcej.

On widział lub wyobrażał sobie tylko tyle, że miasto jest częściowo z kryształu, częściowo zaś z marzeń i wizji, jak kula, most, tama na rzece.

I zawsze sądził, że wszyscy obywatele tego miasta powinni być Stwórcami jak on. Dlatego właśnie próbował uczyć pełnych zapалу ludzi, którzy nie mogli sprostać temu zadaniu. Wszyscy coś osiągnęli, niektórzy jedynie lekkie rozszerzenie świadomości lub umiejętności. Oczywiście Verily Cooper od początku posiadał talent, który miał coś wspólnego ze Stwarzaniem, a Calvin był Stwórcą na swój sposób. Arthur Stuart... no, ten już był zupełnie wyjątkowy. Tyle lat i wysiłków, a potem nagle przełom! Ale co znaczą cztery osoby? A na Calvinie nie można zanadto polegać. To jeszcze za mało, żeby założyć Kryształowe Miasto.

I właśnie dlatego wizja Marii od Zmarłych wszystko zmieniła. Bo nie wszyscy mieszkali w pałacu, jak go nazwała. A raczej nikt w nim nie mieszkał. Ludzie zajmowali normalne domy na normalnych ulicach, przeważnie mieli normalne zawody i żyli zupełnie normalnie, tyle że przez parę godzin w tygodniu pomagali budować ten nadzwyczajny pałac... bibliotekę, teatr, cokolwiek to miało być... a kiedy go już zbudowali, przez parę godzin na tydzień wchodzili do środka i patrzyli, co się ukaże na ścianach, a z nich uczyli się, ile mogli. Nie było to jakieś wspaniałe, zapierające dech w piersiach zjawisko, może tylko... potwierdzenie, jaka naprawdę jest czyjaś żona albo jakie będą dzieci, albo jakich niebezpieczeństw można uniknąć, albo dlaczego cierpienie jednak da się znieść. Albo nie. Nie wszystko będzie piękne. Ale w ten sposób można by się dowiedzieć o tym, co w przeciwnym razie pozostałoby niewiadome. Choćby się ujrzało na własne oczy swoje nadzieje, lęki, przewiny i hańbę, można by zaryzykować nawet to, bo jak inaczej poznać samego siebie, jeśli nie ma się godnego zaufania lustra, które pokazuje coś więcej niż odbicie twarzy?

To Miasto Stwórców, nie dlatego że zamieszkują je tylko oni, lecz ponieważ wszyscy mieszkańcy współpracują w urzeczywistnieniu Stwarzania i wszyscy w tym mają swój udział.

Jakie to teraz oczywiste. Kim jest budowniczy wielkiej katedry? Architekt może powiedzieć zgodnie z prawdą: „To ja ją zbudowałem”, choć nie położył nawet jednego kamienia. Murarze, szklarze, cieśle, tkacze też przyczyniają się do wzniesienia budowli. A biskup, który zlecił budowę świątyni, a bogacze, którzy dali pieniądze, a kobiety, które przynosiły robotnikom jedzenie, a farmerzy, którzy dostarczają żywność? Wszyscy mieszkańcy miasta są twórcami tego budynku. A pięćdziesiąt lat później, kiedy ci, których dłonie wykonały tę pracę, już umrą lub będą starzy i nieporadni, ich wnukowie wejdą do katedry i powiedzą: „Jest nasza, myśmy ją zbudowali”, ponieważ całe miasto jest budowniczym i całe miasto korzysta z budynku, i każde nowe

pokolenie, dzięki któremu miasto nadal żyje, a które wchodzi do budowli z czcią i dumą, może powiedzieć, że świątynia należy do niego.

Nadal mogę uczyć Stwarzania tych, którzy chcą się uczyć, pomyślał Alvin. Ale nie będę musiał czekać, aż osiągną biegłość. Potrafię stwarzać kryształowe bloki, a inni mogą je nosić na miejsce. Verily Cooper może je układać, bo wie, jak je scalić. A inni, obdarzeni innymi talentami, mogą nam pomagać. Możliwe nawet, że Arthur Stuart stworzy parę bloków.

A ponieważ wszyscy tak czy inaczej przyczynią się do budowy tej kryształowej świątyni, staną się jej częścią, prawda? Częścią Kryształowego Miasta. A Stwórca to ten, który staje się jednością ze swoim dziełem. Więc... wszyscy będą Stwórcami, prawda? Stwórcami Kryształowego Miasta.

Co oznacza, że będzie ono naprawdę Miastem Stwórców.

Przez cały ranek Alvin przyglądał się, potem odwracał wzrok, a potem znowu podpatrywał, jak Verily Cooper gładzi drewno i gołymi rękami nadaje mu dokładnie taki kształt, jak potrzeba. Verily nie obrabiał drewna narzędziami. Nie szukał także zwalonych kłód, nie ścinał drzew. Znalazł dwa odrosty odpowiedniego rozmiaru i gładził je tak długo, aż oddzieliły się od drzewa. Nie ugniatał drewna jak gliny, lecz efekt był ten sam. Kora oddzieliła się od żywego drewna, a ono nadało sobie właściwy kształt, wygięło się w kształt rękojęści pługu.

Abe, Coz i Mike również się przez jakiś czas przyglądali. Początkowo ze zdumieniem i podziwem. Jednak proces, choć wydający się cudem, był powolny i nuzący. Po chwili wszyscy rozeszli się do swoich zadań – do badania terenu, jak powiedział Abe.

Więc kiedy Verily skończył, na miejscu był tylko Alvin. Dwa kawałki drewna złączyły się tak ściśle, jakby w ten sposób wyrosły.

– Czas wyjąć pług z worka – powiedział Verily.

– To drewno jeszcze żyje.

– Wiem.

– Zrobiłeś już coś z żywego drewna?

– Nie.

– To skąd wiedziałeś jak?

– Poprosiłeś mnie, a nie miałem narzędzi. Ale przecież tak długo mnie uczyłeś, jak widzieć i rozumieć, co się dzieje we wnętrzu drewna, kiedy robię beczkę i spinam ją obręczami... no co?

Myślałeś, że niczego się nie nauczę?

Alvin parsknął śmiechem.

– Wiedziałem, że się uczysz, tylko... nie wiedziałem, że tak to będzie

wyglądać.

– Więc zobaczmy, czy pasuje.

Alvin położył worek na ziemi i zsunął go ze złotego pługa.

– Złoto jest miękkie – powiedział Verily. – Szybko się zetrze o twardy grunt, nie sądzisz?

– Żywy pług nie pasuje do świata tak jak zwyczajny. Podejrzewam, że będzie wystarczająco twardy, jeśli zajdzie potrzeba. – Alvin obracał pług na różne strony, usiłując się zorientować, jak wykonać zadanie, używając jedynie dwóch rąk. – Mam dopasować pług do rękojeści czy odwrotnie?

Verily roześmiał się.

– Ja przytrzymam rękojeść, a ty zrób resztę.

Alvin także parsknął śmiechem. Zbliżył pług do miejsca w rękojeści, z którą powinien się połączyć. Zamierzał sprawdzić, na ile da się je dopasować – ale pług był żywy, a rękojeść z żywego drewna i kiedy poczuły swoją bliskość, stało się tak, jakby rozpoznały się niczym dwa magnesy. Ustawiły się dokładnie tak, jak trzeba, a potem skoczyły ku sobie.

Skoczyły, połączyły się, pług wśliznął się tam, gdzie należy, drewno nieco się rozchyliło, by zrobić mu miejsce, po czym zamknęło się wokół niego. Wyglądało to tak, jakby z drewna wyrastało złoto.

Nie mieli czasu zdumieć się i zachwycić, bo w chwili gdy nastąpiło połączenie, rozległa się muzyka, jakiej Alvin nie słyszał nigdy w życiu. Była to zielona pieśń – pieśń żywego drewna, żyjącego świata, którą wibrowała rękojeść pługa – lecz była to zarazem inna muzyka. Muzyka metalu albo maszyny, narzędzi stworzonych na ludzkie potrzeby, do ludzkiej pracy. Było to pulsowanie silnika łodzi parowej, syk i świst lokomotywy, jęk obracających się kół, klekot tłoków. Ale zamiast fabrycznej kakofonii powstała harmonijna, potężna melodia, która – ku radości Alvina – doskonale splotła się z zieloną pieśnią i razem stworzyły współbrzmienie wypełniające przestrzeń wokół.

Ledwie Alvin zdał sobie sprawę, co to za muzyka, gdy pług zaczął brykać. Stało się jasne, że znudził mu się bezruch; Verily mógł tylko zawisnąć na rękojeści, a pług skoczył naprzód – choć nie ciągnął go wół ani koń. Przez chwilę ślizgał się po ziemi, po czym zarył w darń, wszedł w nią jak nóż w masło i śmignął przed siebie. Verily trzymał się go kurczowo, gnając na złamanie karku.

Pług nie zamierzał wyorać prostych bruzd. Kreślił dzikie zakola po całej łące niczym różdżka szukająca wody.

Tak właśnie może być, pomyślał Alvin. Nie szuka wody, ale to rzeczywiście różdżka. Przecież Verily zrobił rękojeść z żywego drewna. Czy nie tak

wyglądają różdżki – dwie rączki złączone u dołu?

– Dłużej nie mogę! – wrzasnął Verily, padając na ziemię.

Pług wyrwał się do przodu, przeorał jeszcze nieco ziemi i... zatrzymał się.

Leżał bez ruchu na ziemi.

Alvin podbiegł do niego. Verily wstał i ostrożnie dotknął pług. Ledwie musnął go palcami, pług znowu ożył i śmignął naprzód.

– Mam pomysł – powiedział Alvin. – Ty chwyć za prawą rączkę, ja wezmę lewą.

– Jednocześnie.

– Raz – zaczął liczyć Alvin. Verily zawtórował mu przy „dwa”.

– Chwileczkę – przerwał. – Do ilu liczymy?

– Zamierzałem do trzech, ale widzę, że będzie inaczej.

– Na trzy czy na cztery?

– Jak powiemy „trzy”, chwycimy rączki.

Raz.

Dwa... I poszli!

Tym razem pług nie brykał. Sunął prosto, głęboko orając ziemię i robiąc bruzdy, jak na przyzwoity pług przystało.

Wydawało się, że zamierza opuścić łąkę, minąć zagajnik i dotrzeć do cypla.

Podejście było strome, a niskie gałęzie wyglądały tak, jakby specjalnie je umieszczono w tym miejscu, by ścinały głowy wszystkich idiotów, którym przyjdzie do głowy biec w tym miejscu za pługiem.

Ale zielona pieśń w muzyce pług brzmiała tak donośnie, że gałęzie się same unosiły lub odginały. Alvin i Verily nie doznali większych obrażeń niż zadraśnięcia lub guzy. I nie zmęczeni się, biegnąc po stromym zboczu.

Na górze pług nieco skręcił i ruszył w poprzek cypla. Właśnie wtedy Alvin nieuważnie wychwycił odległe głosy Mike’a, Abe’a i Coza, którzy darli się i wiwatowali jak dzieciaki. Ale nie było czasu czekać, aż do nich dobiegną, bo pług właśnie namierzył swój punkt docelowy i pruł w jego stronę niczym lokomotywa.

Jakieś dwadzieścia jardów od krawędzi cypla znajdował się skrawek ziemi, gdzie nie rosły drzewa, ponieważ płytko pod trawą zaczynało się kamieniste podłoże. Ziemi było za mało, by drzewo mogło zapuścić tu korzenie.

Pług zmierzał prosto w stronę nagiej skały na środku polanki. Wchodził w kamień jak nóż w masło. Zostawił w nim bruzdę tak jak w ziemi, ale ziemia rozsypywała się, ciepła i miękka, a kamień stwardniał niczym rzeźba.

Kiedy pług dotarł do miejsca, w którym kamienne zagłębienie wypełniała woda, zatrzymał się dokładnie w środku kałuży i znieruchomiał.

Cienka strużka czystej wody wyciekła bruzdą wyrytą w glazie, a potem bruzdą w ziemi po skraju cypla i w dolinę, w której Verily zrobił rękojeść.

Pług leżał nieruchomo.

Alvin i Verily puścili go.

Muzyka ucichła.

– No, chyba gotowe – powiedział Alvin.

– Tylko co?

– Znaleźliśmy miejsce, w którym powstanie Kryształowe Miasto.

– A szukaliśmy go?

– Zdaje się, że szukał go pług. Od pierwszej chwili swojego istnienia.

Alvin ukląkł przy pługu, który tak długo ze sobą nosił. Tyle lat – a teraz dzieło się dokonało. I choć droga na cypel była dzika i radosna, nie trwała długo. Raptem parę minut. Alvin dotknął palcem złotej powierzchni pługa; poczuł jego drżenie. Rękojeść obluzowała się i upadła na ziemię.

Verily ją podniósł.

– Ciągłe żyje – powiedział.

– Ale już nie stanowi jedności z pługiem.

Muzyka także umilkła. Zielona pieśń pozostała, jak zawsze, w głowie Alvina. Lecz muzyka maszyn ucichła.

Alvin pociągnął pług, który bez oporu wysliznął się z kamienia. Włożył go do worka. Pług nadal pulsował życiem, ani mniej, ani więcej niż zawsze. Jakby nie pamiętał, czego dokonał przed chwilą.

Wszyscy napili się ze źródła, które trysnęło z bruzdy. Woda była słodka i czysta.

– Moglibyśmy ją beczkować i sprzedawać jako wino – zauważył Abe – i nikt by się nie skarżył.

– Ale tego nie zrobimy – rzekł Verily.

Abe spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: „Nie jestem idiotą”.

– Więc ten wasz pług wybrał miejsce na budowę miasta?

– Możliwe – mruknął Alvin. – Jeśli się dowiemy, kto jest właścicielem tej ziemi, i wymyślimy jakiś sposób, żeby ją kupić.

– No to macie szczęście – oznajmił Abe – bo właśnie dlatego was tu przyprowadziłem. To część terenów, które administracja Noisy River nazywa hrabstwem River, nieużytki wzdłuż Mizzippy pomiędzy Moline i Cairo. Istnieje pewne stare prawo, na mocy którego można wyodrębnić z hrabstwa River mniejsze, jeśli zdoła się udowodnić, że liczy dwa tysiące osadników i znajduje się w nim co najmniej trzystuosobowe miasto.

- Hrabstwo? – powtórzył Verily.
- Hrabstwo – potwierdził Abe.
- Hm... hrabstwo ma prawo wyboru własnych sędziów – zauważył Verily.
- I szeryfa – dodał Abe.
- Więc kiedy ktoś przybędzie do hrabstwa Furrowspring z nakazem z jakiegoś sądu z Hio – ciągnął Verily – sąd Furrowspring może go unieważnić.
- Tak właśnie sobie pomyślałem.
- Moje nauki naprawdę nie poszły na marne.
- A poza tym pamiętam, jak mój tatuś usiłował uprawiać błotniste tereny w Hio, a ktoś powiedział mu o hrabstwie River i że ziemia tam jest do wzięcia, jeśli tylko skrzyknie się dwa tysiące osób, a tatuś powiedział, że dość mu tyrania na bagnie, nie potrzebuje mgły.
- Gdybyśmy mieli własne hrabstwo – powiedział Alvin – moglibyśmy zbudować w nim miasto, w którym zamieszkaliby Czarni, Francuzi i wszyscy, których byśmy zaprosili. I nikt by nam nie mógł zabronić.
- To nie takie proste – mruknął Abe.
- Czyli jakieś prawo zakazuje się tu wprowadzać?
- Zbiegłym niewolnikom. Chyba da się je ominąć, bo sędzia może unieważnić mnóstwo innych nakazów, a szeryf może przegnać z miasta odszukiwaczy niewolników. Ale zmierzam do tego, że tutaj każdy może się wprowadzić. Nie tylko ci, których zaprosimy.
- Zapraszamy wszystkich – powiedział Alvin. Abe parsknął śmiechem.
- No, jak się rozniesie o tym złotym pługu, co się wbił w kamień i że z kamienia trysnęła woda, jak u Mojżesza, to te sześć tysięcy będzie kropłą w morzu setek tysięcy poszukiwaczy złota i cudów, którzy zadepczą całą okolicę. I to oni wybiorą szeryfa i sędziego, a może także kogoś, kto dostanie tę nagrodę.
- Rozumiem – rzekł Alvin. – To jednak nie takie łatwe.
- Jak was wszystkich pozabijam – odezwał się Mike – to żaden nie rozpowie o tym miejscu.
- Z wyjątkiem ciebie – dodał Alvin.
- No, nie powiedziałem, że plan jest idealny.
- Potrzebujemy oficjalnych dokumentów – oznajmił Verily. – Określających granice naszego hrabstwa, a także nadających nam prawo do stanowienia, co się w nim dzieje, by ziemię sprzedawano tylko wybranym przez nas osobom. Naszym ludziom, którzy nie narobią kłopotów.
- Ludziom, którzy pomogą nam zbudować Miasto Stwórców.

– Wiem, jak sporządzić taki dokument – powiedział Verily – ale nie jestem pewien, czy uda mi się trafić do właściwych osób w administracji stanu.

– Nie patrzcie na mnie – odezwał się Abe. – Nie jestem politykiem.

– Ale jesteś stąd. Nie mówisz jak angielski paniczek. I potrafisz sprawić, że ludzie cię lubią.

– Ty też.

– Wiesz, że wszyscy go nienawidzą – powiedział Coz.

– No, owszem – zgodził się Abe – ale tylko dlatego, że Anglicy są mądrzejsi od innych, a inni to wiedzą i mają im za złe.

– Pomożecie mi zdobyć ten dokument dla hrabstwa Furrowspring?

– Widzę, że już wybraliście nazwę – powiedział Abe.

– Macie lepszą?

– Dobrze brzmiałaby nazwa: hrabstwo Lincoln.

– A może Lincoln-Fink? – zasugerował Mike.

– No, to już czysta próżność – zgorszył się Abe. – Żeby nazywać hrabstwo na własną cześć!

– A pan co robi?

– Miałem na myśli hrabstwo w Anglii, ma się rozumieć.

– Zatem Furrowspring – oznajmił Alvin. – Głosowanie jest jawne. – Spojrzał na Abe'a. – Do czasu załatwienia spraw formalnych osadnicy mogą bez problemów przenosić się do hrabstwa River? I budować domy oraz uprawiać ziemię, gdzie się im spodoba?

– Tak mówi prawo. Nie potrzebują zezwolenia. Dopóki nie wtargną na teren czyjegoś gospodarstwa, a nie widzę tu żadnych.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie ma tu choćby paru gospodarstw zamieszkaných przez ludzi, dla których sześciu domowe miasto jest już za tłoczne.

– Może dlatego że to ziemia przeznaczona do lepszych zadań niż goszczenie jakichś odludków – podsunął Verily.

– A kto ją przeznacza?

– Może sam kamień ma ambicje. Albo woda, której się spieszyło wydostać spod kamienia.

– Albo słońce, które chce, żeby na tych ziemiach nie było cienistych zagajników – dokończył Alvin. – Albo wiatr, który pragnie sobie harcować po dolinie. Panowie, nie sądzę, żeby zjawiska atmosferyczne miały jakieś plany.

– Pług miał – wytknął mu Verily.

Z tym Alvin musiał się zgodzić.

Przytroczyli rękojeść pługa do juków i wrócili do Springfield piechotą,

prowadząc wierzchowce za uzdy. Biegli z zieloną pieśnią i po zaledwie godzinie dotarli na miejsce. Konie nie były spienione ani zmęczone, ludzie głodni ani zmęczeni, a w ustach mieli jeszcze smak wody ze źródła i ze wstrętem myśleli o innej, bo smakowałyby jak blacha, błoto albo w ogóle nie miałyby smaku – a przecież teraz już wiedzieli, że woda powinna być słodka.

Droga z wybrzeża do Mexico City była łatwa. Wszystko szło dokładnie tak, jak przewidział Steve Austin – czyli nie całkiem tak, jak spodziewał się Calvin. Statek zawinął do portu w True Cross, gdzie Biali mogli handlować bez obawy, że zostaną złożeni w ofierze. Trzy dni zajęło im znalezienie tłumaczy, kupienie zapasów żywności i jucznych mułów, a potem ruszyli w stronę bramy prowadzącej w głąb kraju.

- Niebezpiecznie jest wychodzić – ostrzegł ich wartownik.
- Wyjeżdżamy – oznajmił Steve Austin. – Z drogi.
- Nie puszczę was. Jak Biali znowu zginą, True Cross zyska sobie złą sławę.

Austin wycelował pistolet w jego głowę.

– Nie, nie! – rzucił niecierpliwie Calvin. – Po co mnie tu ściągnąłeś, skoro zamierzasz strzelać do ludzi? Może będziemy musie li tu wrócić, a dzięki tobie zaczną do nas strzelać, jak tylko nas zobaczą.

- Powrócimy jako władcy Meksyku.
- Świetnie, ale pozwólcie, że ja to zrobię.

Austin opuścił pistolet. Calvin przez jakiś czas przyglądał się bramie, by ocenić, czy nadaje się do szczególnie efektownego popisu, czy też będzie to jedynie praktyczny zabieg. Uznał, że sztuczki w rodzaju buchnięcia płomieni i spopielenia bramy na nic się tu nie przydadzą. Powinien zrobić wrażenie na Czerwonych, nie na mieszkańcach miasta.

Dlatego tylko rozpuścił bolce w zawiasach i jednym delikatnym pchnięciem wyważył bramę.

Wartownik – który nie miał już przy czym pełnić warty – wzruszył ramionami i odwrócił się. Wyruszyli, setka uzbrojonych po zęby Białych, na podbój Meksyku.

Niemal natychmiast stanęli oko w oko z meksykańskimi żołnierzami. Nie byli to uzbrojeni w pałki wojownicy, których trzysta lat temu spotkał tu Cortez. Ci siedzieli na koniach i mieli najnowsze modele muszkietów, najprawdopodobniej kupione od Stanów Zjednoczonych, gdzie w Filadelfii – mieście braterskiej miłości – kwitł handel bronią. Natychmiast otoczyli oddział Austina, najeżony gotowymi do strzału strzelbami.

– Cierpliwości – syknął Calvin do Austina. Stworzenie ognia nie sprawiło mu kłopotu, choć miał pewne problemy z utworzeniem z niego kręgu. Niektóre płomienie nie usłuchały i osmały sierść paru koni, ale dzięki temu

demonstracja okazała się tylko bardziej efektowna. Meksykanie cofnęli się, zsiadli ze spłoszonych, rżących koni, ale potem zaczęli się przygotowywać do ostrzału.

Calvin był gotowy. Wiedział, jak w takich przypadkach radzi sobie Alvin: zagina lufy broni, tak że można zapomnieć o dalszym strzelaniu. Ale Calvin chciał, by wystrzeliły. Dlatego ścisnął każdą lufę w środku, niezbyt mocno, lecz na tyle, by kula nie mogła się wydostać na zewnątrz. Znalezienie i zabezpieczenie wszystkich muszkietów, zanim wystrzeliły, okazało się dość kłopotliwe, ale meksykańscy dowódcy tak długo domagali się kapitulacji, a przerażone konie tak długo odwracały ich uwagę, że Calvin zdążył na czas.

– Nie strzelajcie! – zawołał.

– Zrobiam z nas sito – syknął Austin.

– Tylko się im tak wydaje.

Kapitan wydał rozkaz i żołnierze pociągnęli za spusty. Muszkiety eksplodowały, niemal wszyscy zginęli lub zostali oślepieni. Paru żołnierzy straciło nawet głowy.

Kapitan stał sam, unosząc ceremonialny miecz z obsydianowym ostrzem. Paru jego żołnierzy jeszcze się wilo na ziemi lub krzyczało w agonii.

– Zastrzelić go! – krzyknął Austin.

– Nie! – wrzasnął Calvin. – Puścić żywcem! Chyba chcecie, żeby ktoś o tym opowiedział, zgadza się?

Austin nie lubił sprzeciwu, ale stało się jasne, że Calvin ma rację. Po co dawać takie przedstawienie, jeśli nie przeżyje żaden świadek, który opowie Meksykanom o niezwykłej mocy Białych? Więc jeśli Austin miał pretensje, że Calvin nie uszanował jego rozkazu, to trudno. Nie powinien wydawać głupich komend. A poza tym niech zapamięta, kto naprawdę ma tu moc. Może postanowił zostać władcą Meksyku, ale jeśli mu się uda, to dlatego że ma u boku Calvina Stwórcę.

Calvin przypuszczał, że będzie musiał dokonać jeszcze paru demonstracji, ale poszło lepiej, niż sądził. Burmistrz pierwszego miasta, jakie napotkali, wyszedł im na spotkanie i oświadczył, że Meksykanie tu nie mieszkają. Błagał, by potężny kapłan nie robił nikomu krzywdy.

Austin wygłosił przemówienie o tym, jak to przybył ustanowić sprawiedliwe rządy na tych ziemiach i wyzwolić je spod panowania krwiożerczych, dzikich Meksykanów. Mieszkańcy zaczęli wiwatować, a burmistrz zaproponował, że wyśle z nimi pięciuset ludzi do Mexico City. Nie byli to prawdziwi żołnierze, wielu było w podeszłym wieku, ich jedyną broń zaś stanowiły maczugi i miecze, więc Austin zgodził się ich zabrać, jednak pod

warunkiem że wezmą własną żywność i przysięgną mu posłuszeństwo.

Kiedy dotarli do następnego miasta, nie byli już stuosobowym oddziałem Białych; towarzyszyła im banda pstrokato odzianych Czerwonych, którzy śpiewali i skandowali. I znowu na ich powitanie wyszedł burmistrz z prośbą, by ominęli miasto. Dał im jedzenie, wodę i następne pięćset mężczyzn. Calvin zaczynał się nudzić, więc tym razem skruszył część kamiennych murów obronnych miasta, żeby mieszkańcy mieli o czym opowiadać. Burmistrz padł na kolana i obiecał im wszystko, czego tylko zechcą, lecz Austin łypnął spode łba na Calvina i wyjaśnił, że gdy obejmie rządy w Mexico City, mury nie będą już potrzebne, bo w kraju zapanuje pokój.

- Dlaczego to zrobiłeś, skoro już się poddali? – spytał później.
- Musieli na własne oczy zobaczyć, jaką mamy moc – odparł Calvin.
- Pokazałeś im, że przyszlismy burzyć.
- Następnym razem wymyślę coś lepszego. Bez burzenia.
- Serdeczne dzięki – wycedził Austin z sarkazmem.

I tak było przez całą drogę po meksykańskim płaskowyżu, wśród wiosek i miast. Zanim w oddali ujrzeli potężne wulkaniczne góry wokół Mexico City, mieli ze sobą co najmniej piętnaście tysięcy Czerwonych – potężną armię, śpiewającą, skandującą i tańczącą przy każdej nadarzającej się okazji.

W dolinę wkroczyli w pełni chwały, ale Calvin coraz bardziej się niepokoił.

- Gdzie meksykańscy żołnierze? – zwrócił się do Austina.
- Uciekli, jeśli mają trochę rozumu.

Jim Bowie jechał obok.

- Za łatwo nam poszło – poparł Calvina. – To mi się nie podoba.
- Prowadzimy uciskany lud przeciwko ciemierzycielowi. Żołnierze nie chcą tracić życia na walkę z niepokonanymi.
- To jakaś pułapka – rzucił Bowie.

I kiedy Austin jechał rozpromieniony, machając ręką niczym na parady, Calvin, Bowie i paru innych rozglądało się czujnie, wypatrując ukrytej armii. Calvin wysłał przenikacz jak najdalej, ale znalazł tylko cywilów. Większość nie kryła się, obserwowała przejście armii szeroką aleją wiodącą do jeziora na środku doliny.

Dopiero na długiej drodze do miasta na środku jeziora wreszcie dostrzegli opór. I choć Meksykanie byli przyodziani w kolorowe, jaskrawe stroje i wylegli na ich spotkanie z mnóstwem flag i piór, niewielu robiło wrażenie żołnierzy. Tak naprawdę w ogóle nie robili dobrego wrażenia – było ich może ze trzystu.

- Spodziewają się, że to piknik? – odezwał się Bowie.
- Ilu się nam podda? – spytał Austin. – Calvinie Stwórco, jesteś wart

swojej wagi w złocie. Nie musieliśmy wystrzelić ani razu i proszę, już zwycięstwo! – Spiął konia i przebił się przez tłum. Inni Biali ruszyli za nim. Wkrótce znaleźli się na czele potężnej armii, w zasięgu głosu od dygnitarzy, którzy wyszli z miasta im na spotkanie.

– Żądamy waszej kapitulacji! – krzyknął Austin. – Poddajcie się, a ocalicie życie!

Odwrócił się, szukając tłumacza, który chyba nie nadażył za nimi. Nie, jednak się znalazł – Austin skinął na niego.

– Powiedz im, żeby się poddali – rozkazał. – Powtórz, co po wiedziałem.

Ale zanim tłumacz zdążył wystąpić naprzód, przemówił odziany w pióra Meksykanin w ogromnej lektyce trzymanej przez dwunastu mężczyzn.

– Co on mówi? – chciał wiedzieć Austin.

Tłumacz zaczął słuchać.

– To najwyższy kapłan. Dziękuje wszystkim... plemionom... że przyprowadziły tak wiele wspaniałych ofiar dla boga.

Austin parsknął śmiechem.

– Czy on naprawdę uważa, że ci ludzie chcą być złożeni w ofierze?

– Tak – powiedział tłumacz.

– Głupiec.

– Owszem, jest tu głupiec – powiedział Bowie. – Ale to nie on.

W jednej chwili otaczający ich Czerwoni wydali głośny okrzyk i ściągnęli Białych z koni. Bowie zdołał ugodzić paru nożem, lecz i on wkrótce znalazł się na ziemi. Calvin usiłował stworzyć ogień, ale zanim cokolwiek zaczęło się dziać, ktoś rzucił go na ziemię i uderzył maczugą w głowę.

Obudził go ból, nie tylko ten pulsujący w głowie. Calvin leżał na kamiennej posadzce, mocno związany i z zasłoniętymi oczami.

Mógł rozerwać więzy, ale doszedł do wniosku, że najpierw powinien się przekonać, gdzie jest i co się dzieje. Przenikaczem rozluźnił nitki w opasce na oczach i po chwili zrobił w niej szparkę, przez którą mógł patrzeć. Leżał na podłodze jakiegoś wielkiego, mrocznego pomieszczenia – wyglądało na katolicki kościół, choć niezbyt często używany. Pod ścianą stało parę posągów świętych, a w głębi znajdował się ołtarz, lecz wszystko było zaniedbane i zakurzone.

Biali siedzieli lub leżeli na podłodze. Pod drzwiami stali uzbrojeni po zęby meksykańscy żołnierze.

Calvin sięgnął przenikaczem za siebie, by sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja. Oczywiście pilnowało go czterech żołnierzy. Tylko jemu przydzielono

specjalnych wartowników. A to znaczyło, że Meksykanie znają jego moc. Dziwne, że nie zabili go od razu – ale nie, był przecież łakomym kąskiem, najcenniejszą ofiarą.

Nic z tego, pomyślał.

Leżał nieruchomo, sprawdzając stan pozostałych. Los jeszcze może się odwrócić i klęska zmieni się w zwycięstwo.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wpadł snop światła. Weszły cztery kobiety ze złotymi pucharami. Podają napój jeńcom. Chętnie go wypili, niektórzy nawet podziękowali. Calvin o mało nie krzyknął, że w napoju jest narkotyk, ale po namyśle postanowił sam załatwić sprawę. Po kolei sięgał do pucharów i oddzielał narkotyk od wody, każąc mu się osadzić na dnie i tam pozostać. Z wyjątkiem paru pierwszych, którzy zdążyli się napić, nikt nie przyjął narkotyku.

Dlatego kiedy kobiety podeszły do niego, nie opierał się. Udawał, że nadal jest półprzytomny – co przyszło mu bez trudu, bo kiedy usiadł, omal nie oślepl od bólu. Pożałował, że nie uważał, kiedy Alvin uczył go uzdrawiania, ale po niepowodzeniu ze stopą Papy Łosia nawet nie próbował zabrać się do własnej głowy.

Kobiety przysunęły mu puchar do ust. Wypił łapczywie.

Teraz pewnie przestaną się mieć na baczności, sądząc, że wielki biały czarnoksiężnik jest już obezwładniony.

Ale oczywiście tylko paru pierwszych zachowywało się tak, jakby byli pod wpływem narkotyku. Kobiety zaczęły się niepokoić. Szeptaly między sobą, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego reszta żołnierzy nadal jest przytomna.

Więc Calvin ich uspił. Legli na posadzce. Wtedy kobiety wyszły z pomieszczenia, a za nimi żołnierze, nawet ci strzegący Calvina.

Ledwie znikli, Calvin obudził wszystkich, których poprzednio uspił. Jednak z tymi, którzy wypili narkotyk, nie było tak łatwo. Wytrącenie środka nasennego z wody było proste, ale nie potrafił tego zrobić z narkotykiem, który znalazł się już we krwi. Dlatego kilku ludzi wciąż spało, podczas gdy inni usiedli i zaczęli się rozglądać.

– Mówcie cicho – powiedział Calvin. – Za drzwiami stoją strażnicy. Nie chcemy, żeby nas usłyszeli.

– Ty draniu! – syknął jeden z żołnierzy.

– Nie pouczaj nas! – szepnął inny.

Ale nie podnieśli głosów.

– Zgłupieliście aż tak, że to mnie obarczacie winą? Nigdy nie twierdziłem,

że potrafię czytać w myślach. Skąd miałem wiedzieć, że od początku jesteście jeńcami? A wyście to zgadli?

Nikt nie odpowiedział.

– Za to dzięki mnie ta trucizna was nie uśpiła. Więc się nie wściekajcie, tylko pomyślmy, jak się stąd wydostać.

– I to szybko – dodał Bowie. – Bo to ciebie chcą złożyć w ofierze dziś po południu.

– Jestem ranny. Sądzę, że zachowają mnie na koniec.

– Nie są głupi. A tak dla twojej informacji, powiedzieli nam – przez naszych tłumaczy – że jeśli nie zgodzisz się zostać ofiarą, zabiją nas wszystkich, nie wysyłając nas do swego boga.

– Nic z tego – rzekł Calvin.

– Postanowiliśmy uciec, kiedy będą ci wydierać serce.

– Świetny plan – pochwalił Calvin. – Oczywiście beze mnie nie dowiecie się, gdzie schowali waszą broń. Ani jak się stąd wy dostać tak, żeby was nie złapali.

Wszyscy jeszcze się zastanawiali nad jego słowami, kiedy ziemia zadrżała. Rozległy się krzyki i wrzaski.

Calvin rozerwał więzy i wstał. Pozostali nie byli związani, więc także się podnieśli, ale okna były zbyt wysoko, by mogli przez nie wyjrzeć.

Ziemia zadrżała znowu.

– Lepiej się połóżmy – odezwał się Bowie. – Jeszcze wrócą i nas zobaczą.

– Nie wrócą – uciął Calvin.

– Skąd wiesz?

– Bo strażnik właśnie uciekł.

Drzwi się otworzyły.

Bowie właśnie zaczął rozwijać temat niewiarygodności Calvina, kiedy zdał sobie sprawę, że osoba stojąca w progu nie jest Meksykaninem. Był to pół-Czarny chłopak ubrany jak Amerykanin.

– Zbierajcie się! – krzyknął. – Mamy dzień na ucieczkę z miasta, zanim Popocatepetl wybuchnie.

– Zanim co wybuchnie? – spytał któryś z żołnierzy.

– Popocatepetl – powtórzył chłopak. – Największy wulkan.

Ziemia się trzęsie, bo właśnie sprawiliśmy, że góra zaczęła bluzgać dymem i popiołami. A jutro wszyscy, którzy nie uciekną z miasta, zginą podczas wybuchu.

– Sprawiliście? Kto? – zdziwił się Bowie.

– Pewnie za tym stoi mój brat Alvin – odezwał się Calvin. – Ponieważ to

jest brat jego żony, Arthur Stuart.

Kościół zatrzęsł się, tym razem od wrzasków oburzenia.

– Twój brat poślubił Czarną?!

– Ktoś go nazwał imieniem króla?!

– Niewolnik ma nami rządzić?!

Ale Arthur Stuart przekrzyczał wszystkich.

– Nie Alvin, tylko Tenskwa-Tawa. To on sprawił, że wulkan wybuchnie, by oduczyć Meksykanów składania ofiar z ludzi. To sprawa między Czerwonymi, Tenskwa-Tawa przeciwko Meksykanom.

– A co ty tu robisz? – spytał Calvin.

– Ratuję cię. I każdego, kto zechce z nami pójść.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – oświadczył Calvin z pogardą.

– Owszem, zdołasz wyjść z tego kościoła bez mojego wsparcia, ale jak się wydostaniesz z miasta? Mówię po hiszpańsku, zdążyłem się też nauczyć podstaw nahuatl – języka Meksykanów.

Kto z was umie poprosić o jedzenie? I życzę szczęścia w pytaniu o drogę wśród spanikowanych tłumów. Pewnie mnóstwo ludzi po myśli, że to wszystko wasza wina.

– Ale dlaczego mamy w ogóle stąd uciekać? – spytał Calvin.

– Żeby się nie spalić na skwarę i nie zginąć pod lawą. Nie trzeba być Arystotelesem, żeby to skojarzyć.

– Nie odzywaj się tak do białego człowieka! – krzyknął jakiś żołnierz i paru innych zaraz się podniosło, by wymierzyć chłopcu karę.

Calvin nie zamierzał im przeszkadzać. Arthur Stuart powinien się nauczyć, kto tu rządzi i jak okazywać należny respekt.

Ale żołnierze nagle zaczęli się ślizgać i przewracać, jakby podłoga zmieniła się w marmur, w dodatku wysmarowany masłem. Po chwili stało się jasne, że każdy, kto podniesie rękę na Arthura Stuarta, wyląduje na siedzeniu.

Ten chłopak naprawdę nauczył się paru sztuczek... choć nic tak wielkiego, jak mu się pewnie wydawało. Calvin przez chwilę rozkoszował się myślą o pojedynku z nim tu i teraz, by mu udowodnić, jak niewiele naprawdę potrafi – ale nie miał czasu.

– Dajcie mu spokój – powiedział. – Przyszedł nas uratować, no i świetnie. Każdy, kto chce uciekać, niech rusza z nim natychmiast.

Żaden z niego Stwórca, ale ma smykałkę do języków i może zdoła was zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Jednak ja uważam, że możemy tę sytuację obrócić na naszą korzyść. Przybyliśmy tu, by za panować nad Meksykiem, tak? Więc niech wulkan zabije Meksykanów, a my stwierdzimy, że to nasze dzieło,

i przejmujemy rządy.

– Co powiesz, Steve? – spytał ktoś.

Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że Austin znalazł się między tymi, którzy napili się narkotyku.

– Wiesz, co by powiedział – oznajmił Calvin. – Nie przybył tu, by się poddać. Ani by uciekać z Czarnym, który uważa, że jest ta ki wspaniały, bo umie zrobić śliską podłogę. Przybyliśmy zapanować nad tym krajem i zamierzam do tego doprowadzić.

– Wszyscy wiedzą, że to dzieło Tenskwa-Tawy – powiedział Arthur Stuart. – Jego ludzie już tu są. Zapowiedzieli pojawienie się dymu i ich słowa się sprawdziły.

– Ale Tenskwa-Tawy tu nie ma, prawda? I nie będzie rządzić Meksykiem, co? – odparł Calvin. – Chyba nie. A ktoś to musi zrobić.

Dlaczego nie my? A jak się to wszystko skończy, powiemy ludziom, że to mój brat Alvin podpowiedział Tenskwa-Tawie, co robić, i że zostawili mnie, żebym osadził Steve'a Austina na tronie Meksyku...

– Kto chce ocalić życie, za mną! – rozkazał Arthur Stuart.

– Prędzej zgine, niż zaufam niewolnikowi! – krzyknął jeden z tych, którzy się przewrócili.

– Znakomity wybór – odparł Arthur Stuart.

Ziemia znowu zadrżała, a potem jeszcze raz. Trzeci wstrząs był tak silny, że kilku żołnierzy zwałił z nóg.

– To chyba nie ty, co? – spytał Bowie Calvina.

– Ja mogę wszystko – oznajmił Calvin.

– Oszust – mruknął Arthur Stuart. – Rada szamanów praco wała przez cały rok, żeby doprowadzić wulkan na krawędź wybuchu. Nawet Alvin nie potrafiłby skłonić wulkanu, żeby wybuchł na jego życzenie.

– Może niektóre rzeczy potrafię robić lepiej od Alvina.

Arthur Stuart obejrzał się na resztę żołnierzy.

– Jak szybko potraficie biegać? Jak daleko dotrzecie? Jutro Popocatepetl wybuchnie i zginą wszyscy w tej dolinie. Rozumiecie? Jeśli uciekniemy już teraz, w tej chwili, zdążymy. Jeśli pozwolicie, sprawię, że będziecie biegli szybko i długo. A on... myślicie, że go obchodzi wasz los? Myślicie, że ma moc, która ocali was przed wulkanem? Będzie miał szczęście, jeśli uratuje własne życie.

Paru żołnierzy zaczęło się wahać.

– Nie zapanujemy w Meksyku, jeśli zginiemy.

– Możemy przejąć władzę, gdy wyjdziemy z doliny.

Calvin wybuchnął śmiechem.

– Widzieliście, co zrobiłem w True Cross, prawda? Zapomnieliście, kim jestem? Ten chłopiec nie jest czarownikiem, to śmieć, mój brat trzyma go jak psa i uczy sztuczek. – Po tych słowach Calvin sprawił, że drzwi wyskoczyły z zawiasów i wypadły na ulicę. Potem obudził wiatr, który wypchnął chłopca na zewnątrz.

– Każdy, kto zechce – powiedział – może za nim iść. Teraz widzicie, jaką ma moc.

Arthur Stuart stanął w progu.

– Nigdy nie twierdziłem, że mam większą moc niż Calvin. Ale cała jego potęga nie da wam jednego słowa po hiszpańsku czy w nahuatl. Calvin nie umie biec tak jak Czerwoni, szybciej niż jakikolwiek Biały. Chodźcie ze mną, jeśli chcecie żyć. Zaprowadzę was do True Cross. Stamtąd bezpiecznie wróćcie do domu.

Spójrzcie na niego! Wy go nie obchodzicie!

– Obchodzi mnie życie tych ludzi – rzekł Calvin i zwrócił się bezpośrednio do żołnierzy. – Zaufaliście mi, a ja dam wam to, co obiecałem – Meksyk. Całe jego złoto i bogactwa. Jego lud będzie wam służył, wszystkie ziemie staną się wasze. A kiedy w swoich nędznych chatkach na bagnach Barcy usłyszycie, jak żyjemy w chwale, koniecznie podziękujcie temu chłopcu, że was uratował.

Jim Bowie podszedł do Arthura Stuarta.

– Znam tego chłopca – oznajmił. – Idę z nim.

Calvin nie był zachwycony. Bowie cieszył się ogromnym szacunkiem tych ludzi.

– Więc Steve Austin jednak nie może na tobie polegać – rzucił.

– Austin śpi – odparł Bowie – a przez ciebie trafiliśmy tutaj.

Kto jeszcze idzie?

– Właśnie – podchwycił Calvin – kim są tchórze, którzy nie chcą rządzić imperium?

– Teraz albo nigdy. Nie będzie drugiej szansy – oznajmił Arthur Stuart. – Jeśli chcecie iść ze mną, chodźcie już.

Kilkunastu żołnierzy wstało i podeszło – nie do Arthura Stuarta, lecz Jima Bowie.

– A ci, którzy wypili narkotyk? – spytał ktoś.

– Mają pecha – mruknął Bowie.

Arthur Stuart spojrzał na śpiących – a wtedy, jeden po drugim, zaczęli się budzić.

Calvin patrzył na to ze zgrozą. Ten smarkacz jakimś cudem nauczył się, jak

wytrącić truciznę z krwi. A teraz oczywiście musiał się popisywać, żeby go upokorzyć! Tak jakby Calvin nie mógł się nauczyć wszystkiego, gdyby tylko zechciał. Ale niby dlaczego miałby tracić czas na budzenie idiotów, którzy się napili jakiegoś świństwa?

Żaden z obudzonych nie zdecydował się odejść. Jeden zdołał nawet namówić brata, żeby nie odchodził z Arthurem Stuartem i Jimem Bowie. Więc chłopiec odszedł z dziesięcioma żołnierzami. Reszta została w kościele. Z Calvinem.

– Teraz musimy się tylko dowiedzieć, gdzie zabrali naszą broń.

– Jak?

– Zobaczmy, dokąd idzie ten chłopiec. Myślicie, że Bowie pozwoli mu odejść, nie zabrawszy swojego ukochanego noża?

Paru mężczyzn parsknęło śmiechem.

I rzeczywiście, Calvin znalazł płomień serca Jima Bowie, który poszedł do sąsiedniego budynku. Tam Arthur Stuart otworzył drzwi, a Bowie znalazł swój nóż. Pozostali także się uzbroili.

– Dom znajduje się na sąsiedniej ulicy, tuż przy kościele.

– Więc chodźmy – powiedział Steve Austin. – Ale najpierw się zorganizujemy.

– Najpierw weźmy broń – sprzeciwił się Calvin.

– Na co nam broń, kiedy nie będziemy mieć planu!

Dziesięć minut później nadal dyskutowali, kiedy przez otwarte drzwi wpadli meksykańscy żołnierze.

– Głupcy! – krzyknął Calvin. – A nie mówiłem?

Dwaj Meksykanie wymierzili muszkiety w Calvina i strzelili.

Broń wybuchła im w twarz.

Inni nadbiegali zbyt szybko, by Calvin mógł unieszkodliwić wszystkie muszkiety, więc zrobił jedyne, co wydało mu się rozsądne. Cofnął się i przeszedł przez ścianę.

Już raz tak zrobił w Paryżu, kiedy Napoleon kazał go uwięzić. Zmiękczył kamień na tyle, by móc się przez niego przecisnąć jak przez glinę. Potem znowu go utwardził. Kule uderzyły w ścianę w chwili, gdy jeszcze twardniała, więc zatoneły w niej, a ona zasklepiła się nad nimi bez śladu.

I tak znalazł się przed kościołem.

A gdzie Arthur Stuart? Znalazł jego płomień serca, choć musiał się bardzo skupić. Chłopiec znajdował się na granicy jego zasięgu. Cóż, powiedział, że zna drogę ucieczki z miasta? Dokładnie tego potrzebował Calvin, skoro ci idioci zmarnowali szansę, jaką im dał. Nie zasługują na dalsze życie.

Ruszył biegiem. Minął Meksykanów wywlekających Białych z kościoła, ale nawet nie musiał się otoczyć mgłą – nikt na niego nie spojrzał.

Dlaczego mieliby patrzeć? Teraz, kiedy Calvin ich zostawił, bezbronni biali żołnierze nie mogli nic zrobić. A na placu przed kościołem czekał kapłan. Biali jeden po drugim trafiali na drewniany ołtarz, gdzie umieszczano ich w kwadratowym wgłębieniu. Dwóch kapłanów rozcinało im ubrania, obnażało piersi, przy akompaniamencie strasznych krzyków wyrwali serca i wznosili w górę w ofierze bogu, który według nich mógł zapobiec wybuchowi Popocatepetl.

Jaki głupi koniec marzenia Steve’a Austina! Ale ten człowiek tylko to potrafił: marzyć, snuć plany. Nawet teraz, kiedy mógł obrócić klęskę w zwycięstwo, wołał planować, zamiast działać. Teraz umrze. Dobrze mu tak.

Calvin rozejrzał się. Wszędzie miotali się przerażeni ludzie; Arthur Stuart był już daleko, najwyższy czas go znaleźć. Calvin nie potrafił się zorientować, dokąd prowadzą kręte niczym labirynt uliczki; wciąż istniało niebezpieczeństwo, że skręci w złą stronę i znajdzie się poza zasięgiem.

Ale szczęście mu dopisywało; za każdym razem dokonywał dobrego wyboru, płomień serca Arthura Stuarta stawał się coraz silniejszy. Calvin zbliżał się do niego!

Uciekinierzy zatrzymali się pod murami miasta; miał okazję ich dogonić. Arthur Stuart niezdarnie otwierał dziurę w murze, zajęło mu to mnóstwo czasu. No i dobrze, pomyślał Calvin. Dobiegł w chwili, gdy ostatni żołnierz zniknął w otworze. Calvin podbiegł i skoczył.

Za murem rósł sad; Arthur Stuart, Bowie i inni biegli między drzewami. Ale biegli jakoś dziwnie – trzymając się za ręce! Na litość, co za głupota! W ten sposób nie osiągną pełnej szybkości.

Choć, co dziwne, biegli bardzo szybko. Nikt się nie potykał. Nikt nie zwalniał. Przeciwnie, coraz bardziej przyspieszali i chociaż Calvin pędził co sił w nogach, nie potrafił ich dogonić. I biegło mu się o wiele gorzej niż im. Gałęzie smagały go w twarz, potykał się o korzenie, raz nawet upadł, a kiedy się podniósł, tamci znikli mu z oczu. Zaczął szukać płomienia serca Arthura Stuarta i nie mógł go znaleźć. Ani żadnego innego. Tak jakby przestali istnieć. Zostały tylko drzewa, ptaki, owady i odległe wrzaski dobiegające z miasta i dróg.

Calvin zatrzymał się i obejrzał. Miasto stało na wzniesieniu. Gdzieś tam leżeli jego towarzysze podróży z wyrwanymi sercami, a Arthur Stuart oddalał się w przeciwną stronę z dziesiątką najlepszych – na tyle inteligentnych, by

działać, zamiast planować. Dlaczego po mojej stronie zawsze stają idioci? – pomyślał Calvin.

Popocatepetl wypluwał w powietrze kłęby białego popiołu, który spadał na miasto jak gorący śnieg. Niemal od razu wdzierał się do płuc, parzył je. Calvin skupił się na oczyszczeniu z popiołu powietrza wokół siebie i ruszył w stronę, w którą zmierzała grupa Arthura Stuarta.

Biegł, truchtał, a kiedy bardzo się zmęczył, szedł. Ani razu nie dostrzegł nawet mgnienia grupy Arthura Stuarta i nie znalazł ich śladu. Ale wspinał się coraz wyżej zboczem doliny ku wzgórzom, a kiedy zapadły ciemności, znalazł pusty dom z palonej cegły. Otoczył go zaporą, by do środka nie dostało się zanieczyszczone powietrze; w jej grubych ścianach zostawił tylko parę otworów wentylacyjnych. Potem padł na matę z łodyg kukurydzy i zasnął.

Gdy się obudził, było ciemno. Słońce wzeszło, lecz przez unoszący się w powietrzu popiół wyglądało jak brudnoczerwona tarcza. Już ranek. Ile czasu zostało do wybuchu? O której pojawił się dym?

Nieważne. Tego się nie da przewidzieć. Trzeba iść. Dziś nie mógł już biec, zwłaszcza że droga prowadziła stromym zboczem w górę, a ziemia trzęsła się tak bardzo, że upadłby, gdyby usiłował przyspieszyć kroku.

Był jeszcze daleko od górskiego grzbietu, kiedy wulkan bluznął ogniem. Calvin zdążył jedynie ukryć się za stertą głazów, które wzięły na siebie pierwszą falę uderzeniową. Była tak potężna, że kamienie by się rozpadły i potoczyły w dolinę, gdyby ich mocno nie trzymał. A kiedy dmuchnął rozpalony powiew, który wypalił życie na swojej drodze, Calvin otoczył się bańką chłodnego powietrza.

Gdy minęła pierwsza fala, ruszył przez płonący świat, nie rozpraszając bąbla chłodnego powietrza wokół siebie. Odwrócił się i ujrzał lawę spływającą zboczami góry niczym woda z pękniętej zapory. Nie płynęła na miasto, ponieważ miasta już nie było. Pierwsza fala uderzeniowa zrównała z ziemią wszystkie budynki. I nigdzie nie było ani śladu życia. Woda w jeziorze wrzała.

Calvin przez chwilę zastanawiał się, czy którykolwiek z uczestników wyprawy przeżył na tyle długo, by zginąć w wybuchu. Pewnie nie. Ale czy ktoś może wyrokować, która śmierć jest lepsza? Żadna nie jest dobra. A Calvin właśnie się o nią otarł.

Lecz otarcie się o śmierć to jeszcze nie śmierć.

Ochłodził ziemię, by nie przepaliła mu podeszew, i powoli zaczął się wspinać. Przed zmrokiem dotarł do górskiego grzbietu, potem ruszył w dół po stoku nietkniętym przez ogień. Popiół padał także tutaj, ale zbocze stanowiło osłonę. Calvin zjadł parę owoców prosto z drzewa. Musiał je wytrzeć z popiołu.

Były częściowo ugotowane – popiół był gorący – ale jemu wydały się boskim nektarem.

Jeszcze raz ocaliłem życie, myślał. Moja misja na tym świecie jeszcze nie dobiegła kresu.

Teraz mogę iść na północ i sprawdzić, co porabia Alvin. Może czas, żebym zaczął się uczyć tego, co umie Arthur Stuart. Jeśli ten pół-Czarny chłopak potrafił to sobie przyswoić, ja też mogę, i to dziesięć razy lepiej.

Tenskwa-Tawa przyglądał się spomiędzy drzew, jak Maria od Zmarłych, Rien i La Tia wyjmują kryształową kulę.

– Musimy zrobić coś dobrego dla Alvina, on robi dobre dla nas – powiedziała La Tia.

– Może powinniśmy go spytać, czego pragnie – odezwała się Maria od Zmarłych.

– Nie ma go tu – odparta La Tia.

– Mężczyźni nigdy nie wiedzą, czego chcą – powiedziała Rien. – Myślą, że chcą to, potem dostają, to już nie chcą.

– Taka jest historia twego życia, mamó? – spytała Maria od Zmarłych.

– Nazywam ją Marie d’Espoir – wyjaśniła Rien La Tii. – Maria od Nadziei. Ale może Marie de la Morte to właściwe imię. Ona mi przynosi śmierć.

– Nie – odparła La Tia. – Mężczyźni to twoja śmierć, a to wiem bez tej kuli.

– Jestem za stara na mężczyzn.

– Ale oni nigdy nie są za stare dla ciebie, Caterina – powie działa La Tia. – Teraz patrzmy, co Alvin chce najbardziej.

– Potrafisz jej rozkazać, żeby ci pokazała, co chcesz? – spytała Maria od Zmarłych.

– Zawsze pokazuje mi dobre rzeczy.

– A mnie zawsze złe.

– Widzisz? – wtrąciła Rien. – Moja *filie n’a pas d’espoir*.

– Mam nadzieję, mamó – odpowiedziała Maria od Zmarłych.

– Ale także doświadczenie.

– Patrz – rzuciła La Tia. – Widzisz, co ja widzę?

– Przecież nigdy tak nie jest.

– Ja widzę Alvin z synem. To on chce najbardziej.

– Ja go widzę z kobietą. Za tym najbardziej tęskni – powie działa Rien.

– Ja go widzę klęczącego nad grobem dziecka – dodała Maria od Zmarłych. – Tego najbardziej się boi.

– Na to mogę zrobić uroka – oznajmiła La Tia.

Tenskwa-Tawa wyszedł spomiędzy drzew.

– Nie rób dla niego uroków.

– Wiedziałaś, że tam jesteś, Czerwony Prorok.

– Wiedziałem, że wiesz. Ten kryształ pokazuje to, co chcesz zobaczyć, nie

zawsze prawdę.

– Ale ja chcę zobaczyć prawdę – zaprotestowała La Tia.

– Każdy tak myśli. To kolejne kłamstwo, którym się oszukujemy.

– Jego serce czarniejsze niż Marii od Zmarłych, tak.

– Alvin klęczał nad grobem swojego pierworodnego – powie dział Tenskwa-Tawa. – Dziecka, które urodziło się zbyt wcześnie, by przeżyć. Nie mieszajcie się.

– Daj mu kobietę, co on kocha – odezwała się Rien. – Wiem, że masz na to urok.

– On już ma kobietę, którą kocha – rzekł Tenskwa-Tawa. – Niedługo urodzi mu dziecko.

– Daj mu moc, by uratował dziecku życie – powiedziała Maria od Zmarłych.

– On ma taką moc – odparł Tenskwa-Tawa. – Wie, czego było potrzeba temu pierwszemu dziecku, tylko nie zdążył na czas.

Uduśliło się, zanim zdołał nauczyć jego płuca oddychania.

– Czas – podchwyciła La Tia. – Tego potrzebujemy.

– Masz na to urok? – spytała Rien.

– Muszę myśleć.

– Dajcie mu spokój – rzekł Tenskwa-Tawa. – Niech żyje, jak żyje. Niech ma takie życie, jakie tworzy.

– A czy on daje nam spokój? – spytała Maria od Zmarłych. – Czy nie uleczył mojej matki?

– Jestem zdrowsza, niż byłam – powiedziała Rien. – Miałam francuską chorobę, od dawna, na długo przed żółtą febrą, ale to też naprawił.

– Czy on zostawia Czarnych w kajdanach? – ciągnęła La Tia.

– Ale on wie, co robi.

La Tia odrzuciła głowę do tyłu i ryknęła śmiechem.

– On! On nie wie nic! On robi najlepsze on myśli, że najlepsze, a jak się nie udaje, to robi najlepsze on wtedy myśli, że najlepsze. Jak my wszystkie!

Tenskwa-Tawa pokręcił głową.

– Nie zaczynajcie z jego dzieckiem ani żoną. Nie.

– Czerwony Prorok rozkazuje Czarnej Królowej? – spytała La Tia.

– Lolla-Wossiky był niewolnikiem nienawiści. Wściekłość go zaślepiła. Alvin mnie uwolnił, Alvin przywrócił mi wzrok. Ja ni gdy go nie uwolnię. Nigdy nie przywrócę mu wzroku. To on przy szedł na ten świat, żeby nas błogosławić, nie odwrotnie.

– Ty rób, co ty chcesz – oznajmiła La Tia. – Ja mu odbłogosławię.

Margaret przez cały dzień przygotowywała się do podróży do Vigor Kościoła. Nie miała zbyt wiele bagażu – pakowanie zajęło jej najmniej czasu, ale musiała napisać wiele listów, wezwać ludzi z bliska czy z daleka... Tych, którzy wiedzieli, że Alvin już teraz zbuduje Miasto Stwórców. Ludzi, którzy przybędą i zajmą miejsce u jego boku, jeśli tego zechcą, jeśli zdołają się wyrwać.

Musiała także zadbać o powóz. Dostrzegła wiele ścieżek, na których podróż za bardzo ją zmęczyła i zmusiła dziecko do szybszego nadejścia. To dziecko nie może się urodzić za wcześnie. Już teraz było w jej łonie dłużej niż pierworodny, ale jeszcze nie dość długo. Jeżeli jej syn urodzi się podczas podróży, umrze.

Dlatego wynajęła najlepszy powóz w mieście – należący do młodego lekarza. Lekarz usiłował protestować, powiedział, że w jej stanie wszelkie środki lokomocji są wykluczone. „Proszę zostać tutaj do porodu”, powiedział. „Podróż narazi na niebezpieczeństwo i dziecko, i panią. Myśli pani, że jest z żelaza?”.

Nie, nie miała takich złudzeń. Talent żagwi nie pozwalał jej też widzieć wszystkiego wyraźnie. Przyszłość dziecka była niemal tak samo mglista i zawikłana jak przyszłość Alvina. Miała wielkie luki. Nawet gdyby dziecko nie odziedziczyło talentu po Alvinie, i tak było wpłątane w tę samą tajemnicę, ten sam konflikt praw przyczyn i skutków. Margaret nie wiedziała, co się stanie z dzieckiem, jeśli wyruszy w podróż lub zostanie. Ale zdawała sobie sprawę, że jest potrzebna Alwinowi w Noisy River, a po drugiej stronie mgły widziała kilka ścieżek, na których stała z dzieckiem w ramionach, u boku Alvina, na cyplu nad zamgloną rzeką. Były to jedyne ścieżki, kiedy widziała siebie trzymającą dziecko. Więc zamierzała się wybrać do Vigor Kościoła, do rodziny Alvina, zaprosić ją i wszystkich ze szkoły Stworzycieli do Noisy River, by pomogli Alwinowi budować Kryształowe Miasto. A jeśli się z nią wybiorą, nie będzie podróżować samotnie.

Measure, brat Alvina, był do niego najbardziej podobny. Nie pod względem mocy – choć był pojętnym uczniem, na miarę swoich możliwości. Przypominał Alvina swoją dobrocią. Może nawet był od niego bardziej współczujący i cierpliwy. I o wiele lepiej potrafił oceniać charakter innych ludzi. Gdyby Alvin miał Measure'a u boku, nigdy by się nie uskarżał na brak mądrości, myślała. Kto może wiedzieć lepiej ode mnie, że widzenie przyszłości nie pozwala na dobry wybór? Bo zbyt koncentruje się na strachu. A człowiek szlachetny podejmuje decyzje, które nie zatrują jego serca.

Dlatego była pewna, że powinna jechać do Vigor Kościoła, a stamtąd – do Alvina. Strach podpowiadał jej, że musi zostać, nadzieja nakłaniała ją do drogi. Nadzieja, że może się stać dobrą żoną i matką. Taką, która urodzi żywe dziecko.

Dlatego przez cały dzień wyściełała wewnątrz powozu, a robotnicy wymieniali resory. Wybrała konie, które będą biec w równym tempie, co jej nie zmęczy. Spakowała skromny dobytek, napisała listy. Pod koniec dnia padała ze zmęczenia. I dobrze, bo zaśnie bez lęku, wstanie rano, wypoczęta i wyruszy na spotkanie męża, by złożyć mu dziecko w ramiona.

Właśnie się rozbierała, kiedy poczuła pierwsze bóle.

– Nie! – krzyknęła stłumionym głosem. – O Boże, nie, jeszcze nie teraz!

Położyła ręce na łonie i ujrzała, że dziecko naprawdę już nadchodzi. Było ułożone we właściwym kierunku, zdrowe, ale nie do strzegła jego przyszłości. Jej syn miał się urodzić tylko po to, by umrzeć, tak jak jego brat.

– Nie! – szepnęła.

Podeszła do drzwi.

– Papo!

Horacy Guester nalewał ostatnie drinki nocnym gościom, ale miał czujny słuch, jak zwykle karczmarz, gotów podchwycić wszystkie prośby i zamówienia. Zjawił się po chwili.

– Dziecko urodzi się zaraz – powiedziała.

– Poślę po akuszerkę.

– Za wcześnie. Poród będzie łatwy, ale dziecko umrze.

W oczach jej ojca stanęły łzy.

– Ach, Peggy, wiem, ile to kosztowało twoją matkę... te dwa maleńkie groby na wzgórzu za domem. Nigdy nie chciałem, żeby i ciebie to spotkało.

– Ani ja.

– Ale i tak poślę po akuszerkę. Nie powinnaś być sama w takiej chwili, a ojcu nie wypada oglądać córki, gdy rodzi.

– Dobrze – zgodziła się Margaret.

– Nie powinnaś rodzić w pokoju, gdzie na świat przyszedł ojciec tego dziecka.

– Nie znajdę lepszego miejsca. To pokój, w którym nadzieja zatryumfowała nad rozpaczą.

– Więc nie trać nadziei, mała Peggy. – Ojciec pocałował ją w policzek i odszedł pośpiesznie.

Mała Peggy. Tak ją nazwał. W tym pokoju jestem Peggy. To imię mojej matki. Gdzie ona teraz jest, ta zawzięta, mądra, silna kobieta? Była za silna dla

mnie i wszystkich innych. Teraz to widzę. Za silna dla męża. Miała taką wolę, że nawet los nie mógł się jej sprzeciwić. Może dlatego zdołałam uratować życie małemu Alwinowi, gdy się urodził – bo moja matka sobie tego życzyła.

Może stała się tak nieugięta, bo straciła dwoje dzieci.

A może po prostu żyję w jej cieniu do tego stopnia, że ja także muszę pochować dwoje pierwszych.

Po policzkach potoczyły się jej łzy. Nie zdołam przez to przejść po raz drugi. Nie jestem tak silna jak mama. To mnie nie wzmocni. Ledwie starczyło mi odwagi, by pozwolić Alwinowi dać mi to drugie dziecko. Jeśli stracę i to, czy się odważę jeszcze raz? Nie czuję tej odwagi. Nie zdołam tego zrobić.

Akuszerka zastała ją zapłakaną, na łóżku.

– O, co też pani narobiła? Cała pościel poplamiona! Dlaczego jej pani nie zdjęła? I ta piękna bielizna też! Jaka strata...

– Co mnie obchodzi ubranie! – krzyknęła dziko Margaret. – Ja stracę dziecko!

– Jak pani może... – Ale akuszerka doskonale wiedziała, dla czego Margaret Larner mówi coś takiego, i zamilkła. – Nie godzi się – wymamrotała tylko pod nosem. – Nie godzi się oplakiwać własnego dziecka, zanim się jeszcze urodzi.

– Żałuję, że wiem, co będzie – jęknęła Margaret. – O Boże, proszę, obym się myliła!

Wystarczyło jedno parcie, a dziecko, małe i chude, wyśliznęło się prosto w nadstawione dłonie akuszerki.

Pustka w ciele sprawiła Margaret większy ból niż skurcze.

– Nie! – krzyknęła. – Nie przecinać pępowiny! Nie!

– Ale dziecko musi...

– Nie umrze, dopóki pępowina łączy je ze mną.

Przeprawa przez rzekę się rozpoczęła, ale nie była specjalnie widowiskowa. Ludzie spodziewali się czegoś innego, lecz Alvin uparł się, żeby przeprawili się na drugi brzeg w łodziach, na tratwach, w kanoe, w czymkolwiek, co unosi się na wodzie.

– To potrwa tygodniami – powiedział Verily.

– Wiem – odparł Alvin.

– To dlaczego...

– Pierwsi, którzy się przeprawią, zaczną ścinać drzewa i budować szałas. Trzeba przygotować mieszkania dla dzieci. Sześć tysięcy osób ma przybyć jednocześnie tam, gdzie nie ma żadnego schronienia? Ludzie Tenskwa-Tawy

mogą ich gościć przez jakiś czas. Starczy im jedzenia, żeby się podzielić. A po naszej stronie... No, Verily, to już ty będziesz wiedział, jak dopasować do siebie różne rzeczy.

– Ale powinienem pracować razem z Lincolnem nad dokumentem...

– Komu mam powierzyć dowodzenie, jeśli nie tobie? To ty sporządziłeś plan miasta. Kto zna je lepiej od ciebie? Arthur Stuart jeszcze nie wrócił z Meksyku, poza tym jest za młody, żeby mówić ludziom, gdzie mają budować domy, a gdzie uprawiać pola. La Tia nie zna się na budowaniu. Mike Fink? Rien? Komu mam zaufać?

– Sobie.

– Nie mogę. To nie moje zadanie.

– Ale twoje miasto.

– Nie dziś. Dziś nie mam żadnego miasta. Dziecko przygotowuje się do przyjścia na świat.

Verily dopiero po chwili uświadomił sobie, o jakim dziecku mowa.

– Już?

– Niedługo. Myślisz, że obchodzi mnie ktokolwiek z tych sześciu tysięcy, kiedy moje dziecko ma umrzeć?

Verily wyglądał, jakby dostał w twarz.

– Umrzeć – powtórzył. – I ty, który uzdrowiłeś tak wielu...

– Wielu, lecz nie wszystkich. Pierwsze umarło. To nie urodzi się tak wcześnie, ale...

– Spróbujesz je uratować?

– Zrobię, co będę mógł. Ty zacznij budować miasto. Jest tak samo twoje, jak moje. Ty także trzymałeś pług.

Verily przyjął do wiadomości jego racje i poważnie pokiwał głową.

– Tak było.

Odwrócił się i odszedł.

Alvin usiadł samotnie na kamieniach nad źródłem. Nabrał wody w dłoń. Zaczął pić, ale po chwili woda pociekła mu na ubranie, a on zapłakał, kryjąc twarz.

I wtedy, daleko stąd, w tym samym pokoju, w którym niegdyś wyszedł na świat z łona matki, jego żona jednym potężnym wysiłkiem wypchnęła dziecko na zewnątrz i Alvin nie miał już czasu na rozpacz, bo choć wiedział, że może nie uratować dziecka, musiał spróbować.

Przynajmniej tym razem nie było niezdarnych poszukiwań. Dokładnie wiedział, co jest nie tak – płuca, jeszcze nie całkiem ukształtowane, maleńkie organy, jeszcze niegotowe do filtrowania powietrza do krwi. Tym razem

tkanka była nieco lepiej ukształtowana; powietrze mogło się przez nią przedostawać. A pępowina z jakiegoś powodu nie została jeszcze odcięta. Wkrótce łożysko oddzieli się od ścian macicy, ale na razie powietrze nadal przedostawało się do krwi dziecka. Zostało niewiele czasu. Za mało. Płuca trzeba by przygotowywać godzinami, a łożysko nie będzie zwlekać tak długo.

Ale nie rozmyślał nad tym, czego nie mógł zrobić. Po prostu zabrał się do pracy; powiedział maleńkiej cząsteczce płuc, co ma robić, pomógł jej, a potem zabrał się do następnej i jeszcze innej. Za każdym razem było coraz łatwiej, bo tkanki zmieniały się szybciej, kiedy przylegały do tych na tyle dojrzałych, by zmienić powietrze w to, co powinno znaleźć się we krwi.

Wydawało się, że serce dziecka zwolniło – przez chwilę Alvin myślał, że przestało bić. Ale nie, biło, tylko bardzo, bardzo ospale – a on pracował gorączkowo, żałując, że nie potrafi stworzyć dojrzałej tkanki od razu, jakby ktoś chlusnął wapnem na ścianę. Musiał to robić powoli, niczym koronczarka, która cierpliwie splata węzełek za węzełkiem, aż stopniowo zmienia się w koronkę.

– Muszę przeciąć – powiedziała akuszerka. – Pani zna się na swoim fachu, no pewnie, ale ja na swoim też i nie można czekać, aż łożysko wyjdzie samo!

– Jak on łapie powietrze! – szepnęła Margaret. – Niemal jak by miał nadzieję przeżyć.

I nagle, obserwując jego szybkie oddychanie, czując gwałtowne bicie serca, zaczęła widzieć wyłaniające się z ciemności ścieżki. Jej syn nie umrze. Będzie żyć. Upośledzony umyślowo z powodu braku powietrza, ale będzie żyć. Nie bała się – może Alvin zdoła go wyleczyć, tak, jeśli Alvin go teraz widzi, może...

Pojawiało się coraz więcej ścieżek, coraz liczniejsze, teraz było już kilka takich, gdzie jej syn nie był upośledzony, gdzie mógł się nauczyć chodzić jak normalne dziecko, tak, chodzić, mówić i...

Teraz otworzyły się już wszystkie ścieżki, normalne życie – ale było coś, co powinna zrobić.

– Proszę przeciąć pępowinę – powiedziała. – Już potrafi samodzielnie oddychać.

– Wreszcie – mruknęła akuszerka. Obwiązała pępowinę nitką, a potem następną jakieś dwa cale dalej. Przeciągnęła ostrym nożem pomiędzy węzłami.

Łožysko wysliznęło się na czyste szmaty na łóżku.

Dziecko miauknęło; nie był to zdrowy krzyk noworodka, który urodził się o czasie. Biedactwo było chudziutkie, ale potrafiło oddychać. Teraz niemal na wszystkich ścieżkach widać było trzymającego go w objęciach ojca, gdy we

trójkę – ojciec, matka i syn – stali na cyplu nad rzeką.

Odgłos rąbania drewna wytrącił Alvina z głębokiej koncentracji. Minęło wiele godzin, odkąd zaczął pracować nad płucami dziecka, ale jakoś udało się przeżyć, a teraz zadanie zostało zakończone. Dziecko oddychało o własnych siłach. Pępowina była przecięta. A Alvin z zaskoczeniem przekonał się, że nadal jest jasno. Widać pracował przez cały dzień.

Podniósł się z kamienia, zeszywniały po tak długim siedzeniu w jednej pozycji. Podszedł na skraj cypla. Spodziewał się, że ujrzy wiele ściętych drzew.

Tymczasem dostrzegł tylko oddalającego się Verily'ego. Co on sobie wyobraża? Przychodzi tu, żeby mnie pilnować? Czy on myśli, że sam sobie nie poradzę?

Zamiast dziesiątek drwali ujrzał tylko jednego, który w dodatku nie wydawał się mieć konkretnego planu.

Co Verily robił przez cały dzień, kiedy walczyłem o życie dziecka?

Ale kiedy miał już niecierpliwie krzyknąć do Verily'ego, zauważył jego cień – długi, kładący się na zboczu wzgórza, zwrócony ku zachodowi.

Nadal był ranek. Późny ranek. Verily zostawił go zaledwie parę minut temu. Jakimś cudem te długie godziny pracy – Alvin był tak obolały, że to po prostu musiały być godziny – skoncentrowały się w tych paru minutach.

– Verily! – krzyknął. – Stój!

Verily odwrócił się i zaczął czekać, aż Alvin podbiegnie, potykając się i ślizgając po zboczu.

– Co się stało? – spytał.

– Ile czasu upłynęło od naszej rozmowy?

Verily spojrzał na niego jak na wariata.

– Trzy minuty.

– Udało mi się. Jakimś cudem zdołałem to zrobić!

– Co?

– Dziecko się urodziło. Potrafi oddychać. Żyje!

Dopiero teraz Verily zrozumiał.

– Bogu niech będą dzięki!

– Tak – powiedział Alvin. – Dziękuję Bogu.

Po czym wybuchnął płaczem i długo szlochał w ramionach przyjaciela.

Fundamenty

Oparty o kominek Alvin przyglądał się, jak Margaret karmi małego Vigora.

– Nieźle się przyssał – zauważył.

– Jak kleszcz – powiedziała. – Nie mogę go oderwać, dopóki nie napije się do syta.

– Jest coraz silniejszy, nie sądzisz?

– Nabiera ciała. Ale nie będzie tłusciutki.

– I dobrze. Nie chcę wychować rozpieszczonego bachora.

– Wychowasz go na tego, kim jest. A jeśli ktoś ma go rozpieścić, to tylko ty.

– Na tym mniej więcej polega mój plan.

– Nie chcesz, żeby był rozpieszczony, ale zamierzasz go rozpieścić.

– Nic na to nie poradzę. Jedyne ratunek dla tego chłopca to kolejne dziecko, które też będzie wymagało czasu i uwagi.

– Zrobię co w mojej mocy.

– Nie tęsknisz do podróżowania? Do świata wielkich spraw?

– Teraz nie widzę nic poza tym miastem. Usiłuję zapomnieć, że świat zmierza ku wojnie. Udaję, że wojna nie przekroczy gra nic naszego małego hrabstwa.

– Nie takiego małego. Very i Abe ustanowili dobre granice.

Jest mnóstwo miejsca na rozwój.

– Martwi mnie raczej to, ile osób może się w nim rozwijać.

– Nie mogę ich zmusić.

– Wiem.

Vigor zakończył śniadanie. Alvin obrał ugotowane jajka i pokroił je dla siebie i żony.

– Burmistrz najszybciej rozwijającego się miasta w Noisy River, a sam musi przyrządzać sobie śniadanie – zauważyła Margaret.

– Przyrządzam śniadanie tobie, a to wielka różnica.

– Oho, aleśmy zakochani.

Dawny ból i samotność wróciły pomiędzy nich.

– Zawsze starałam się robić to, co najlepsze – powiedziała.

– Wiem.

– A czasami najlepiej było nie mówić ci, co wiem.

Alvin nie odpowiedział.

– Nigdy byś nie pojechał do Barcy. Nigdy byśmy nie zebrali tych ludzi, trzonu Miasta Stwórców.

– Może i tak bym pojechał do Barcy.

– Ale nie spotkałbyś Rien.

– Żółta febra rozprzestrzeniła się dlatego, że ją uratowałem?

Jesteś pewna?

– Na wszystkich ścieżkach, na których jej nie spotkałeś, umarła i nikt inny się nie zaraził.

Alvin uśmiechnął się blado i włożył do ust całe jajko.

– Przynajmniej umiem się zachować przy stole – powiedział, pryskając drobinkami żółtka.

– Tak, widzę, że opłaciły się lekcje, które ci dawałam. Nie mogę cię zaprowadzić między ludzi.

– Więc będziemy musieli siedzieć w domu.

– Nigdy więcej mnie nie posłuchasz, prawda?

– Słucham cię teraz.

– Ale nigdy nie zrobisz czegoś tylko dlatego, że według mnie powinienes.

– Nadal uważasz, że tylko ty możesz decydować? – spytał.

– Czy zmieniłaś się i doszłaś do wniosku, że powinienem znać konsekwencje moich czynów?

– Przecież obiecałam ci to już z dziesięć razy.

– Ale mnie nie przekonałaś. Wierzę, że teraz mówisz szczerze, lecz za jakiś czas, kiedy będziesz się zastanawiać, co mi po wiedzieć, a co przemilczeć, znowu zaczniesz przede mną ukrywać informacje, jeśli twoim zdaniem będą mogły mi zaszkodzić.

– Jesteś dla mnie najważniejszy na świecie, przecież wiesz.

– Aha.

– I dziecko.

– Dziecko jest małe, na razie nie może sobie narobić wielkich kłopotów.

– Ty to potrafiłeś.

– Nawyk czuwania nade mną za głęboko się w tobie zakorzenił. Nie mogę uwierzyć, że pozwolisz mi podejmować decyzje.

– Możesz. Poza tym nie muszę ci teraz wszystkiego mówić.

– Nie panuję nad tym, co mi pokazuje kryształowa kula. To nie to samo, co twój talent.

– To coś lepszego.

– Moim zdaniem z wody i krwi powstało raczej lustro niż okno.

– A moim zdaniem pokazuje ono dobrym ludziom, jak czynić dobro, a złym – zło. Nie przyjdiesz pytać mnie, co robić, kiedy zobaczysz w ścianach tego domu, co jest dobre i właściwe.

– Nie wiadomo, czy będziemy mogli nazwać go domem.
– To nie kaplica. Nikt tam nie będzie odprawiać nabożeństw.
– Może raczej fabryka. Albo gabinet krzywych luster, jak w wesołym miasteczku w Nowym Amsterdamzie. Wtedy byłby domem śmiechu.
– Więc jednak to jakiś dom. Miałam rację.
– Nie powiedziałem, że nie masz racji, tylko że chciałbym o tym zdecydować sam.
– Ty byś wybrał źle, ale świadomie, chętniej niż dobrze i nie świadomie.
– No, skoro tak to widzisz... Czyli celowo robię z siebie idiotę?
– W rzeczy samej.
– Naprawdę muszę być burmistrzem? Wolałbym przez cały dzień robić... kryształ.

– Wszyscy i tak pytają cię o zdanie, czy jesteś burmistrzem, czy nie. A ty nad nimi czuwasz, strzeżesz granic. To ty sprawiasz, że odszukiwacze niewolników nieustannie gubią drogę. To ty wpadłeś na pomysł, że osuszenie bagien zapobiegnie malarii.

– Measure podsunął mi ten pomysł.
– To ty pilnujesz wszystkich niczym kwoka.
– Więc niech mnie nazywają kwoką.
– Co z tego, że nie dbasz o tę godność? I tak będziesz robić to, co do burmistrza należy. Byłoby niegrzecznie zmuszać kogoś do przyjęcia tego tytułu, skoro wszyscy i tak wiedzą, że ty jesteś prawdziwym przywódcą. Nie obarczaj nim nikogo innego, kto nigdy nie będzie miał twojego autorytetu.

– Nie sądziłem, że ktoś inny mógłby to robić – Wiem – oznajmiła Margaret surowo. – Bo nadal jesteś bez nadziejnie głupim wędrownym kowalem.

– Wiem.
– I wiesz, że się z tobą drocę.
– Ale ja naprawdę taki jestem. Nie chcę wznieść katedry z nadprzyrodzonego materiału. Chcę zbudować to miasto, w którym będą żyli ludzie. A ja mogę zrobić bloki najczystszej kryształu, mogę stworzyć pajęczynę krwi, która nada im mocny, nie wzruszony kształt. Możemy wznieść wysokie ściany, możemy przy nich siedzieć przez cały dzień, widzieć wspaniałe wizje lub drobne wspomnienia, zależnie od naszej woli. Ale nie potrafię zmienić na lepsze ani jednego złego człowieka.

– Możesz sprawić, że wielu dobrych ludzi stanie się jeszcze lepszymi.
– Nie. To muszą zrobić sami.
– No oczywiście, ale z twoją pomocą.

– Ja usiłuję z nich stworzyć wspólnotę, ale nie sędzę, żeby to się dało zrobić. Teraz, kiedy podróż dobiegła kresu, Francuzi nagle zaczęli się odsuwać od byłych niewolników. Byli niewolnicy domowi wynoszą się nad tych, którzy pracowali w polu. Czarni, którzy w Barcy byli wolni, wynoszą się nad obie te grupy, a ci, którzy jeszcze pamiętają Afrykę, mają się za królów świata...

– Prędszej królowe – mruknęła Margaret.

– No i są jeszcze ci, którzy od lat mi towarzyszyli. Przyjechali tu i uważają, że pozjadali wszystkie rozumy, ale nie wzięli udziału w marszu, nie przeszli przez kryształowy most, nie biwakowali w kręgu mgły, nie uciekali przez spiętrzoną Mizzippy, nie brali jedzenia od Czerwonych po drugiej stronie rzeki. Rozumiesz? Uważa ją, że zna ją mnie najlepiej, ale przebyli inną drogę, od tych ludzi dzieli ich wszystko, a ja nie potrafię tego zmienić. Nawet Verily może tylko załatać parę rozdarć tu i tam, a przecież ma do tego talent!

– Daj im trochę czasu.

– Czy to przetrwa? – spytał. – Czy to, co buduję, przetrwa dłużej ode mnie?

– Nie patrzyłam.

– I myślisz, że ci uwierzę?

– Kiedy chodzi o ciebie i twoje dzieło, nie zawsze wszystko jest dla mnie jasne.

– Patrzyłaś i widziałaś. Tylko nie chcesz mi powiedzieć.

Spod jej powieki wymknęła się jedna jedyna łza. Odwróciła głowę.

– Niektóre twoje dzieła cię przetrwają.

– Na przykład?

– Arthur Stuart. Jest twoim dziełem i doskonale się spisał.

– On buduje sam siebie.

– Alvinie! – rzuciła ostro. Potem jej ton złagodniał. – Alvinie, mój ukochany, jeśli ktokolwiek na świecie potrafi to zrozumieć, to tylko ty. Wszystko, co tworzysz, buduje samo siebie, a przynajmniej tak sądzi. Na tym polega Stwarzanie, prawda? Na przekonaniu różnych rzeczy, że chcą być takie, jak być powinny. Najtrudniej przekonać ludzi. I to wszystko.

– Czy tylko Arthur Stuart mnie przetrwa?

Pokręciła głową.

– Masz rację. Nie mogę dotrzymać słowa. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. – Spojrzała mu w twarz. Po policzkach płynęły jej strugi łez, oczy były pełne tęsknoty i żalu. – Ale nie dlatego że chcę tobą manipulować czy zmusić cię do zrobienia czegoś, czego byś normalnie nie zrobił. Daję ci słowo i tego słowa dotrzymam.

– Więc dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?
– Bo nie znoszę patrzeć w przyszłość. To okrada teraźniejszość z radości.
I nie dam ci takiego życia – żebyś widział koniec wszystkiego, kiedy dla wszystkich innych jest jeszcze nowe i pełne nadziei.
– Więc miasto upadnie.
– Twoje życie jest pełne wielkich osiągnięć – powiedziała. – Najlepsze z nich będą trwać przez wiele pokoleń. – Poprawiła śpiące dziecko w ramionach, wtuliła twarz w jego kocyk i zaczęła szlochać.
Alvin ukląkł obok, objął ją i pocałował jej ramię.
– Jestem złym mężem. Dręcę cię.
– Nieprawda – odparła głosem stłumionym przez kocyk i płacz.
– Prawda., – Jesteś jedynym mężem, jakiego chcę.
– Masz zły gust.
– Wiem.
– Mówisz mi, co powinienem wiedzieć, żeby być dobrym człowiekiem.
– Zawsze nim jesteś, czy ci coś mówię, czy nie.
– Tak mi mów, a nie będę pytać o nic więcej. – Pocałował ją.
– Żal mi, że nosisz taki ciężar.
– Mnie nie jest żal – odparła. – Taka jestem. Ale nie życzę te go nikomu innemu.

Arthur Stuart przyglądał się ludziom kopiącym dół pod fundamenty obserwatorium – Verily nalegał, by tak nazywać budynek. Ta nazwa spodobała się Arthurowi. Mężczyźni drążyli kamieniste podłoże wokół głazu, z którego trysnęła woda. Jego nie ruszano – miał pozostać w budynku, wieczne źródło czystego, chłodnego strumienia, który spływał po zboczu do Mizzippy. Nadeszła pora sucha, inne strumienie nie były już tak głębokie lub w ogóle wyschły, a w tym było tyle samo wody, co przez całe lato.

Czy mężczyźni kopiący rów pod fundamenty wiedzieli, że Alvin mógłby go oczyścić przez parę minut? Że zrobiłby to, pokazawszy ziemi, co powinna zrobić?

Była to jedna z tych przewrotnych sytuacji, które Alvin tak lubił; często zmuszał Arthura Stuarda do pracy, którą sam wykonałby w parę chwil. Na przykład jak wtedy, gdy przez pół lata kazał mu ciosać kanoe z grubego pnia. Teraz Arthur nauczył się Stwarzania na tyle, że potrafiłby to zrobić w dziesięć minut; i nieważne, że Alvin wyrobiłby się w dziesięć sekund. Arthurowi Stuartowi wystarczyłoby i dziesięć minut.

Ale teraz – dopiero teraz! – zaczęło do niego docierać, o co chodziło

Alvinowi. Nie o to, że drażnienie pnia pomogłoby Arthurowi nauczyć się, w jaki sposób wykorzystywać tajemną moc Stwarzania. O nie. Była to lekcja o głębszym, prawdziwszym przesłaniu: że Stwórca stanowi jedność z tym, co tworzy. Gdyby Alvin po prostu zrobił kanoe, byłoby to kanoe Alvina. Ale ponieważ Arthur Stuart tak ciężko pracował nad jego stworzeniem, było to także jego kanoe. On stał się jego częścią. A gdyby nie poznał drewna – kształtu wnętrza drzewa, jego konsystencji, sposobu, w jaki się z wolna spala, zachowując moc, a osmalone staje się jeszcze twardsze – czy teraz potrafiłby wnikać w nie przenikaczem i zrozumieć cechy żyjącego drzewa? Czy mógłby się stać Stwórcą, gdyby kiedyś, jako niezdarny chłopiec, nie pracował ciężko, w strugach potu spływających mu po czole i plecach?

Mężczyźni, którzy kopali rów pod fundamenty, nie mogliby wylać swojej krwi do Mizzippy i otrzymać bloków kryształu pełnego wizji. Za to potrafili kopać, więc kiedy ukończone obserwatorium wzniesie się wysoko w niebo, a ludzie będą do niego chodzić, by sprawdzić, co zobaczą, czego się dowiedzą – ci mężczyźni będą mogli powiedzieć: Budynek stoi na fundamentach, które wykopałem. Pomogłem zbudować to cudowne miejsce. Oprócz krwi Alvina Stwórcy jest w nim mój pot.

Na krańcu polanki stał mężczyzna. Przyglądał się nie kopiącym, lecz Arthurowi Stuartowi. Dopiero po chwili chłopiec zdał sobie sprawę, kto to taki.

– Bajarz! – krzyknął i rzucił się ku niemu pędem, przeskoczywszy przez rów w chwili, gdy jeden z mężczyzn miał właśnie wyrzucić szpadel pełen ziemi. Rozległo się wściekle przekleństwo, gdy kopiący musiał powstrzymać się w pół ruchu i wysypać ziemię sobie pod nogi. – Bajarz! Myślałem, że nie żyjesz!

Bajarz powitał go uściskiem. Ramiona miał mocne, ale słabsze niż wiele lat temu, gdy ostatnio się spotkali.

– Jak umrę, dowiesz się na pewno – powiedział Bajarz. – Nagle wszystkie dowcipy wyschną, plotki ucichną, ludzie posmutnieją i zamilkną, bo nie będą mieli co opowiadać.

– Pewnie słyszałeś, co tu robimy, i przybyłeś, żeby dodać to do swojej książki.

– Raczej nie. Już ją zapisałem do końca. – Bajarz wyjął spod skórzanej kurty gruby tom. – Każdą jej stronę do ostatniego miejsca. Dołożyłem nawet parę dodatkowych. Nie, przybyłem chyba dlatego, że wasz budynek zajmie miejsce książek takich jak moja.

– Mam nadzieję, że nie. Nigdy.

– Zobaczymy. Widzę, że jesteś o wiele wyższy, ale ani trochę mądrzejszy.

– Rozumu nie widać.

– Ja widzę.

– Chodźmy – powiedział Arthur Stuart. – Nawet ja mam dość rozumu, by wiedzieć, że Alvin i Peggy będą chcieli cię niezwłocznie zobaczyć.

– Niezwłocznie? – powtórzył Bajarz.

– Abe Lincoln uczy się prawa z Verilym Cooperem. Pozwala ją mi się przysłuchiwać.

– Wolałbym, żebyś mówił po angielsku jak wszyscy.

– Prawo to największy językowy bigos. Dwa rodzaje łaciny, dwa rodzaje francuskiego, trzy – angielskiego, a razem wychodzi z tego coś niestrawnego dla wszystkich oprócz prawników.

– I tak ma być. W ten sposób prawnicy zapewnili sobie stałą pracę, bo nikt oprócz innego prawnika nie zrozumie, co napisali.

Arthur sprowadził go zboczem ku płaskim terenom nad rzeką. Drzewa w większości znikły, przerobione na chaty i płoty.

– Teraz mieszka tu osiem tysięcy osób – wyjaśnił Arthur.

– I nadal połowa z nich to zbiegli niewolnicy, tak? – spytał Bajarz. – A zatem mogą w każdej chwili wrócić na południe?

– Tu wszyscy są obywatelami. A jeszcze żaden odszukiwacz nie zdołał zażądać oddania ani jednej osoby.

– Podobno hrabstwo Furrowspring sprzeciwiło się prawu Stanów Zjednoczonych, nie zgadzając się z zarządzeniem Sądu Najwyższego, jakoby właściciele niewolników mieli prawo do odzyskania swojej zbiegłej własności.

– No myślę – oznajmił dumnie Arthur Stuart.

– Zbiera się na wojnę, a ci, którzy chcą jej zapobiec, mogliby chcieć poświęcić to miasto.

– Niechby spróbowali. Przecież Alvin nad nami czuwa!

Bajarz tylko pokręcił głową.

Znaleźli Alvina nad rzeką, po kolana w błocie, zajętego wbijaniem słupów pomostu.

– Szacuneczek! – zawołał Alvin. – W samą porę! I tak przepadły ci najlepsze historie, biedaku. Co, za starzy jesteście, żeby na dążyć za młodzieńcami?

– Pewnie tak – odpowiedział Bajarz. – Choć mam dość rozumu, żeby nie pakować się po uszy w błoto.

– To nie jest zwykłe błoto – oznajmił Alvin. – To glina z Mizzippy. Chwyta człowieka i z miejsca ściąga mu buty z nóg.

– A to ci rekomendacja. Wystarczy zrobić kubek z takiej gliny, a wyssie ci herbatę z ust, tak?

Wszyscy się roześmieli.

– A jakby zrobić z niej dzban, wyssie wodę z suchego powietrza.

– Więc możesz nosić ze sobą nieco Mizzippy nawet na pustynię – dokończył Bajarz. – No, przy takiej reklamie pewnie byś sprzedawał dzbany po dolarze i w każdym mieście zarobił co najmniej pięćdziesiąt, pod warunkiem że zdążyłbyś prysnąć, zanim ludzie się zorientują, że to wszystko szwindel.

– To nie będzie szwindel, jeśli Alvin je zrobi! – krzyknął ktoś.

Wszyscy zaczęli wiwatować na cześć Alvina Stwórcy – ku je go wielkiemu zażenowaniu.

– No, jeśli zamierzacie marnować czas na wiwaty na cześć kogoś utyłanego w błocie, to lepiej zostawię was w spokoju i pójdę pokazać mojemu przyjacielowi, jak wygląda najpiękniejsze dziecko na świecie.

– To przy okazji pokaż mu swojego syna! – krzyknął jeden z robotników, co spowodowało kolejną falę śmiechu i wiwatów.

Alvin wygrzebał się z błota i wspinał się po zboczu; Arthur zauważył, że błoto ześliznęło się z jego ubrania, a woda wyschła. Alvin nie zrobił nawet trzydziestu kroków, a nikt by nie odgadł, gdzie przed chwilą pracował. Nie skorzystałby ze swego talentu, by oszczędzić tym ludziom chwili wysiłku, ale zrobił to, by uniknąć kąpieli! A może by Peggy nie musiała prać zabłoconych ubrań... więc chyba jednak wszystko było w porządku.

Minęli Measure'a, który dowodził grupą mężczyzn karczujących pniaki. Arthur Stuart doskonale wiedział, że Measure korzysta ze wszystkich wyuczonych stworzycielskich umiejętności, by wyciągnąć korzenie z głębokiej ziemi – ale ponieważ ludzie mieli mnóstwo ciężkiej roboty, Alvin nie skomentował tego ani słowem. Arthur Stuart doszedł do wniosku, że dopóki Measure używa talentu potajemnie, nikt nie będzie mu robić wyrzutów, że karczowanie idzie tak szybko.

Ale Measure zostawił pracę i poszedł z nimi. A kiedy znaleźli się w chacie Alvina, zastali w środku tłum kobiet. La Tia wyglądała niczym królowa kobiet w Furrowspring, wokół niej zgromadziło się coś w rodzaju wielkiej rady: przywódczyni marszu, w tym Marie d'Espoir, Rien i Mama Wiewiórka, a także kobiety, które znały Alvina i Peggy z dawnych czasów: Purity, młoda kobieta z Nowej Anglii, zwalczająca purytanizm w swoich kazaniach, nadal chyba zakochana w Verilym Cooperze – który ledwie ją dostrzegł – i Ryba, była niewolnica z Camelotu, która od czasu swojej ucieczki stała się kimś w rodzaju legendy abolicjonistów z północy. I, oczywiście, była też Peggy.

– Nie mogę zostać w tym pokoju – powiedział Bajarz. – Tyle tu wspaniałych pań. Nie mam szans, muszę się zakochać w was wszystkich.

Jestem w rozterce.

- Wytrzymasz – powiedziała Peggy sucho. – Chyba je wszystkie już znasz?
- A te, których nie znam, mam nadzieję wkrótce poznać – oznajmił Bajarz.
- Jeśli zaraz nie umrę z czystego szczęścia.
- Ten człowiek umie gadać – powiedziała La Tia z uznaniem.
- Nie wiedziałem, że macie spotkanie – odezwał się Alvin.
- Nie było zapraszam – zaznaczyła La Tia. – Moje spotkanie.
- Ale dobrze, ty zostań.
- O czym mówicie?
- Jak nazwać to, co się buduje – wyjaśniła. – Nie lubię, jak Verily nazywa.
- Peggy się roześmiała.
- Nikomu nie podobają się cudze nazwy. La Tia czyta Biblię.
- Znalazła nazwę.
- Wyprowadziłeś nas jak Mojżesz – podjęła La Tia. – A Arthur Stuart, on jak Jozue, jak ty poszedł. Nie jak Aaron, nie! My złoty cielec nie mamy! Ale my Księga Wyjścia. Wy budujecie, ja znajduję w Biblii. Tabernakulum.
- Alvin zmarszczył brwi.
- Brzmi jak sala spotkań kościelnych.
- *Oui!* – zawołała Rien. – Tylko nie ma kapłana, co udaje Boga. Od razu wchodzimy i dowiadujemy się, gdzie Bóg mieszka.
- W naszym sercu!
- Budynek jeszcze nie istnieje, a każdy już dużo wie, jak będzie funkcjonował – powiedział Alvin.

I oczywiście tak było. Alvin już zrobił trzydzieści dwa kryształowe bloki – wielkie, ciężkie, trudne w transporcie. Czekwały, aż zostaną złożone jako kamienie węgielne, ale chyba nie było w hrabstwie Furrowspring nikogo, kto nie przespacerowałby się korytarzem pomiędzy nimi i nie zajrzał w ich nieskończoną głębię. Wystarczyło tam wejść i człowiek czuł się, jakby wkroczył w miejsce większe od całego świata, w którym znalazło się wszystko, co było i będzie. Zwykły świat, widoczny na końcu tego lśniącego korytarza, wydawał się mały i ciasny. Jednak kiedy się wyszło pomiędzy bloków, stawały się małe i brzydkie. Tak, lśniły, odbijały drzewa, niebo, chmury i nawet rzekę, jeśli stanęło się w odpowiednim miejscu. Mały z zewnątrz, wielki od wewnątrz – o, wszyscy wiedzieli, jak będzie wyglądał ten budynek, kiedy budowa dobiegnie końca.

– W Biblii – powiedziała Marie d’Espoir – tabernakulum to miejsce, gdzie wstęp ma tylko kapłan. Wychodzi i mówi wszystkim, co widział. W naszym tabernakulum wszyscy są jak kapłani, wszyscy mogą wejść do środka,

mężczyźni i kobiety, zobaczyć, co zobaczą, i usłyszeć, co usłyszą.

– Podoba mi się – powiedział Alvin. – Wiem, że to nie powinien być kościół, szkoła ani nic w tym rodzaju. Tabernakulum pasuje, podobnie jak inne nazwy. Choć wiem, że Verily będzie zawiedziony, kiedy się dowie, że nie podoba się wam „obserwatorium”.

– Podoba – oznajmiła La Tia. – Ale ja nie mogę wypowiedzieć.

Ten argument zwyciężył. Kobiety zaczęły rozmawiać, w których domach brakuje ubrań dla dzieci, które są zbyt ciasne i niedogrzone, kto zachorował i potrzebuje pomocy. Zajmowały się ważnymi sprawami, ale nie potrzebowały obecności mężczyzn. Wkrótce Arthur Stuart znalazł się na dworze.

Alvin i Bazarz już wcześniej poszli obejrzeć budujący się duży dom, gdzie zamieszkała rodzina Papy Łosia i Mamy Wiewiórki.

– Pięćdziesięcioro siedmioro dzieci – powiedział Bazarz. – I wszystkie urodziła Mama Wiewiórka.

– Mamy na to prawne dokumenty – wyjaśnił Alvin. – W do datku wiemy, że kolejne kilkanaście dzieci już jest w drodze.

– Niezwykła osoba – zauważył Bazarz. – A wydawała mi się taką drobną kobietką.

Arthur Stuart spojrział na cypel. Dom stał w doskonałym miejscu. Tylne drzwi wychodziły na rzekę; można było przez nie sprawdzić, czy w nowej przystani znajdują się jakieś łodzie. A z frontowych rozciągał się widok na miejsce, w którym stanie... tabernakulum. Teraz widać było dwa rzędy kryształowych bloków.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Podskoczył.

– Marie! Przestraszyłaś mnie.

– I dobrze – powiedziała. – Taki z ciebie Stwórca, a dalej nie zauważasz kobiet.

– O, ciebie zauważam.

– Wiem. Bez przerwy. Sprawdzasz, gdzie jestem, żeby być zupełnie gdzie indziej.

– No, nie powiedziałbym...

Tak właśnie robił. Tylko dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Boisz się, że znowu cię pocałuję? – spytała.

– To mi nie przeszkadza.

– Albo że cię już więcej nie pocałuję?

– Mogę żyć i bez tego, jeśli tak chcesz.

– Głupi! Mówi się: nie mogę żyć bez twoich pocałunków.

– A ja mogę.

– Dobrze. – Żartobliwie musnęła jego ramię, jakby strzepywała z niego pyłek. Potem zawróciła do domu.

– Ale nie chcę – dodał Arthur Stuart.

Nie był pewien, skąd właściwie wzięła mu się odwaga, żeby to powiedzieć. Może stąd, że to była prawda. Nie potrafił przeżyć godziny bez myśli o Marie i o tym, czy pocałowała go w żartach, czy na serio i jak ma się tego dowiedzieć. Te słowa po prostu się mu wyrwały.

Wróciła do niego.

– Jak bardzo nie chcesz żyć bez moich pocałunków?

Wziął ją w ramiona i pocałował, pewnie z większym zapalem niż wprawą, ale Marie nie była nastawiona krytycznie.

– Wystarczy, by to zrobić przed Bogiem i wszystkimi – rzekł.

– Ach! Patrz, co narobiłeś!

– Co?

– Pocałowałeś mnie tak mocno, że teraz jestem w ciąży.

Zanim do niego dotarło, że to żart, znieruchomiał z głupią miną. Marie zaczęła się śmiać – i nic dziwnego.

– Dlaczego zawsze jesteś taki poważny?

– Bo kiedy cię całuję, to nie jest dla mnie zabawa.

– Życie jest zabawą – odparła. – Jest grą, a ty i ja... razem możemy wygrać.

– Coś proponujesz?

– Może.

– Na przykład małżeństwo?

– To powinien zaproponować mężczyzna.

– A gdybym tak zrobił, zgodziłabyś się?

– Tak – powiedziała. – Jak tylko Purity zgodzi się wyjść za Verily Coopera.

– Ale on nie poprosił jej o rękę.

Marie roześmiała się wesoło i uciekła do domu. Arthur Stuart był przekonany, że pomiędzy nim a Marie d'Espoir dzieje się coś bardzo głębokiego – tylko nie miał pojęcia co.

Odwrócił się i spojrzał na rzędy kryształowych bloków na cyplu. Pomiedzy nimi stali dwaj mężczyźni. Wpatrywali się w ściany. Rozpoznał ich natychmiast, nawet nie wysyłając przenikacza, by się upewnić. Jim Bowie i Calvin Miller.

– Alvin! – szepnął Arthur Stuart i ruszył biegiem wokół cha ty w miejsce, z którego mógł zobaczyć nowy dom Łosia i Wiewiór ki. Alvin i Bajarz stali przed frontem, Papa Łoś opowiadał – miał wiele planów, aż trzeba mu było przypominać, że dom to tylko dom – ale Arthur Stuart widział, że Alvin

spogląda w stronę bloków i widzi to samo co on.

Odłączył się od grupy i pobiegł na cypel. Bajarz i Papa Łoś poszli za nim – nieco wolniej.

Arthur Stuart znowu zajrzał do chaty.

– Peggy – powiedział, dając znak ręką.

– Nie, tak nie rób – odezwała się La Tia. – Ty ją zabierzesz, my zgadujemy, po co ona idzie. Zabierz nas wszystkie!

– Calvin wrócił – wyjaśnił Arthur Stuart. – I jest z nim pewien człowiek, zabójca. Poznałem go na rzece i w Meksyku. Powinienem się domyślić, kiedy zostawiłem go w True Cross, że znowu zejdzie się z Calvinem.

Kobiety zaczęły wstawać i iść za nim, ale nie czekał. Wbiegł na cypel; dotarł na miejsce równocześnie z Alvinem. Stanęli na końcu korytarza pomiędzy blokami.

– Calvin – odezwał się cicho Alvin. – Dobrze, że jesteś.

– Możesz mi pomóc? – odpowiedział Calvin. – Stary Jim Bo wie nie może się oderwać od tego, co widzi w twoich lusterkach.

– Widzi siebie – rzekł Alvin. – Tak jak ty.

– Chyba widzi coś więcej, choć nie potrafię odgadnąć co.

Czy to możliwe, że Calvin nie zobaczył w kryształach nic poza swoim odbiciem, takim jak w lustrze? Arthur Stuart pomyślał, że to możliwe – Calvin nie słyszał z głębokich przemyśleń. Może lustrzane ściany mają taką głębię jak osoba, która w nie spogląda? Ale bardziej prawdopodobne, że Calvin ujrzał takie same wizje jak wszyscy, lecz nie mówił prawdy – jak zwykle.

Alvin wszedł w korytarz, a kiedy stanął przy Jimie Bowie, położył mu rękę na ramieniu. Bowie natychmiast się obejrzał.

– No proszę, widzę cię tam i tu, jakby w podwójnej wizji.

Z jedną małą różnicą.

– Nie chcę o tym słyszeć – powiedział Alvin. – Wychodzimy stąd.

Ruszył do wyjścia.

– Z taką różnicą, że w ścianie byłeś cały podziurawiony kula mi – ciągnął Jim Bowie. – Jak by to było możliwe? Tylko pomyśleć, że kule mogłyby w ciebie trafić!

– To twoje pobożne życzenia – mruknął Alvin.

– Kule! – odezwał się Calvin. – Piękny fresk, w sam raz dla publicznej rozrywki.

Dotarli na koniec korytarza, gdzie czekał Arthur Stuart.

– Dzieńdoberek, Calvinie – powiedział. – Widzę, że jednak opuściłeś Mexico City.

– Bez twojej pomocy – odparł Calvin. – Zostawiłeś mnie na pewną śmierć, jak innych.

Arthur nawet nie próbował z nim dyskutować. Wiedział, że Alvin zna prawdę i nie uwierzy w wersję Calvina, wypowiedzianą oczywiście w nadziei poróżnienia Alvina z Arthurem Stuartem.

– Alvin się ucieszył, że przeżyłeś – rzekł. Nie dodał, że tylko Alvin... i może jeszcze ich rodzice.

– Wybaczylem Jimowi, że mnie zostawił, choć Meksykanie mogli mi wyrwać serce.

Jim Bowie także nie zareagował na prowokację.

– Calvin powiedział, co tu budujecie – odezwał się do Alvina.

– Chcę w tym uczestniczyć.

– Tak – dodał Calvin. – Jeśli to Miasto Stwórców, to chyba nie obejdiesz się bez jedyne go oprócz ciebie Stwórcy. – Uśmiechnął się do Arthura Stuarta.

– Tu jest wielu Stwórców – powiedział Alvin, nie zwracając uwagi na obraźliwe słowa Calvina. – Chodźmy, tam stoi mój dom.

Po drodze minęli się z kobietami. Alvin przedstawił wszystkim wszystkim. Jim Bowie okazał się – ku zaskoczeniu Arthura – czarusem umiejącym zabłysnąć, kiedy chciał zrobić na kimś wrażenie. Calvin zachowywał się nieprzyjemnie jak zwykle, ale jego przechwałki zdawały się bawić Rien. Kiedy zaczął prawić komplementy Marie d’Espoir, Arthur Stuart zastanowił się, czy nie zafundować mu subtelne go, lecz nieuleczalnego obrażenia wewnętrzne go – ale oczywiście nic nie zrobił. Nie zaczyna się pojedynku ze Stwórcą o większym talencie i mniejszych skrupułach.

W domu Alvin zaproponował im, żeby usiedli. Meble – z wyjątkiem fotela na biegunach Peggy – były z surowe go drewna, ale nadawały się do siedzenia. Arthur słyszał kiedyś Peggy mówiącą, że nie pragnie wygodniejszych, bo gdyby krzesła były bardziej miękkie, ludzie dłużej by na nich siedzieli.

Calvin wyraźnie miał ochotę opowiedzieć o swojej ucieczce z Mexico City, lecz ponieważ Alvin i Arthur Stuart już wiedzieli wszystko od Tenskwa-Tawy, nikt nie miał ochoty wysłuchiwać innej wersji historii, w której Calvin zaprezentowałby się jak bohater.

– Dobrze, że ci się udało – rzekł Alvin szczerze. – Jim, chyba wiesz, że idąc z Arthurem Stuartem, prawdopodobnie uratowałeś życie tych wszystkich, którzy zdecydowali się ze względu na ciebie. Pewnie by nie poszli, gdybyś odmówił.

– Nie zamierzam ginąć za żadną sprawę – oznajmił Jim Bowie. – Ani za nikogo, z wyjątkiem samego siebie. Wiem, niezbyt to szlachetne, ale wydłuży

mi życie, a to dla mnie wystarczająco głęboka filozofia.

Arthur Stuart pomyślał, że Bowie spodziewał się większego aplauzu lub rozbawienia, ale to nie była knajpa, nikt nie był pijany, więc jego słowa zabrzmiały dość pusto. Słuchali tego ludzie gotowi umrzeć za sprawę lub dla kogoś.

Peggy, niech ją Bóg błogosławi, przeszła od razu do rzeczy.

– Więc dokąd się teraz wybierasz, Calvinie?

– Wybieram? – powtórzył. – Przecież to Miasto Stwórców. No to przybyłem. Niedawno spotkało mnie pewne wydarzenie... właśnie miałem o nim wspomnieć, ale wiem, że nie pora na gawędy... a zatem pewne wydarzenie, dzięki któremu uświadomiłem sobie, że powinienem być bardziej uważać, kiedy Alvin chciał mnie nauczyć różnych rzeczy. Jestem niecierpliwy, więc nic dziwnego, że wyrzucił mnie ze szkoły.

Nawet to było kłamstwem, o czym wszyscy wiedzieli. Arthur Stuart po raz kolejny w swoim życiu pomyślał, że Calvin kłamie dla czystej przyjemności, nie po to, żeby kogoś przekonać.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział Alvin. – Chętnie będę cię uczył, jeżeli podołam. Albo ktoś inny, jeśli będzie lepszy ode mnie.

– Niewielu ich się znajdzie – zachichotał Calvin. Powinno to zabrzmieć jak komplement pod adresem wielkiego talentu brata, tymczasem stało się oskarżeniem jego próżności.

Arthur wiedział bez pytania, że jego siostra jest wściekła, iż Calvin zostaje, a Alvin się z tego cieszy. Uważała, że Calvin pewnego dnia spowoduje śmierć brata. Ale nie wspomniała o tym ani słowem. Odwróciła się do Jima Bowie.

– A pan? Dokąd teraz?

– Ja chyba też zostanę. Spodobało mi się tutaj. No, nie to, co widziałem w lustrze, nie zrozum mnie źle, Alvinie, ale samo lustro. Królowie i królowe chętnie oddaliby swoje królestwa za godzinę w takim miejscu.

– Obawiam się – powiedział Alvin – że kiedy tabernakulum zostanie zbudowane, nie będziesz w nim mile widziany.

Bowie sposepniał.

– Hm... przykro mi to słyszeć. Czy mogę spytać dlaczego?

– Niektórzy widzą tam swoją przyszłość. Człowiek, który za bija swoich wrogów, nie powinien mieć dostępu do lustra, które pokaże mu, gdzie mogą się znajdować jego przyszłe ofiary.

Bowie zarechotał.

– A, za wielki ze mnie zabójca jak na to tabernakulum, tak?

To ja mam taki pomysł: niech wystąpi każdy, kto zabił kogoś w gniewie! –

Wstał i rozejrzał się. – Co, tylko ja? – Wyszczерzył zęby do Alvina. – Naprawdę?

Alvin wstał niechętnie.

– Aha! – rzucił Bowie. – Dobrze, że to przyznajesz. Od początku to wiedziałem. Zabiłeś człowieka, i to sprawiło ci przyjemność.

– Zabił człowieka, który zabił moją matkę! – krzyknęła Peggy.

– I sprawiło mu to przyjemność – powtórzył Bowie. – Ale to twoje wizje, Al. Nie będę z tobą dyskutować. Możesz wypraszać każdego, kogo zechcesz, ale odnosi się to tylko do budynku. To wolny kraj i jego obywatele mogą się wprowadzać do dowolnego stanu lub miasta i nikt nie może im przeszkodzić. Mam rację?

– Myślałam, że jesteś poddanym króla, z Kolonii Korony – powiedziała Peggy.

– Wiesz, że Anglik staje się obywatelem Stanów Zjednoczonych w chwili, gdy przekroczy granicę. Ale ja poszedłem dalej i złożyłem przysięgę jak...

Francuz. – Uśmiechnął się do Rien. – Ja panią chyba znam.

Spojrzała na niego lodowato.

– Będę waszym sąsiadem, czy to wam się podoba, czy nie – ciągnął. – Choć mam nadzieję, że się cieszycie, bo zamierzam żyć spokojnie i znaleźć tu wielu przyjaciół. Może nawet zacznę karierę polityczną. Zawsze mnie to pociągało, zwłaszcza odkąd próbo wałem zostać cesarzem Meksyku.

– Jak powiedziałeś, to wolny kraj – odparł cicho Alvin.

– Przyznaję, spodziewałem się cieplejszego powitania po starych znajomych. – Uśmiechnął się do Arthura Stuarta. – Ten chłopiec ocalił mi życie w Meksyku. Choć z pewnością wolałby te go nie robić, nie zapomnę mu tego.

Arthur Stuart skinął głową. Wiedział, czego konkretnie Bowie mu nie zapomni.

– No – ciągnął Bowie – wystarczy tych radosnych okrzyków.

Muszę poszukać miejsca, gdzie będzie mniej wrzawy, a więcej alkoholu, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Podobno trzeba będzie się udać do hrabstwa Warsaw, by zaspokoić to szczególne pragnienie. Ale wrócę i wybuduję sobie chatkę na jakimś wolnym placu. Miłego dnia.

Wstał i wyszedł.

– Nieznośny typ – powiedział Calvin głośno. Bowie z pewnością usłyszał go nawet przez drzwi. – Nie wiem, jak wytrzymałem w jego towarzystwie od samego Barcy. Może o pokój dbał ten je go wielki nóż. – Calvin miał niezwykłą zdolność śmiania się z własnych dowcipów tak radośnie, że można by nie

zwrócić uwagi na fakt, iż nie śmieje się nikt oprócz niego.

Calvin spojrział na Arthura Stuarda.

– Oczywiście mógłbym tu dotrzeć szybciej, gdyby komuś ze chciało się zabrać mnie w drogę, jak ty zabrałeś Jima i całą grupę. Podobno biegliscie tak, jakbyście frunęli. Jakby ziemia wy biegała na spotkanie waszym stopom, a drzewa usuwały się z drogi. Ale ja pewnie nie byłem tego godny.

– Proponowałem, żebyś ze mną poszedł – wyrwało się Arthurowi Stuartowi, który natychmiast tego pożałował. Opór tylko do dawał Calvinowi entuzjazmu.

– Gdybyś mi o tym powiedział – o tej zielonej pieśni, tak się nazywa? – na pewno bym z tobą poszedł. Ale iść tylko dlatego, że Czerwony Prorok mi grozi? Pewnie chciał podbić Meksyk tak samo jak my i dotarł na miejsce pierwszy. Teraz on ma imperium, a ja jestem zwyczajnym człowieczkiem – no, na tyle zwyczajnym, na ile może być Stwórca. Ty, Alvinie, także udajesz, że jesteś zwyczajny. Ale zawsze pokazujesz ludziom, co potrafisz. Rozumiem cię! Chcesz, żeby cię uważano za skromnego, a przecież ludzie nie mogą uznać, że ktoś jest skromny, dopóki się nie dowiedzą, jaki mi wspaniałymi rzeczami nie chce się chwalić, zgadza się?

I Calvin zaczął się śmiać i śmiać, bez końca.

Tej nocy dziecko kaprysiło. Ponieważ Margaret już je nakarmiła, a Alvin zmienił mu pieluszkę, można było tylko je nosić na rękach i śpiewać. Alvin szybko się zorientował, że mały Vigor chce słyszeć jego głos – może chodziło o głębokie tony wibrujące w piersi tuż przy główce niemowlęcia. Dlatego powiedział Margaret, żeby spała dalej, i wyszedł na dwór, w ciepły wrześnieowy wieczór.

Myślał, że tylko on nie śpi, może z wyjątkiem nocnych strażników z latarniami, a oni powinni się znajdować na skraju miasta: jeden nad rzeką, drugi na cyplu. Ale ku jego zaskoczeniu wkrótce ktoś do niego podszedł. Jego brat Measure.

– Dobry wieczór, Al – odezwał się.

– Dobry – powiedział Alvin. – Dziecko kaprysiło.

– W moim domu ja kaprysiłem. Wyszedłem, żeby nie doszło do nieszczęścia.

– Calvin zamieszkał u ciebie?

– Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego rodzicom zachciało się jeszcze jednego dziecka. Przecież ich nie brakowało.

– Nie wiedzieli, jakie będzie. W domu nigdy za dużo dzieci, Measure. Ale

to nie twoja wina, że są, jakie są. Odpowiadasz tylko za to, czego je nauczysz.

– Alvin, boję się.

– Takie wielkie chłopisko. Wstyd.

– To, co tu robimy, jest wspańale. Ale ludzie nienawidzą nas, boją się i spiskują przeciwko nam. Prawo jest przeciwko nam – o, wiem, że nasze dokumenty są diabelnie dobre, lecz na nic się nie przydadzą, kiedy łamiemy zasady Traktatu o zbiegłych niewolnikach. A skoro jest tu Calvin... nie wiem jak, ale narobi nam kłopotów.

– To przez Niszczyciela – odparł Alvin. – Tak jest zawsze.

Choćbyśmy nie wiadomo jak szybko budowali, on czuwa i stara się jeszcze szybciej niszczyć.

– Więc musi wygrać, prawda?

– I to jest właśnie śmieszne. Przez całe życie widzę, że potrafię tworzyć maluteńko, a on burzy mnóstwo. A jednak... nadal tworzą się nowe rzeczy, prawda? Dobre rzeczy. I wreszcie zrozumiałem, tu taj, w tym mieście, patrząc na tych ludzi, dlaczego na dłuższą metę Niszczyciel musi przegrać. Nie dlatego że ktoś taki jak ja czy ty zdobędzie się na wielki heroiczny czyn i dopieczę mu do żywego. Przegra, bo ci ludzie – setki, tysiące ludzi – tworzą coś każdy na swój sposób. Rodzinę, małżeństwo, dom, gospodarstwo, solidną maszynę, tabernakulum, klasę pełną uczniów, którzy wyjdą z niej trochę mądrzejsi, niż weszli. Cokolwiek. I po chwili człowiek zaczyna rozumieć, że każde malutkie coś składa się na wszystko, a wszystkie nicości Niszczyciela składają się na nic. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Musisz być mądrzejszy od Platona – mruknął Measure. – Bo jego rozumiem.

– O, rozumiesz mnie. Pytanie tylko, czy kiedy wejdziemy na tę niebezpieczną drogę i będziemy mieć wielu przeciwko sobie, będziesz ze mną? Czy staniesz obok mnie?

– Będę, do końca. I nie tylko dlatego że wtedy uratowałeś mi życie, wiesz.

– O, to nie było nic wielkiego. O ile pamiętam, ty chciałeś uratować moje, więc od razu się wyrównało.

– Ja też tak to widzę.

– Więc dlaczego staniesz u mego boku? Bo tak mnie kochasz?

– Alvin powiedział to żartobliwie, ale pomyślał, że to może być prawda.

– Nie. Kocham wszystkich moich braci. Nawet Calvina.

– Więc dlaczego?

– Bo chcę, żebyś stworzył to, co tworzysz. Rozumiesz? Ko cham twoje dzieło. Chcę, żeby się stało.

– I jesteś gotów za to zapłacić tak jak ja?

– Zobaczysz.

Stali przed kryształowymi blokami, gotowymi stać się lśniącym tabernakulum Kryształowego Miasta. Dziecko spało, lecz Alvin przechylił je tak, by jego uśpioną buzia była zwrócona na bloki.

– Spójrz na to miejsce – powiedział do Vigora i do Measure’a.

– Nie wybrałem go. Nie wybrałem sobie życia ani mocy, jaką mam, a już na pewno nie wybrałem sobie tego, co mi się przytrafia. Ale choć wszystko to mi narzucono, nadal jestem wolny.

A wiesz dlaczego? Bo i tak to wybieram. Wybieram to, co mi na rzucono. – Spojrzał na Measure’a. – Tak jak ty. Postanawiam być Stwórcą, bo kocham Stwarzanie.

Podziękowania

W pracy pisarza tak wiele dzieje się w chwili budowania kompozycji powieści – szczegóły dotyczące środowiska i charakteru, pytania czekające na odpowiedź, nadzieje i lęki drugoplanowych postaci – że niemożliwe jest zapamiętanie tego wszystkiego przez lata, jakie upływają pomiędzy tomami cyklu. W rezultacie w kolejnych książkach (a nawet w obrębie jednego tomu) można napotkać sprzeczności, niektóre wątki pozostają w zawieszeniu, pytania nie doczekują się odpowiedzi.

Chyba że pisarz ma szczęście znaleźć grupę czytelników, którzy chętnie z nim współpracują, porównując najnowszą książkę z tym, co było przed nią. W wirtualnym środowisku, powstałym na internetowej stronie Hatrack River (<http://www.hatrack.com>), znalazło się kilku uważnych i życzliwych czytelników, którzy zgodzili się przejrzeć pierwszą wersję książki pod tym właśnie kątem.

Bez wątpienia problemy pozostały. Pracując jako redaktor i korektor, przekonałem się, że bez względu na wysiłek, uwagę i liczbę redaktorów, w każdej książce pozostanie parę pomyłek. Za błędy, które pozostały w książce, odpowiadam ja, ale te, których nie widać, zostały skorygowane dzięki Michaelowi Sloanowi (w Hatrack „Papa Łoś”), Noahowi Siegelowi („Calvin Stwórca”), Adamowi Spieckermannowi, Annie Jo Isabell („BannaOj”), „Kaylli” i najbardziej oddanemu ze wszystkich – Andy’emu Wahrowi („Hobbes”).

Ponadto w lipcu 2002 roku Michael Sloan wygrał konkurs w EnderCon, w którym nagrodą była nazwana jego imieniem postać z mojej następnej książki. Zamierzałem – a wszyscy to zrozumieli – wprowadzić ją tylko na chwilę. Jednak tak się złożyło, że Michael Sloan zamieścił na forum Hatrack River fascynującą notę autobiograficzną o swoim „tysięcznym posterunku”, co uruchomiło w mojej głowie ciąg interesujących skojarzeń. W rezultacie postać nazwana jego imieniem – „Papa Łoś”, gdyż takiego nicka używa w Hatrack – odegrała w powieści o wiele donioślejszą rolę, niż obaj mogliśmy się spodziewać. Ponieważ jego żona od dawna jest nazywana Wiewiórką, co stanowi aluzję do słynnej telewizyjnej kreskówki, naturalną kolejną rzeczą to imię przypadło żonie powieściowej postaci. Więc Papa Łoś i Mama Wiewiórka z mojej książki nie otrzymali tych imion na cześć Rocket J. Squirrela i Bullwinkle’a Moose’a, lecz dwojga wiernych czytelników moich książek i animatorów społeczności Hatrack River.

Przyznaję, że aluzje do Rocky’ego i Bullwinkle’a bardzo mnie bawiły. Skoro

w pierwszym tomie pozbawiłem głowy George’a Washingtona, a w kolejnym Alwinowi przyśniła się akcja „Władcy pierścieni”, dlaczego nie miałbym oddać hołdu arcydziełu kosmicznej fantasy mojego dzieciństwa?

Roland Brown przeczytał tę książkę tuż po jej ukończeniu i podsunął mi mądre sugestie odnośnie postaci starego Barta, a także paru innych, które przyjąłem z wdzięcznością.

Moja redaktorka Beth Meacham i wydawca Tom Doherty zasługują na wielkie podziękowania za cierpliwość w związku z nieprzewidywalnymi terminami oddania tekstu kolejnych rozdziałów i za cudowne rzeczy, które potrafią z nimi zrobić, kiedy już je dostarczę. Tylko dzięki temu, że w roku 1983 zdecydowali się postawić na ten dziwny amerykański cykl fantasy, w dodatku oparty na moim epickim poemacie, mogłem po raz drugi rzucić stałą pracę i przez dwadzieścia lat skupiać się na pisaniu.

Barbara Bova, która jest moją agentką od 1978 roku, uważnie śledzi rozwój mojej drogi zawodowej. Wraz ze swoim mężem Benem Bovą – wydawcą „Analog”, który odkrył mnie w 1976 roku – przez cały czas pozostali moimi serdecznymi przyjaciółmi. Ta książka, tak jak wiele innych, powstała, ponieważ Barbara wywalczyła dla mnie miejsce na rynku, dzięki czemu mam dość czasu. Moi bliscy i przyjaciele również czytali tę książkę, rozdział po rozdziale, w miarę jak powstawały. Wyłapywali błędy, przypominali o pytaniach, które wciąż pozostają bez odpowiedzi, i podsuwali pomysły, które otwierały drzwi mojej wyobraźni. Erin i Phillip Absher, Kathryn H. Kidd i mój syn Geoffrey byli mi wielką pomocą.

Moją pierwszą czytelniczką pozostaje moja żona Kristine; przy jej łóżku lądują wszystkie strony, kiedy o trzeciej, piątej lub siódmej nad ranem zwlokę się na dół po kolejnej nocnej sesji. Zajmuje się także rodziną i interesami, które – gdybym im poświęcał czas – nie pozwalałyby mi się w pełni skoncentrować na pisaniu. Najważniejszym zadaniem mojego życia była i jest rodzina, a Kristine jest moją współpracownicą i partnerką w każdym aspekcie tej dziedziny.

A naszej dziewięcioletniej Zinie dziękuję za cierpliwość do ojca, który znika na całe godziny, a czasem dni, by powrócić z książką, która jej jeszcze nie interesuje. Więc zostawiam jej radości Harry’ego Pottera, „Avalonu” i wielu innych książek, które towarzyszą jej życiu, w nadziei że kiedyś zyskam miejsce na tej olśniewającej liście.

Zacząłem pisać tę książkę na laptopie, podczas gdy moja córka Emily jechała autostradą I-40 do Los Angeles. Pisałem w domu mojego kuzyna Marka w Los Angeles, w moim domu w Greensboro w Karolinie Północnej,

a także na autostradzie między Greensboro i Buena Vista w Wirginii, gdy samochód prowadziła Kristine. Skończyłem w Avon, mieście na Hatteras Island w Karolinie Północnej, a także na autostradzie między Greensboro i Buena Vista w Wirginii, gdy samochód prowadziła Kristine. Skończyłem w Avon, mieście na Hatteras Island w Karolinie Północnej. Przeprawiłem się przez liczne rzeki, ale zawsze po mostach.